

Judith Gould

Trzy gwiazdy

Dazzle

*Świat jest teatrem, aktorami ludzie
którzy kolejno wchodzi i znikają.
Każdy tam aktor nie jedną gra rolę,
Bo siedem wieków dramat życia składa.*

William Szekspir „Jak wam się podoba”
tłum. Leon Ulrich

Prolog

DZIEŃ ZAPŁATY

Latanie samolotem

Po tylu latach wciąż nie mogła się do tego przyzwyczaić; Zaczynała się denerwować, gdy samolot przyśpieszał na drodze startowej, a uspokajała się dopiero, gdy był już w górze i domki na ziemi wyglądały jak na planszy z Monopolu. Tylko na nocnych lotach, jak ten linii El Al z lotniska Kennedy’ego na Ben Guriona w Tel Awiwie, mogła się uspokoić i zasnąć. W ciemności czuła się bezpiecznie. Później, gdy samolot zacznie schodzić, a ona poczuje ucisk w uszach, zdenerwowanie powróci i będzie ją gnębić, póki nie dotknie ziemi.

Była wysoką, szczupłą kobietą, poruszała się z godnością i elegancją. Jej twarz, znana na całym świecie, stanowiła niepokojącą mieszankę cech pełnej spokoju arystokratki z amazonką z dżungli. Niedbale zaczesane długie, czarne włosy były tak błyszczące, że połyskiwały granatowo okalając jej piękną twarz surowej madonny. Miała ten cudowny rodzaj urody „nic mnie to nie obchodzi”, który sprawiał, że mężczyźni o niej marzyli, a kobiety starały się jej dorównać. Mimo jasnej, kremowej cery i pozornego chłodu można w niej było wyczuć temperament tygrysy. Nawet w tym niewyszukanym stroju było coś zmysłowego. Kremowa jedwabna narzutka od Luciano Soprani nadawała jej wygląd poważnej malarki, lecz czarna koszula z szerokimi rękawami, rozpięta pod szyją, sugerowała pewną seksualną perwersyjność, a plisowane spodnie w kolorze tabaczkowym przeciwstawiały temu wyrafinowaniu wrodzony żywioł Marleny Dietrich. Gdyby nie spojrzenia ciekawskich, ten rzut oka świadczący o rozpoznaniu jej, mogłaby zapomnieć, że jest jednym z najsilniejszych magnesów przyciągających do kas kinowych. Ona, Jane Fonda i Meryl Streep. I to przeważnie w tej kolejności. Nawet po dziewięciu latach nie czuła się jak gwiazda filmowa. Zauważyła, że mężczyzna w sąsiednim rzędzie foteli przygląda się jej, i prędko odwróciła głowę. Myśla, że mnie znają. Myśla, że jestem jakimś bóstwem. Pewnie nie uwierzyliby, że dostają biegunki po wypiciu wody w Meksyku, pomyślała.

– Proszę państwa – zapowiedział po angielsku przez głośnik bezosobowy głos.
– Kapitan włączył sygnał oznaczający zakaz palenia. – Prosimy o niepalenie, – ustawienie foteli w pozycji pionowej i sprawdzenie, czy stoliki są złożone. Mam

nadzieję, że mieli państwo przyjemny lot i przy najbliższej okazji wybiorą państwo znów linie El Al. – Informację powtórzono po hebrajsku.

Zza zasłony, oddzielającej klasę pierwszą od turystycznej, wyszedł główny steward. Wprawnym ruchem zabrał Dalii pusty kieliszek, małą serwetkę i złożony plastikowy stolik.

– Załatwiliśmy, żeby pani wyszła pierwsza, panno Boralevi. – Urodziła się dwadzieścia dziewięć lat temu jako Dalia ben Yaacov, ale gdy rozpoczęła karierę filmową, przybrała panięskie nazwisko matki, Boralevi. – Jeden z naszych przedstawicieli przyjdzie po panią do samolotu. Dopilnuje, żeby przeszła pani przez odprawę sprawnie i bez kłopotów. Dalia zwróciła na niego swe szmaragdowe oczy.

– Dziękuję – odpowiedziała gardłowym głosem, z lekką naturalną chrypką. – Jestem państwu zobowiązana.

, Stał przy niej oczekując, że nawiąże rozmowę.

– Cieszy się pani na wizytę w ojczyźnie?

Skinęła głową, odrzucając z twarzy kaskadę błyszczących włosów. Spojrzała na niego.

– Tak – odpowiedziała miękko. – Jestem *sabra*: tu się urodziłam i wychowałam – uśmiechnęła się.

– Wiem. Ja też – odwzajemnił uśmiech, odpowiadając automatycznie po hebrajsku. Zaraz jednak minął ten magiczny moment, gdyż ktoś go przywołał. – Przepraszam – powiedział odchodząc.

Dalia uśmiechnęła się leciutko. Sama świadomość, że oboje pochodzili z pokolenia urodzonego tutaj, stwarzała poczucie wspólnoty, które należało bardzo cenić. Rozpierała ją duma. Odczuwali ją wszyscy urodzeni tu Izraelczycy, choćby wiele lat nie odwiedzali rodzinnego kraju. Nagle ogarnęło ją poczucie winy. Nie było mnie jedenaście lat, wyrzucała sobie. Tyle czasu moja noga nie stanęła na tej ziemi. Bywałam tylko w licznych konsulatach i ambasadach, kiedy należało odnowić paszport.

Zmienił się dźwięk silników i przez długą, długą chwilę samolot wydawał się wisieć nieruchomo w powietrzu. Dalia zacisnęła dłonie na oparciach tak silnie, że zbieleły jej kostki palców. Następnie odrzutowiec przechylił się i jakby z nowym zapasem sił zaczął schodzić do lądowania.

Odetchnęła z ulgą i spojrzawszy znów w okno wyobraziła sobie, że zamiast fal z białymi obłoczkami piany widzi swoją *i* rodzinę. Zastanawiała się, czy będą na nią czekać na lotnisku, czy tylko przyślą samochód. Wiedzą, jak ich kocham.

Wiedzą, że o nich nie zapomniałam przez te długie lata. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumieją, że musiałam ruszyć w świat i sama się sprawdzić. Musiałam im pokazać, że nie na darmo płynie w moich żyłach krew Boralevich. A cóż to była za krew! Jakiż wspaniały rodowód otrzymała w dziedzictwie!

Znów się uśmiechnęła, gdy pomyślała o swojej szacownej rodzinie. Pamiętała wszystkich tak dokładnie i wyraźnie jak wtedy, gdy ich widziała ostatnio na własne oczy, a nie na zdjęciach, które regularnie przesyłali sobie pocztą. Była to bardzo sobie bliska, kochająca rodzina. Pamiętała, jak stali na lotnisku, odprowadzając ją z dumą do srebrnego DC-3 z okresu II wojny światowej, który miał zawieźć ją i dwudziestu innych pasażerów do Aten, stamtąd do Londynu, a następnie do Nowego Jorku.

Dalia wyobraziła sobie dokładnie matkę: w tamto słoneczne przedpołudnie przytrzymywała jedną ręką kapelusz z szerokim rondem, żeby go nie zwiął podmuch gorącego wiatru. W wieku pięćdziesięciu czterech lat Tamara była wciąż uderzająco piękna, ze wspaniałymi zębami jak z reklamy pasty, dzięki doskonałym koronkom z lat trzydziestych, wyglądającym niezmiennie tak jak wówczas, gdy była ozdobą Hollywood. Hipnotyzujące szmaragdowe oczy Tamary, które Dalia odziedziczyła, błyszczały pod pięknie zarysowanymi brwiami. Jej typowo słowiańskie wystające kości policzkowe sprawiały, że była to wciąż cudowna twarz, a w dniu tego jednocześnie smutnego i radosnego pożegnania – równie dramatycznie wyrazista jak na jej starych czarno-białych filmach.

W ciągu tych jedenastu lat rozłąki Dalia z nabożeństwem oglądała stare filmy Tamary, gdy pokazywano je na jakichś festiwalach klasyków lub powtarzano wciąż i wciąż na późnych, i bardzo późnych seansach. Siedziała na nich jak zaczarowana, z trudem kojarząc, że ta uwodzicielska syrena to naprawdę jej matka. Gdy na ekranie pojawiał się napis KONIEC, odczuwała przygnębiającą tęsknotę i ukłucie w sercu i przysięgała sobie jak najprędzej lecieć do Izraela na możliwie najdłuższą wizytę.

Teraz Dalia czuła miłe ciepło rozchodzące się po ciele na myśl o spotkaniu, które tyle razy odkładała, a którego rozpaczliwie pragnęła. Przed jej oczami pojawił się ojciec. Tamtego ranka, gdy przyszedł ją odprowadzić, wyglądał niezwykle przystojnie w wykrochmalonej koszuli khaki z krótkimi rękawami, nieco spoconej pod pachami. Rozpięta koszula ukazywała kręcone włosy na piersiach. Zachowywał się zawsze bardzo pewnie; czuło się w nim głęboką siłę i niepodważalną wiarę w to, co pomagał stworzyć, i prawdziwą miłość do rodziny.

Generał Dani ben Yaacov był kimś więcej niż najważniejszą osobą w rodzinie,

uwielbianą przez córkę. Był zagorzałym bojownikiem Haganah, walczącym o to, by przyłączyć Palestynę do nowo powstałego państwa Izrael, a później bronił jak lew tego najcenniejszego skarbu, żeby pozostał oazą wolności Żydów wśród pełnego niepokoju, burzliwego Bliskiego Wschodu. Od czasu, gdy wyjechała, był już na wojskowej emeryturze, co jednak – o ironio – spowodowało, że miał więcej władzy: choć był w końcu cywilem, jako zagorzały patriota wyśmiał ideę spędzania złotego wieku w zaciszu domowym i łatwo dał się namówić na funkcję doradcy w parlamencie izraelskim. Wkrótce stał się jednym z najbardziej wpływowych ludzi w kraju. Szkoda tylko, że będąc takim skarbem dla Izraela, na świecie znany był przede wszystkim jako mężczyzna, dla którego legendarna królowa kina Tamara porzuciła swoją wieżę z kości słoniowej w Hollywood. Porzuciła ją dla prawdziwej, opartej na solidnych podstawach miłości, która przetrwała wszelkie burze i z każdym rokiem rosła w siłę.

Myśli Dalii powędrowały teraz ku imponującej postaci dziadka, samego Szmarii Boralevi. Dziadek był jedynym człowiekiem, który jeszcze teraz budził w swej dojrzałej, dwudziestodwuletniej wnuczce prawdziwy respekt. Rodzinny jednonogi patriarcha w wieku siedemdziesięciu dwóch lat był już żyjącą legendą, pomnikiem epoki, w której Żydzi wciąż uciekali przed pogromami z pogranicza polsko-ukraińskiego, stanowiącego swoiste getto już od czasów Katarzyny Wielkiej. Uciekali do Ziemi Obiecanej. Teraz dziadek będzie miał... ile? Osiemdziesiąt trzy lata? Czy to możliwe? I na pewno cieszy się jak zwykle doskonałym zdrowiem. Odkąd Dalia sięgała pamięcią, zawsze z całej znakomitej rodziny najłatwiej było jej wyobrazić sobie dziadka. Jego okaleczone ciało, zahartowane i opalone przez lata spędzone na niemiłosiernie piekącym słońcu, burza białych, wypłowiałych włosów i gęsta, biała broda – . wszystko to składało się na portret dziadka jako biblijnego proroka. Zresztą, zdaniem Dalii, jeśli było to delikatnym bluźnierstwem, to niedalekim od prawdy. Dziadek był na swój sposób współczesnym prorokiem, który wyobraził sobie krainę Dzieci Izraela na długo przedtem, niż ktokolwiek zaczął o nią naprawdę walczyć.. Jego osiągnięcia stały się niemal mityczne. Dawno temu przezwano go „Szmaria Burza” i w przydomku tym był zarówno szacunek, jak i sympatia, jaką go otaczano. Miał olbrzymie zasługi dla państwa Izrael, wraz z takimi postaciami jak Chaim Weizmann i David Ben Gurion, choć wciąż się zastrzegał, że nie zasługuje na takie porównania, Tylko Ari ben Yaacov, jej przystojny starszy brat, dumny *sabra*, podobnie jak ona nie stworzył jeszcze własnej legendy. Ale na pewno stworzy, zapewniała lojalnie samą siebie. Jest z tego samego tworzywa, co my wszyscy, tylko nie miał okazji się

wykazać. Nadejdzie taki dzień, że nas przerośnie.

Nagle kącki jej pomalowanych pomarańczową pomadką ust skrzywiły się, gdy przypomniała sobie cel swej wizyty. Wkrótce będzie znów z Arim, ale nie na długo. Za dwa dni odbędzie się jego ślub, a później brat wyjedzie gdzieś z żoną. Westchnęła. Minęło jedenaście długich lat, a teraz nareszcie kończy się lot 1002 z Nowego Jorku. Niedługo będzie w domu.

Dom. Cudowne słowo. Ale gdzieś w środku kołatał się lekki niepokój. Czy to naprawdę był jej dom? A może długa nieobecność i przeżycia sprawiły, że będzie to dla niej równie obce miejsce jak dziesiątki innych, które odwiedzała na całym świecie?

Obok fotela Dalii stanął główny steward.

– Witamy w domu, panno Boralevi – powiedział radośnie po hebrajsku. – Mam nadzieję, że miała pani przyjemny lot?

Odpięła pas i zwróciła ku niemu twarz.

– Tak, dziękuję bardzo.

Uśmiechnął się.

– Jeśli zechce pani pójść za mną, wyprawimy panią pierwszą.

Nachyliła się, wyciągnęła spod fotela przed sobą torbę na ramię firmy Bottega Veneta i spróbowała stanąć. Przydałoby się trochę rozprostować nogi, bo czuła, jakby miała spętane kostki.

Wydostała się sprawnie z rzędu foteli, strząsnęła włosy na ramiona i ruszyła do wyjścia. Miała proste plecy, kwadratowe ramiona, a jej krok, mimo mrowienia w stopach, był pełen wdzięku i godności, jak u modelki na wybiegu. Gdy stewardesa za wcześnie odsunęła kotarę, oddzielając klasę turystyczną, Dalia starannie unikała wpatrzonych w nią ciekawskich twarzy z rozdziawionymi ustami.

Wyobrażała sobie, co myślał. „Patrz! Do licha! Prawdziwa gwiazda, na żywo! Hej, mogłaby pani dać mi autograf? A mógłbym pani zrobić zdjęcie z moją kobitką?... Widziałeś ten jej ostatni film, gdzie była goła scena z Melem Gibsonem? Chętnie bym się z nim zamienił... „

Główny steward zajął już miejsce przy wejściu do rękawa, przypominającego pepowinę i łączącego samolot z budynkiem terminalu. Tak jak obiecano, czekał na nią przedstawiciel El Al.

– To nie Elie ma dyżur? – zdziwił się na jego widok główny steward. – Myślałem, że to on miał wyjść na ten lot.

– Wiesz, jaki jest Elie – odpowiedział mężczyzna tonem starego znajomego. – Panikuje za każdym razem, kiedy jego żona lub dzieci choćby kichną. Mam go

tymczasowo zastępować.

Przedstawiciel obsługi VIP-ów zwrócił się do Dalii i obdarzył ją profesjonalnym uśmiechem. Uprzejmie, lecz stanowczo ujął ją pod łokieć i poprowadził w stronę terminalu.

Główny steward marszcząc brwi patrzył za nimi, póki nie zniknęli mu z oczu za zakrętem. Ciekawe, pomyślał, ten facet od VIP-ów wyraźnie popędział pannę Boraleyi.

Hanna, stewardesa z klasy turystycznej, spojrzała na niego wielkimi, czarnymi oczami.

– Ty to zawsze masz jakieś szychy. Hej! Co się stało? Dlaczego masz taką ponurą minę?

– Nie wiem...

Coś, co go zaniepokoiło, nie dotarło jeszcze do jego świadomości. Musiał się zająć pracą. Przytrzymał grupę niespokojnych pasażerów klasy turystycznej, żeby móc ciepło pożegnać każdego pasażera klasy pierwszej, a dopiero później wypuścić turystycznych.

Zbyt późno przypomniał sobie, że Elie mieszka tylko z matką, inwalidką, ofiarą jakiegoś ataku OWP. Elie nie ma żony, nigdy nie użyłby takiego idiotycznego wykrętu, bo jest to do sprawdzenia w jego papierach. Ta myśl gnębiła go do końca dnia. Kim więc był ten nieznajomy, który tak popędział Dalię Boralevi?

– Jeśli da mi pani swój paszport i kwit bagażowy – powiedział przedstawiciel obsługi VIP-ów do Dalii – unikniemy tych wszystkich formalności – uśmiechnął się miło, ale oczy miał zadziwiająco zimne, gdy patrzył na nią wyciągając rękę.

Dalia skinęła głową i nie przerywając marszu sięgnęła do torby, a następnie wręczyła mu bilet i paszport izraelski w cieniutkiej skórzanej okładce firmy Mark Cross, z trójkątnymi narożnikami z dwudziestokaratowego złota.

Jedenaście lat i wciąż mam swoje obywatelstwo, powiedziała sobie z uznaniem. Cieszę się, że tak zrobiłam. Byłoby bardzo łatwo po pięciu latach zostać naturalizowaną Amerykanką, ale nie uległam pokusie. Mogłam zostać na zawsze, ale nie miałam ochoty (albo odwagi), żeby odciąć tę pępowinę, łączącą mnie z moją historią. To się liczy, prawda?

Mężczyzna przeprowadził Dalię poza kolejką pasażerów z Aten, machnął otwartym paszportem urzędnikowi za biurkiem, który kiwnął ręką, żeby przeszli. Następnie człowiek od VIP-ów przeprowadził ją sprawnie przez zatłoczony, hałaśliwy terminal kierując się wprost do wyjścia.

– Chwileczkę – zawołała Dalia, odwracając się do niego w momencie, gdy

chował do kieszeni marynarki jej paszport, bilet i kwit bagażowy, – Co z moim bagażem? Poza tym potrzebuję paszportu!

Z twarzy mężczyzny nie zniknął sztuczny uśmiech.

– Kazałem przysłać pani bagaż za godzinę przez posłańca. To samo dotyczy paszportu. Pani jest naszą najważniejszą sprawą. Musimy bardzo uważać na bezpieczeństwo, a pani jest naszym skarbem narodowym. El Al nie lubi, kiedy ważne osoby, zwłaszcza takie jak pani, ze znanej rodziny, są niepotrzebnie wystawiane na niebezpieczeństwo w miejscach publicznych.

Nie dała się zbić z tropu.

– Jest tu na pewno salonik dla VIP-ów – dodała z nieodpartą logiką. – Mogę tam poczekać, a pan przyniesie bagaż i zaoszczędzę wam sporo kłopotu. Poza tym, nie mogę się poruszać bez paszportu. Jeśli dobrze pamiętam, to jest niedozwolone, trzeba mieć przy sobie przez cały czas dowód tożsamości.

Uśmiechnął się na tę typowo izraelską potrzebę przestrzegania prawa.

– Niech pani się nie martwi – powiedział lekko – w pani przypadku noszenie dokumentu zostało tymczasowo zawieszono. – Najwidoczniej jej argumenty dawały się odeprzeć. – Mam dokładne rozkazy, a pani bezpieczeństwo jest dla nas najważniejsze. Samochód czeka na zewnątrz.

Poczuła miłe ciepło w sercu i niespodziewaną wilgoć w oczach. Samochód, a w nim na pewno moja rodzina, oczekująca z gorącym powitaniem.

Szła tak prędko, stukając obcasami po podłodze z terakoty, że tym razem eskortujący ją przedstawiciel musiał wydłużyć krok. Wpadła na szklane drzwi z impetem i musiała chwilę poczekać, nim rozsunęły się przed nią bezszelestnie. Znalazła się nagle w zupełnie białym, oślepiającym blasku słońca. Mrugając, prawie po omacku wygrzebała z torby olbrzymie okulary przeciwsłoneczne i prędko przysłoniła oczy. Jej ciało jakby natychmiast przywiedło, reagując na upał. Po klimatyzowanym wnętrzu dworca lotniczego gorące powietrze buchnęło w nią z mocą piekielnego ognia. Upał i słońce były znacznie ostrzejsze, niż pamiętała, nieubłagane, wręcz gęste, surrealistycznie ostre. Jak łatwo zapomina się takie rzeczy.

Jej eskorta szła tuż za nią, prowadząc ją w stronę błyszczącego starego Chylera, czekającego przy krawężniku. Przyciemniane szyby były dokładnie zasunięte, najwyraźniej chroniąc miły chłodek klimatyzowanego wnętrza przed nieludzką temperaturą powietrza. Szofer siedział za kierownicą, a w głębi, na tylnym siedzeniu Dalia zauważyła jakąś postać.

Tylko jedna osoba przyjechała na moje powitanie, pomyślała z żalem. Kto to

może być? Dani? Ari? A może Tamara?

Przedstawiciel El Al ujął nieco zardzewiałą klamkę i otworzył drzwiczki. Dalia pochyliła się, by wejść do olbrzymiego samochodu. Nagle uchwyciła się drzwi, a żołądek ze strachu podszedł jej do gardła. W samochodzie nie było nikogo z jej rodziny, lecz ciemnoskóry nieznajomy o orlim nosie. Nie oferował jej powitalnego bukietu, lecz lufę pistoletu – złowróżbne kółeczko, jeśli patrzyło się z punktu widzenia ofiary. Znajdowało się dokładnie na linii jej nagle czujnych, zielonych oczu.

Czas stanął.

– Witamy w Izraelu, panno Boralevi – powiedział nieznajomy z obrzydliwym uśmiechem, a jego hebrajski miał wyraźnie arabski akcent.

Zmrużyła oczy i obróciła się wolno, gdy na plecach poczuła lufę drugiego pistoletu. Mężczyzna, podający się za przedstawiciela linii lotniczych, stał tuż za nią, osłaniając swym ciałem pistolet przed ewentualnymi spojrzeniami ciekawskich. Na chodniku za nim zobaczyła dwóch krzepkich policjantów w mundurach z krótkimi rękawami. Zaświtała jej nadzieja.

– Na twoim miejscu wsiałbym bardzo spokojnie – szepnął ostrzegawczo głos za nią. – Jeśli będziesz coś kombinować, zastrzelimy ciebie i zginą też niewinni przechodnie. Mamy swoich ludzi wokół całego lotniska.

Nie wątpiła w to ani przez moment. Bez słowa weszła do samochodu. Fałszywy człowiek od VIP-ów wsiał za nią. Zatrzaśnięte drzwi oddzieliły ją od rzeczywistości. Dwa pistolety, każdy z innego boku, wrzynały się w jej ciało poprzez kosztowne ubrania.

– O co chodzi? – spytała, gdy wielki samochód ruszył cicho. Twarz miała bladą, pozbawioną naturalnego kremowego koloru. Nie odezwali się. – Powiedzcie. Czego ode mnie chcecie? Nic nie zrobiłam.

– Aha, więc ty też należysz do tych niewiniątek – warknął z uśmiechem mężczyzna na tylnym siedzeniu. – Twoja rodzinka ma na koncie więcej grzechów, niż ci się wydaje, gwiazdo – rzucił chrapliwie. – Czas, żeby ktoś za nie zapłacił.

– Zapłacił? – z wysiłkiem powstrzymała histeryczny śmiech. – Za co?

– Powiedzmy... za grzechy ojców i matek. – Uśmiezek nie opuszczał jego twarzy.

– Nie dostaniecie od nich pieniędzy. Nie ulegną żądaniom porywaczy. Powinniście to wiedzieć.

– Nie o pieniądze nam chodzi.

Twarz jej płonęła.

– Więc o co?

– Żeby im odpłacić... w jakiś sposób. Możesz to nazwać dniem zapłaty.

– Wiecie, kim jesteście? – powiedziała chłodno, z trudem zachowując spokój. – Jesteście zwykłymi przestępcami. Przestępcami – powtórzyła, jakby uważała, że należy to podkreślić.

Lecz jej umysł pracował. Co miał na myśli mówiąc o „grzechach ojców i matek?” Czy to była przenośnia? Czy miała to rozumieć dosłownie?

I

SENDA 1911-1922

Kompozytorzy, dramatopisarze, choreografowie i tancerze znaleźli w przedrewolucyjnej Rosji zaszczyty, sławę i fortunę, lecz z powodu ulotności sztuki scenicznej i braku nagrań filmowych, z nazwisk gwiazd teatralnych tej przedfilmowej ery zachowało się to jedyne – legendarnej Senty Bora.

Rhea Gallaher, Jr.

Scena i Ekran: *Historia Światowej Rozrywki*

Blade, popołudniowe słońce rzucało słaby cień na miękką ziemię pokrytą mchem w brzozowym lesie. Gęstwina delikatnych listków nad głową rozpraszała łagodne światło, padające na twarz Senty. Nuciała sobie cichutko melodię jednej z kołysanek, które w dzieciństwie śpiewała jej do snu babcia Golda. Uznała teraz tę melodię za bardzo odpowiednią, gdyż była kojąca, lekka i niewinna, czego nie można było powiedzieć o schadzce, na którą się śpieszyła.

Uniosła grubą, pikowaną spódnicę i skocznym krokiem przedzierała się przez drzewa, od czasu do czasu pochylając głowę pod nisko zwisającymi gałęziami. Uśmiechnęła się do siebie, wdychając czyste, chłodne powietrze. Z całą pewnością nadeszła wiosna i nie było śladu wczorajszego mrozu. Uznała to za dobrą wróżbę i przyśpieszyła kroku. Wkrótce wioska została za nią, ale dopiero gdy wspięła się na wzgórze i doszła do znajomej polanki, zatrzymała się, by odetchnąć.

Było to jej ulubione miejsce. Po prawej stronie miała Źródełko strumienia, płynącego przez ich wieś. Źródełko tworzyło mały stawek z krystalicznie czystą wodą. Bardzo ceniła to odosobnienie i myślała o tym miejscu jak o swojej i jego własności. Tu mogli się kochać, z dala od oczu ciekawskich. Tu panował spokój: słyhać było tylko szmer wody, szelest liści i ćwierkanie ptaków. Spoglądając stąd w dół czuła, że ma świat u stóp. Wiejskie chaty z gliny, drewna i wiklinowej plecionki wydawały się jeszcze mniejsze, ale z daleka nędzna wioska nabierała uroku, a główny budynek, synagoga stojąca na uboczu, wydawała się większa i bardziej imponująca.

Jej oddech już się wyrównał. Okręciła się dookoła, spódnica zawirowała wokół nóg. Przeszukała oczyma ścianę lasu. Była sama.

Na myśl o tym, że za chwilę znów zobaczy Szmarię, zaróżowiły jej się

policzki, podkreślając jeszcze naturalną urodę. Na jej twarzy połączyły się delikatne rysy ojca, zbyt subtelne u mężczyzny, ale piękne u kobiety, i Ostrzejsze, choć równie piękne rysy matki. Ta mieszanka w przypadku Sندی tworzyła zupełnie oryginalną urodę, trochę nie z tego świata. Twarz miała doskonale owalną, z wystającymi kośćmi policzkowymi, wspaniałe włosy jak z Botticellego i olśniewające szmaragdowe oczy. Gdy patrzyło się na nie z bliska, nie były zupełnie szmaragdowe, lecz z orzechowymi i akwamarynowymi kropkami, a każde stanowiło cudny klejnot w oprawie miedzianych rzęs, w kolorze zbliżonym do jej gęstych, błyszczących włosów. Miała unoszące się ku skroniom brwi czarownicy i skórę o zdrowym, różowym odcieniu z perłowym blaskiem. W jej sposobie poruszania się było coś kociego i była najbardziej czarującą dziewczyną w całej wsi. Ładniejszą, mówiono, niż kiedyś była babcia Golda, wciąż słynna ze względu na dawno minioną urodę i ostry jak brzytwa język. W wieku lat szesnastu Senda była w rozkwicie urody. Gdy siedziała teraz oparta o delikatny pień brzozy pod parasolem zielonych liści, z kolanami podciągniętymi pod brodę, wyglądała jak leśna nimfa z bajek, które jej opowiadano w dzieciństwie. Nawet obszerna, bezkształtna spódnica w burym kolorze i brudnobiała wiejska bluzka bez żadnych ozdób nie były w stanie zepsuć niezwykłego wrażenia. Jediną ozdobę stanowiła jej cenna czerwona chusta, przewiązana w pasie jak szarfa. Gdy tylko znalazła się za wsią, zerwała ją z głowy i owinęła wokół bioder. Była to desperacka próba upiększenia, o jakim marzyła, lecz wiedziała, że nie uszłaby jej w tej ubogiej, purytańskiej wiosce. Jednak w cokolwiek była ubrana, nie mogła ukryć zaledwie pięćdziesięciocentymetrowej talii i dojrzałych piersi, zresztą ku zmartwieniu swej jędzowatej matki, arcykonserwatywnego męża, Salomona, i niechętnych teściów. „Ta uroda nie wyjdzie jej na dobre” – mówiła teściowa, Rachela Boralevi, każdemu, kto zechciał słuchać.

Nie żeby tak zupełnie nie miała racji. Ale mimo nieustannej podejrzliwości nawet ona musiała przyznać, że może Senda nie jest taka zła i że, dzięki Bogu, ustatkowała się trochę od czasu ślubu z oczkiem w głowie Racheli, najmądrzejszym i najwrażliwszym Salomonem. Rachela widziała jednak to; co chciała widzieć. Zaczęła nawet brać za dobrą monetę popołudniowe spacerunki Sندی, a dziewczyna wiedząc, że w oczach teściowej wygląda inaczej, starała się ukryć swe prawdziwe ja. W domu była poważna i spokojna, nawet nie dlatego, żeby chciała wprowadzić kogoś w błąd, tylko dlatego, że w tym małżeństwie bez miłości rzeczywiście czuła się ponuro i jak w więzieniu. I właśnie ta smutna obojętność pozwoliła Racheli Boralevi spokojniej odetchnąć. Nie zauważała ognia,

płonącego w szmaragdowych oczach Sendy. Płonął tam stale, gdyż był wyrazem jej marzeń o tym, czego pragnęła najbardziej: wolności, przygody i miłości.

Westchnęła teraz ciężko. Wiedziała, że miała szczęście, Skoro udało jej się wymknąć z domu i przyjść tutaj. Tylko na tej leśnej polanie mogła naprawdę być sobą. Mogła odetchnąć swobodnie, nie czując się skrepowana, nie będąc fizycznie i emocjonalnie zniewolona przez małżeństwo ustalone z pewnością nie w niebie. Las dawał jej wytchnienie od tego znieawidzonego związku. A co ważniejsze, pozwalał jej skraść kilka cennych godzin miłości, dla których warto było żyć i które sprawiały, że w jej oczach wciąż jeszcze płonął ogień. Piękną twarz Sendy wykrzywił grymas, – Tylko ja, babcia Golda i Szmaria – powiedziała głośno, dzieląc się swoją niedolą z parą wróbli skaczących po drzewach. – Dlaczego tylko my wiemy, jak bardzo nie znoszę tego małżeństwa? Dlaczego?

Ani drzewa, ani ptaki nie potrafiły jej odpowiedzieć. Siedziała cicho marszcząc brwi coraz bardziej i wspominała ten dzień w ubiegłym roku, kiedy jej rodzina i swatka, *shadchen*, ułożyli ten związek bez miłości...

– Nie nadaje się do rodzenia dzieci – oświadczył przenikliwy kobiecy głos. – Popatrzcie tylko na jej biodra. Czy zauważyliście, jakie są wąskie? – Zapanowało dłuższe milczenie. – Widzicie! – wykrzyknęła kobieta dramatycznie, klepiąc się po kolanie z siłą i odgłosem wystrzału. – A co wam mówiłam? Jedno spojrzenie i widać, że nigdy nie urodzi! A powiedzcie tylko, co warta taka kobieta, która nie może mieć dzieci, co? No, powiedzcie! – swoje prognozy podkreśliła nagłym skrzypnięciem krzesła, na którym siadła triumfalnie.

Senda poczuła na swym ramieniu łagodny uścisk babci Gołdy i musiała powstrzymać chęć wsadzenia głowy przez otwarte okno i powiedzenia Ewie Boralevi, co o niej myśli. Zamiast tego zaglądała ostrożnie przez powiewającą firankę, ukryta przed wzrokiem wszystkich w ciemnościach nocy.

Przez koronkowy wzór widziała wewnątrz kuchni w chacie Boralevich. Było to główne pomieszczenie, jasno oświetlone lampami naftowymi. Twarze siedzących rozjaśniał żółty blask. Byli wśród nich doradcy rodziny Boralevich – sześć osób, *shadchen* – oficjalna swatka, kojarząca małżeństwa między różnymi rodzinami, Walwrojeńscy – rodzice Sendy, którzy na razie siedzieli cicho, wujek Chaim, brat jej ojca, i ciocia Zofia, jego żona, dyskutująca zapamiętane i wysławiająca jej wszystkie zalety jedna po drugiej, w miarę jak Boralevi doszukiwali się wszelkich potencjalnych defektów. W sumie było tam jedenaście osób siedzących w półkolu na trójnogich stołkach. Tylko Rachela i Ewa Boralevi siedziały na krzesłach z oparciami.

Zebranie trwało już ponad dwie godziny, a dyskusja dopiero rozgorzała. Teraz, po ponurym oświadczeniu Ewy Boralevi na temat rodzenia dzieci, nastąpiła przerwa w rozmowie. Ewą była miejscową akuszerką i nikt nie śmiał się z nią spierać w sprawach dotyczących rodzenia dzieci. Żadna rodzina nie chciała być obciążona bezpłodną kobietą.

– Myślę – powiedziała pośpiesznie *shadchen*, czując, że sprawa wymyka się spod jej kontroli – że powinniśmy sobie zrobić przerwę i napić się dobrej, gorącej herbatki.

– Więc teraz mamy zostać na herbatkę – jęknął wujek Chaim. – Jasne, nasza Senda nie jest dość dobra dla jaśnie państwa Boralevi.

– Cii!• – uciszała męża ciocia Zofia. Spojrzała z uśmiechem po kuchni. – Bardzo chętnie napijemy się herbatki.

Babcia Golda odsunęła Sendę od okna i zaprowadziła ją za róg domu, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Muszę zaraz wracać. Powiedziałam, że idę do ubikacji, ale nie mogę być tu z tobą cały czas.

Senda w ciemności pokiwała głową.

– Ale... ale ja nie chcę wyjść na Salomona! – płakała cicho.

– Wiesz o tym, babciu. A oni mnie rozbierają na części jak kawał mięsa! Jeżeli mnie nie chcą, dlaczego tego nie powiedzą otwarcie i nie zostawią mnie w spokoju? – blady księżyc oświetlał słabo jej nieszczęśliwą twarzyczkę.

– To nie o to chodzi, Sendele, i wiesz przecież o tym. Chcą cię.

– Ale ja nie chcę ich! – przerwała gwałtownie Senda. – Ani Salomona, ani nikogo z ich rodziny. – Głośno pociągnęła nosem. – Nie chcę mieć nic wspólnego z żadnym z nich.

– Z żadnym? – dociekliwie spytała babka.

– No, ze Szmaria tak – przyznała Senda głosem, w którym brzmiała tęsknota. – Ale on nie jest taki jak reszta Boralevich.

– Nagle tama puściła i słowa płynęły z jej ust jak potok. – Kocham go, babciu! Och, jak ja go kocham. I on też mnie kocha!

– Wiem, wiem – szepnęła cicho staruszka – ale Szmara w ogóle nie wchodzi w grę. Twoi rodzice nigdy nie pozwoliliby ci wyjść za niego.

Senda zwiesiła głowę.

– Wiem – powiedziała zrezygnowana.

– A jeżeli nie chcesz być nieszczęśliwa, trzymaj się od niego z daleka. – Głos babci Gołdy brzmiał ostrzej. – Wszyscy unikają Szmarii jak ognia i mają rację.

Nawet jego rodzice już umyli ręce. On ma niebezpieczne pomysły. Wspomnisz moje słowa, on źle skończy.

Senda milczała.

– No, nie martw się. – Babcia uśmiechnęła się i ujęła wnuczkę pod brodę. – I bądź tu cicho, żeby nikt się nie zorientował, że podsłuchujesz. Kiedy rozmowy będą się kończyć, biegnij prędko do domu. Nie wypada, żeby ktoś nakrył młodą pannę na podsłuchiwanie. Wiesz, jak by to zmartwiło twoją matkę.

– A czemu mam się tym przejmować? – spytała Senda wrogo. – Mama nie chce tego, co dla mnie najlepsze.

– Senda! – syknęła ostro babka. – Twoja matka cię kocha, wiesz o tym. Chce tego, co najlepsze dla ciebie i dla rodziny. I od ciebie zależy, czy zrobisz to, co jest również najlepsze dla rodziny. – Przerwała i mówiła teraz łagodniej. – Owiń się teraz dokładniej szalem, bo się przeziębisz na śmierć. – Poklepała Sendę po ramieniu i niechętnie poszła do chaty.

Senda wróciła pod okno kuchenne.

– Długo cię nie było – narzekała jej matka, gdy babcia Golda weszła do kuchni Boralevich.

– Myślałam już, że będziemy musieli sprawdzić, co się z tobą stało. Baliśmy się, że cię wilki napadły.

– Mam przeproszać za moje zdrowie? – odparowała staruszka. – Gdybyś miała nieszczęście żyć tak długo jak ja, Estero, też byś miała kłopoty z kiszkaami.

Estera Wałwrojeńska z wrażenia zaniemówiła. Stojąca za oknem Senda nie mogła powstrzymać uśmiešku. Babcia Golda była jedyną osobą, która potrafiła przegadać córkę.

– Proszę, tu jest twoja herbata; Ciepła. – Ciocia Zofia podała babci Gołdzie szklanekę z parującym bursztynowym płynem. Staruszka włożyła do ust kostkę cukru i upiła łyk.

– Dobra herbatka, co? – przypoehlebnie spytała matka Sendy. – Pani Boralevi świetnie parzy herbatę.

– Proszę, to trzeba mieć specjalny talent do parzenia herbaty, co? – mruknęła babka. Na razie negocjacje małżeńskie odbywały się tak, że nie widziała powodu, by się przypoehlebiać Boralevim. Pogryzła cukier jedynym dobrym zębem po prawej stronie, połknęła okruszyny, wypiła łyk herbaty i odstawiła szklanekę. Teraz, po poczęstunku, czas było sprowadzić rozmowę na właściwe tory. – Nu – powiedziała, utkwivszy wzrok w *shadchen*. – Czy mamy się tak gościć całą noc, czy skończyć, co zaczęliśmy? Mamy dużo roboty, a jest wiele rodzin, które dałyby

sobie rękę uciąć za posag naszej Sندی.

Shadchen rzuciła Ewie ostrzegawcze spojrzenie. Było jasne, że Boralevi trochę przesadzili i Senda powoli wymykała im się z rąk. Wzmianka o posagu podziałała. Boralevi mogą mieć wyższy status społeczny, ale Walwrojeńscy byli znacznie lepiej sytuowani. Jeżeli nie będą działać rozważnie, Senda i jej posag przepadną bezpowrotnie.

– Zostawmy posag – wtrąciła ciocia Zofia, oblizując usta.

– Nasza Senda gotuje jak anioł. Oczywiście, nauczyła się od swojej matki i ode mnie. Nie ma lepszej gospodyni w całej wsi niż nasza Senda.

Babcia Golda przystąpiła do walki.

– A czy ja nie byłam chudziutka? A czy nie urodziłam wspaniałej córki? – Wskazała brodą na Esterę. – A czy Estera nie ma pięknej córki, o której właśnie mówimy? Dlaczego mówicie, że Senda nie może mieć dzieci? – Spojrzała na Ewę Boralevi. – Ty sama odbierałaś Sędę, której matka miała tak wąskie biodra jak te, które nazwałaś jałowymi, zapomniałaś już o tym?

Ewa była wyraźnie niezadowolona i Rachela, matka Salomona postanowiła włączyć się do sprawy.

– A czy Senda potrafi prowadzić rachunki domowe?

– spytała słodziutko. – Uczony w Talmudzie to wielki mędrzec, ale nie jest to droga do bogactwa.

– Senda umie się zajmować takimi sprawami – szybko wtrąciła Estera Walwrojeńska. – Sama ją tego uczyłam.

– Ale czy potrafi żyć na łasce innych? – dopytywała się Rachela. – Może jest na to zbyt dumna? Jak już wcześniej powiedziałam, Salomon, wielki uczony, musi żyć na koszt całej wsi. Babcia Golda zręcznie podchwyciła ten wątek.

– Błogosławimy Salomona za te wszystkie godziny, jakie spędza w *shul*, ale taki uczony młodzieniec nie bardzo potrafi zapewnić byt rodzinie, co?

Ewa i Rachela spojrzały na siebie zgorzone. To było bluźnierstwo, żeby podawać w wątpliwość wartość uczonego w piśmie.

Babcia Golda wykorzystała ten moment ciszy.

– Może nasza Senda powinna wyjść za kogoś... lepiej sytuowanego? – zaproponowała, przebierając palcami po skrzyżowanych ramionach.

– Ale dlaczego? – spytała ostrzej poruszona Ewa. – Wszyscy bierzemy udział w utrzymywaniuuczonych. My, Boralevi, nie mniej od innych. Czy myślicie, że jak Salomon się ożeni, przestaniemy go utrzymywać?

Milczenie babci Gołdy było wymowne.

– Zapominacie – wtrąciła bardzo pewnie Rachela Boralevi – że taki uczonej jest zaszczytem dla każdej rodziny – podkreśliła słowo „każdej”.

Babcia Golda popatrzyła na nią przenikliwie.

– Moim zdaniem – stwierdziła jak zwykle praktycznie – Salomon potrzebuje naszej Sedy i jej posagu znacznie bardziej niż ona waszego genialnego uczonego. I oczywiście – dodała, wykładając kawę na ławę – nie wiemy, czy Seda w ogóle chce za niego wyjść, prawda? – Odwróciła się od nich, a złośliwy, triumfujący uśmieszek rozjaśnił jej starą twarz.

Boralevi zamilkli z wrażenia. Żadna szanująca się rodzina nie pozwoliłaby, żeby prawie dziecko brało udział w podejmowaniu tak ważnej decyzji. To było niesłychane. W końcu co może wiedzieć piętnastoletnia dziewczyna? Kiedy negocjacje się rozpoczynały, Boralevi byli pewni, że to oni mają wszystkie atuty. Nie spodziewali się takich poważnych targów ze strony rodziny Sedy. To, co powiedziała babcia Golda, było oczywiście prawdą, ale przyzwoici ludzie takich rzeczy nie mówili, zwłaszcza gdy chodziło o uczonego w Talmudzie.

– Moja matka ma rację – z dumą oświadczyła Estera Walwrojeńska. – Takiego posagu, jaki ma moja córka, nie było w tej wsi od lat. Żadna dziewczyna nie wnosi tyle do małżeństwa. – Pociągnęła nosem i wytarła go. – Seda to wszystko, co mamy. Nawet nasza chata będzie kiedyś jej.

– A nasza będzie Salomona – odparowała Rachela, żeby nie być gorsza. Jej głos i postawa wyrażały oburzenie.

– Pani Boralevi! . – wykrzyknęła ciotka Zofia. – Jak pani może mówić takie rzeczy? Przecież ma pani dwóch synów. Salomon jest młodszy, a tradycyjnie dziedziczy starszy. Przecież nie mogą obaj.

Rachela nagle straciła głowę. Wpadła we własną pułapkę. Przeklinała swoją głupotę. Przez cały wieczór świadomie unikała wszelkich wzmianek o Szmarii. Absolutnie nie podobał jej się kierunek tych rozmów. Role jakoś się odwróciły i silna pozycja, z jaką ona i jej rodzina zaczynali, została podważona.

– Szmara nie nadaje się do życia w małej wiosce – powiedziała słabo, patrząc na swoje ręce złożone na podółku.

– Więc go wydziedziczacie? – sprytnie podchwyciła babcia Golda.

Stojąca za oknem Seda słuchała tych negocjacji z mieszanymi uczuciami zainteresowania i obrzydzenia. Nie znosiła Salomona i absolutnie nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby dzielić z nim życie i łóżko. Z drugiej strony ciekawił ją ponury dramat, rozwijający się na jej oczach. Modliła się gorąco, żeby Salomon nigdy nie był jej mężem, ale z drugiej strony cieszyło ją, że Boralevi tak sromotnie

przegrywali. Jednak kiedy wspomniano Szmarę, wezbrała w niej nienawiść. Jakie oni mają prawo o nim rozmawiać, pytała samą siebie, oburzona. Co oni wiedzą o Szmarii? Tylko ona go zna... tylko ona wie, że występuje przeciw niesprawiedliwości... że próbuje zwalczać ich niewolniczą służalczość i występować przeciwko życiu w antysemityzmie, na które zostali skazani. Był samotnym krytykiem Wolczaka, posiadacza ziemskiego, który wyciskał z nich siódme poty, i cara Mikołaja II, którego niesprawiedliwe prawa na to zezwalały. Salomon krył się ze swoimi księgami, cała wieś chowała głowy w piasek, pogrążona w pracy, i tylko jeden Szmaria miał odwagę o tym mówić.

Tymczasem w kuchni na dźwięk jego imienia zakończono pierwszy etap negocjacji i przystąpiono ochoczo do targowania. Szmaria był czarną owcą w rodzinie Boralevich, więcej, w całej wsi. Wszyscy w izbie wiedzieli, że pogłoski, jakoby Szmaria związał się z bandą anarchistów, były prawdziwe, choć nigdy tego nie udowodniono. Dlatego Salomon miał takie trudności ze znalezieniem odpowiedniej żony. Nawet rabin nie chciał, by jego nieładna córka, Jael, weszła do rodziny zbrukanej takim zbuntowanym synem, chociaż oczywiście nikt głośno o tym nie mówił. Było tylko kwestią czasu, kiedy Szmarę spotka nieszczęście. A kiedy tak się stanie, konsekwencje mogą dotknąć całą rodzinę Boralevich.

– Jeszcze czterdzieści srebrnych rubli – powiedziała twardo Ewa. Skończyły się nagle chytre podchody i gierki salonowe. Teraz targowała się poważnie o posag Sendy. W jej bystrych ciemnych oczach czaiła się chciwość. – Plus skrzynia z wyprawą i te dwadzieścia srebrnych rubli, które obiecywaliście od początku.

– Cztery srebrniaki i ani grosza więcej – burknął ojciec Sendy.

– Piętnaście srebrnych rubli. – Rachela Boralevi świdrowała wzrokiem Walwrojeńskich. – Chcecie, żeby wasza jedynaczka umarła z głodu?

– To może jak zostanie w domu i nie wyjdzie za Salomona, to przynajmniej będzie miała co jeść, nu? – wtrącił gorączkowo wujek Chaim.

– Dziesięć rubli więcej – rzuciła prędko swatka, próbując powrócić do targów. Jak na razie wypuściła negocjacje z rąk i jeżeli pozwoli na dobiecie targu bez swego udziału, może stracić prowizję.

– Pięć rubli więcej – powiedział ostatecznym tonem ojciec Sendy – i obiecany posag.

Rachela Boralevi spojrzała na męża. Przekazali sobie niemy sygnał. Mąż westchnął ciężko i smutno pokiwał głową. Siedział przygarbiony, jakby cierpiał. W końcu wzdrygnął się.

– Siedem srebrnych rubli więcej i kończymy sprawę – powiedział – ale Bóg mi

świadkiem, że moja rodzina na tym ucierpi.

– Więc załatwione – powiedziała szybko matka Sندی.

– Wypijmy toast! – Rachela Boralevi wyprostowała się i oczy jej rozbłysły. – Nie to byle jakie *chazerei*, jakie pijemy na co dzień, tylko to dobre wino, które trzymamy na święta.

Później wszyscy zaczęli mówić naraz. Natychmiast zapomniano o stawianych sobie przed chwilą zarzutach. Nagle wszyscy byli najlepszymi przyjaciółmi.

Stojąca pod domem Senda niepewnie przytrzymała się parapetu i zamknęła oczy. Wydała cichy okrzyk bólu. Czuła się jak sparaliżowana. Cały jej świat rozszarpał się nagle. Chciała umrzeć.

Zakrywając ręką usta człapała do domu, a z oczu kapały jej łzy. Gdy doszła do swojej chaty na skraju wsi, wbiegła przez furtkę i drzwi frontowe, wpadła do maleńkiej sypialni, którą dzieliła z babką, i zatrzęsła drzwi z taką siłą, że cała chałupa się zatrzęsała. Rzuciła się na wąskie łóżko i siedziała tam nieruchomo, objawszy się rękami, jakby chcąc się obronić przed śmiertelnym ciosem. Głowa opadła jej na piersi, a twarz pokrywały strumienie łez. Nie podniosła nawet głowy, gdy usłyszała, że jej rodzice, ciocia Zofia, wujek Chaim i babcia Golda wrócili nareszcie od Boralevich. Normalnie wybiegłaby im naprzeciw i uściskała, ale dzisiaj nie przejęłaby się, gdyby już nigdy więcej nie miała ich zobaczyć. Oczywiście z wyjątkiem babci Gołdy. Nawet do końca życia. Nie po tym, co jej zrobili, targując się i z zimną krwią pakując ją w małżeństwo, którego nie chciała z całej duszy i z całego serca.

Usłyszała przesuwanie krzeseł. W kuchni wszyscy mówili jednocześnie, słyszała strzępy rozmów, a później brzęk butelki i kieliszków, gdy nalewano cenne świąteczne wino, by uczcić zakończenie negocjacji.

– Co za ulga! – wykrzyknęła matka Sندی. – Przez chwilę myślałam, że dostanę tam ataku serca! – Teraz, gdy było już po wszystkim, pozwoliła sobie na śmiech.

– Zachowałeś się wspaniale, jak zwykle – przyznał jej lojalnie mąż.

– Chyba tak, prawda? – Matka wydawała się bardzo zadowolona. – Wyobraźcie sobie: my, Walwrojeńscy, będziemy skoligaceni z rodziną Boralevi! I Salomon, taki uczony w Talmudzie! Co za zaszczyt!

– Tak, wspaniały młodzieniec – zgodziła się ochoczo ciocia Zofia. – Dobra partia. Nie to, co ten jego brat nicpoń.

– Przez moment myślałem – wtrącił wujek Chaim – że wszystko przepadło.

– I przepadłoby – gniewnie odparowała ciocia Zofia – gdybym pozwoliła ci się

wycofać, jak straszyles! Naprawdę, w co ty nas zawsze pakujesz, Chaim! Dzięki Bogu, że ja miałam na tyle przytomności i delikatności, żeby to załagodzić. Gdyby nie ja, biedna Senda byłaby niezameżna!

Ja się w ogóle nie liczę, pomyślała ze złością Senda, słuchając dochodzących do jej pokoju głosów. Oni tam siedzą i gratulują sobie, że znaleźli dla mnie taką świetną partię. Do diabła ze świadkami i tradycją, to wam powiem! Nie zniosę, żeby się o mnie targować jak o kawałek mięsa! Nie będę barankiem ofiarnym awansu społecznego mojej matki!

Jej oczy znów wypełniły się łzami. Rzuciła się twarzą na łóżko, bezgłośnie łkając w poduszkę, rozpaczając nad tą niesprawiedliwością. Zatkala uszy rękoma, by nie słyszeć dochodzących z kuchni głosów, ale udało jej się tylko je przytłumić.

– L'Chaim! – zabrzmiał wyraźnie głos ojca.

– L'Chaim! – odpowiedział mu chórek. Zadźwięczały kieliszki i wypito toast.

– O, dobre wino – powiedział wujek Chaim z westchnieniem zadowolenia. – Lepsze niż u Boralevich.

Babcia Golda obserwowała, jak wszyscy odchylają głowy, by łyknąć wina, a twarze ich wydawały jej się różowe od blasku ciemnoczerwonego płynu. Spojrzała na swój nietknięty kieliszek. Teraz inni patrzyli na nią.

– Powinniście pomyśleć o tym, żeby zaprosić Sendę na ten, toast – powiedziała cicho.

Matka Senty, siedząca obok męża, uśmiechnęła się niewyraźnie. Teraz, gdy rozmowy się zakończyły, poczuła ulgę, a wino uderzyło jej do głowy.

– Nie sądzę, żeby to Sendę zainteresowało. Co ona ma do tego? – powiedziała.

– To jej życie – przypomniała córce babcia Golda. – To ona będzie musiała żyć z Salomonem Boralevi.

Matka Senty wyczuła ostry ton w jej głosie.

– Ale dostaje takiego wspaniałego młodzieńca – odpowiedziała bez wahania. – Ma szczęście.

– Pewnie, że tak – zawtórowała jej ciocia Zofia. – Powinna Bogu dziękować. Nie każda dziewczyna może złapać takiego uczonego. I taki zaszczyt.

Babcia Golda popatrzyła najpierw na swoją synową Zofię, później na córkę Esterę. To było niewiarygodne. Małżeństwo powinno się budować na solidnych podstawach, a czy miłość nie była ich częścią? Czy oni wszyscy o tym zapomnieli? A czy Senda nie wyrażała się jasno na temat swoich uczuć do Salomona? Oczywiście, ale nikt nie chciał tego słuchać.

– Senda nie kocha Salomona – stwierdziła cicho, stawiając swe nietknięte wino

na kuchennym stole. – Czy nikt z was o tym nie pomyślał?

Estera machnęła ręką poirytowana.

– Więc go pokocha z czasem – powiedziała prędko. – Miłość musi się rozwinąć. Na początku jest tak samo, jak było z nami... wszystkimi. – Spojrzała na męża. – Miłość rodzi się z obowiązku.

– Więc to wszystko, co masz do powiedzenia?

Matka Senda pokiwała głową z głębokim przekonaniem.

– To nasza ostateczna decyzja. Uroczystości ślubne odbędą się, tak jak planowaliśmy, w przyszłym miesiącu.

Później, gdy w chacie było już cicho, babcia Golda poczłapała do małego pokoiku, który dzieliła z Sendą. Okno było otwarte, a firanki drżały od chłodnego nocnego powietrza. Popatrzyła na wnuczkę. Dziewczyna leżała przykryta, twarzą do ściany. Oddychała regularnie, jakby spała, ale babka wiedziała, że udaje.

– Sendele, wiem, że nie śpisz.

Usłyszała łkanie. Siadła na brzegu wąskiego łóżka wnuczki.

– To jeszcze nie koniec świata, dziecko – pocieszała ją delikatnie.

Senda nie obróciła się, tylko wymamrotała głucho:

– Właśnie że tak.

Babka westchnęła ciężko.

– Proszę, Sendele, posłuchaj, co ci chcę powiedzieć.

Senda posłusznie usiadła i spojrzała na babkę.

– Tak lepiej – powiedziała starszka, starannie dobierając słowa. – Gzy ci się to podoba, czy nie, musisz kilka rzeczy w życiu zrozumieć i przyjąć. Masz prawie szesnaście lat, nie jesteś już dzieckiem. Jesteś kobietą, a nasz los to ciężko pracować i być posłuszną.

– I cierpieć w małżeństwie z kimś obrzydliwym?

– Nie bądź taka uparta – szepnęła babka. Potrząsnęła głową. – Może i jesteś kobietą, ale w wielu sprawach jeszcze dzieckiem.

– Naprawdę?

Nawet w ciemności babka poczuła palący wzrok wnuczki.

– Nie, nie jesteś – przyznała w końcu. – Ale musisz przejść przez to małżeństwo niezależnie od tego, jak okropne ci się ono wydaje. Gdybyś tego nie zrobiła, złamałabyś serce swoim rodzicom. Taki wstyd! Nie przeżyliby tego.

– Ale ja muszę? – odparowała cicho Senda. – To ja mam z nim żyć. Ja mam urodzić Salomonowi dzieci – przerwała. – Babciu... – zaczęła z ociąganiem.

Golda wyciągnęła ręce i objęła wnuczkę.

– Co, dziecko?

Tama wreszcie pękła i słowa popłynęły z ust Sendy. Łkała cicho na ciepłej, obfitej piersi babki.

– To nie Salomona kocham – wciąż płakała – tylko jego brata, Szmarie. Co mam zrobić? Nie mogę żyć bez Szmarii!

– Nie wolno ci mówić takich rzeczy! Musisz wybić go sobie z głowy, rozumiesz?

– Ale jak mam to zrobić? Przecież go kocham, a on kocha mnie.

– Musisz! – nalegała babka. – To grzech tak myśleć o bracie swojego narzeczonego!

Senda milczała.

– Obiecuj mi! – Głos babki brzmiał ostrzej niż kiedykolwiek. – Nigdy więcej nie wolno ci o nim mówić! Musisz go na zawsze wyrzucić z pamięci!

Oczy Sendy były matowe jak otaczająca je ciemność. Babka potrząsnęła nią.

– Obiecuj mi! – syknęła, wpijając palce w ramię Sendy. Dziewczyna wzdrygnęła się.

– Jeżeli się tak upierasz – mruknęła bez przekonania.

– Obiecuj mi!

– Obiecuję.

Golda odetchnęła z ulgą. Później wzięła swą jedyną wnuczkę • w ramiona i kołysała ją, jakby była maleńkim dzieckiem. Ona też płakała, ale nie z powodu utraconej mądrości. Wiedziała, że zmuszając Sendę do małżeństwa z Salomonem, zdradziła swą wnuczkę, osobę, którą kochała najbardziej na świecie.

– Zobaczysz – szeptała pocieszająco – wszystko się dobrze ułoży.

Senda ostrożnie wysunęła się z objęć babki.

– Małżeństwo to... tyle różnych spraw.

– Musisz tylko wykonywać swoje obowiązki.

~ Ale będę musiała... no, wiesz, noce...

– To przyjdzie naturalnie – zdecydowanie powiedziała Golda – Teraz będziesz się martwiła swoimi małżeńskimi obowiązkami? Z czasem przyzwyczaisz się do nich.

Ale Senda nie przyzwyczała się nigdy.

W noc poślubną, gdy Salomon ostrożnie zdjął świąteczne ubranie, starannie składając na krzesło każdą część garderoby, Sendę ogarnęło obrzydzenie. Odwróciła się od niego, bo jego nagość budziła w niej jeszcze większy wstręt. Niedobrze jej się robiło na widok jego gęstej brody i jeszcze gęstszych włosów na

skórze. Jego blade, chude ciało i cienki, sztywny członek tyły ohydne. Kiedy nagi wślizgnął się pod kołdrę obok niej, leżała sztywno, nieruchoma jak skała.

– Dobranoc, Salomonie – powiedziała w końcu zdecydowanie, podciągając kołdrę pod brodę.

Jego ręce pod kołdrą poruszyły się.

– Kocham cię, Senda – powiedział miękko.

– Jestem zmęczona – padła odpowiedź. Miała ochotę wyskoczyć z łóżka i pobiec we flanelowej nocnej koszuli wprost do domu, do swego łóżka w pokoiku, który dzieliła z babką. Wiedziała jednak, że nie odważy się tego zrobić. Honor i obowiązek nakazywały jej dzielić życie i łożę Salomona. Wszystko inne było nie do pomyslenia.

Wzdrygnęła się, gdy poczuła na karku jego niezdarny, wilgotny pocałunek.

– Ja... nie czuję się dobrze – tłumaczyła, walcząc z ogarniającymi ją mdłościami. – Może to od wina albo od tańczenia...

– Nie kochasz mnie? – W głosie Salomona brzmiała uraza. Przysunął się bliżej, aż Senda poczuła na pośladkach jego wilgotny członek.

– Oczywiście, że cię kocham, Salomonie – powiedziała zrezygnowana. Czowała na sobie jego przenikliwe spojrzenie i rada była, że odwróciła się od niego, a jej gęste, miedziane włosy osłaniały ją jak welon. Czowała się dzięki temu bezpieczniej, a on przynajmniej nie widział obrzydzenia na jej twarzy.

– Czy coś ci jest? – dopytywał się.

– Nic takiego, czego nie mógłby uleczyć sen – skłamała. – A teraz, proszę, zgaś lampę i pozwól mi spać. Może jutro...

Ale gdy nadeszło jutro, znalazła inną wymówkę, a następnej nocy znów inną. Jedno jutro przechodziło w następne, póki Salomon nie zrezygnował zupełnie.

– Wiele kobiet tego nie lubi – powiedział mu ojciec – ale z czasem im przechodzi.

Senda jednak nigdy nie odwzajemniła namiętności Salomona. Objawiała ją za to na polance ze Szmaria, odkrywając przed nim to, czego nigdy nie odważyła się odkryć przed jego bratem, a swoim mężem. Odkrywała przed nim pełne piersi, zakończone sterczącymi truskaweczkami, i delikatnie umięśniony brzusek. Odkrywała przed nim smukłe biodra i miedziane loczki, skrywające to, co było samą kobiecością. To obrzmiały członek Szmarii, a nie Salomona powodował, że czuła się spełniona i kochana.

Dlatego właśnie z zapartym tchem czekała znów na niego na polance w brzozowym lesie i krew się w niej burzyła. Wyobrażała sobie jego silne ciało, jego

usta szukające jej ust, piersi i dalej, między udami, aż znów będzie błagała, żeby w nią wszedł. Boże, mogła się z nim kochać wciąż i wciąż, i nigdy nie miała dosyć tych skradzionych chwil, które mogli spędzać razem.

Trzask złamanej gałązki wyrwał ją z zamyślenia. Siadła wyprostowana, a błyszczące szmaragdowe oczy poszukiwały go między drzewami.

– Szmaria! – zawołała cicho, a serce waliło jej z niecierpliwości. – Szmaria, jestem tutaj. Na miłość boską, co ci się stało?

Przyłożyła rękę do piersi i oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki. Na przeraźliwie długą chwilę serce jej zamarło, a później zaczęło walić.

Szmaria nic nie mówił. Szedł w jej kierunku z wyciągniętymi rękami zataczając się jak pijany, ale wiedziała z pewnością, że to nie z powodu alkoholu. Coś mu się stało. O Boże, miał rozcięte czoło i krwawił. Krzyknęła.

Zmusiła się, żeby wstać i podbiec do niego prędko. Złapała go pod pachy i posadziła, oparłszy mu głowę o pień brzozy.

– Nie martw się – dyszał. – Spadłem. Z konia. Nic takiego.

– Nie mów nic, odpocznij – nakazała mu w pośpiechu, biegnąc do źródła. Gdy dobiegła, zdjęła swą cenną czerwoną chustę, uklękła i namoczyła ją w lodowatej wodzie. Zwineła luźno chustę i gdy wracała pośpiesznie do Szmarii, woda kapiała na jej obszerną spódnicę. Przykucnęła przy nim, delikatnie zmywając ranę. Krople wody wpadły mu za kołnierz.

Siedział bez ruchu, z zamkniętymi oczami, wyciągnąwszy przed siebie długie nogi o mocnych udach. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był jej rówieśnikiem. Podziwiała jego piękne rysy nawet teraz, gdy zakrywała je częściowo zakrzepła krew, a złociste włosy były w nieładzie. Był mocno zbudowany, ale nie miał na sobie ani grama zbędnego tłuszczu. Miał zdrową twarz człowieka spędzającego większość czasu na świeżym powietrzu. Był tak niezwykle przystojny z pełnymi, naturalnie czerwonymi ustami i niebieskoszafirowymi oczami, w których malowała się lekka kpina, i zawsze gładko ogoloną, śmiało wysuniętą brodą.

Po kilku minutach jego twarz była czysta. Usiadła znów na piętach.

– No – odetchnęła, ale miała minę, jakby chciała go zaatakować za to, że ją tak przestraszył. Powiedziała jednak łagodnie. – Dzięki Bogu, to tylko powierzchowna rana.

– Zamilkła na chwilę, marszcząc brwi. – Szmaria, coś ty znowu zrobił, na miłość boską?

Uniósł głowę i wytrzymał jej ostre spojrzenie, choć na jego twarzy malował się

niewypowiedziany ból. Westchnął głęboko, jak gdyby na jego barkach spoczywały losy całego świata, oparł znów głowę o pień młodej brzozy, przymknął oczy i zaczął płakać. Bezgłośnie, po prostu łzy ciekły mu po policzkach.

– Szmaria! – szepnęła. Bardziej przeraziły ją jego łzy niż moment, w którym zobaczyła jego ranę. Płacz był do niego niepodobny. Widziała, jak potrafił zacisnąć zęby i wytrzymać ból, gdy poważnie się kiedyś zranił, rąbiąc drzewo.

– Szmaria!

Nie odezwał się i w panującej ciszy dał się słyszeć daleki odgłos końskich kopyt. Z początku odległy i przytłumiony, stawał się coraz głośniejszy, jakby mnóstwo koni galopowało w ich stronę.

Szmaria zeszywniał i nagle otworzył oczy. Otarł łzy wierzchem dłoni, niepewnie stanął na nogi i szybko pokuśtykał na skraj polany, skąd roztaczał się piękny widok na leżącą w dole wioskę. Nagle zwrócił się do niej.

– Musimy ich ostrzec – powiedział ponuro.

– Ostrzec kogo? Przed czym? – Patrzyła na niego oczami szeroko rozwartymi z przerażenia.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Prędko! Musimy się dostać do wsi. – Bez słowa ruszył w dół, poprzez las.

Chwilę patrzyła za nim, niezdecydowana, z rękami na biodrach. Czego się obawiał? Jakiego niebezpieczeństwa wyczuwał? Wpatrywała się w las. Gałęzie brzoź nad jej głową lekko drżały i szumiały w chłodnym wiatku, śpiewały ptaki. Czuła wokół siebie świeżość wiosny, kojącą wilgoć mchu pod stopami. Wszystko zdawało się krystalicznie czyste, jakby wyostrzyły się wszystkie zmysły. Wiedziała, że coś, co nie dawało się nazwać ani zobaczyć, zaczęło im nagle zagrażać.

W końcu dogoniła Szmarie, ale wyścig ten nie miał słodczy zabawy. Gdy zaczęli biec, ona była wypoczęta, a on skonany. I chociaż wystartował w dobrym tempie, czuła, że powoli traci siły.

Biegła teraz obok niego, piersi jej falowały, serce waliło. Czuła, jakby jej płuca płonęły z wysiłku. Z trudem oddychała, nogi stawały się coraz cięższe, jak obciążone ołowiem. Jednak udawało jej się dotrzymać mu kroku. Jeśli on w tym stanie może dalej biec, to i ja wytrzymam. Spojrzała na niego kątem oka. Na twarzy Szmarii malowała się determinacja.

– Szmaria – wysapała w końcu. – Nie mogę. Nie mogę już biec. Muszę odpocząć. Ty też.

– Nie. – Oddech miał krótki, ale równy, by zachować resztkę sił. – Muszę

dobiec. – Słowa były krótkie, urywane, wypowiedane w rytm oddechu.

– Ale dlaczego? Powiedz mi! Dlaczego?

– Konie.

– No to co? Nie pierwszy raz. Konie galopują. Cały czas.

– Nie tak... Nie tak dużo... – Zaciśnął pięści, jakby sam chciał się popędzić. Głowę unióśł do góry, przymknął oczy. – Pogrom.

– Co!?

Mimo rozgrzania biegiem poczuła, jak na dźwięk tego słowa zastyga w niej krew. Które żydowskie dziecko w Rosji nie znało znaczenia słowa „pogrom”? Usankcjonowana śmierć. Rzeź niewinnych. Wszystko z powodu pochodzenia, na które nie mieli wpływu.

– Nie, niemożliwe. – Łzy napłynęły jej do oczu. Nie chciała w to uwierzyć. Pogromy należały do przeszłości. – Nie było – chwyciła oddech – od lat. Dlaczego teraz?

– Pogrom – uparcie powtarzał Szmaria.

– Ale dlaczego? Z jakiego powodu... – zamilkła. Głupia! Każdy wiedział, że nie musiało być powodu. To, że ktoś był Żydem, wystarczało.

– Dom Wolczaka. Ktoś go podпалиł. Próbowałem powstrzymać. Za późno.

A więc był powód. Spojrzała spod oka, przyglądając się teraz Szmarii, a nie drodze pod nogami. Nagle krzyknęła, stąpawszy na leżącą gałąź. Upadła twarzą w dół i czuła, jak powietrze ulatuje jej z płuc. Oszołomiona, uniosła głowę. Potrząsnęła nią, chcąc otrzeźwieć. Jęknęła. Szmaria nie zatrzymał się, by jej pomóc. Nawet się nie obejrzał.

O Boże! Stłumiła łkanie, wstała i spróbowała zrobić kilka ostrożnych kroków. Łzy płynęły jej z oczu. Upadając, skrzyła nogę w kostce i ból promieniował już prawie do kolana. Usiłowała nie krzyczeć, gdy kuśtykała za nim. Była na siebie wściekła. Szmaria niedługo dotrze do skraju lasu. Była daleko za nim, a wszystko przez głupią, skręconą kostkę. Jeśli się nie pośpieszy, będzie za późno. Wzięła głęboki oddech. Nie pozwoli, żeby zatrzymał ją ból, jeżeli to, czego obawiał się Szmaria, było prawdą. Cóż znaczyło jej cierpienie w porównaniu z życiem tylu ludzi?

Zaczęła biec, starając się zapomnieć o ogniu przeszywającym jej nogę. Nie mogę myśleć o bólu, powtarzała sobie. To nic w porównaniu z... z pogromem.

Przyśpieszyła, włosy powiewały jej na wietrze. Prawie doganiała Szmarie i widziała, że jest blisko skraju lasu. Tętent stawał się coraz głośniejszy, grzmiał basem poruszającym ziemię. Zmusiła się do ostatecznego wysiłku, tak jak

Szmaria, lecz gdy już dobiegała do skraju lasu, on instynktownie się zatrzymał. Chciała już przebiec obok niego, lecz on wysunął rękę, zatrzymując ją tak gwałtownie, że upadła. Łądując na ziemi krzyknęła trochę z bólu, a trochę ze złości.

– Co, do...

Szmaria padł na ziemię, zatykając jej usta ręką.

Kozacy przemknęli obok nich, połyskując złowrogo szablami i karabinami. Na zziąpanych rumakach błyszczały kropelki potu, a silne kopyta wznosiły tumany kurzu. Byli bardzo blisko, ale gęste zarośla dokładnie skryły Sendę i Szmarie, a jednocześnie pozwoliły im widzieć z góry wioskę.

Ze Szmarii jakby uleciało życie. Wykrzywioną twarz ukrył w dłoniach.

– Za późno – płakał cicho.

Gdy tak patrzyli, przerażeni, rozpoczęła się rzeź. Nagle rozwarły się wrota piekieł, wypuszczając na ziemię uwolnione diabły i demony. Kozacy w dłoniach osłoniętych czarnymi skórzanymi rękawicami trzymali baty, strzelby i szable. Olbrzymie futrzane czapy zasłaniały im brwi. Podzielili się na grupy rozpoczynając na skrajach wsi i torując sobie krwawe ścieżki do środka. To, co wydarzyło się później, nie było bitwą. Było po prostu masakrą – systematycznym zarzynaniem spokojnych, nie uzbrojonych wieśniaków przez horde bezwzględnych, żądnych krwi dzikusów.

Pierwszymi ofiarami byli Gilda Mejerów i jej dzieci. Gdy nadjechali Kozacy, Gilda wybiegła z chaty, zabrała troje swych dzieci bawiących się przed domem i zagoniła do pozornie bezpiecznego wnętrza, zamykając drzwi na zasuwę. Gdy podpalono chatę, Gilda z dziećmi wyskoczyła. Wszyscy krztusili się i kaszleli. Dzieci zastrzelono, a Gilda Mejerów, zastygła w przerażeniu, nawet nie zauważyła ruchu szabli, która odcięła jej głowę. Makabryczna piłka przeleciała w powietrzu, spadła na ziemię, odbiła się dwa razy i potoczyła.

Spokojna wioska zamieniła się w morze krwi. Nikogo ani niczego nie oszczędzono. Senda słyszała kiedyś o pogromach, ale były to zawsze odległe historie – coś, co zdarzyło się innym. Nie była przygotowana na okrucieństwo rzeczywistości. Widziała, jak strzelono jej ojcu w piersi. Osunął się na ziemię, a gdy krzycząca matka rzuciła się na jego martwe ciało i tuliła głowę męża, przejeżdżający Kozak nachylił się i szablą przeciął ją wzdłuż. Kozacy byli we wsi zaledwie kilka minut, lecz Sendzie wydawało się, że trwało to całe życie. Gdzie spojrzała, miała przed oczami jakiś niewyobrażalny horror.

Zobaczyła, jak z jednej z płonących chat wybiegła przerażona kobieta,

uciekając w kierunku szopy, stojącej między jej chatą a lasem. Dwaj Kozacy przecięli jej drogę, zataczając coraz mniejsze kręgi wokół niej, aż upadła i stratowały ją podkute żelazem kopyta. Senda przymknęła oczy. Poznała Hannę Jaffa, która mieszkała w chacie obok nich i świetnie gotowała. Zawsze, gdy coś upiekła, zanosila sąsiadom kawałek ciasta. Kiedy ktoś zachorował, przynosiła rosół z kurczaka. Nigdy już nie będzie gotowała ani piekła. Zatroscyli się o to Kozacy.

Senda zrozpaczona patrzyła, jak Salomon, jej niekochany mąż, bohatersko próbował uratować świętą księgę Tory z synagogi. Gdy wybiegł ze świątyni ze zwojami pod pachą, śmignął w niego bat kozacki, omotując dokładnie i jego, i zwoje. Salomon unieruchomiony patrzył w niebo, a banda Kozaków waliła batami, rozszarpując na strzępy jego i księgi. Sendę ogarnęła głęboka rozpacz. Jednak nie był tchórzem. Zginął bohatersko, a jej zrobiło się wstyd, że tak go traktowała.

Ale wkrótce oczom jej ukazał się jeszcze straszniejszy widok. Jej ukochana babcia Golda, z białymi włosami związanymi z tyłu, w kapciach bez pięt, jakie nosiła w domu, w zwisających wokół kostek za dużych pończochach, szła przez kłęby dymu snujące się po jedynej drodze przecinającej wioskę. Zmrużyła oczy w ponurym zacięciu. Dokoła trwała sprawna, z zimną krwią zaplanowana jatka, ale ona nie zwolniła kroku. Nie miała zamiaru poddać się śmierci bez walki. Dwa razy w życiu, raz z powodu chorej wątroby, a raz serca, wymknęła się grabarzowi spod łopaty i nie chciała, żeby teraz załatwili to Kozacy. W każdym razie nie bez walki. Nie zatrzymując się szła z wyciągniętym w górę kuchennym nożem w stronę najbliższego Kozaka na koniu. Nim do niego doszła, roześmiał się drwiąco, później ściągnął wodze, koń uniósł nogi w górę, a kiedy opadł, jego kopyta zmiażdżyły babcię Goldę tak jak inne Hannę Jaffa.

Senda nie mogła już tego znieść. Była chora, widząc diabelską uciechę, z jaką Kozacy mordowali jej bliskich. I wtedy nagle pojawiła się okazja, by pomóc choć jednej osobie.

Mimo swej postury ciocia Zofia uniknęła trzech ciosów szablą, a teraz biegła szybko w kierunku krzaków, w których schowali się Senda i Szmara. Biegła bez tchu, wyciągnawszy grube ramiona przed siebie, jakby się spodziewała, że sięgną po nią jakieś niewidzialne ręce. Gdy zauważyła Sendę rozsuwającą krzaki, w jej oczach pojawiła się nadzieja.

– Prędko! – zawołała Senda, by jej dodać otuchy. Serce jej waliło jak młotem.
– Prędko, ciociu! – Modliła się, w miarę jak zmniejszała się odległość między nimi. – Spiesz się!

W tym momencie Kozak przeciął ciotce drogę i wycelował z karabinu. Senda krzyknęła słysząc strzał. Ciało ciotki Zofii podskoczyło do góry, głowa opadła do tyłu. Ze strzaskanej twarzy rozprysnęły się wokół strzępki mózgu, kości i krwi. Senda poczuła na twarzy i rękach ciepłe krople.

Zacisnęła powieki, zbyt przerażona, by krzyknąć. Bezwolnie pozwoliła Szmarii wciągnąć się w bezpieczne schronienie krzaków. Przez kilka minut leżała w szoku, aż usłyszała, jak Szmaria klnie. Odwróciła się do niego i otworzyła oczy.

– Co takiego? – spytała drżącym głosem, bojąc się odpowiedzi. Nagle zaczęła się bać tylu rzeczy.

Twarz Szmarii przeszła metamorfozę. O ile przedtem malowała się na niej boleść, teraz płonęła cicha nienawiść.

– Szmaria...

– To nie są tylko Kozacy – mruknął ponuro. – W każdym razie jeden z nich na pewno nim nie jest.

– Co!?

– Sama zobacz – szepnął. – To poborca. Tam, na koniu.

Senda ostrożnie rozsunała krzaki i wyjrzała. Dotąd nie zauważyła poborca podatkowego. Całą jej uwagę pochłaniała masakra, a poborca był gdzieś z boku, na koniu znacznie gorszym od kozackich. Nie patrzył na rzeź, jak gdyby ten fakt uwalniał go od wszelkiej odpowiedzialności. Dopiero gdy Kozacy skończyli i wszystkie chałupy płonęły, dowódca wrzasnął na poborcę. Ten nie zwlekał ani chwili, gdyż potężny, niedźwiedziowaty Kozak nawet w nim budził respekt. Dowódca miał wściekłą minę, groźne wąsy, gęstą czarną brodę i okrutne oczy.

Podczas masakry zgubił gdzieś swą czarną baranią czapę i jego błyszcząca, łysa czaszka, podobnie jak długa biała blizna, przecinająca lewą część twarzy od brwi do ust, przerażały wszystkich.

Senda zwróciła się do Szmarii.

– Ale co ten poborca tu robi? Nie ma nic do zabrania. Już nigdy – głos jej się załamał.

– Tak, ale on zna wszystkich we wsi.

Senda obserwowała poborcę podatkowego. Zakończywszy rozmowę z dowódcą Kozaków zsunął się z konia i wędrował między trupami. Zmarszczyła brwi widząc, że sprawdza Coś w papierach i robi notatki przechodząc koło każdej z ofiar.

– Sprawdza umarłych z jakąś listą!

– Nie widzisz? – syknął Szmaria. – Poborca zna każdego mężczyznę, każdą

kobietę, każde dziecko, nawet niemowlę. Na jego liście są wszyscy. Teraz przeprowadza inwentaryzację zabitych.

Senda ze zdumieniem kręciła głową.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem. Jeżeli wszystkich wyróżnili...

– Żeby się upewnić, że wykończyli wszystkich – powiedział Szmara ponuro. – Nie rozumiesz? Wszyscy mają być zabici. Każdy mężczyzna i kobieta, każde dziecko z tej wsi. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Każdy! To zaplanowano z zimną krwią!

– To znaczy... – Senda z trudem łapała powietrze – ... kiedy zorientują się, że nas nie ma...

– Najpierw drani zabiję! – ryknął Szmara. Skoczył na równe nogi i zacisnął pięści.

Senda przywarła do jego nóg i ściągnęła go w dół, żeby nie zauważyli go Kozacy.

– Nie, Szmara – powiedziała miękko. – Nie zrobisz tego. To oni zabijają ciebie.

– No to co? – odparł z goryczą. – Wszyscy inni nie żyją, czemu ja nie mam też umrzeć?

– Wiesz dlaczego? – szepnęła, potrząsając nim z furją. – Powiem ci. Jeżeli my też umrzemy, nikt się nigdy nie dowie, co tu się wydarzyło. Musimy żyć, żeby o tym opowiadać. Poza tym, jeśli umrzemy, kto będzie opłakiwał zmarłych?

Zwiesił ręce. . . – . – Chyba masz rację – mruknął.

Później objął ją i przyłgnęli do siebie, spragnieni choć wątlej pociechy. Senda znów poczuła, że wyostrzyły jej się zmysły, ale tym razem nie czuła świeżej wilgotnej ziemi ani nie słyszała śpiewu ptaków. Wszystko zamilkło. Jej zmysły zaatakowała woń krwi, niemal czuła jej metaliczny smak w ustach. W powietrzu wisiała śmierć. W niebo wznosiły się kłęby tłustego, czarnego dymu. Wkrótce po wsi nie będzie śladu, poza kupkami popiołu i spalonej ziemi.

Dowódca Kozaków przebił się na koniu przez ścianę dymu i spojrzał z ponurą satysfakcją.

– No – warknął do poborcy, który skończył zestawienie. – Czy wszyscy Żydzi dostali to, na co zasłużyli? Wszystko się zgadza?

Senda wstrzymała oddech, czekając na wyrok śmierci. Był to najważniejszy moment. Wiedziała, że jeśli Kozacy dowiedzą się o ich ucieczce, będą przeszukiwać cały teren tak długo, aż ich znajdą i zabiją.

Poborca sprawdził swój spis i spojrzał tępo dokoła. Był zupełnie zdruzgotany tą rzezią. Gardło miał ściśnięte, twarz trupio bladą. Nagle odwrócił się i

zwymiotował. Potem otarł usta ręką i spojrzał na Kozaka. Słabo pokiwał głową.

– Wszyscy załatwieni.

Dopiero gdy Kozak odwrócił się, skreślił dwa nazwiska na swej liście. A więc dość było śmierci. Nawet dla niego.

Senda odetchnęła z ulgą.

Kozacy ustawili się w szyku, poborca wsiadł na konia, a dowódca wysoko uniósł szablę. Po chwili ją opuścił, dając sygnał do odjazdu. Szable już nie błyszczały. Były matowo-brązowe od zastygłej krwi.

Najazd skończył się równie szybko i hałaśliwie, jak się zaczął.

Gdy ucichł tętent kopyt, Senda poczuła, że Szmaria ściska jej ramię.

– No, dobrze – powiedział znużonym głosem – chodźmy.

– Dokąd?

– Wszystko jedno, byle dalej stąd.

Potrząsnęła głową.

– Nie możemy – powiedziała – musimy pogrzebać i pożegnać zmarłych.

– Nie. Musimy zostawić wszystko tak, jak jest. Jeżeli wrócą i zobaczą, że ktoś... – Głos mu zadrżał i zawisła nad nimi nie dokończona groźba.

Senda zagryzła wargi. W końcu skinęła głową. Miał rację. Jeżeli pogrzebaliby czy spalili umarłych, wówczas Wolczak i jego Kozacy wiedzieliby, że jacyś mieszkańcy wioski uszli z życiem. Choć pozostawienie zwłok najbliższych bez pochówku przepęłniało serce Senty dodatkowym bólem, była to jedyna szansa na ocalenie. Na ciemniejszym niebie pojawił się jakiś cień. Spojrzała w górę i zadrżała: krażyło tam stado czarnych ptaszydeł, zwabionych perspektywą uczyty.

Kiwnęła głową na Szmarę. W oczach miała łzy, ale na jej twarzy pojawiła się jakaś twardość i siła, których nigdy tam nie było.

– Chodźmy – powiedziała cicho. Nie odwróciła się ani razu.

Książę Wasilij Daniłow rozsiadł się wygodnie na pluszowym siedzeniu swego powoziku. Był to jeden z czterdziestu powozów, jakie posiadał w samym tylko St. Petersburgu, a jeden z siedmiu, jakie kazał przerobić na sanie. Powóz sunął więc teraz gładko po zbitym śniegu i lodzie na wypolerowanych połączanych płozach i kołysał się łagodnie na dobrze sprzężynujących resorach. Powozik ten, ze złotym herbem Daniłowów po obu stronach, ciągniony był przez sześć wspaniale dopasowanych czarnych koni. Dla zapewnienia Jego Wysokości spokoju i oddzielenia od ciekawskich spojrzeń pospólstwa, zamknięte okna zasłonięte były brokatowymi zasłonkami. Późne popołudnie przeszło w wieczór, a lodowaty

bałtycki wiatr hulał po mieście, smagając bezlitośnie każdego nieszczęśnika, który nie znajdował się pod dachem. Lecz książę Wasilij, w przeciwieństwie do swego stangreta i lokaja wystawionych na chłód, był dobrze zabezpieczony przed rosyjską zimą: ciepło ubrany, owinięty w niedźwiedzią skórę, a małe węglowe piecyki, wbudowane w ścianki powozu, dawały miłe uczucie ciepła. Zrobiony na zamówienie srebrny podróżny samowar z gorącą wodą przymocowany był na wąskiej półeczce za siedzeniem, na której znajdowały się również kryształowe karafki z wódką i kwasem oraz szklanki z herbem Daniłowów.

Książę Wasilij był najszcześliwszy, kiedy jechał w jednym ze swych licznych powozów lub konno. Połowę przyjemności z podróży stanowił dla niego sposób przemieszczania się, gdyż uważał, że nie ma nic bardziej eleganckiego, czarującego i typowo rosyjskiego niż pojazdy ciągnięte przez konie. Nie szkodzi, że jedno ze skrzydeł olbrzymiego pałacu nad Nową zostało ostatnio przerobione, by pomieścić kolekcję samochodów. Był to pomysł jego żony, a on szanował jej życzenia. Księżna Irina nie pozwoliłaby na to, żeby ktoś z jej towarzystwa prześcignął ją w cywilizowanych nowinkach. Jeśli zależałoby to od niego, na zawsze wyrzuciłby z ulic i bulwarów St. Petersburga te wszystkie Mercedesy, Rolls-Royce'y, Citroeny, Bentleye i Hispano-Suizy i to im prędzej, tym lepiej. Był jednak realistą i wiedział, że samochody pozostaną, czy mu się to podoba, czy nie. Istniały rzeczy, których nawet książę nie był w stanie zmienić.

Jednym palcem odsunął zasłonę, by zerknąć, jak powóz skręca i szybko przejeżdża mostem Mikołaja przez Nową. Pięknie oświetlony, most zawsze przypominał mu Paryż. Ach, Paryż... Podobnie jak towarzystwo w „mieście światła”, arystokraci „Paryża Północy” bawili się na nieustających balach, koncertach, operach, baletach, oficjalnych bankietach i prywatnych przyjęciach. Nawet kulturalny Paryż, ze swymi licznymi rozrywkami, nie miał tej magii St. Petersburga, jego oszałamiającej elegancji i bogactwa, jakimi cieszył się książę od urodzenia. Wprawdzie pałace przypominały bardziej Wenecję niż Paryż, dzięki wpływowi włoskich architektów i rzemieślników sprowadzanych tu przez wieki, ale nawet te włoskie wpływy miały swój rosyjski charakter.

Uśmiechnął się. Najbardziej było to widoczne w jego własnym pałacu, z którego właśnie wyjechał. Rozległy pałac Daniłowów zbudowany był w barokowym stylu w kształcie litery C. Jego otwarta część przechodziła w olbrzymie, okrągłe podwórze, a część zamknięta wychodziła na Nową, zamarznąłą jak każdej zimy. Wszystkie pięć kondygnacji otynkowano i pomalowano na żółto i pomarańczowo. Na obu końcach litery C znajdowały się masywne prostokątne

wieże, a trzecia – na wygięciu litery, od strony Newy. Każda zakończona była pięcioma pozłaczanymi, cebulowatymi kopułkami. Jakie najwspanialsze budynki Paryża mogły się z tym równać, zwłaszcza gdy oglądało się je w lecie, połyskujące w słońcu i refleksach wody, albo zimą w czasie śnieżnej burzy lub tych nielicznych słonecznych dni, gdy niebo stawało się srebrnoniebieskie, a pokryty śniegiem pałac błyszczał tak, że trzeba było mrużyć oczy? Albo teraz, kiedy niezwykle, pionowe blaski zorzy polarnej wisiały jak koralowo-ametystowy naszyjnik na przedwcześnie pociemniałym arktycznym niebie?

Nic. Nic na świecie nie mogło się równać z St. Petersburgiem, zwłaszcza teraz, w styczniu, kiedy sezon 1914 roku zapowiadał się błyskotliwie. Rozpoczął się tydzień temu, w Nowy Rok, i potrwa aż do Wielkiego Postu.

Chciał już zasunąć firankę, kiedy pojazd raptownie się zatrzymał, a księciem szarpnęło. Usiadł sztywno i postanowił obrugać stangreta, gdy dojadą na miejsce, to znaczy do królestwa biżuterii Carla Faberge'a. Olbrzymie, granitowe kolumny i atmosfera bizantyjskiego przepychu z błyszczącym złotem, oślepiającymi drogimi kamieniami, blaskiem srebra i połyskującą emalią tworzyły zapewne wymarzony raj dla złodziei. Książę zdecydował się osobiście kupić prezent urodzinowy dla żony. Urodziny były za dwa dni, dziewiątego. Księżna zaczęła palić długie, cienkie, czarne tureckie cygara, więc zamówił dla niej papierośnicę z przeświecającej różowej emalii, wykładaną na brzegach różowymi brylantami. Jednak nie tylko z tego powodu zdecydował się zaszczyścić sklep swą obecnością: chciał jeszcze kupić jakiś gotowy drobiazg, może brylancik albo szmaragdową czy rubinową bransoletkę dla swej kochanki, Tatiany Iwanowej.

Tatiana Iwanowa była gwiazdą, królową w teatrze St. Petersburga, która niedostatki talentu z nawiązką nadrabiała urodą i temperamentem, jedno i drugie podkreślane ekstrawaganckimi strojami. Ostatniej nocy spędzonej z nią zagalopował się nieco w ostrej grze miłosnej i zranił jej jedną brodawkę. Nie chciał jej zrobić krzywdy, to był wypadek. Ona jednak zaczęła krzyczeć, wyrzuciła go i postraszyła, że wszystkim rozpowie, jaki z niego brutal.

Uciszy się dziwkę jakimś głupstwem. W każdym razie, stwierdził, dobrze byłoby znaleźć sobie jakąś inną kochankę. Tatiana prędzej czy później przysporzy mu kłopotów. Miał już dosyć pogróżek i jej samej.

Sanie wciąż stały. Poirytowany najpierw nagłym zatrzymaniem, a teraz opóźnieniem, książę pociągnął za linkę, połączoną z dzwonkiem za siedzeniem stangreta. Nie było to konieczne, gdyż zapukano w drzwiczki. Odchylił zasłonkę i wyjrzał. Był to jeden z jego lokajów, ciepło opatulony, w obszernym płaszczu ze

złotymi guzikami z herbem Daniłowów. Z jego nozdrzy wydostawała się chmura białej pary. Książę Wasilij zaklął i uchylił szybę.

– Co tam znowu? – zapytał oburzony i od razu pożałował swego tonu. Nie było to w jego stylu. Od małego uczono go traktować służbę jeśli nie z szacunkiem, to przynajmniej uprzejmie. Zdał sobie sprawę, że poirytowanie to odzwierciedlało jego złość na Tatianę.

– Przepraszam, Wasza Wysokość. Przewrócił się wóz i zablokował ulicę. Czy mamy zawrócić i jechać inną drogą?

– Zobaczcie, jak to długo potrwa. I dowiedzcie się, kto to był i czy nie potrzebuje pomocy.

– Tak, Wasza Wysokość – lokaj ukłonił się nisko. Etykieta wymagała, by wycofywał się twarzą do swego chlebobdawcy, więc zrobił kilka kroków tyłem i odwrócił się dopiero, gdy piętami wyglansowanych butów dotknął zmrożonego śniegu. Później pobiegł na miejsce wypadku.

Książę opuścił okienko do końca i wysunął głowę w lodowatą ciemność. Zobaczył tłumek zebrany w świetle latarni ulicznej i przewrócony wóz z obracającymi się wciąż w powietrzu kołami. Razem z nim przewróciły się i konie. Jeden ostrożnie stawał na nogi, lecz drugi, mimo że ktoś go uwolnił z uprzęży, wciąż się przewracał.

Powrócił lokaj.

– No i co? – spytał książę, zwracając na służę swe lodowatoniebieskie oczy.

– Potrwa to około kwadransa, Wasza Wysokość. Nie ma ofiar. Ludzie byli w dwóch poprzednich wozach. Woźnica wyskoczył na czas. Starał się uniknąć zderzenia z samochodem, który wpadł w poślizg.

– Nie dziwię się. – Książę pokiwał głową. – A konie?

– Jeden nie ma żadnych urazów, Wasza Wysokość.

– A drugi?

– Ktoś poszedł po broń.

Książę zagryzł wargi. Nie mógł znieść myśli o umierającym koniu. Wiedział, że przerażone zwierzę cierpi, a zanim znajdzie się ktoś z bronią, minie trochę czasu. Sięgnął pod siedzenie, gdzie w pojemniku na broń, zrobionym z brzozy karelskiej, trzymał dwa naładowane pistolety. Zawsze je miał przy sobie, na wypadek jakichś kłopotów. Były to trudne czasy, gdy strajkujący i manifestujący ludzie wylęgali na ulice. Były też doniesienia o anarchistach, włóczących się po mieście.

Sprawdził pistolet, zaczekał, aż lokaj otworzy drzwiczki powozu, a następnie

podał mu swój ciężki, podbity sobolami płaszcz. Lokaj odebrał go, rozłożył schodki i pomógł mu zejść. Ponieważ księżę nie wyciągnął ręki, zarzucił płaszcz na szerokie bary Jego Wysokości.

– Chodź za mną – rozkazał księżę nie patrząc na sługę. Maszerował jak generał, z pistoletem u boku i służącym podążającym za nim.

Zebrany na miejscu wypadku mały tłumek umilkł na widok Wasilija. To była osobistość z najwyższych sfer, z pewnością. To był człowiek, który od razu potrafił zapanować nad sytuacją. Szedł pewnie w ich kierunku, nie zważając na zdradliwy lód, na którym mógłby poślizgnąć się i upaść. Mimo pozornej swobody, jego ruchy były precyzyjne i wyważone.

Tłum cofnął się, stwarzając pełen szacunku dystans między sobą a księciem. Był to człowiek wzbudzający respekt, urodzony do władzy, jaką posiadał, osoba, z którą należało się liczyć. Postawny mężczyzna, wysoki i barczysty, miał gęste, czarne włosy zaczesane do tyłu i obcięte tuż nad uszami. Jego broda była starannie przystrzyżona, a wspaniałe wąsy opadały w pięknych zawijasach. Miał oczy i brwi hiszpańskiego granda.

Teraz te błękitne oczy spoczęły na nieszczęsnym koniu. Bez słowa wyjął pistolet, wymierzył wprost w głowę zwierzęcia i wystrzelił. Koń wygiął się i natychmiast zastygł w bezruchu.

Niektóre z obserwujących osób zamknęły oczy podczas strzału, ale księżę nawet się nie zawahał. Zauważył też, że pewna młoda kobieta również zachowała zimną krew. Jej nędzna futrzana czapka naciągnięta była na czoło, a dolną część twarzy osłoniętą miała wełnianym szalem, co powodowało, że była tajemnicza jak muzulmanka ukrywająca twarz za kwefem. Wiedział, że szal miał ją osłonić przed dojmującym zimnem, gdyż zapewne tak jak pozostali podróżowała na jednym z dwóch pierwszych odkrytych wozów i była wystawiona na działanie bezlitosnych żywiołów. Jej obszerny płaszcz był zbyt wytarty, by dawać jakieś ciepło, więc dygotała z zimna, lecz w jej zielonych oczach nie widać było skargi, za to bardzo uważnie przyglądała się księciu. Na odsłoniętym skrawku twarzy malował się rumieniec, który jego zdaniem nie był efektem mrozu. Na rękach trzymała owinięte dwu-, może trzyletnie dziecko.

Opuścił pistolet i obszedł przewrócony wóz. Zauważył, że nie złamała się żadna oś, a plandeka, którą okryta była zawartość i na której teraz wóz leżał, nie była uszkodzona. Zwrócił się do milczącego tłumu:

– Do kogo należy ten wóz?

Rozległ się szmer, więc domyślił się, że należał do całej tej grupy.

– Co w nim jest? Coś kruchego? Kto reprezentuje tę grupę? ~ Jego oczy omiotły tłumek.

Książę zdumiał się, kiedy wysoki, złotowłosy młody człowiek o szafirowobłękitnych oczach, w których wyraźnie byku widać lekceważenie, wystąpił do przodu. Trzymał się prosto, jakby uważał się za równego księciu.

Daniłow przyglądał mu się ze zdumieniem. Mimo byle jakiego, obszernego ubrania, był to najprzystojniejszy i najbardziej pewny siebie młody człowiek, jakiego kiedykolwiek widział.

– Ja reprezentuję grupę, Wasza Wysokość – powiedział cicho młodzieniec.

Książę kiwnął głową, nie zwracając uwagi na jego pogardliwe spojrzenie i lekceważące podkreślenie słów „wasza wysokość”. Było w nim coś takiego – nie potrafił jeszcze tego nazwać – że instynktownie uznał go za aroganckiego i niebezpiecznego.

– Co jest w tym wozie?

– Rekwizyty teatralne i kostiumy, Wasza Wysokość. Właśnie przyjechaliśmy tu dzisiaj po objeździe na prowincji.

– Więc jesteście trupą teatralną?

– Tak, a ja jestem kierownikiem.

– I będziecie dawać przedstawienia tutaj, w Sankt Petersburgu?

Młody człowiek wzdrygnął się.

– Jeśli znajdziemy teatr, w którym będziemy mogli wystąpić.

Książę, zaintrygowany, zamyślił się.

– Jakie sztuki zwykle przedstawiacie?

– Komédie salonowe, satyry, zwyczajny repertuar.

– Gdzie ostatnio występowaliście?

– W mieście Siestrowietsk. Przyjeżdżamy prosto stamtąd. Sama księżna Swiatopełk-Korsakow przysłała nam pogratulować po przedstawieniu.

Książę nie okazał swego zdumienia, lecz po cichu rozważał tę informację. Anastazja Bieletnowa Swiatopełk-Korsakow obracała się w jego kręgach. Właśnie wróciła ze swego wiejskiego pałacu niedaleko Siestrowietska i teraz przypomniał sobie, że kiedy z Iriną spotkali ją dwa dni temu w przerwie baletu, mówiła, że widziała ostatnio bardzo dobrą trupę teatralną.

– Czy gracie Czechowa?

– Graliśmy, Wasza Wysokość, ale... Czechow jest mistrzem, a my... nie mamy takiego doświadczenia.

– A przed księżną... co graliście, kiedy przysłała na przedstawienie?

– „Damę Kameliową”.

Książę wydawał się zdumiony, ale pokiwał głową z aprobatą.

– To niezła sztuka i bardzo popularna. – I nieszkodliwa, pomyślał. – Widziałem ją sam dwa razy, moja żona bardzo ją lubi. A kto u was gra nieszczęsną Marguerite?

Popatrzyli na siebie w ciszy, aż młody człowiek spuścił wzrok.

– To była Olga, ale dostała zapalenia płuc i umarła.

Jak większość arystokracji, książę nie przejmował się losami obcych, a już na pewno nie wędrownych artystów, o ile nie dotyczyło to jego osobiście.

– Więc teraz nie możecie zagrać tej sztuki.

Nagle zielonooka kobieta, trzymająca dziecko, wystąpiła odważnie do przodu.

– Ja mogę zagrać tę rolę. Obserwowałam Olę niezliczoną ilość razy i nauczyłam się tekstu.

Młody człowiek zwrócił się do niej.

– Senda, nie grałaś nigdy głównej roli.

– Proszę, Szmaria – przymilała się. – Jestem gotowa, czuję to.

Książę pochwycił wzrok najbardziej wyrazistych, czarownych, szmaragdowych oczu, jakie kiedykolwiek widział.

– To pana żona? – spytał uprzejmie.

– Nie, Wasza Wysokość. Ona jest wdową... – zawahał się – po moim bracie.

– Bardzo młoda wdowa.

– Czasami – powiedział młody człowiek z goryczą – to właśnie młodych dotyka nieszczęście śmierci.

– Tak, tak – książę wykonał gest zniecierpliwienia. Nie lubił być wciągany w problemy niższych klas. Jednak coś w tej kobiecie rzuciło na niego urok. Milczał przez chwilę, po czym się zdecydował.

– Jedźcie do mojego pałacu. Mamy prywatny teatr. Za dwa dni są urodziny mojej żony i chcę, żebyście przedstawili „Damę Kameliową”. Mój majordomus znajdzie wam zakwaterowanie w pałacu. Dobrze wam zapłacę.

Młody człowiek wskazał głową na nieżywego konia.

– To będzie dla nas zaszczyt, żeby odegrać przedstawienie bezpłatnie. Utrzymanie i mieszkanie na dwie noce wystarczy. Jesteśmy wdzięczni, że zakończył pan cierpienia naszego konia – w głosie jego brzmiała duma.

– A więc załatwione. Pałac Daniłowów nad Newą. Jeżeli nie będziecie mogli trafić, zapytajcie kogokolwiek o drogę.

Książę odwrócił się, żeby odejść, lecz kątem oka zobaczył ruch, który zmusił

go do obejrzenia się i zatrzymania. Kobieta o imieniu Senda odsłoniła twarz i zsunęła futrzaną czapkę z czoła. Był to bardzo uwodzicielski gest, zwłaszcza w tym zimnym, publicznym miejscu.

Księżciu Wasilijowi zaparło dech w piersiach. Była niezwykle piękna. Wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia, on skinął prędko głową, oderwał od niej wzrok i spieszenie wrócił do powozu. W sumie był z siebie bardzo zadowolony. A gdy usłyszał świstów bata, ogarnęło go inne, jeszcze przyjemniejsze uczucie. Przymknął powieki, wyobrażając sobie tych dwoje olbrzymich, szmaragdowych oczu, tak niemożliwie zielonych i pełnych życia.

A więc znalazł sobie nową aktorkę. Czyli... Tatiana jednak nie dostanie swojego drobiazgu. Spodobała mu się ta myśl. Kładąc wymanikiowany palec na ustach, postanowił zanotować to w pamięci. Szmaragdy. Faberge na pewno ma coś takiego.

Senda patrzyła, jak stangret tego wspaniałego powozu na płozach obszedł dokoła sześć pięknych czarnych koni, wdrapał się wysoko na kozioł i trzasnął batem. Spojrzała za znikającym powozem ze zdumieniem.

– Nigdy jeszcze nie widziałam takich sani – zachwycała się, kręcąc głową. Spojrzała na Szmarę. – Myślisz, że ten żółty metal to było prawdziwe złoto?

– Nie wątpię – powiedział gorzko Szmaria. – Bogaci stają się jeszcze bogatsi kosztem takich jak my. Później się od ciebie odwrócą i tyle.

– On się wydawał miły.

Oczy Szmarii rozbłysły.

– Miły, oczywiście. – Ścisnął usta w ponurym uśmiechu. – Jestem pewien, że nawet Wolczak był miły, jeśli miał na to ochotę. Ale to mu nie przeszkodziło wyróżnić wszystkich w naszej wsi, pamiętasz?

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Mimo że upłynęło tyle czasu, w jej oczach ukazały się łzy.

Szmaria tego nie zauważył. Odwrócił się i uniósł ręce.

– Uwaga! – krzyczał. – Uwaga, wszyscy! Podnosimy wóz!

Koła zastukały na lodzie. Senda stała z boku, trzymając jedną ręką dziecko, a drugą – uzdę ocalałego konia. Przez moment patrzyła jeszcze tęsknie za powozem z bajki, ale skreślił i znikł jej z pola widzenia.

– Czas ruszyć ten interes! – krzyczał dalej Szmaria. – Wszyscy z powrotem do wozów! Aleks, zaprzęgnij tego konia!

Mężczyzna imieniem Aleks zmarszczył się i podrapał powoli po karku.

– To za duży ciężar na jednego konia.

– Wobec tego nie mamy wyboru, tylko musimy wziąć jednego konia z przedniego wozu i zaprząć go tutaj. To znaczy, że my musimy iść pieszo, poza woźnicami.

Rozległ się jęk, ale nikt nie odmówił. Przeżyli już po drodze tyle, że potraktowali to jak drobną niewygodę. Senda szła noga w nogę za Szmaria, gdy posuwali się obok skrzypiących wozów. Była potwornie zmęczona, zmarznięta i głodna. Lodowaty wiatr, przewiewający ją od wczesnego rana, dał się we znaki. Chciała tylko coś zjeść, wypić coś ciepłego i położyć się do łóżka, pod stosem pierzyn.

– Mam ją trochę ponieść? – spytał Szmaria, wyciągając ręce po dziecko.

Senda potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

– Nie, w porządku. Tamara nie jest ciężka. Niedługo będzie nam ciepło. To dopiero przypadek, co? Nie mieliśmy gdzie się podziać, a przez to, że wóz się przewrócił i ten powóz się zatrzymał – już mamy.

– Tylko na dwie noce – mruknął.

– Dwie noce w pałacu to lepsze niż marznięcie w stodole. – Zamilkła, zacisnąwszy usta. – Szmaria, dlaczego uparłeś się, żebyśmy występowali za darmo?

Nie odpowiedział.

– Wiesz, jak strasznie potrzebujemy pieniędzy! Nie stać nas na to, żeby występować za darmo. Z trudem możemy się wyżywić, a jeszcze teraz, kiedy koń padł... Za co kupimy nowego?

Szedł pod wiatr, przygarbiony, z rękami w kieszeniach, z oczami wbitymi w ziemię.

– Zrobił nam uprzejmość, strzelając do konia, i my się odwdzięczamy. Nie chcę nikomu niczego zawdzięczać. Zwłaszcza wrogowi.

– Wrogowi! – prychnęła. – Jak się ciebie słucha, można by pomyśleć, że wszyscy są wrogami.

– Zapomniałaś już, co stało się trzy lata temu? – spytał miękko. – Czy to było tak dawno?

– Nie, nie zapomniałam.

Zniżył głos.

– A czy zapomniałaś, dlaczego przyłączyliśmy się do tej trupy beztalenci?

Potrząsnęła głową, wracając myślami do tej nocy, wkrótce po pogromie, kiedy wpadli na trupę teatralną wędrującą jak Cyganie, występującą w wioskach na pograniczu. Bez pytań chętnie przyjęli Sendę i Szmaria do swej małej grupy, bo

właśnie jedna młoda para uciekła i potrzebowali kogoś do pomocy.

Szmaria sam sobie odpowiedział.

– Żebyśmy mogli się dostać do Sankt Petersburga albo do Moskwy. Żeby raz na zawsze wydostać się z pogranicza i zacząć przyzwoicie żyć.

Potrząsnęła głową.

– Wcale nie o to chodziło i dobrze o tym wiesz. Chciałeś przyjechać, żeby dołączyć do rewolucjonistów w mieście. – Teraz w jej głosie brzmiała gorycz. – Przecież dlatego dołączyłeś do grupy i przyjechaliśmy tutaj, prawda?

Gdy na nią spojrział, oczy jej błyszczały.

– Tak, to prawda. Z bogatymi wyzyskiwaczami trzeba walczyć i pokonać ich. Nie będzie w Rosji wolności, póki krew bogaczy nie zrosi ziemi. Senda, ty tego po prostu nie rozumiesz. Wiem, że chcesz dla Tamary jak najlepiej, ale nie widzisz dalej ciepłego pieca. Nie rozumiesz? Wszystko w naszym społeczeństwie musi się zmienić, jeżeli nasze dzieci mają mieć spokojną przyszłość. Powinnaś to zrozumieć lepiej niż ktokolwiek inny. To nie ma znaczenia, że nie chcesz mieć z tym wszystkim nic wspólnego – inni zmieniają ten świat. A ja im pomogę. To tylko kwestia czasu.

Zadrżała nagle i wiedziała, że tym razem nie z zimna.

Teraz, gdy w jej świadomość wkradł się strach, pojawiły się również inne myśli. Szmaria zawsze nosił przy sobie naładowany pistolet. Nie użył go, żeby dobić konia, bo nie chciał, żeby ktokolwiek się dowiedział. Gdyby policja złapała go z bronią, uznano by go za anarchistę, zamknięto za kratkami i zesłano na Syberię. A w jednym z pojemników z kostiumami schowane było dziesięć lasek dynamitu, które dostał w Rydze.

Bała się nawet pomyśleć, co mu może przyjść do głowy, gdy znajdą się w Pałacu Daniłowów.

Jesteście wprawdzie wędrownymi artystami, ale w tym pałacu nie będziecie traktowani ani jak goście, ani jak służba. Podlegacie tym samym ścisłym regułom, co wszyscy nieznajomi, pojawiający się w tym domu. Jeśli nie otrzymacie specjalnego zezwolenia, macie pozostawać tutaj, w skrzydle dla służby. Nie wolno wam spacerować po terenie poza ogród służby. Pokoje reprezentacyjne, prywatne apartamenty i reszta terenu są niedostępne. Nie będzie żadnego zwiedzania. W przypadku, gdy jedno lub więcej z was będzie musiało opuścić to skrzydło i udać się do teatru, który znajduje się w części reprezentacyjnej, będziecie to robić pod eskortą lokaja. Nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno nikomu chodzić po pałacu

bez eskorty. Należy tego ściśle przestrzegać. Jeśli choć jedno z was złamie te zasady, wszyscy możecie uznać się za wyproszonych.

Trupa teatralna znajdowała się w skrzydle dla służby, nad stajniami i garażami. Przemawiał do nich hrabia Kokowcow, kuzyn Daniłowa, jego główny doradca i prawa ręka. Był zupełnym zaprzeczeniem księcia. Ostentacyjnie wielkopański, o niezdrowym wyglądzie, staromodnie elegancki, był wysoką, bezduszną, niezwykle sprawną i rozsądną maszyną i wyglądał raczej na chytrego przedsiębiorcę pogrzebowego niż przedstawiciela arystokracji. Za nim stała pulchna kobieta około pięćdziesiątki, w stroju głównej gospodyni. Kremowe ręce splotła przed sobą, a jej zwykle pogodna twarz była surowa i spięta. Kilka minut wcześniej pani Kaszkinia powitała ich ciepło w skromnie urządzonej, ale przyjemnym saloniku dla służby. Gdy zobaczyła głodnych i przemarzniętych aktorów, posłała prędko jedną dziewczynę po herbatę i ciasto, a drugą do przygotowania gorącej kąpieli. Później pojawił się hrabia Kokowcow i nastrój się popsuł. Od czasu podróży z trupą Senda spotkała wiele nieprzyjemnych typów i coś w środku mówiło jej, że Kokowcow nie był człowiekiem, z którym łatwo można się zmierzyć, jeśli w ogóle ktoś odważyłby się próbować.

– Mimo rozmiaru i wspaniałości pałac ten jest prywatnym domem i tak powinien być traktowany. Jest pełen skarbów z całego świata i dlatego regulamin, jaki podałem, winien być przestrzegany co do joty, tak ze względu na wasze bezpieczeństwo, jak i Ich Wysokości. W ten sposób, jeżeli coś się zniszczy lub zginie, nikt z was nie będzie podejrzany. Przypuszczam, że wyraziłem się jasno?

Aż nadto, pomyślała gorzko Senda, patrząc śmiało wprost na nadętego hrabiego. Oczywiście chciał w nich wywołać poczucie zagrożenia, żeby wzajemnie na siebie donosili. Powie mu coś na ten temat.

Odchrząknęła, wystąpiła do przodu i wyraziła swoją opinię, że zbyt wiele przepisów może ograniczyć ich zapał twórczy, tak ważny w sztuce aktorskiej.

Hrabia uniósł jedną brew i spojrzał na nią chłodno.

– Nawet jeśli tak jest, zakładam, że jesteście profesjonalistami. Jako tacy musieliście występować w różnych miejscach, gdzie obowiązywały różne obyczaje. Przestrzeganie wymienionych przeze mnie zasad powinno stać się waszą drugą naturą. Jeśli tylko nie nadużyjecie przywilejów, jakie wam zaofiarowano, nie macie się o co martwić. Powinniście troszczyć się tylko o to, żeby dać dobre przedstawienie.

Później tego wieczoru, po jedzeniu, kąpieli i położeniu córki spać, Senda zastanawiała się nad ograniczeniami, nałożonymi na trupę przez hrabiego. Chociaż

były jej wstrętne, gdyż u ich podstaw leżał brak zaufania, czuła jednak olbrzymią ulgę. Pod tak ścisłym nadzorem Szmaria nie będzie w stanie zrobić niczego, by zrealizować swe mściwe zamiary, uniemożliwiając całej trupie odniesienie sukcesu. Teraz wraz z kilkoma innymi mężczyznami z ich zespołu poszedł oglądać teatr.

Odetchnąwszy z ulgą, skupiła całą uwagę na przypominaniu sobie tekstu „Damy Kameliowej”, dziękując w duchu Szmarii, że podczas niezliczonych schadzek na polance nauczył ją czytać. Przez następne trzy lata sama kontynuowała naukę. Nie czytała jednak długo. Wkrótce zgasiła jedyną lampę, jaka znajdowała się w pokoju, który dzieliła ze Szmarią i Tamarą, i zapadła w najgłębszy i najspokojniejszy sen, jaki ją spotkał od wielu tygodni.

Następnego dnia o czwartej po południu Senda samotnie spacerowała po scenie prywatnego teatru w Pałacu Daniłowów. Służący, który miał jej pilnować, zostawił ją w spokoju i czekał w holu. Dziewczyna w skupieniu wypowiadała kwestie, a jej głos, pełen emocji, wznosił się i opadał: „... i moje impulsy bez zastrzeżeń. Znalazłam takiego człowieka w księciu, ale podeszły wiek nie daje ani ochrony, ani pociechy. I wtedy poznałam ciebie. Młody! Żarliwy! Szczęśliwy! Łzy, jakie nade mną ronileś, twoja troska o moje zdrowie, twoje tajemnicze wizyty podczas mojej choroby... twoja szczerłość. Twój entuzjizm... twój entuzjizm... twój entuzjizm... „Znów musiała sprawdzać scenariusz.

– Do diabła! – zaklęła, przygryzła dolną wargę, a w oczach zebrały się łzy.

Grała główną rolę i miała w związku z tym najwięcej tekstu. Znacznie więcej, niż się spodziewała. Pojęła swoją lekkomyślność. Zagranie roli Małgorzaty Gautier nie było taką prostą sprawą, jak jej się wydawało. I pomyśleć, że uważała, iż zna tekst na pamięć, co do słowa! Wzdychała ciężko, a piersi jej unosiły się i opadały. Rychło w czas zorientowała się, jak przeceniła swoje możliwości. Brakujące kwestie miała na końcu języka, ale przypomnienie ich sobie w odpowiednim momencie, oddanie właściwych emocji i zastosowanie uwag scenicznych – wszystko razem było zbyt trudne, żeby robić to jednocześnie.

Trzepnęła otwartym tekstem po udzie. Jej trójkątna twarz zmarszczyła się ze złości i rozczarowania. Czy naprawdę starała się na siłę zrobić zbyt wiele? W końcu wcześniejsza próba poszła całkiem nieźle. Trzeba jej tylko podpowiedzieć; , tylko dwadzieścia parę razy. Tylko! Za często. Ale jednak...

Odrzuciła scenariusz i siadła na wykładanej jedwabiem empirowej kanapie, która miała służyć jako dekoracja. Rozejrzała się po pustym teatrze. Pokiwała głową, rozluźniając się nieco. Mogła się teraz spokojnie przyjrzeć małemu

teatrowi. Jakież to było cacuszko!

Zachwycała się luksusem, jaki ją otaczał. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że takie bajkowe wnętrza naprawdę istnieją. Była to uczta dla oczu. Każdy fotel w stylu Ludwika XVI był ręcznie rzeźbiony, połączony, pokryty błękitnym aksamitem. Foteli było w sumie sto sześćdziesiąt. Oprócz tego z tyłu znajdował się mały, rzeźbiony balkon, tworzący rokokową symfonię wzorów, który mógł pomieścić kolejnych trzydzieści osób, po obu stronach sceny były dwie osobne łóżka, każda na sześć osób, ozdobione bogatymi draperiami.

To było niezwykle, żeby taki teatr – prywatny teatr w prywatnym domu – mógł pomieścić dwieście dwie osoby! Większość teatrów, w których grali w prowincjonalnych miastach, była mniejsza i nawet w przybliżeniu nie tak piękna. Zakończywszy tę inspekcję zacisnęła usta z determinacją i zmusiła się do wstania. Dość leniuchowania. Trzeba wracać do roboty.

Wzięła do ręki tekst i znów stanęła na środku sceny.

„... Łzy, które nade mną ronileś, twoja troska o moje zdrowie, twoje tajemnicze wizyty w czasie mojej choroby... Twoja szczerość. Twój entuzjazm. Wszystko w tobie kazało mi cię widzieć jako jedyne, do którego mogę się zwrócić w mej głębokiej samotności... „

Z łóżka po jej prawej stronie rozległy się oklaski. Zdumiona, przerwała w pół zdania, zrobiła kilka kroków w tył i spojrzała w górę. Księżę, ubrany w przepięknie skrojony ciemnoszary garnitur, wychylił się zza odsuniętej portiery. Górna część jego ciała wydawała się zawieszona w powietrzu, twarz miał ukrytą w cieniu. Jego oczy, błyszczące i skupione, wyrażały głębokie zainteresowanie. Poza tym jego twarz wyglądała jak maska bez wyrazu.

– To był niezwykle monolog – powiedział miękko, ze staranną wymową wyższych sfer. – Na ogół nie jestem entuzjastą przedstawień teatralnych. Większość z nich mnie nudzi i usypia, a nawet jeśli nie – trudno mi zachować poczucie rzeczywistości na tyle, żeby móc się przenieść w krainę wyobraźni. Jednak pani mnie oczarowała. Jest pani bardzo utalentowaną aktorką.

Senda lekko skłoniła głowę.

– Wasza Wysokość jest bardzo uprzejmy. To nie ja powinnam zbierać komplementy za to, że pana oczarowałam, lecz monsieur Dumas. To z pewnością jego tekst tak do pana przemówił, a nie ja.

– Wręcz przeciwnie, madame. Jest pani dla siebie niesprawiedliwa. Jest pani bardzo zdolną młodą aktorką. – Księżę położył czubki palców na połączanej barierce łóżka. – Przez moment uwierzyłem, że jest pani naprawdę nieszczęsną

Małgorzatą Gautier. Współczułem pani. – Spojrzał na nią przeciągle. – I jeśli wybaczy mi pani szczerść, jest pani również niezwykle piękna.

Ich oczy spotkały się. Mimo cienia, jego wzrok był tak przenikliwy, tak palący, że zarumieniła się.

– To magia teatru Wasza Wysokość. To wszystko iluzja. Charakteryzacja, kostiumy, dekoracje – wskazała na scenę.

– Ach, ale mnie oczy nie mylą – uśmiechnął się. – Pani uroda nie jest iluzją.

Milczała. Jego hipnotyzujące spojrzenie paliło ją jak ogniem.

Zmusiła się, żeby odchylić się nieco w lewo i nie stać na linii tych niespokojnych, błyszczących oczu.

– Piękno – szepnęła – istnieje tylko w oczach patrzącego.

Lekko się uśmiechnął.

– Niech tak będzie, skoro pani tak mówi.

Przez długą, krępującą chwilę milczał, wpatrując się w nią tak intensywnie, że czuła gorąco tego spojrzenia. Z niewiadomych powodów jej wnętrzości zaczął paraliżować strach. W końcu przerwał tę męczącą ciszę.

– W każdym razie, jest pani Damą Kameliową. Czuję to w głębi serca. To, co widziałem, to nie była gra. – Potrząsnął głową. – To były prawdziwe emocje. Zbyt prawdziwe, żeby były tylko iluzją.

Odwróciła się i nerwowo chodziła po scenie, gdy on skrył się znów w ciemności. Słyszała echo jego kroków na marmurowych schodach, gdy wyszedł z łoży. Wiedziała, że nie powiedział wszystkiego. Szedł na scenę... Do niej.

Zacisnęła usta pragnąc, żeby sobie poszedł. Komplementy zwykle mile ją poruszały, ale w tym przypadku pochlebne słowa księcia przyniosły odwrotny efekt. Miał na pewno jakieś ukryte motywy, o coś mu chodziło. Ale o co? I dlaczego czuła się przy nim tak dziwnie, jak rumieniąca się uczennica?

Kilka razy odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Księżę wszedł na scenę i znalazł się tuż obok niej. Bez słowa ujął ją pod brodę i uniół jej twarz ku sobie. Oczy Sindy błyszczały w świetle reflektorów.

– Masz niezwykle szmaragdowe oczy – mruzczał wolno. – Jest moim najgorętszym życzeniem, żebyś została w Petersburgu na cały sezon.

Wzburzona cofnęła się i spojrzała na tekst, który trzymała w rękach. Ścisnęła go tak mocno, że zbieleły jej palce.

– Wasza Wysokość. – Głos miała tak ochryply, że musiała odchrząknąć. – Wasza Wysokość, jesteśmy tylko skromną trupą teatralną, wędrującą po prowincji i różnych miastach. Jeździmy tam, gdzie jest szansa zagrać. Nazajutrz po

urodzinach księżnej będziemy musieli wyjechać.

– Dokąd? – Patrzył z wyraźnym zainteresowaniem, ale uśmiech miał żartobliwy. – W nieznanym kierunku? Czy znanym?

Zastanawiała się, jaka będzie najwłaściwsza odpowiedź.

– Gdzie znajdzie się praca.

– Znajdzie się tutaj – powiedział książę. – Widzi pani, że nie ma wyboru. Domagam się, żebyście tu pozostali.

Nagły dreszcz, spowodowany częściowo jego zuchwałością, częściowo pewnością siebie, przeszedł jej po plecach jak palce po strunach harfy. Mimo że starała się zachować spokój, głos jej drżał:

– Wasza Wysokość, przepraszam, ale muszę kontynuować próbę na jutrzejsze przedstawienie, bo w przeciwnym razie...

– Natychmiast wychodzę – powiedział miękko. – Proszę tylko, żeby pani mnie wysłuchała. Nie chcę się przechwalać, ale księżna i ja mamy duże wpływy w tym mieście. Jestem pewien, że możemy załatwić występy dla waszej trupy na cały sezon. Jest wiele prywatnych teatrów w różnych pałacach, jest kilka publicznych, które błagają o wynajęcie, i niewielu artystów. Taka okazja spada jak z nieba skromnej, jak pani mówi, trupie szukającej pracy. Zwłaszcza, jeżeli ja osobiście gwarantuję zapłatę za każde wolne miejsce. – Przerwał. – Dodam, że za cały sezon.

Uniosła głowę, spotykając jego wzrok.

– Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, ale nie ma pan przypadkiem zamiaru mnie wykorzystać? Bo jeśli tak, muszę pana ostrzec. Szkoda pańskiego czasu i mojego.

W jego oczach rozblysnął płomień, który zgasł równie szybko, jak się pojawił.

– Jest pani aktorką.

– I matką dziecka, które pan widział.

– I wdową.

– Wdowy – powiedziała stanowczo – niekoniecznie są upadłymi kobietami.

– Może nie. – Uśmiechnął się. – Ale gwiazdami? – powiedział szeptem. – Leży to w mojej mocy, żeby zrobić z pani gwiazdę Sankt Petersburga. Będzie pani miała całe rosyjskie towarzystwo u swych stóp.

Patrzyła na niego i serce jej waliło. Było coś drapieżnego, niemal satanicznego, w hipnotyzującym spojrzeniu jego oczu i niesłychanej pewności siebie. Jego obietnice brzmiały bardzo kusząco, a zarazem bardzo ją złościły. Jak on śmie przypuszczać, że tak łatwo można na nią wpłynąć!

Teraz jej oczy rozbłysły.

– Wasza Wysokość – powiedziała pewnie. – Myślę, że dość już zostało dzisiaj powiedziane. Sądzę, że nie odpowiadałby mi sposób, w jaki... – przełknęła kulę stojącą jej w gardle – w jaki musiałabym odplacić za pańską uprzejmość. – Spuściła oczy i przygryzła dolną wargę. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wrócę teraz do pracy.

– Podziwiam panią. Więc ma pani wrażenie, że próbuję ją kupić. – Jego twarz była tak blisko, że czuła ciepło oddechu.

– A nie próbuje pan? – Mimo że powiedziała to zadziornym tonem, podobała jej się właściwie ta słowna szermierka.

– A jak pani myśli?

Wyglądała na zdenerwowaną.

– Myślę – powiedziała cicho – że ta rozmowa zaszła już za daleko.

Uśmiechnął się.

– Ale nie ma pani pojęcia, co chciałem zaproponować.

– Sądzę, że to jasne – odpowiedziała ostro, nagle czerwieniejąc.

Przez chwilę milczał.

– Więc nie można pani kupić za dobro całej trupy. No, dobrze. Długie doświadczenie mówi mi, że każdy ma swoją cenę. Tylko waluta się zmienia, zależnie od osoby. – Znów potrząsnął głową. – Te oczy... pełne wyrazu... zastraszone... jakby widziały dużo cierpienia. Interesujesz mnie, nie ukrywam – przerwał. – I mam zamiar cię pojąć.

– Przepraszam, Wasza Wysokość, ale nie jestem wystawiona na aukcji.

– Może nie dla swojej trupy, ale dla tego? – Z kieszeni wyjął długie, aksamitne pudełko.

Potrząsnęła głową i cofnęła się odruchowo, jak przed wężem.

– Proszę obejrzeć – powiedział. – Może pod wpływem zawartości zmieni pani zdanie. Tam, skąd one pochodzą – wskazał na pudełko – jest tego znacznie więcej.

– Nie – powiedziała szybko, dodając cicho, ale stanowczo:

– Nie, dziękuję.

– Należy się to pani i mnie, żeby chociaż spojrzeć.

Westchnąwszy, wzięła pudełko i powoli otworzyła. Wydała okrzyk zachwytu. Naszyjnik zrobiony był z kwadratowo oszlifowanych klejnotów w kolorze jej oczu, otoczonych kamykami jak soplek lodu. Zamknęła pudełko trzęsącymi się rękami i rzuciła mu.

– Nie chcę tego – syknęła, odwracając się.

Wzruszył ramionami i wsunął pudełko z powrotem do kieszeni.

– To dzisiaj – powiedział niewzruszony. – Może z czasem zmieni pani zdanie.

– Uśmiechnął się lekko.

– Obawiam się, że nie. Nie zmienię zdania.

Pokiwał głową.

– Widzę, że ani klejnoty, ani rezerwacja teatru na cały sezon nie mogą pani przekonać – powiedział. – Pomyliłem się. Proszę mi wybaczyć. Jest pani zbyt piękna, utalentowana i niezależna, żeby można panią tak łatwo kupić. Nie interesują pani korzyści materialne.

Zwróciła na niego surowe spojrzenie.

– Wasza Wysokość, interesują mnie tylko dwie rzeczy – powiedziała szczerze.

– Moja kariera, na którą muszę pracować, żeby rozwinąć otrzymany od Boga talent, i. moja córka, która ma być ze mnie dumna. Od śmierci mojego męża przed trzema laty nie mam innych ambicji.

Patrzył na nią badawczo.

Odwróciła się i przeszła kilka kroków przez scenę.

Jego głos był zaledwie szeptem, ale miał siłę uderzenia.

– Więc dziecko nie jest pani męża – powiedział rzeczowo.

Odwróciła się do niego, pobladła.

– Jest za małe. – Jego jasnoniebieskie oczy pociemniały, nabierając odcienia indygo. – Powinienem był się domyślić. Jest ktoś inny.

Poczuła, że ze strachu żołądek podchodzi jej do gardła.

– Rzeczywiście, chyba miała pani rację – powiedział głosem chłodnym i pełnym godności. – Czas, żeby zabrała się pani do powtarzania swoich kwestii. – Uśmiechnął się. – Jest pani aktorką, bardzo dobrą aktorką i oczekuję jutro wspaniałego przedstawienia.

– Tak, Wasza Wysokość – dygnęła, unikając jego wzroku – mam nadzieję, że pana nie zawiodę.

– Już mnie pani zawiodła – powiedział miękko. – Ale ja jestem księżę Wasilij Daniłow. Człowiek bardzo bogaty, o dużych wpływach i bardzo uparty. Przekona się pani, że na ogół nie godzę się z odmową.

Policzki ją paliły jak od uderzenia.

Stał na skraju sceny, jakby chcąc skupić na sobie uwagę niewidzialnej publiczności.

– Iw końcu zawsze, choćbym miał długo czekać, dostaję to, czego chcę.

Podniosła wzrok, ale księżę był już znikającym cieniem. Usłyszała echo jego

kroków, odgłos zamykanych drzwi i w końcu zapanowała cisza. Wiedziała, że nareszcie jest sama w teatrze. Wzdrygnęła się i wzięła głęboki oddech. Jeszcze nigdy w życiu nikogo tak się nie przestraszyła.

Hrabia Kokowcow wysunął się zza drzwi i wpadł na księcia. Musiał się bardzo śpieszyć, żeby dotrzymać kroku kuzynowi. Zimny blask kryształowych kandelabrow przelatywał nad nimi jak burza. Inkrustowana mozaika pod ich stopami, błyszcząca jak lustro i skrzypiąca przy każdym kroku, wydawała się biec w ich kierunku. Książę nie patrzył na kuzyna. – Więc słyszałeś wszystko? – spytał ponuro.

Hrabia zrobił oburzoną minę.

– Jak możesz mnie podejrzewać o podsłuchowanie, Wasilij? – powiedział niewinnie. – Dlaczego miałbym to robić?

– Sam się nad tym czasem zastanawiam, drogi kuzynie. Ale wnioski, do jakich dochodzę, są bardzo nieciekawe.

Żyłka na wysokim czole hrabiego Kokowcowa zadrgała ze złości.

– Właśnie nadszedłem, gdy stamtąd wypadłeś – powiedział.

– Nawet gdybym chciał, ale oczywiście tak nie było, nie zdążyłbym nic usłyszeć. – Prychnął niezadowolony. – Poza tym, ty sam kazałeś mi przejrzeć dokładnie rzeczy tej trupy. Rozumiałem, że życzyłeś sobie być natychmiast poinformowany, jeśli znajdę coś niezwykłego. Książę stanął.

– A znalazłeś?

Cienkie wargi hrabiego wygięły się w uśmiechu pełnym satysfakcji.

– Znalazłem dwie rzeczy zasługujące na zainteresowanie. Po pierwsze, naładowany pistolet. Może to nie takie ważne, biorąc pod uwagę, że oni są wciąż w drodze. Ale zadałem sobie pytanie: dlaczego pistolet? Dlaczego nie strzelba? Ten fakt wydaje mi się podejrzany. Odpowiedź oczywiście jest taka, że pistolet łatwiej ukryć. Ale drugi przedmiot, czy raczej przedmioty, martwią mnie znacznie bardziej. – Hrabia Kokowcow zrobił dramatyczną pauzę.

– Mówże, człowieku!

Cienkie wargi hrabiego rozciągnęły się w uśmiechu.

– Co byś powiedział na dziesięć lasek dynamitu?

– Co?! – książę Wasilij aż się zakrztusił.

– To, co słyszałeś. Dziesięć lasek dynamitu. – Hrabia ponuro potrząsnął głową i zatarł chude dłonie. – Obawiam się, że spełniły się moje najgorsze oczekiwania. Trupa teatralna, którą tak gościnnie i bez podejrzeń wpuściłeś do swego domu, jest zapewne tylko przykrywką dla innej, groźnej działalności.

– Mordka Wiaczesławicz, czasem nawet ty jesteś w stanie mnie zadziwić – powiedział spokojnie książę. – Widzisz anarchistów i zamachowców za każdym krzakiem.

– Może – kwaśno zgodził się Mordka Wiaczesławicz Kokowcow – ale może gdybyś miał większy kontakt z tym, co się dzieje dokoła, też byś tak robił. Przyznałbyś, że to rozsądniejsze niż latanie za każdą aktorką.

– Dość tego! – przerwał zdenerwowany książę. – Już dość długo przymykałem oczy na twoich chłopców stajennych i lokai.

– Trafiony. – Hrabia westchnął i rozłożył ręce. – W tej dziedzinie nie mogę pierwszy rzucić kamieniem. Jednak radziłbym ci wyrzucić tę trupę z domu i to jak najprędzej.

Książę rozważał tę propozycję w milczeniu. Nie był głupcem, nie dawał się łatwo zastraszyć, ale musiał przyznać, że tym razem jego kuzyn miał rację. Z pewnością wśród nich był przynajmniej jeden terrorysta. To mogło mu przysporzyć poważnych kłopotów, a co najmniej sporo zdenerwowania, nim trupa wyjedzie. Ale wtedy wyobraźnia podsunęła mu znów obraz tych magicznych, szmaragdowych oczu Damy Kameliowej. Jeśli kiedykolwiek widział młodą boginię, to właśnie ją. Ale gdyby ich odpowiednio kontrolować... Podjął decyzję, na jego ustach pojawił się uśmiezek.

– Nie... – powiedział powoli. – Cała grupa zostanie.

– A dynamit? – syknął hrabia Kokowcow. – Chyba nie chcemy...

– Rób, co ci każe – powiedział zniecierpliwiony książę. – Wiem, co robię.

– Mam taką nadzieję, bo jeżeli będzie z tego jakieś nieszczęście, odpowiedzialność spadnie tylko na ciebie – odparł ponuro kuzyn. – Ja umyłam ręce od całej tej sprawy.

– Otóż nie. Twoja podejrzliwość bardzo się przyda. Chcę, żeby każdy członek tej grupy był śledzony, a pistolet i dynamit pod kontrolą przez całą dobę. Musisz dopilnować, żeby ich nie ruszano. Ktokolwiek będzie próbował ich dotknąć, ma być aresztowany. Jeżeli będziesz musiał, wynajmij dodatkowe siły policyjne i straż. Tymczasem pozwolimy im jutro wieczorem zagrać, jak gdyby nigdy nic. Pojutrze i tak wyjadą.

– Ależ jutro będzie tu pół miasta! – zdumiał się hrabia. – Może nawet car i caryca!

– A więc masz zadbać o to, żeby nic tragicznego się nie zdarzyło. Mam nadzieję, że jesteś w stanie to zrobić?

Oczy hrabiego rozblęły ogniem, lecz zaraz zgasły. Przytaknął z nieszczęśliwą

miną.

– Dobrze, to załatwione. Zrób, jak ci mówiłem, a ja zajmę się swoimi sprawami. – Aha – książkę sięgnął do kieszeni i wręczył hrabiemu pudełko z biżuterią. – Odnieś to do Faberge’a.

Następnie odszedł.

Stojący za nim Mordka Kokowcow uniósł ręce w geście poddania. Zastanawiał się tylko, co tym razem jego kuzyn kombinował. Chciałby wiedzieć, jaki szatański pomysł zaświtał w głowie księcia.

Jakież to będzie proste! – pomyślał Wasilij Daniłow, gdy lokaj otworzył przed nim następne połączone drzwi, prowadzące do jeszcze innego korytarza. Dostanie swą szmaragdowooką boginię wcześniej, niż się spodziewał.

Gdy ciemne, lodowate zimowe popołudnie przeszło w jeszcze bardziej lodowaty wieczór, a w końcu w arktyczną noc, zaczął padać lekki śnieżek, przyprószając St. Petersburg i zagłuszając dźwięki miasta. Kryształowe płatki błyszczały na ulicach, na tysiącach parapetów i w oświetlonych parkach, jakby jakiś bóg rozsypał nad ziemią garście diamentów. Barokowe i renesansowe pałace, położone nad skutą lodem Newą, wyglądały jak z bajki Puszkina, oświetlone światłem elektrycznym i świecami, przeblyskującymi poprzez mgiełkę śnieżnych płatków.

Trzy główne skrzydła Pałacu Zimowego były rzęsiście oświetlone i na zewnątrz, i w środku. Car i caryca przebywali w pałacu, odpoczywając po wieczornej modlitwie i późnej kolacji. W prywatnym apartamencie caryca i jej córki zajmowały się szyciem, a car pomagał swemu choremu na hemofilię synowi, Aleksemu, układać puzzle, kupione w sklepie angielskim na Newskim Prospekcie.

Pałac Daniłowów, nieco tylko mniejszy od Pałacu Zimowego, był również jasno oświetlony. Trzystuosobowa służba pracowała intensywnie, ale cicho, dwadzieścia cztery godziny na dobę, aby zdążyć przygotować jutrzejsze obchody pięćdziesiątych urodzin księżnej Iriny. Światła paliły się we wszystkich oknach, oprócz dwóch prywatnych apartamentów i pomieszczeń służbowych nad garażami i stajniami.

– Dziękuję – Senda uśmiechnęła się do młodego lokaja, który eskortował ją z teatru. Mijali zastępy służących odkurzających, froterujących i układających bukiety szklarniowych kwiatów w olbrzymich wazonach i czarach. Zamknęła za sobą drzwi. Po nie kończącej się drodze przez wielkie hole i przestronne salony, mały pokój na poddaszu, połączony z pokojem Szmarii, wydał jej się szczególnie

ciasny i skromny. Grube, gipsowe ściany były popękane, a proste umeblowanie zniszczone i niewygodne. Nie mogła się pozbyć uczucia żalu i zawodu. Miała nadzieję na nieco wykwintniejsze lokum, gdyż wspaniałość pałacu przekraczała wszelkie jej wyobrażenia. Poza częścią dla służby.

Zagryzła usta i postanowiła nie narzekać. Powinna raczej dziękować Bogu. W końcu mieli dach nad głową, jedzenia, choć prostego, pod dostatkiem i mnóstwo drewna na opał. Roztarła dłońmi ramiona i rozejrzała się po pokoju. Świeciła się tylko jedna lampka, rzucając ciemne cienie na szare ściany. Ogień w palenisku prawie wygasł. Było chłodno. Z początku myślała, że Szmaria śpi, ale zauważyła, że łóżko było nietknięte, a narzuta tak naciągnięta, że gdyby na nią rzucić kopiejkę – odbiłaby się.

Po chwili zobaczyła go, stojącego przy wąskim oknie, częściowo skrytego za grubą, podwójną zasłoną, mającą powstrzymać ostre wiatry wciskające się wszystkimi szparami. Stał bez ruchu, spoglądając w noc. Nie odwrócił się, żeby ją powitać. Może nawet nie usłyszał, że weszła. Zajrzała do łóżeczka, które gospodyni kazała przynieść z pokoju dziecinnego. Pozlącane rzeźbienia i atlasowa kołderka wyglądały groteskowo w tym pomieszczeniu, ale Senda uśmiechnęła się z zadowolenia odkrywając córkę. Tamara spała mocno, z paluszkami w ustach. Pamiętając przestrogi babci Gołdy, że dzieciom robią się krzywe zęby od trzymania palca w buzi, Senda wyjęła go ostrożnie, żeby nie zbudzić małej. Tamara potrzebowała snu. Przynajmniej do pojutrze będzie jej ciepło i wygodnie. To dziecko w swym krótkim życiu zaznało już zbyt wiele niewygód i zimna.

Upewniwszy się, że małej jest wygodnie, Senda rozrzuciła pogrzebaczem gasnący popiół w palenisku i dołożyła grube brzoźowe polano. Suche drewno prędko się zapaliło. Zadowolona, że teraz już będzie ciepło, podeszła do okna i stanęła za Szmaria. Wciąż się nie odwracał. Przecież musiał ją usłyszeć. Objęła go ramionami i przytuliła głowę do jego pleców. Stał dalej bez ruchu. Zmartwiło ją to, ale starała się mówić lekkim tonem.

– Myślę, że nauczyłam się całego tekstu – pochwalila się.

Ciągle milczał. Po chwili cofnęła się i zaczęła masować mu barki.

– Jesteś bardzo spięty.

– A czego się spodziewałaś? – Jego głos był przepełniony goryczą.

Odsunęła się.

– O co chodzi, Szmaria? – spytała cicho, by nie obudzić dziecka. – Nie cieszysz się, że zdażyłam? Teraz mamy całą noc dla siebie.

– Prawie cię dziś nie widziałem.

– Musiałam powtarzać cały tekst, aż się nauczyłam. Wiedziałeś o tym.

Obrócił się i spojrzął na nią. Mimo przyćmionego światła dojrzała dzikość bijącą z jego oczu. Patrzyli na siebie przez nieskończenie długą chwilę. Znów odwrócił się do okna.

t To aktorstwo uderzyło ci do głowy – burknął. – Tak samo jak ten jaskrawy luksus. Zdaje się, że pokoje dla służby ci nie odpowiadają. Dlatego cały dzień i pół nocy siedziałas tam na dole, w teatrze.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Przecież... sam się zgodziłeś, żebyśmy tu jutro wystąpili. Potrzebujemy pracy. – Znów się przysunęła i chciała go dotknąć, ale przewidując to, odsunął się i odszedł na drugi koniec pokoju.

W jej olbrzymich oczach malował się żal.

– Szmaria... – Była na granicy płaczu. – Co się stało? Co się z nami dzieje?

– Nic. – Wsadził ręce w kieszenie i patrzył na podłogę.

– To dlatego, że czuję się tutaj jak w klatce. Wciąż ktoś nas szpieguje. Chodzą za nami, jakbyśmy byli jakimiś złodziejami. Może po prostu potrzebuję świeżego powietrza.

Popatrzyła na niego, a potem westchnęła cicho.

– Jesteś pewien, że to tylko to? – spytała z powątpiewaniem.

– Po prostu uczucie zamknięcia?

– A co innego?

Patrzyła ze zdumieniem na grymas nienawiści, wykrzywający jego twarz. Była przerażona tą gwałtowną reakcją. Aż do tej chwili, póki nie poruszyła tematu jego działalności politycznej, był na ogół miły i kochający.

– Jeżeli jest to dla ciebie takie ważne, możemy stąd wyjechać natychmiast – zdecydowała spokojnie. – Żadne przedstawienie nie jest warte tego, żebyś był taki nieszczęśliwy. Szkoda naszej miłości.

– Rób, co powinnaś – powiedział chłodno – i ja też zrobię to, co muszę.

– Nie walczmy ze sobą, Szmaria – prosiła cicho, głaszcząc go po ramieniu. Gdzieś w głębi niej płonął ogień, świeciła nadzieja i drażyła desperacja. – Kochajmy się! Zapomnijmy o wszystkich urazach, niech wróci, co było między nami. – Przerwała i ciągnęła przytłumionym, cichym głosem. – Jeśli nie dla nas, to dla Tamary.

Patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, a ona objęła go rękami za szyję. Wspięła się na palce i pocałowała go. Zamknęła oczy, szukając ustami jego ust, ale były one jak z kamienia, zimne i martwe.

Westchnęła i opuściła ręce. Podeszła do okna i rozsunęła zasłonę. Śnieg padał coraz gęściej, ale ona tego nie zauważała. Samotna Iza stoczyła się po jej policzku, później następna i jeszcze jedna. Ile miesięcy minęło już od czasu, gdy kochali się ze Szmaria? Od czasu, gdy ją namiętnie obejmował i całował, szukając jej ciała, szukając spełnienia, jakie mogło im dać tylko niewyczerpane źródło wzajemnego pożądania? Zdała sobie sprawę, że to źródło, w każdym razie w jego przypadku, wyczerpało się.

A wszystko z powodu nieporozumienia. On uważał, że odrzuciła ich dziedzictwo, a zatem i jego. Załkała bezgłośnie, Ile się zmieniło! Dlaczego Szmaria jej nie rozumiał? To, co zrobiła, zrobiła przecież nie na złość jemu, ale żeby im ułatwić życie. W Rosji Żydzi byli wyrzutkami z powodu wyznania. Przejście na prawosławie zapewniało akceptację nawet w najwyższych sferach społecznych i wielu Żydów doszło do wysokich stanowisk w carskiej Rosji. Cztery miesiące temu, by zaoszczędzić sobie, a zwłaszcza Tamarze, prześladowań w przyszłości, Senda przeszła na prawosławie. W swych podróżach spotkała wiele ambitnych aktorek, które zrobiły to samo i tak jej poradziły.

Dla niej był to najprostszy sposób zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Przed oczami wciąż miała pogrom. Często śniły się jej koszmary i budziła się zlna potem. Szmaria może zrozumiałby, gdyby nie fakt, że mimo jego gwałtownych protestów również Tamarę ochrzciła w kościele prawosławnym. Odebrał to jak osobistą obrazę, obrazę wszystkiego, co mu było drogie. Senda natomiast uznała to za praktyczne posunięcie, zapewniające przyszłość jej i córce.

Gnębiło ją teraz pytanie, czy Szmaria kiedykolwiek zdobędzie się na to, żeby jej wybaczyć? Czy zapomni o tym, co uznał za zdradę ich religii i dziedzictwa? Czy kiedykolwiek jeszcze będzie ją tak kochał jak kiedyś? Tak jak ona go wciąż kochała? Te wszystkie myśli przelatywały jej przez głowę równie szybko jak płatki śniegu za oknem.

Łzy pojawiły się znów w jej oczach, ale płacz córki wyrwał ją z zamyślenia. Podeszła do łóżeczka. W pokoiku znów było chłodno, bo wygasł ogień. Tamara płakała z zimna i głodu. A może, zastanawiała się Senda, jakoś wyczuwała, nawet we śnie, że coś jest nie w porządku, i potrzebowała pociechy, tak jak i ona?

Dopiero wtedy zauważyła, że Szmarii nie ma w pokoju. Nie słyszała, jak wychodził, pogrążona w swych niewesołych myślach. Wzdrygnęła się, ale nie z zimna; Przeszły ją ciarki ze strachu. Gdzie jest Szmaria? Dokąd poszedł? Co znowu wymyślił? O Boże, modliła się bezgłośnie, niech robi wszystko, co chce, byle ostatecznie nie skrzywdziło to Tamary.

Długo trwało, nim strażnik odszedł na drugi koniec wąskiego korytarza, odwrócił się i zapalił papierosa. Wtedy Szmara skorzystał z okazji. Zamknął bezgłośnie drzwi i zbiegł wąskimi schodami na parter. Uniknięcie spotkania ze służbą nie było prostą sprawą. Gdy Daniłowowie spali, mała armia pracowała jak szalona, żeby przygotować wszystko na jutrzejszą uroczystość. Gdy wreszcie dotarł do olbrzymich salonów recepcyjnych na parterze, pomyślał, że teraz już uda mu się uciec.

Drewniane podłogi korytarzy i salonów były swoistymi arcydziełami: posadzki, ozdobione zawijasami z ciemniejszego drewna, były wypolerowane, błyszcząły pięknym, miodowym odcieniem... Mimo ciepła bijącego z porcelanowych pieców i grzejników parowych, Szmara czuł na stopach wilgotny chłód. Buty trzymał w rękach, by jak najciszej dotrzeć do ocienionej wnęki. Przy najbliższym szmerze przyciskał się do marmurowych posągów. W końcu wślizgnął się za podwójną kotarę, otworzył wysokie szklane drzwi w jednym ze wspaniałych salonów i wysunął się na zewnątrz, blokując drzwi małym drewnianym klokiem, by się nie zamknęły. W słabym, żółtym świetle dochodzącym z okna na piętrze wciągnął buty. Znajdował się na tarasie wychodzącym na park, w dole płynęła rzeka.

Było potwornie zimno. Choć ciepło opatulony, poczuł natychmiast lodowaty wiatr, od którego powietrze zamarzało w nosie. Zasłonił szalikiem dolną część twarzy. Nagłe uczucie wolności jednocześnie przerażało go i zachwycało. Przez dłuższą chwilę stał ukryty w ciemności, bojąc się, że zostanie dostrzeżony, usłyszany lub, co gorsza, śledzony, nim osiągnie swój cel. Gdy był prawie pewien, że nikt go nie szpieguje, przekradł się wzdłuż pałacu, starając się trzymać jak najbliżej ściany. Koło wejścia dla służby usłyszał jakieś dzwonki i dostrzegł samotne sanie, zaprzężone w dwa niecierpliwe konie. Podkradając się bliżej, Szmara z obrzydzeniem skrzywił nos. Nie były to żadne luksusowe sanie pasażerskie, tylko zimowa wersja wozu na śmieci. Rysujące się w ciemności postacie służących krążyły tam i z powrotem, wysypując do wozu zawartość skrzyń i beczek. Gdy ładowano śmieci, Szmara podpełznął bliżej. Wkrótce znajdował się zaledwie kilka metrów od sań. Dostrzegł, że były zbudowane prymitywnie, z odpadów drewna, ale osadzone na solidnych, metalowych płozach. Odetchnął z zadowoleniem. Drewniany pojemnik na śmieci znajdował się powyżej siedzenia woźniców, więc wdrapanie się tam było dziecinnie proste. Skrzywił nos z obrzydzeniem i podciągnął wyżej swój zniszczony szalik. Nie spodziewał się, że

w takim zimnie smród może być tak dotkliwy. Z tego jednak powodu nie musiał się martwić, że strażnicy przy bramie będą zaglądać do wozu. Gdy wreszcie śmieci załadowano, dwaj woźnice wdrapali się na swoje miejsca. Jeden łyknął z flaszki i podał ją sąsiadowi, a później widać było tylko ich oczy pod nasuniętymi głęboko czapkami. Podniesione kołnierze mieli obwiązane szalikami. Usłyszał, jak ryglowano służbowe drzwi pałacu. Zrobiło się znacznie ciemniej. Napięcie Szmarii wzrosło, gdy bat strzelił głośno. Konie stęknęły w proteście, a sanie natychmiast ruszyły, dzwoneczkami ostrzegając ewentualnych przechodniów.

Teraz nadeszła odpowiednia chwila, pomyślał Szmaria. Przykucnął, chwycił jedną ręką za płozy i rzucił się na śnieg. Dał się ciągnąć przez kilka metrów. Później podsunął się bliżej, chwycił najpierw jedną, a potem drugą wystającą podpórkę, które sięgały od płóz do skrzyni, aż nogi natrafiły na poprzeczkę między płozami. Spojrzał w dół. Biały grunt uciekał coraz szybciej. Bez dalszych trudności wdrapał się na górę sań, a na szczycie wskoczył na kupę śmieci. Smród był znacznie gorszy, niż się spodziewał. Musiał oddychać ustami, ale i tak walczył, żeby nie zwymiotować. Cisza była najważniejsza. Nawet najmniejszy szelest mógł zwrócić uwagę woźniców.

Po kilku chwilach sanie znalazły się przy bramie. Szmaria wyjrzał przez szparę między deskami. Straż najwyraźniej poczuła potworny odór i nawet się nie zbliżała. Otwarto podwójną bramę i prędko przepuszczono sanie. Przejechały Nową po moście w pobliżu Twierdzy Pietropawłowskiej i popędziły prosto w kierunku Małej Newki, aż przejechały przez jeszcze jeden most na Kamienny Ostrów. Szmaria, mimo że nie znał miasta, wyczuł, że czas opuścić ten piekielny pojazd. Wdrapał się na najwyższy szczebel i przygotował do skoku. Czekał skulony przez kilka sekund i skoczył. Wydawał się przez chwilę wisieć w powietrzu, nim uderzył boleśnie o przyzębę śniegu. Powoli wstał na nogi. Dzięki Bogu, niczego nie złamał ani nie zwichnął. W najgorszym przypadku miał kilka siniaków.

Zaczął gwizdać. Przynajmniej znalazł sposób na wydostanie się z Pałacu Daniłowów. Za nic w świecie nie mógł sobie wyobrazić, jak można, chcieć w czymś takim mieszkać. Choćby nie wiem jak połączane, było to więzienie, w którym tkwili z własnej woli. Nie tylko odgradzili świat zewnętrzny od siebie, ale i siebie od świata. Zastanawiał się, czy Daniłowowie kiedyś o tym pomyśleli.

Rozejrzał się po ulicy. Było bardzo niewiele przechodniów, gdyż wieczór nie skłaniał do spacerów. Pogoda mu sprzyjała.

Zadowolony, że nikt go nie śledzi, ruszył w drogę. Przypomniawszy sobie adres,

jaki podał mu w Kijowie rewolucyjny „brat” i jaki wyrył w pamięci na wieki.

– To nasi ludzie, Szmaria – powiedział mu Sasza Siergiejewicz Kramiński. – Pracując z nimi można zdziałać cuda. Daj mi ten dynamit.

Nie wziął go teraz z sobą. Leżał wciąż bezpiecznie między rekwizytami i kostiumami. Zanim go im przekaże, musi sprawdzić, czy przyjaciele Saszy są równie zdecydowani jak on. Czy na niego zasługują, czy go zmarnują. Wkrótce się przekona. Najpierw musi się dowiedzieć, gdzie mieszkają, czy wciąż działają razem. Żołądek ścisnął mu się ze strachu. Musi uważać. Może ich dawno aresztowano, może dom jest pod obserwacją?

Doszedł w końcu do przystanku tramwajowego. Czekał prawie pół godziny na elektryczny tramwaj, ale nie nadjeżdżał. W końcu przeszła jakaś skulona staruszka i mruknęła, że pewnie za bardzo pada i nic nie przyjedzie. Spytał ją o drogę, a ona odsunęła się od niego, czując zapach dochodzący z jego ubrań. Wskazała przeciwny kierunek i poczłapała dalej.

Szmaria podziękował i ruszył pieszo. Gdy już prawie dochodził do ulicy, której szukał, poczuł na karku mrowienie. Zamarł na ułamek sekundy. Instynkt jeszcze nigdy go nie zawiódł.

Więc jednak był śledzony. A może mu się tylko zdawało? Zerknął dyskretnie przez ramię. Kilkanaście metrów za nim dwaj mężczyźni, jeden tęgi, a drugi drobnej budowy, wyglądali jak blade cienie w zacinającym śniegu. Gdy się odwrócił, czyżby zwolnili? Pograżyli się w rozmowie? A może to też tylko sobie wyobrażał? Ale ich kroki... Niby szli od niechcenia, ale kroki mieli bardzo długie. Jeśli się nie pośpieszy, zbliżą się do niego.

Szedł dalej już znacznie szybciej i skręcił nagle na skrzyżowaniu. Znalazł się na mniejszej, równie pustej uliczce.

Zaryzykował spojrzenie za siebie i zobaczył, że i oni skręcili i są coraz bliżej. Odruchową reakcją był bieg, ale wiedział, że musi zachować siły na później. Poza tym nie chciał, żeby wiedzieli, że ich przejrzał. Serce mu waliło. Słyszał za sobą echo przyśpieszonych kroków. Więc jednak go śledzili i już tego nie ukrywali. Uśmiechnął się ponuro, krzywiąc usta pod szalikiem. Wszystko było jasne. Oni byli wilkami, a on ich łupem.

Strach i instynkt były potężną mieszanką: zacisnął pięści i zaczął biec najszybciej, jak mógł, w kierunku jasno oświetlonego skrzyżowania. Jednak słyszał ich kroki coraz bliżej. W panice zaczął się zastanawiać, czy poradzi sobie z obydwojma, jeśli zajdzie taka konieczność. Usłyszał nagle okrzyk zdumienia, po nim głuchy odgłos i przekleństwo. Widocznie jeden z nich poślizgnął się i upadł na

lód. Szmaria poczuł iskierkę nadziei.

Zebrał wszystkie siły i wyrwał do przodu, w kierunku coraz bliższej oświetlonej ulicy. Jeszcze dwadzieścia metrów... jeszcze piętnaście... dziesięć... dziewięć...

Odległość zmalała do dwóch metrów, później jednego i nagle znalazł się wśród tłumu idącego chodnikiem. Domyślił się, że pewnie wychodzili z teatru albo restauracji, którą właśnie zamknięto na noc. Rozpychając się łokciami wepchnął się między pary i grupki ciepło ubranych, paplających radośnie ludzi. Ktoś złapał go za ramię, ale się wyrwał. Jakaś kobieta, wrzasnęła:

– Uważaj pan!

W końcu Szmaria stanął, wsunął się w ciemne przejście i przylgnął do drzwi. Wyciągnął szyję i spojrział w lewo. Nadzieja go opuściła. Nawet jeśli któryś z nich się przewrócił, na pewno nie złamał nogi. Pojawili się obaj i rozglądali się teraz po zatłoczonej ulicy. Ten cięższy zobaczył go, pokazał palcem i znów za nim ruszyli. Szmaria zauważył z ponurą satysfakcją, że drobniejszy wyraźnie utyka, co opóźniało ich obu.

Nagle zdarzył się cud. Tłum, przez który tak się przepychał, nie był pokojowo nastawiony. Bojowe nastroje wzrosły i gonącym zablokowano drogę. Ludzie zaczęli krzyczeć i wkrótce słowna potyczka przeszła w bójkę. Pięści poszły w ruch, a wokół walczących zbierał się coraz większy tłumek ciekawskich.

Szmaria wymknął się z bramy i znikł. Teraz jego prześladowcy otoczeni byli grupą walczących. Choćby się nie wiadomo jak – starali, nie będą w stanie go dogonić. Słyszał widzów nawołujących do walki i uśmiechnął się. Nie ma jak bójka, żeby wyzwolić w ludziach to, co najgorsze.

Pół godziny później dotarł do celu, krążąc ostrożnie inną drogą. Był to mały, wyblakły domek wciśnięty między inne, identyczne. Różniły je tylko obdrapane numery na drzwiach. Wślizgnął się ostrożnie i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Korytarz był wąski i zimny, gołe żarówki słabo oświetlały wąskie schody. Gdy wchodził na najwyższe piętro, skrzypiały pod jego ciężarem. Ostrzegają o moim nadejściu, pomyślał ponuro, czując jednocześnie wdzięczność dla kogoś, kto wybrał to miejsce. Boże uchroni, żeby miał do czynienia z głupcami.

Na podeście drugiego piętra była przepalona żarówka. Z trzeciego piętra również nie dochodziło żadne światło. Musiał przyzwyczaić oczy do piekielnych ciemności, żeby iść dalej, przeklinając niebezpieczne schody. Gdy zrobił pierwszy krok na trzecie piętro, od ściany za nim oderwał się jakiś cień i Szmaria poczuł z tyłu głowy chłodną lufę pistoletu. Jednocześnie usłyszał charakterystyczny dźwięk.

– Zrób tylko jeden krok – ostrzegł go szept – a rozwalę ci łeb.

Mordka Kokowcow leżał w ciepłej sypialni swego luksusowego apartamentu na drugim piętrze wschodniego skrzydła Pałacu Daniłowów. Leżał na puchowych poduszkach już tak długo, że pod przymkniętymi powiekami pojawiały mu się różne duchy i zjawy. Męskie aniołki w pełnej erekcji podlatywały prowokująco w jego stronę. Lepsze niż ten nieszczęsny Michaił.

Michaił! Mordka przestał pieścić swój członek i usiadł, otworzywszy szeroko oczy. Gdzie, do diabła, ten chłopak się podziewa? Czeką już... jak długo? Pstryknął nocną lampkę z czarnym abażurem i zerknął na mały pozłacany zegar. Była prawie północ.

Północ! Więc czekał już kilka godzin! Czy to możliwe? – pytał sam siebie wykrzywiając usta ze złością. Czy haszysz, który wcześniej wypalił, tak mu zmacił poczucie czasu? Odrzucił puchową pierzynkę i wyskoczył z łóżka. Wyraźnie zdenerwowany chodził po pokoju. Oddychał głęboko i równo, starając się uspokoić. Otworzył kryształową karafkę i drżącymi rękami nalał sobie kieliszek. Odchylił głowę i wypił jednym haustem. Odstawił kieliszek na marmurowy blat biurka, rzucił się na zielony aksamitny fotel i czekał na Michaiła, bębniąc niecierpliwie palcami o poręcz fotela.

– Gdzie, u licha, jest ten piekielny chłopak? – burczał.

Jak na zawołanie usłyszał, jak drzwi salonu otwierają się i zamykają delikatnie, a później doszły go przytłumione szepty, przerywane jękami. Wiedział od razu, że coś się stało. Cholera! Zeskoczył z fotela i nago pobiegł do salonu. Wziął głęboki oddech i zamarł w drzwiach. Ze zdumienia rozdziawił usta.

Widok, jaki zastał, nie należał do pięknych. Iwan niósł Michaiła jak piórko, ułożył go na sofie. Michaił stęknął. Ubranie miał podarte i brudne, na czole głębokie rozcięcie, a opuchnięta lewa część twarzy była brązowoczerwona od zastygłej krwi. Oczy miał zamknięte, ale na pierwszy rzut oka było widać, że rany Iwana są znacznie lżejsze. Iwan, wierny sługa Mordki, był Kozakiem, krzepkim i twardym, w przeciwieństwie do delikatnego, czternastoletniego blondynka. Mordka powstrzymał gniew i zwrócił się do Iwana.

– No i co? – warknął. – Będziesz tu stał jak głupek przez całą noc? Przynieś ciepłą wodę, ręczniki i bandaże. I nikogo nie wpuszczaj!

Iwan poczuł gromadzące się na czole kropelki potu i wybiegł z pokoju.

Zaciskając usta ze złości, hrabia zbliżył się do sofy.

Wyczuwając jego obecność, Michaił próbował unieść głowę. Powoli otworzył

oczy. Spojrzenie jego było dalekie, jakby nie z tego świata. Próbował się uśmiechnąć, – Przepraszam – szepnął niewyraźnie przez opuchnięte usta. – Zawiodłem pana. – Znow zamknął oczy, nie wiadomo czy ze zmęczenia, czy ze wstydu.

Miłość Mordki natychmiast znikła, gdy spojrzął na poturbowanego kochanka, ale czuł się w obowiązku go pocieszyć.

– No, już dobrze – mówił łagodnie, choć spojrzenie miał lodowate. – Już wszystko w porządku. Jesteś bezpieczny. – Ukłękł przy chłopcu i rozbierając go, głaskał zimną ręką. Wzdrygnął się, gdy zobaczył obrzydliwe sińce, rozlewające się na tym gładkim, młodym ciele.

Powiało chłodem, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Iwan, niosąc dzban ciepłej wody, miskę oraz ręczniki i bandaże. Mordka wskazał mu miejsce obok siebie, na podłodze. Ostrożnie przemył i opatrzył rany chłopca, który co chwila syczał z bólu. Sprawiało to Mordce satysfakcję. Gdy skończył, umył ręce, westchnął i wstał, patrząc na Michaiła bez zainteresowania. Chłopak nie zasługiwał na współczucie. Zawiodł. W końcu Mordka skinął na Iwana, by wszedł z nim do sypialni. Zamknął cicho drzwi i zwrócił się do służącego.

– Kto to zrobił? – spytał Mordka cicho. – Czy to ktoś z trupy teatralnej?

Zachowywał wciąż pozorny spokój, tylko nerwowy tik na prawej skroni ostrzegał Iwana przed skrywaną wściekłością chlebodawcy. Iwan unikał jego wzroku i zwiesił głowę, koncentrując uwagę na wzorach na zielonym dywanie. Nie miał ochoty mierzyć się ze spojrzeniem swego pana. Powoli potrząsnął głową.

– Śledziliśmy jednego z nich, ale urwał się nam. Staraliśmy się dostać do niego, kiedy ten wściekły tłum...

Mordka uniósł rękę.

– Oszczędź mi tych tłumaczeń – powiedział znużonym tonem.

Odwrócił się plecami do Iwana i założywszy jedną rękę na plecach spacerował po pokoju eleganckimi, wymierzonymi krokami, nie zdając sobie sprawy, jak śmiesznie wyglądał, nie mając na sobie nic prócz olbrzymiego pierścienia z rubinem na palcu.

– Miałeś tylko dwa zadania – powiedział ponuro. – Dwa!

– zrobił dramatyczną przerwę. – Pierwsze, to zwykła obserwacja, z Michaiłem do pomocy, gdyby zaszła taka potrzeba. I drugie – dopilnować, żeby mu się nie stała krzywda. W obu nawaliłeś.

– Mordka obrócił się z prędkością atakującej kobry i zamarł w pozie pomnika, przypatrując się Kozakowi z zimną uwagą.

Iwan uniósł swą nieruchomą, jak wykutą z brązu twarz i spojrzał z godnością na swego pana. Miał już dosyć. W jego żyłach płynęła krew dumnych, walecznych przodków. Kozacy nie błagają o litość. Mordka zmierzył się z nim wzrokiem i uśmiechnął cynicznie. Wysokie czoło zarumieniło mu się z podniecenia, a usta zadrżały.

– Czasem zastanawiam się, dlaczego cię jeszcze trzymam, Iwan – powiedział, besztając go jak małe dziecko. – Zauważyłem, że jesteś ostatnio znacznie większym ciężarem, niż jestem skłonny znosić.

To ton, a nie słowa Mordki wywołały na karku Iwana dreszcz przerażenia. Znał swego pana nie od dziś, więc czuł, że śmierć wisi w powietrzu. Również zachowanie hrabiego wyrażało tę samą chłodną obojętność, z jaką traktował swe bezbronne ofiary.

Iwanem miotały sprzeczne uczucia nadziei i obawy. Zastanawiał się: kim będę dzisiaj? Katem czy ofiarą? Nie miał wątpliwości, że Mordka mógł się go łatwo pozbyć przy pomocy swej zaufanej maszyny śmierci. Iwan wziął głęboki oddech. Musiał odwrócić uwagę swego pana, skierować jego wściekłość w inną stronę.

– Przysięgam, że to, co się stało, już się nigdy nie powtórzy – powiedział drżącym głosem. – Nie doceniłem tego, którego śledziliśmy. On nie jest taki głupi – przerwał nagle – ale nie wszystko stracone – starał się zainteresować Mordkę.

Szczurze oczka hrabiego rozbłysły i popatrzył na Iwana z ciekawością.

– Więc wiesz, dokąd poszedł ten mężczyzna? – spytał.

Iwan zawahał się, chcąc zyskać na czasie.

– Dom na ulicy Potiomkina – powiedział powoli – ale nie wiem dokładnie który. Raz nam się urwał, więc kiedy go znów dostrzegłem, pomyślałem, że lepiej nie trzymać się za blisko.

– Kiedy ty go znalazłeś? Innymi słowy, byłeś sam. Pozostawiłeś Michaiła bez opieki. To oczywiście wyjaśnia fakt, dlaczego jest taki okropnie poraniony.

Iwan przygryzł dolną wargę. To, co teraz powie, albo go uratuje, albo przypieczeruje jego los. Nabrał głęboko powietrza i skinął głową.

– Tak – powiedział. Czekał z bijącym sercem, po czym ciągnął dalej. – Później, kiedy już upewniłem się, dokąd idzie, wróciłem pomóc chłopcu i przyniosłem go tutaj. Uznałem, że dokładnie namierzę dom następnym razem.

Mordka rozważał to w milczeniu. Z jego miny nie można było niczego wyczytać.

– Więc przyznajesz, że opuściłeś Michaiła.

Iwan skłonił się.

– Mam nadzieję, że pan mi to wybaczy.

Mordka wydawał się nie słyszeć. Podszedł do kominka, oparł się o niego ręką i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w swoje odbicie w połączonym lustrze. Musi szybko zdecydować. Nigdy nie przyłapał Iwana na kłamstwie. Z drugiej strony – Kozak był dostatecznie sprytny, żeby wiedzieć, że chłopca, nawet takiego zaufanego jak Michaił, można łatwo wymienić. Znacznie łatwiej niż oddanego Kozaka, który wypełni każdy rozkaz bez zadawania pytań. Czy mówi prawdę?

Mordka zebrał się w sobie, odwrócił od kominka i znów w milczeniu spacerował po pokoju. Wydawało się, jakby zmienił mu się kolor oczu. Były wyblakłe, a skórę na policzkach miał napiętą.

Widząc tę twarz, Iwan nie potrafił ukryć przerażenia.

– Chłopiec szybko wyzdrowieje – powiedział prędko drżącym głosem. – Niedługo będzie jak nowy. Zabiorę go do gruzińskiego masażysty na ulicy Orłowa. Mówią, że ma w rękach uzdrowicielską siłę.

Mordka potrząsnął głową. Głos miał spokojny.

– Nie, nie. Michaił się nie nadaje i jest głupi, ale nie o to chodzi. Nie będę tolerował uszkodzonego towaru. – Położył na ustach mały palec, na którym rubin wyglądał jak wielka kropla krwi.

Mordka myślał intensywnie. Tak czy inaczej, czas było pozbyć się tego chłopca. Kiedy go obmywał, zauważył z przerażeniem, że brzoskwiniowy meszek na jego twarzy zaczął się zmieniać w zarost. Nie był jeszcze wyraźny, w końcu dotychczas go nie widział, ale z czasem...

Tak, czas na zastrzyk młodości i nową przygodę. Ten chłopak zaczął go nudzić. Trzeba świeżej krwi. Jakby dla potwierdzenia tego faktu wizja innego dziecka wywołała miły dreszczyk w jego lędźwiach.

– Nie zawracaj sobie głowy masażystą – powiedział od niechcienia. – Ten chłopak przynosi wstyd. Nie jest mi już potrzebny.

Iwan poczuł, jak twardy węzeł w jego żołądku powoli się rozluźnia. Więc karzący topór spadnie nie na niego, tylko na chłopca. Odwrócił prędko głowę, żeby Mordka nie zauważył ulgi na jego twarzy. Pewien był, że zyskał dość czasu, żeby zbadać, gdzie znikł tamten mężczyzna. Dużo chodzenia i trochę szczęścia, a na pewno znajdzie. Mordka będzie z niego zadowolony. Może go nawet wynagrodzi.

Wysoki głos hrabiego wbił się w jego marzenia jak nóż w masło.

– Możesz już iść. I zabierz chłopaka z sobą.

– Tak jest. – Iwan pośpieszył do drzwi i otworzył je.

– I jeszcze coś, Iwan.

Z ręką na klamce Kozak odwrócił się do swego pana.

– Słucham?

– Dopilnuj, żeby za bardzo nie cierpiał.

– Jak pan sobie życzy.

Mordka westchnął głęboko.

– Chociaż właściwie... Powinien trochę pocierpieć. W końcu... – uśmiechnął się kwaśno – naprawdę, rozczarowałem się.

Dzień urodzin księżnej Iriny nie rozpoczął się przyjemnie, w każdym razie nie dla Senty.

O wpół do ósmej rano obudziło ją silne, jakby urzędowe walenie do drzwi. Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe, aż obudziło Tamarę, która zaczęła płakać.

Do diabła. Senta wyskoczyła z pościeli i po drodze do drzwi narzuciła na siebie flanelowy szlafrok. Roztarta ramiona. W pokoju panowało lodowate zimno. Podłoga, po której stąpała bosymi nogami, była jak zamarznięta. Ogień na palenisku dawno wygasł. Gdy oddychała, z jej ust i nosa wydobywały się obłoczki pary. Spojrzała na swoje odbicie w zmatowiałym lustrze i westchnęła ze zgrozą. Wyglądała strasznie: oczy podpuchnięte i zaczerwienione, zupełnie nie wypoczęła.

Pukanie do drzwi nie ustawało. Ze złością odwróciła się od lustra i otworzyła drzwi. Oskoczyła od nich kobieta w szarym stroju i białym wykrochmalonym fartuszku, trzymająca się za serce. Najwyraźniej nagły ruch, z jakim drzwi zostały otwarte i groźna mina Senty tak ją przestraszyły.

Niesforne włosy wymykały się spod splecionej niemieckim obyczajem korony na głowie i wyraźnie wygrywały tę nierówną walkę. Twarz za to miała gładką, młodą i tryskającą zdrowiem, nos jak guziczek, rumiane policzki i naturalnie różowe usta. Chabrowe oczy patrzyły badawczo. Senta uznała, że może mieć dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia jeden lat. Tylko rok czy dwa więcej od niej.

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie i opuściła rękę, którą trzymała się za serce.

– Słucham? – spytała Senta, siląc się na uśmiech, który miał zrekompensować jej poprzednie zachowanie.

Młoda kobieta dygnęła.

– Nazywam się Inge Meier, jaśnie pani. Przyszłam po dziecko – powiedziała po rosyjsku, ale z obcym akcentem.

– Jego Wysokość prosił, żebym zabrała dziecko do pokoju dzieciennego w skrzydle dla rodziny i tam się nim zajęła.

– Zawahała się, odwróciła wzrok i dodała miękko. – Kazał pani powiedzieć, że chyba najlepiej będzie, jak pani skoncentruje się na innych rzeczach, jeżeli ma pani występować dziś wieczorem.

– On ci tak kazał powiedzieć? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak, jaśnie pani.

– Rozumiem. – Uśmiech zastygł na ustach Senty. Z wściekłością zaczęła nerwowo przyglądać włosy. Jak śmie wtrącać się do jej rodziny? Nie miała zamiaru spuszczać Tamary z oczu, a co dopiero powierzać ją opiece nieznajomej. Ale właściwie jakie miała wyjście? Podejrzewała, że „prośba” jego wysokości była w rzeczywistości rozkazem.

Powoli złość jej przechodziła. Nie mogła go za to winić. Bóg jeden wie, że winna mu jest najlepsze przedstawienie, jakie może dać. Potrzebna będzie do tego jak największa koncentracja. Dziś był właśnie taki dzień, w którym nie będzie żałować, że nie zajmuje się Tamarą.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Proszę tu poczekać.

– Tak, jaśnie pani.

Senta weszła do środka, przymykając drzwi, żeby ukryć śpiącego Szmarię, i podeszła do łóżeczka. Tamara spojrzała na nią i wyciągnęła małe, tłuste łapki. Senta wyjęła ją i pocałowała. Przytuliła córkę do twarzy i płacz, z którym dziecko się obudziło, zamienił się w śmiech.

– Będiesz grzeczną dziewczynką – szepnęła Senta do córki. – Słyszysz? Nie przynieś mi wstydu. Spróbuję cię odwiedzić. – Podeszła do drzwi, zmusiła się do uśmiechu i napotkała chabrowe spojrzenie.

– Będiesz jej dobrze pilnować? – spytała niespokojnie, podając jej Tamarę.

– Oczywiście, jaśnie pani. Jak swoją własną. – Niania pochyliła się nad trzymanym w rękach zawiniątkiem i gruchała cicho do dziecka. Tamara radośnie się roześmiała.

Senta też się uśmiechnęła, bo spodobały jej się uczciwe oczy młodej kobiety i jej pewność siebie.

– Przepraszam, nie zrozumiałam, jak ci na imię?

– Inge, proszę jaśnie pani. – W jej oczach widniała odwzajemniona sympatia.

– A mnie Senta Bora. Mów mi po imieniu, proszę.

Inge była zdumiona, że ktoś, dla kogo ma pracować, może być tak bezpośredni.

– Oczywiście, jaśnie pani – powiedziała uroczyście, kołysząc w ramionach

Tamarę.

Senda uśmiechnęła się, podziękowała, zamknęła drzwi i poczłapała z powrotem do łóżka. Chciała się jeszcze przespać. Rzuciła się na łóżko w szlafroku i trzęsąc się z zimna, nakryła po uszy. Nagle ogarnął ją atak śmiechu.

„Jaśnie pani!” Niania zwracała się do niej „Jaśnie pani”! To dopiero, pomyślała Senda. Po chwili zamknęła oczy i już zasypiała, gdy ktoś znów zapukał do drzwi.

– O Boże – jęknęła, siadając na łóżku. Serce zamarło w niej na moment z przerażenia. Przeszył ją strach, jak błyskawica. Zwykle opanowana i praktyczna, tym razem pomyślała o tysiącu nieszczęść, jakie mogły być przydarzyć się Tamarze. Jakiś wypadek, niania ją upuściła... Podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież, ale panikę zastąpiło uczucie ulgi. Zobaczyła kolejną nieznaną, kobietę jak beczułka, wpatrującą się w nią przez okulary w drucianej oprawie. Senda oparła się o drzwi, przymknęła oczy i cicho odmówiła modlitwę dziękczynną.

– Nic pani nie jest, kochanie? – spytała z troską nieznaną. Senda pokiwała głową czekając, aż ochłonie.

– Nie, w porządku. – Spojrzała na kobietę i zobaczyła w jej oczach prawdziwy niepokój. – Naprawdę. Tylko przez chwilę...

– Przez chwilę wyglądała pani, jakby miała zaraz zemdleć. Okropnie się przeraziłam. – Kobieta zaśmiała się cicho.

– Niech się pani uspokoi – powiedziała grożąc Sendzie palcem. – Wewnętrzny spokój i optymizm. Zmieniają zupełnie spojrzenie na życie. Oczywiście jest to stan dość trudny do osiągnięcia, ale wyższe cele na ogół takie są, prawda?

Senda nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wprawdzie nie miała pojęcia, o czym ta kobieta mówiła, ale jej radosny sposób bycia, podobnie zresztą jak postać nieznaną, poprawiły nastrój dziewczyny. Nie widziała jeszcze nikogo takiego. Kobieta była niska i krępa, z potężnym biustem i łagodnymi, turkusowymi oczami, powiększonymi przez grube szkła. Jej oryginalność podkreślał jeszcze kapelusz z piórami, chwiejący się na czubku głowy. Spod niego patrzyła na Sendę gładziutka, błyszcząca twarz, okrągła i różowa, z kilkoma trzęsącymi się podbródkami. Miała wspaniałą cerę, częstą u grubszych pań. Pachniała mydłem Pears i bzem.

– Więc pani jest aktorką – powiedziała przypatrując się Sendzie z taką samą ciekawością jak przed chwilą ona jej.

– Wasilij mówił mi, że jest pani piękna, ale nie zdołał opisać, jaka czarująca. – Machnęła ręką. – Mniejsza z tym. Mamy tak mało czasu i tyle do roboty. Pokażemy im, że potrafimy góry przenosić, co? Kiedy może pani być gotowa, moja droga?

Senda patrzyła zdumiona, starając się bezskutecznie nadażyć za potokiem słów i nieustanną zmianą tematów.

– Gotowa? Do czego? – szepnęła zmieszana. – Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Oczywiście, że nie. Chciał, żeby to była niespodzianka.

– Ale co – jeśli wolno spytać – jest tą niespodzianką?

– Senda dotknęła ręką czoła, jakby nagle rozboleła ją głowa.

– Jak to co? Przysiłka! Oczywiście, ależ jestem głupia, zapomniałam, że to niespodzianka. Nic pani nie powiedział?

– Zaśmiała się i przerwała swą paplaninę, ułożywszy ręce na biodrach, żeby zmierzyć Sendę wzrokiem od stóp do głowy.

– Zaraz! Chwileczkę! Różowy czy gołębi? Nie! Biały! Będzie tak ciekawie na pani wyglądał, tak dziewiczo. Będzie pasować... – Olbrzymie oczy błyszczały radośnie. – Chodźmy, chodźmy! Już dosyć czasu straciłyśmy na pogaduszki. Idziemy! Jest jeszcze tyle... – Przeszła obok Senty do pokoju i stanęła jak wryta. – Och! O Boże! Co za bezmyślność! – Odwróciła się, kładąc dłoń na ustach. – Nie zdawałam sobie sprawy...

– ... że w moim łóżku śpi mężczyzna? – dokończyła za nią Senda, uśmiechając się lekko.

Kobieta przytaknęła z nieszczęśliwą miną.

– Proszę mi wybaczyć, moja droga, nie chciałam być niedyskretna. To znaczy... No, niech pani włoży cokolwiek na siebie. I proszę się nie przejmować kąpielą ani fryzurą. Na to będzie później dużo czasu. Księżna Irina ma boską fryzjerkę. Wiem z całą pewnością, że co najmniej jedna księżna i dwie hrabianki starały się ją pozyskać. Ale to już zupełnie inna historia. Znam ten pałac na wylot. Jest tyle schodów i korytarzy, że o niektórych zapomniano. Przeprowadzę panią do przymierzalni tak szybko, że nikt nie zauważy.

– Przymierzalni? Co to jest przymierzalnia?

– Dokładnie to, co ta nazwa sugeruje. Pokój cudów, cóż by innego?

– Cudów?

– Szycie, moja droga.

– Ale... po co? – spytała Senda oszołomiona.

– Po co? – kobieta była zdumiona. – Moja droga... – Potrząsając głową ujęła Sendę za ramię i poprowadziła korytarzem. – Występuje pani dzisiaj, prawda? – spojrzała pytająco.

– Tak.

– A później idzie pani na bal. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odmówiłby Wasilijowi. Ma takie humory... – Zauważyła, że Senda patrzy na nią osłupiała. – O co chodzi, moja droga?

– Bal? – Sendzie stanęło na moment serce. – Ja mam iść na bal?

– Po przedstawieniu – kiwnął olbrzymi kapelusz. – Tak. Wasilij pani nie zaprosił?

– Nikt mnie nie zapraszał.

– O Boże! Musiał zapomnieć. On taki jest, wie pani. Tyle pracy. Mówił mi chyba... wczoraj. Tak, wczoraj. Kiedy go pytałam, czy jeszcze kogoś nie zapomniał zaprosić, wymienił parę osób, między innymi panią. Później powiedział, że może pani nie będzie miała co włożyć, ale zapewniłam go, że madame Lamothe – nasza krawcowa – coś wykombinuje. Oczywiście, kiedy z nią rozmawiałam, narzekała, że nie ma czasu. Chwilami jest z niej taki potwór, że zastanawiam się, dlaczego z nią wytrzymujemy, ale rzeczywiście – szyje jak anioł. No, ale jak zwykle, namówiłam ją. Poza tym nie zrobiłaby niczego, co zmartwiłoby mnie, a zwłaszcza Wasilija.

Przysyłamy jej za dużo klientów. Gdybyśmy my przestały do niej chodzić, to cały Sankt Petersburg unikałby jej jak ognia. Mały szantażyk nie zaszkodzi. Ale teraz, skoro już tu jest, nie powinna na nas dłużej czekać, bo ma mniej niż dwanaście godzin na uszycie pani sukni, prawda? – To, co powiedziała, wydawało się rozsądne.

– Ale to tak nagle – broniła się słabo Senda. – Nie oczekiwałam...

– To dobrze. Oczekiwania są dla dzieci – kobieta klasnęła w różowe dłonie. – A teraz niech pani prędko włoży chociaż jakieś buty i sukienkę. Wiem, że nie będę musiała długo czekać. – Delikatnie, ale stanowczo ujęła Sendę w pasie i popchnęła w kierunku pokoju.

Senda zatrzymała się w drzwiach i odwróciła.

– Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale nie byliśmy sobie przedstawione. Nie wiem nawet, jak pani się nazywa!

– Och, rzeczywiście. A ja zapomniałam, jak pani.

– Senda Bora... – w porę ugryzła się w język. Kiedy przeszła na prawosławie, odrzuciła „levi” na końcu nazwiska. Była teraz po prostu Senda Bora.

– A ja jestem hrabina Flora Florińska, ale musisz mówić do mnie Flora, moja droga. – Hrabina podkreśliła to zdanie śmiechem. – Floria Florińska to już nadmiar, co? W każdym razie jestem mało ważną krewną i jeszcze mniej ważną hrabiną... – Mówiąc, zaganiała Sendę do pokoju, więc nie pozostało jej już nic

innego, jak zamknąć drzwi i prędko się ubrać.

W przymierzalni niecierpliwie czekała na nie madame Lamothe, przebierając starannie wymanikiurowanymi palcami. Za nią stały dwie uczennice.

Senda załamana spojrzała na hrabinę Florińską, szukając w niej moralnego wsparcia. Madame Lamothe, pomyślała, była nie tylko potworem, jak ją ostrzegała hrabina, ale okrutnym, ziejącym ogniem smokiem, tak wyniosłym jak najbardziej utytułowana arystokracja. Zauważyła, że madame Lamothe, zmierzwiwszy wzrokiem dzieło sztuki modniarskiej na głowie hrabiny, skrzywiła wąskie usta z niesmakiem. Następnie wzrok jej spoczął na Sendzie i grymas się pogłębił.

Dziewczyna zarumieniła się i spojrzała w bok. Czuła się podle w swojej byle jakiej bieliźnie, znoszonych butach i spłowiałej zielonej sukience, która wyglądała jeszcze gorzej z powodu niegdyś białego żabotu, teraz szarozielonego i spranego. W dodatku wszystko cuchnęło wilgocią i wymagało prasowania, gdyż wygniotło się w walizce. Była to i tak jej odświętna sukienka, bo starała się wyglądać jak najlepiej. Mimo rad hrabiny, żeby się tym nie przejmować, zdążyła nawet uczesać i spiąć włosy, które i tak już się wymykały, tworząc aureolę loczków wokół głowy. Senda rozglądała się po wysokim pokoju, chcąc uniknąć wzroku madame Lamothe. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek czuła się tak zawstydzona jak w obecności tej krawcowej, onieśmielającej, wysokiej kobiety. Jej czarne włosy, ozdobione szarymi pasemkami, ściągnięte były w elegancki węzeł, jasne oczy miały odcień lodowatobłękitny. Jej jedwabna sukienka w gołębioszarym kolorze była doskonale skrojona. Jediną ozdobę stanowiły okulary w złotej oprawce, wiszące na złotym łańcuszku. Pachniała drogimi perfumami. Miała bladą twarz, jak wyrzeźbioną z białego marmuru bez skazy. Nie była kobietą, którą można było zastraszyć, to pewne.

Dwie młode uczennice za to wyglądały na wyraźnie przerażone. Były to ładne dziewczyny, ubrane w skromne czarne sukienki, od których jaskrawo odcinały się żółte centymetry, zwyczajem krawcowych zawieszane na szyjach. Wyczuwając niepewność Senty, hrabina Florińska wzięła ją pod rękę i przyprowadziła bliżej.

– Oto ona we własnej osobie, madame! Najnowsza i najlepsza aktorka w Sankt Petersburgu.

Senda rzuciła hrabinie rozpaczliwe spojrzenie, ale ta wydawała się go nie zauważać.

– A to, moja droga Sendo, madame Lamothe. Madame jest najlepszą projektantką w mieście. Miała kiedyś salon w Paryżu. Jestem pewna, że się tobą

zajmie.

Senda wyciągnęła rękę na powitanie. Madame Lamothe chłodno spoglądała na wyciągniętą dłoń, nim uznała za stosowne uśmiechnąć się słabo i uścisnąć to coś. Jej uścisk był słaby i suchy, zauważyła Senda, a palce lodowate. Pozostanie sam na sam z tą przerażającą postacią było ostatnią rzeczą, o jakiej dziewczyna marzyła.

Nie zdawała sobie jednak sprawy, że jej obawy były zupełnie bezpodstawne.

To Wiera Bogdanowna Lamothe była zdumiona. Zabrakło jej słów z powodu szczerego powitania Senty i przyjęła je nie z pogardą, jak to zostało odebrane, lecz ze zdumieniem. Ten prosty gest stanowił zaprzeczenie wszystkiego, czego się nauczyła o dworskim życiu Petersburga.

Młodość Wiery została zmarnowana, jak to teraz stwierdzała, przez wytwornego Francuza, niejakiego Gerarda Lamothe, który ją równie szybko porzucił, jak poślubił. Dojrzała nienawidząc życia w ogóle, a mężczyzn w szczególności. Była wobec tego chłodna i nieprzystępna, pogrążona we własnym świecie, uważając, że to jedyna zbroja, w jaką może się przyodziać, aby obronić się przed niesprawiedliwością życia. Ta powściągliwość jej służyła, gdyż zarówno bogate wdowy, jak i debiutantki dobrze się przy niej czuły, biorąc jej milczenie za objaw szacunku. Arystokracja i szlachta spoglądały na swoich krawców tak jak na służące, sklepikarzy, jubilerów i lokajów: niezbędne urządzenia, które miały spełnić ich wszelkie zachcianki z należnym szacunkiem, pokorą i z zamkniętymi ustami.

W rezultacie przez trzydzieści pięć lat kariery zawodowej Wiera Bogdanowna Lamothe nie spotkała klientki, która podałaby jej rękę. Tego się po prostu nie robiło. Nie mając innego wyjścia jak uścisnąć dłoń Senty, starała się pojąć ten niesłychany przypadek złamania etykiety. Dopiero w chwilę później zrozumiała, że młoda kobieta, właściwie dziecko, nie miała zamiaru popełnić *faux pas*. Była tak nieobyta, że po prostu nie wiedziała, jak się zachować. Sądząc po wyglądzie, pochodziła z biednego środowiska, na pewno wstrząsem było dla niej znalezienie się na jednym z najwspanialszych dworów świata. Gdyby ona, Wiera, była na jej miejscu, z pewnością zachowałaby się tak samo. A więc – postanowiła – musi uspokoić tę kobietę-dziecko. Jasne było, że jest przerażona. Ale nie będzie już dłużej tak się czuła, jeśli ona, madame Lamothe, miała tu coś do powiedzenia. A powie na pewno za pomocą swej sztuki. Wiedziała, że właściwie nie szyla sukien, lecz sprzedawała marzenia, a wraz z nimi pewność siebie i poczucie własnej wartości. Czyż nie wszystkie kobiety, na których drapowała wspaniałe kreacje, nie tylko nabierały cudownego wyczucia stylu, ale stawał się on częścią ich

osobowości?

Wiera profesjonalnym spojrzeniem zmierzyła Sendę od stóp do głów. Pokiwała głową z zadowoleniem, choć nie dała tego po sobie poznać. Serce zaczęło jej bić odrobinę szybciej. Przemiana tej nieśmiałej, bezpretensjonalnej kobiety w księżniczkę z bajki, choćby tylko na dzisiejsze przedstawienie i bal, nie będzie wcale trudnym zadaniem. Okropna sukienka nie zdołała ukryć doskonałej sylwetki. Bardzo szlachetna figura, kobieca. Wąziutka talia, długie nogi, głowa obficie przystrojona masą niesfornych, rudych loków. Im dokładniej Wiera jej się przyglądała, tym większe przychodziło natchnienie. Ta dziewczyna rzeczywiście miała jakiś rzadki, promienny urok, który łatwo będzie podkreślić i przedstawić w pełnym blasku. Jak zwinięty pączek róży, rozkwitający w cieple.

Tak!

Przyglądała się Sendzie badawczo, obchodziła ją wolniutko dokoła czując się na przemian zwycięska i przegrana. Jak? Jak miała podkreślić tę niezmierną urodę, która całą noc będzie czarować i zwodzić, i zaćmi te wszystkie utytułowane, nieprzyzwoicie bogate lwice salonowe? Nagle pojawił się błysk olśnienia i zamarła w pół kroku. Bała się odetchnąć.

Młodość.

Niewinność.

Prostota.

Przyćmiony róż.

Nagle poczuła, jak porwał ją zapał. Już to widziała: zjawisko w tafcie koloru błędnej róży.

Wiera Lamothe żyła dla tych momentów, gdy mogła okazać cały swój talent i twórczy potencjał. Jednak jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Kazała się Sendzie wolno obracać.

– Dobrze – powiedziała z namysłem i spojrzała na hrabinę Florińską. – Zobaczę, co mi się uda zrobić. Ale niczego nie obiecuję. – Stała wyprostowana, myśląc z radością o tym, co miała zamiar osiągnąć.

– Och, dzięki Bogu! – zaszczebotała radośnie hrabina, gestem zadowolenia składając ręce na obfitym biuście. – Wiedziałam, że mogę na panią liczyć, madame. Taką mi pani zrobiła przyjemność. Zdjęła mi pani ciężar z serca. – Hrabina zwróciła się następnie do Senty, ściskając jej ręce. – No, moja droga, bardzo chciałabym tu zostać i dotrzymać ci towarzystwa, ale obowiązki mnie wzywają. – Niespodziewanie wspięła się na palce i złożyła na policzku dziewczyny szybki pocałunek.

Sendę wzruszył ten gest, ale przerażała ją perspektywa przymiarki w towarzystwie zimnej madame.

– Musi pani już iść? – Z jej głosu przebijał strach. – Ledwo się pojawiła moja czarodziejska matka chrzestna, już znika.

– Przygryzła nerwowo wargę.

– Nie, nie, moja droga. – Hrabina wskazała dłonią Wierę.

– To nie ja jestem twoją czarodziejką, ale ona.

– Jest pani nazbyt uprzejma, hrabino – mruknęła krawcowa, starając się ukryć zadowolenie za nieprzeniknioną maską, jaką sobie stworzyła przez tyle lat.

– No, muszę pędzić – zaświergotała hrabina. – Już dość zamarudziłam. Tyle mam... Boże! Kwiaty! – Złapała się za głowę. – Zupełnie zapomniałam. – Uśmiechnęła się do Sedy.

– Widzisz, że to niełatwo zorganizować taką uroczystość jak urodziny księżnej. Jest tyle spraw, nie masz pojęcia. Jedzenie... muzyka... kwiaty... O Boże, w głowie mi się kręci, chyba zemdleję. – Zawahała się, rozejrzała i zauważyła kawałek tekturki na stole krawieckim. Złapała go i zaczęła się intensywnie wachlować. – Może – powiedziała z zastanowieniem – może siądę na chwilę... – Głos zaczął cichnąć, a ona wyraźnie się słaniała. Senda rzuciła się, żeby ją podtrzymać, ale jeden ruch głowy madame Lamothe wystarczył, by natychmiast podbiegły obie uczennice i pomogły hrabinie ułożyć obfite ciało na mahoniowym krześle.

– O, tak, już mi lepiej. Co mi się stało? To takie do mnie niepodobne. – Hrabina przymknęła oczy, z trudem poruszając prowizorycznym wachlarzem. Senda coś do niej mówiła, ale nie zwracała na nią uwagi. Nagle przestała się wachlować. – Przepraszam, moja droga. Wszystko w głowie mam jakby osnute pajęczyną. Musisz mi wybaczyć.

– Powiedziałaś, że to ty organizujesz całą uroczystość?

– Oczywiście – odpowiedziała hrabina niedbale. – Wszyscy o tym wiedzą. Zarabiam na życie pomagając urządzać przyjęcia.

– Hrabina czuła się w obowiązku wyjaśnić dokładniej, widząc zdziwioną minę Sedy. Spojrzenie Flory stało się nieobecne.

– Widzisz, kiedy mój Borys umarł, niech mu ziemia lekką będzie... był oficerem huzarów, taki wysoki, przystojny, smukły... Wyobraź sobie, że nosił tak obcisłe skórzane bryczesy, że musiało je wciągać dwóch ordynansów! I miał takie szerokie ramiona, z epoletami... Nigdy w życiu nie zgadnę, co on we mnie widział. – Przerwała, a dalej mówiła już drżącym głosem.

– To nieprawda, wiem. Wszyscy wiedzą. Patent oficerski Borysa pochłonął

prawie do ostatniego rubla pieniądze, jakie mu zostawili rodzice, a on miał nadzieję, że jestem bogata.

Senda poczuła jeszcze większą sympatię do swej nowej przyjaciółki.

– Musiało to być dla ciebie okropne.

– Nie myśl o nim źle. To długa historia, moja droga, ale dość powiedzieć, że mój kochany Borys przegrał wszystko, a później... później popełnił samobójstwo, zostawiając mnie z długami. Więc, jak to mówią, wzięłam byka za rogi i zabrałam się do roboty, żeby je spłacić i mieć z czego żyć.

– Przez chwilę wachlowała się gwałtownie, po czym mówiła dalej. – Nie chciałam żyć na łasce rodziny i przyjaciół jak jakaś nieszczęsna ciotka, stara panna. Więc od lat urządzam za pieniądze różne uroczystości i obchody. Zaczęłam pracować dla ojca Wasilija, a teraz pracuję dla syna. Dzięki Bogu za niego i jego przyjaciół. – Zaśmiała się z sympatią. – Więc jak widzisz, droga Senda, chociaż mam tytuł, jestem prostą „kobietą pracującą”. – Pochwyciła surowe spojrzenie madame Lamothe, lecz je zignorowała, zająwszy się złotym wisiorkiem na piersi. Był to zegarek.

Hrabina z przerażeniem uświadomiła sobie, jak jest późno, zdecydowanym ruchem zamknęła wieczko zegarka i odrzuciła swój zaimprovizowany wachlarz. Zerwała się z fotela tak raźnie, że trudno było uwierzyć w jej zawrót głowy.

– Nie mogę już zwlekać ani minuty! – zawołała. – Kwiaty z Krymu pewnie już dostarczono i muszę dopilnować dekoracji. Jestem pewna, że są wśród nich kamelie. Postaram się, żeby dostarczyli bukiet do teatru.

Uścisnęła prędko Sendę, przycisnęła ją do pachnącej bżem piersi, poturlała się do drzwi i odwróciła jeszcze głowę.

– Pa! Pa! – zaszcebiotała, przesyłając jej w powietrzu pocałunek, gdy zamykała drzwi.

Madame Lamothe odetchnęła z ulgą, ale Senda wciąż się uśmiechała. Hrabina nie musiała jej opowiadać swej historii – zrobiła to po to, żeby Senda poczuła się rażniej. Była tak szczerą, otwartą, czarującą osobą, że zupełnie podbiła jej serce.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, madame Lamothe zwróciła się do Senty, klasnąwszy w dłonie.

– Proszę. Dosyć już straciłyśmy cennego czasu. Musimy teraz panią zmierzyć, madame... mademoiselle?

– Jestem wdową.

– A więc, madame. Proszę się rozebrać. – Wiera Lamothe uniosła rozkazująco brwi i Senda zrozumiała, że musi się śpieszyć.

Po dziewięciu godzinach spoglądała na siebie krytycznie, przeglądając się w czterech sprytnie ustawionych wysokich lustrach. Madame Lamothe stała z boku, ze splecionymi rękami, a jej zwykle zaciętą twarz rozjaśniał lekki uśmiech zadowolenia. Tuż obok niej stały uczennice, które gapiły się na Sendę z otwartymi ustami.

– To... ja? – wydusiła z siebie Senda z niedowierzaniem, odrywając na chwilę wzrok od swego odbicia, by spojrzeć na madame Lamothe.

Krawcowa skinęła głową.

– Tak, to pani.

– Mój Boże! Jestem... nie wiem, co powiedzieć. – Senda znów odwróciła się do lustra i potrząsnęła głową. – Wyglądam...

– Oszałamiająco? – odpowiedziała delikatnie madame Lamothe.

Senda milcząco kiwnęła głową, jak gdyby słowa mogły zniszczyć te czary. Czowała się trochę niezręcznie, taka wystrojona, zwłaszcza gdy obserwowały ją trzy pary oczu, ale nie mogła oderwać wzroku od swego odbicia. Obróciła się z wahaniem i obejrzała z tyłu. Dół sukni wirował przy każdym poruszeniu, jakby żył własnym życiem. Nie mogła uwierzyć w to urocze zjawisko, powtarzające każdy jej ruch. Była... Czy to możliwe? Czy ta cudowna istota to naprawdę ona? Teraz Senda była jeszcze bardziej przekonana, że madame Lamothe władała jakimiś niezwykłymi, diabelskimi siłami. Pokonawszy zażenowanie musiała przyznać, że kobieta z luster – może to były magiczne lustra? – miała w sobie coś arystokratycznego, wyrafinowanego, a jednocześnie jakąś niewinność i wrażliwość. Tafta w kolorze wyblakłych róż podkreślała jej naturalnie różową cerę, jeszcze bardziej zaróżowioną pod wpływem ciekawskich spojrzeń. Elegancki stanik z głęboko wyciętym dekoltem był idealnie dopasowany. Ramiona miała gołe. Uniesione piersi wyglądały jak dwie kremowe, idealne kule, większe, ale delikatniejsze niż w rzeczywistości. Krótkie bufiaste rękawki tworzyły lekką mgiełkę na jej ramionach. Senda zdumiewała się swą prawie nie istniejącą talią. Tuż nad lewym biodrem przypięta była jedwabna kamelia, identyczna jak ta na prawym ramieniu. Efekt był cudownie wyważony. U dołu rozkloszowanej spódnicy madame Lamothe umieściła blade jedwabne kamelie, które przytrzymywały opadające niemal do ziemi zwoje tafty. Sięgające poza łokcie aksamitne rękawiczki dopełniały całości. Senda odważnie pokręciła biodrami, czując nie tylko cudowną zmysłowość sukni, poruszającej się rytmicznie z każdym jej ruchem, ale i dreszczyk emocji. Pod wpływem nagłego impulsu wykonała przed lustrem piruet na czubkach pantofelków, które madame Lamothe również jakoś

wyczarowała. Tafta wokół jej nóg falowała i pobłyskiwała.

Oczy jej lśniły, odbijając radość, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Wyglądała cudownie i czuła się piękna.

Wcześniej, gdy igły dosłownie fruwały w powietrzu, Senda mogła się wykapać, a angielska fryzjerska księżnej, Alice, szesała jej włosy gładko do tyłu, spięła do góry spinkami, a na koniec wpięła jedwabną kamelię zamiast diademu.

Oszołomiona swym wyglądem, Senda zauważyła, że madame Lamothe i jej asystentki zniknęły jak duchy w jakimś niezwykłym śnie. W samotności Senda pozbyła się zahamowań, ujęła suknię w dwa palce i zaczęła krążyć w walcu, nucąc cicho. Gdy tańczyła obok drzwi przymierzalni, otworzyły się nagle bez ostrzeżenia. Zdumiona Senda zamarła w pół kroku, patrząc na intruza.

Zdyszana hrabina Florińska, w sukni z pożółkłego brokatu, naszywanej perełkami na staniku, zamarła podobnie jak Senda, której złożony wachlarz zastygł w rękę. Na uszach hrabiny widniały dwa złote medaliony, jak błyszczące nauszники, połączone złotą przepaską, do której przyczepiony był pęk sterczących białych strusich piór.

Czas stanął. Nikt nie oddychał. Nic się nie poruszało prócz piór, kołyszących się na głowie zaskoczonej hrabiny. Zapanowała cisza, w której słyhać było tylko tykanie pozłacanego zegara stojącego na kominku. Ten dźwięk wydawał się coraz głośniejszy, budując napięcie. Nagle zegar wybił godzinę. Obie podskoczyły, powróciła rzeczywistość.

– Co się stało? – zawołała przerażona Senda, patrząc na zdumioną hrabinę.

– Co się stało? – Hrabina rozłożyła ramiona i podbiegła, obejmując ją tłustymi łapkami. Przekrzywiła głowę i śmiała się radośnie.

– Ona pyta, co się stało? Ty! – twarz hrabiny promieniała. – Ty – podkreśliła, przyciskając Sendę jeszcze mocniej. – Wyglądasz tak pięknie, że chyba się za chwilę rozplacę. Na ogół zachowuję łzy na śluby i pogrzeby. Jesteś cudowna! Będiesz na pewno królową balu.

Z tymi słowami hrabina wzięła Sendę pod rękę i wyprowadziła, zastanawiając się, jak to możliwe, że ta skromnie urodzona i surowo wychowana dziewczyna posiada tak zniewalający urok i czar, jaki ciężko zdobywają wysoko urodzone osoby, i to na ogół z umiarkowanym sukcesem.

Z odległych części pałacu dochodziły już odgłosy rozpoczynającego się przyjęcia. Dźwięki te znów przypomniały Sendzie jej wątpliwości. Zaledwie przed kilkoma minutami, oczarowana magicznymi odbiciami swej postaci w lustrach, sądziła, że suknia Kopciuszka i elegancko upięte włosy były wystarczającą bronią

przeciwno ogarniającemu ją strachowi. Teraz jednak nie była w stanie cieszyć się metamorfozą, jaką zawdzięczała bujnej wyobraźni i sprawnym palcom madame Lamothe. Każdy krok stanowił wysiłek, przybliżający ją coraz bardziej do przeżycia, którego teraz już naprawdę się obawiała: spotkania z publicznością w sztuce, której cały ciężar musiała dźwigać ona. Odważnie uniosła głowę, ale gdzieś w żołądku umieściło się już to straszne uczucie. Chociaż starała się rozluźnić, nerwy miała napięte jak struny.

Po drodze do teatru Senda poprosiła hrabinę Florińską:

– Czy możesz mnie zaprowadzić do pokoju dziecinnego? Muszę tam wstąpić – powiedziała zdecydowanie. – Nie widziałam mojej córki od wczesnego rana, kiedy ją zabrała niania, Inge.

Hrabina zawahała się, ale strusie pióra pochyliły się na znak zgody. Była to niewielka prośba, a miały wystarczająco dużo czasu. Obchody urodzin księżnej były wyreżyserowane, lecz mimo dokładnego planu – przedstawienie „Damy Kameliowej” miało się odbyć między przyjęciem a kolacją i balem o północy – uroczystości nieco się opóźniły.

Gdy zbliżały się do pokoju dziecinnego, usłyszały dziwny warkot, któremu towarzyszył radosny pisk dziecka. Senda ze zdumieniem spojrzała na hrabinę, otworzyła drzwi i wydała cichy okrzyk zaskoczenia, spoglądając na pokój.

Zorientowała się natychmiast, że nie był to zwykły pokój dziecinnie. Było w nim mnóstwo wypchanych zwierząt, domki dla lalek w kształcie pałaców i dosłownie setki, jeśli nie tysiące rozmaitych zabawek. A Tamara, jej ukochana córeczka, zamiast płakać z żalu za mamą, była w siódmym niebie. Siedziała okrakiem na elektrycznej lokomotywie, która wyglądała jak prawdziwa, i po wąskim torze biegnącym wokół pokoju ciągnęła za sobą trzy wagoniki, a w każdym z nich było miejsce dla jednego dziecka. Na środku pokoju stał malachitowy dom dla lalek, ozdobiony złotem. Szyny kolejki prowadziły do jego wejścia, dalej przez tunel kolejka wyjeżdżała z tyłu domu i robiła ósemkę pod nogami olbrzymiej żyrafy. Wszędzie po drodze napotykała drewniane konie na biegunach, futrzane słonie, lalki z różnych epok, żołnierzyki w mundurach z drewnianymi szablami, domki dla lalek jak miniatury prawdziwych, łącznie z frędzlami na zasłonkach i elektrycznymi żyrandolami. Po chwili Senda zauważyła małe krzeselka wokół pięknie nakrytego dziecięcymi nakryciami stolika, a na nim prawdziwe herbatniki, ciastka, torty, cukierki i bitą śmietaną. Herbatniki i ciastka? Cukierki i bita śmietana? Nigdy nawet nie słyszała, że można to wszystko podać jednocześnie.

W pierwszej chwili Senda poczuła złość na nianię, Inge, ale zrozumiała zaraz, że jest to jej reakcja na całe to bogactwo i luksus, jakiego nie mogła Tamara zapewnić. Przypomniła jej się głód, jakiego często doświadczali, i walka, jaką musieli nieraz staczać z przyrodą, żeby po prostu przeżyć.

– Widzisz? – powiedziała hrabina. – Nie ma się czym martwić. Świetnie się bawi.

Senda mogła tylko pokiwać głową. Jakie dziecko nie bawiłoby się dobrze w tym świecie ze słodkich snów? Inge wstała, dygnęła i podeszła do wyłącznika, który znajdował się tak wysoko na ścianie, że dziecko nie mogło go dosięgnąć, co Senda odnotowała z zadowoleniem. Terkotanie ucichło i pociąg stanął. Tamara zaczęła histerycznie płakać i tupać.

Senda była zdumiona. Jej Tamara nigdy nie miała takich napadów hysterii. Nigdy! Zawodzenie nie ustało nawet wtedy, gdy Inge wzięła ją na ręce i bardzo delikatnie podała matce. Senda starała się małą uspokoić, ale tym razem dziecko nie reagowało. Po prostu jej nie poznała! Rzeczywiście, dlaczego miałyby poznać, zastanawiała się Senda. Nigdy nie była tak pięknie ubrana ani nie miała takiej fryzury. Zorientowała się jednak, że nie to było przyczyną płaczu. Tamara nie chciała, w każdym razie w tej chwili, znajdować się w objęciach matki. Chciała się bawić!

Tak, Szmaria miał rację. To był błąd, że tu przyjechali. Nim zobaczyli taki niezwykle luksus, byli szczęśliwi nie wiedząc, czego nie mają i cieszyli się z drobiazków. Jakichkolwiek drobiazków. Nawet Tamara przez całe swoje krótkie życie nie zachowała się tak, jak zdażyła dzisiaj w ciągu jednego dnia. W drodze z trupą teatralną, usiłując zapewnić sobie choćby najskromniejszą egzystencję, byli szczęśliwi. Bliżsi. Przyzwyczajeni do biedy, oglądali teraz drugą stronę medalu – wszystko, co można kupić za pieniądze, to, o czym już nigdy nie będą mogli nawet marzyć. Senda czuła, że coś się w nich zmieniło i nigdy nie będą już tacy sami. Popatrzyła na wierzgający w jej ramionach ciężar i po raz pierwszy zauważyła ubranie Tamary. Mała została wykąpana i przebrana w ubranko jak dla księżniczki.

Rozgniewana Senda przymknęła na chwilę oczy.

– To ubranie – powiedziała cicho. – To nie jej.

Inge potrząsnęła głową.

– Nie, jaśnie pani – powiedziała przepaszająco. – Kazano mi wybrać coś odpowiedniego z garderoby dla dzieci, z sąsiedniego pokoju. Chyba od dawna nie było tu dzieci, więc są trochę niemodne... – Z zakłopotaniem splatała palce.

Senda zaśmiała się gorzko. Drżała ze zdenerwowania.

– To nie o to chodzi – zapewniła Inge.

Chodzi o to, że ja mogłam ubrać moją córkę w jakieś łąchy i cieszyć się, że nie jest jej zimno – pomyślała.

Znów zaczęła żałować, że tu w ogóle przyjechali. Nie chciała patrzeć na tę małą księżniczkę, która była jej córką. Ciągłe myślała o tym, że jako matka nie była w stanie zapewnić wszystkiego swemu dziecku. Z pewnością ani Szmaria, ani reszta grupy nie zostali tak obdarowani jak Tamara i ona i będą im zazdrościć.

Zastygła, przypominając sobie dokładnie słowa księcia. Co on powiedział? Coś o tym, że zawsze zdobywa to, co chce.

Chce mnie, przeleciało jej przez głowę. Myśli, że nowa suknia i zajęcie się moją córką wystarczy, żeby mnie kupić, tak jak chciał mnie kupić za naszyjnik.

Widziała to teraz wyraźnie. Diabelski książę, który zawsze dostaje to, na co tylko ma ochotę. Teraz chce mieć ją, młodą i widocznie łatwą do zdobycia. Aktorki zawsze były uważane za łatwe do zdobycia. Aktorki i wdowy. Zacisnęła zęby z uporem. A więc tym razem się pomylił, pomyślała. Nie kupi mnie. Ani za pieniądze, ani za biżuterię, ani za nic innego, czym chciałby mnie skusić. Ani za moją córkę.

Ona i Tamara były zadowolone ze swojej nędznej egzystencji, bo nie znały innej. Ale teraz obie już wiedziały, co jest po drugiej stronie medalu.

Tamara wiała się w jej ramionach jak węgorz, starając się wrócić do cudownej zabawki. Senda delikatnie pocałowała ją w czoło i oddała Inge, która posadziła ją natychmiast na lokomotywę. Tamara zaczęła piszczeć z uciechy i klaskać w dłonie.

– Mama! – zawołała radośnie. – Patrz, mama!

Inge przekreśliła wyłącznik i Tamara na lokomotywie ruszyła wprost do miniaturowego zamku. Senda popatrzyła, jak kolejka znika w tunelu, i podeszła do stojącej przy drzwiach hrabiny.

– Chodźmy do teatru – powiedziała do Flory zmęczonym, pełnym napięcia głosem. – Chcę to już mieć za sobą.

Senda rozstała się z hrabiną Florińską przed wejściem za kulisy.

– Moja droga, wyglądasz zjawiskowo! – Flora płonęła nieposkromionym entuzjazmem. Chwyciła obie dłonie Sendy. – Będiesz błyszcząca na tej scenie!

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Mam nadzieję, że wypadnę przyzwoicie – powiedziała cicho.

– Nonsens! Będiesz boska! – Jeszcze jeden uścisk podkreślił jej wiarę w Sendę. – Jestem o tym przekonana i ty też powinnaś. – Objęła ją i Senda żałowała,

że nie potrafi odwzajemnić tej serdeczności. Poza babcią Gołdą nikt w jej rodzinie tak nie demonstrował uczuć, rzadko się dotykano i teraz jej uścisk był dość sztywny.

Hrabina Florińska miała dla niej kilka ostatnich rad.

– Pamiętaj, jeżeli chcesz, żeby twoje usta wydawały się czerwiejsze i pełniejsze, musisz je leciutko przygryźć. Tylko nie do krwi! A żeby policzki były bardziej różowe, uszczypnij je, ale nie przy ludziach, oczywiście. A, i jeszcze coś! – hrabina wyjęła zza dekoltu maleńką fiołkę z bursztynowym płynem. Włożyła ją do ręki Senty i zacisnęła wokół niej jej palce.

Senta podejrzliwie przyglądała się buteleczce.

– Co to jest? Cykuta na wypadek, gdybym się kompletnie rozłożyła? – spytała żartem.

Hrabina oburzyła się.

– Nie waż się w ogóle tak mówić, bo od razu robi mi się słabo. Odniesiesz wielki sukces, bądź pewna. W tej fiołce jest woda różana. Sama Wielka Księżna sprowadziła ją z Londynu od Florisa. Jest boska! Weź jedną kropelkę za uszy, jedną na dekolt, a mężczyźni oszaleją na twoim punkcie. Ale tylko kropelkę, bo to jest bardzo stężone, a chyba nie chcesz pachnieć jak któraś z tych... No, muszę lecieć! Do zobaczenia! I powodzenia! – Hrabina skrzyżowała dwa palce na znak szczęścia, pomachała ręką w charakterystyczny dla siebie sposób, a następnie oddaliła się z prędkością zdumiewającą u tak niskiej osoby.

Senta, nareszcie sama, z drżeniem podeszła do drzwi na scenę. Do uszu jej dochodziły przytłumione głosy, jakieś polecenia, przesuwanie mebli. Kolana się pod nią uginały, czuła, jakby nogi wrosły jej w ziemię, uniemożliwiając zrobienie tego jednego kroku do drzwi. Owładnął ją paraliżujący strach. Nie dość, że przerażała ją perspektywa przedstawienia, to jeszcze bardziej bała się spotkania ze Szmarią w tym swoim nowym, wspaniałym stroju. Tak bardzo chciała wszystkim się z nim dzielić, a nie tworzyć nowe mury między nimi. Dość już ich ostatnio oddaliło. Jak zareaguje na tę jej metamorfozę? Na to, że ona została zaproszona na bal, a jego pominięto? Jak mu to wyjaśnić? Już widziała to oskarżające spojrzenie i zaciśnięte pięści – objaw złości, którą maskował urażoną dumę.

Westchnąwszy ciężko zmobilizowała się, wyprostowała, uniosła głowę. Podciągnęła szybko stanik sukienki, żeby zmniejszyć dekolt, i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi. Krzyknęła z wrażenia.

Po drugiej stronie stał Szmaria i był równie zdziwiony jej widokiem jak ona jego. Roześmiała się histerycznie z wielkiej ulgi. Był ubrany jak arystokrata: w

doskonale skrojony frak i koszulę z wywiniętym kołnierzykiem, i białą muszkę.

Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie z niedowierzaniem, po czym jednocześnie wybuchnęli głośnym śmiechem. Wszystkie żale i pretensje, jakie mogli mieć do siebie, rozplynęły się nagle.

– Czuję się jak pingwin – zażartował, pokazując poły swego fraka.

– Ale nie wyglądasz – pocieszyła go. Podeszła bliżej szeleszcząc wytworną suknią i odruchowo poprawiła mu muchę.

– Nie tylko tobie jest dziwnie. Czuję się jak kosztowna lalka.

– I wyglądasz. Moje gratulacje, madame.

Znów się zaśmiali i objęli, pierwszy raz od dawna. Tak bardzo brakowało jej tego cudownego, pełnego miłości gestu. Patrzyła z dumą, jak świetnie wygląda. Miał przyszczyżone włosy, wymanikiurowane paznokcie, piękne białe zęby odbijały od jego zdrowej cery.

– Czarny garnitur i złote włosy – zachwycała się. – Niepokojąca kombinacja.

– Wygląda na to, że oboje zostaliśmy zaproszeni na bal – powiedział od niechcienia.

Uśmiechnęła się i dotknęła ręką jego policzka.

– I pomyśleć, że już zaczynałam czuć się winna, że ciebie pominięto.

– Zaskoczyło mnie to – powiedział. – Śpię sobie smacznie, a tu mnie ktoś tarmosi i wlecze do przymierzalni, gdzie czeka angielski krawiec z Newskiego Prospektu.

– Z asystentami – dopowiedziała chytrze.

Zaśmiał się.

– Z asystentami.

– Ile też oni mogą mieć przymierzalni w tym pałacu?

– spytała zaciekawiona.

Wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam. Pewnie jedną dla pań, a drugą dla panów.

– Pewnie jeszcze jedną dla dzieci.

Ponownie się zaśmiali. Jak to dobrze, pomyślała, znów robić coś razem.

Nagle zaciągnął ją w kąt, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć, i delikatnie wtulił twarz w jej szyję.

– Obiecasz mi pierwszy taniec? – Czują jego gorące i wilgotne usta na chłodnej skórze. Miał świeży oddech. Patrzyła na niego i modliła się: O Boże, spraw, żeby tak było, żebyśmy mieli jeden śmiech, jedną miłość, jedną duszę...

Litania ta była bezgłośna, a Szmara widział tylko przewrotne oczy małej

czarownicy. Pokręciła kapryśnie głową.

– Może będę miała takie powodzenie, że będziesz musiał stać w kolejce i czekać.

– Proszę – powiedział czule.

Nagle przyłgnęła do niego mocno.

– Och, Szmaria, tak się boję – szepnęła. – Ci wszyscy ludzie, przed którymi mam wystąpić... Co... co będzie, jeśli zrobię z siebie idiotkę?

– Ty? – Zaśmiał się głośno i radośnie, jak za dawnych czasów. – Jeżeli cię znam, a myślę, że tak, to owiniesz sobie całą publiczność wokół małego paluszka.

Powoli wyswobodziła się z jego uścisku.

– Lepiej pójdę powtórzyć swoje kwestie. I muszę jeszcze nałożyć na twarz te smarowidła... Szmaria, puść mnie! – Zachichotała z radości, gdy ją trzymał w mocnym uścisku.

– Pod jednym warunkiem.

Uniosła pytająco brew.

– Że mnie najpierw pocałujesz.

– Kocham cię, Szmaria – szepnęła.

Pocałował lekko jej czoło, nos, oczy i usta. Później całował długo, zapamiętale i gwałtownie, a jego silne ręce przycisnęły ją tak mocno, że czuła jego erekcję przez kilka warstw materiału.

– Tak bardzo cię kocham – westchnęła z bijącym sercem i oczyma pełnymi łez radości. – Będę cię zawsze kochać. Wiecznie. – Później dodała szeptem: – Podniecasz mnie! Przestań! Mam już mokre nogi. A jak przesiąknie przez sukienkę?

Puścił ją nagle i uśmiechnął się szatańsko.

– No to co?

– Szmaria! – udała oburzenie.

– Tam z tyłu jest mały magazyn... – Jego głos, łagodny i kuszący, zapowiadał świat rozkoszy. – Pusty. A drzwi się zamykają.

– Ktoś zauważy – powiedziała, ale nie rozejrzała się.

– Niech zauważą.

Napotkała jego badawcze spojrzenie i wytrzymała je.

– Więc dobrze – zgodziła się. – Na co czekasz?

– Na to! – Bez wysiłku wziął ją na ręce i zaniósł do magazynku. Był ciemny, zimny i pachniał wilgocią, ale nie zważała na to. Gdy zamykał drzwi, stała bez ruchu, drżąc z podniecenia. Czuła się jak na pierwszej miłosnej schadzce. Tak jak

było na pograniczu.

– Chcę, żebyś mnie dotknął – powiedziała cicho, odpinając po omacku górę swej sukni. Poczuła jego rękę.

Wstrzymała oddech, wyobrażając go sobie w ciemności: jego ręce na swych piersiach, wargi chwytające jej sutki. Poczuła, jak unosi obfity dół jej sukni.

– Przytrzymaj to – powiedział – a ja rozepnę twoją bieliznę.

– Tylko uważaj, żeby się suknia nie pobrudziła. – – Kobiety – zaśmiał się. – Przyszliśmy tu, żeby się kochać, a ty myślisz tylko o swojej sukni.

– To nieprawda. Myślę o tobie.

– Wiem. – Pocałował ją mocno i przedzierając się przez warstwy halek dostał się do jedwabnych majtek, żeby odpiąć ich delikatny guziczek. Coś potoczyło się po podłodze.

– Cholera!

– Co się stało? – spytała.

– Odpadł guzik od twoich majtek.

– Mówiłam ci, żebyś uważał – syknęła. – I co teraz zrobisz?

– Nikt nie zauważy, że ich na sobie nie masz. – Trafił na kępkę loczków. Jęknęła i usłyszała, jak mocuje się ze spodniami. Poczuła, jak tuż przy spojeniu jej nóg rośnie jego twardość. Wyciągnęła rękę, by dotknąć ten ciepły, znajomy kształt. Usłyszała jego przyśpieszony oddech. Podniosła wyżej suknię.

– No, wejdz – szepnęła. Gdy poczuła, jak się w nią wślizguje, jęknęła: – O Boże! Jak dobrze.

Rzuciła biodrami do przodu, a on stał nieruchomo, kiedy wsunęła w siebie jego nabrzmiały członek, wysunęła, znów wsunęła.

W końcu nie mógł tego znieść. Jęknął i ciężko dysząc przywarł do niej jak do największego skarbu. Rzucił się na nią dziko i bezlitośnie, a ona wzdychała z rozkoszy, czując przechodzące przez nią fale orgazmu.

– Och tak! – szeptała – och tak, tak!

Czuła, że i on jest coraz bliżej rozkoszy. Przejęta, podjęła jego rytm, a jego męskość wciąż jeszcze rosła w tym szaleńczym wyścigu. Nagle jęknął i wbił się w nią z pasją ostatni raz, czując, jak wypływający z niego ciepły strumyk łączy się z jej wilgocia.

Wciąż do niej przywierając mrucał z rozkoszy, wstrząsany spazmami, wreszcie złapał oddech. Poczuła, jak jego członek maleje w niej, i westchnęła rozczarowana, gdy się z niej wyslizgnął.

– To za szybko – dyszała.

– Mamy trochę czasu – szepnął. – Nie użyłem jeszcze języka.

Uśmiechnęła się do siebie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła taką niewypowiedzianą radość. Był to naprawdę wieczór wróżek i magii.

. Przedstawienie „Damy Kameliowej” przewidziano na godzinę ósmą.

Od szóstej do pałacu zaczęli napływać goście, a gdy zbliżała się ósma, przybywali coraz większymi grupami. Hrabina posłała za kulisy posłańca z wiadomością, że termin przedstawienia przesuwają się o godzinę. Wiadomość ta została przyjęta przez zespół szmerem niezadowolenia, natomiast gdy dotarła przez drzwi magazynu do Sندی i Szmarii, powitali ją z radością.

Na zewnątrz Pałacu Daniłowów koralowe blaski zorzy polarnej wyglądały jak błyszczące, jedwabne welony otulające cebulowate kopuły wśród czarnej nocy. Przejśniło się zupełnie, jakby jakimś królewskim rozkazem zarządzono taki piękny wieczór właśnie na uroczystość księżnej. Obludzony, okrągły podjazd, oświetlony tysiącami elektrycznych żarówek, w ukochanym przez księżną szafirowoniebieskim kolorze, zatłoczony był samochodami i powozami konnymi zwożącymi urodzinowych gości. Inni, odważniejsi, przybywali na małych, czerwonych, ciągnionych przez konie sankach przez zamarzną Newę, wjeżdżając przez bramę do parku. Jednak niezależnie od tego, z której strony nadjeżdżali, był to widok zapierający dech w piersiach. I front, i tył pałacu ozdobione były olbrzymimi monogramami księżnej z szafirowych żarówek. Wysokie na trzy piętra, stylizowane litery IND – Irina Nikołajewna Daniłowa – wydawały się wisieć w powietrzu.

O ile na zewnątrz pałacu królowało światło elektryczne, zdolne oświetlić małe miasteczko, to wewnątrz płonęły świece. Kryształowo-złote świeczniki i kandelabry błyskały złocistym blaskiem na schodach, korytarzach i w salonach, w których słychać było ożywioną rozmowę, cudowną muzykę i radosny śmiech. Brylanty, szmaragdy, szafiry i rubiny warte fortuny migotały jedne bardziej od drugich, w miarę jak goście, głównie panie w białych atłasach, wkraczały do olbrzymiej sali kolumnowej, gdzie napotykały armię służących, odbierających od nich futra z norek, fok, soboli i lisów. Z balkonu na piętrze, umieszczonego między jaspisowymi kolumnami, od których brała nazwę sala, dochodziły dźwięki barokowej muzyki kameralnej. Nikt nie przynosił prezentów. Cały poprzedni tydzień napływały dary z najwspanialszych sklepów St. Petersburga, wypełniając przyległy przedpokój, aż pękał w szwach.

Pozostawiwszy okrycia, goście wkraczali na olbrzymie neobarokowe schody,

których stopnie na tę okazję pokryto czerwonym dywanem. Na ostatnim podeście musieli czekać w kolejce, aż majordomus ogłosi ich wejście do Sali Malachitowej.

Po złożeniu uszanowania księżnej, stojącej w towarzystwie księcia, hrabiego Kokowcowa i starego, brodatego arcybiskupa, który ją chrzczył, goście w małych grupkach rozchodzili się do sąsiedniego Westybulu Agatowego, gdzie murzyński kwartet jazzowy z Nowego Jorku grał to najnowsze z szaleństw amerykańskiej muzyki. W Salonie Błękitnym zespół bałajek dodawał ducha ludowymi rosyjskimi melodiami, a w Gabinetecie Złocistym, klejnociku przezwanym tak z powodu połączanych mebli i ozdób, kwartet smyczkowy grał spokojną, elegancką muzykę dopasowaną stylem do wnętrza. Służba w liberii roznosiła na srebrnych i złotych tacach kryształowe kieliszki z szampanem Louis Roederer Cristal, tym samym, który importowano dla cara. Na stołach, w srebrnych misach stojących w pojemnikach z lodem, mieściło się co najmniej czterdzieści kilogramów gruboziarnistego kawioru z białugi.

Po powitaniu, gości delikatnie kierowano do teatru, gdzie orkiestra kameralna z Sali Kolumnowej grała teraz uwerturę z „Trawiaty” Verdiego, opartej na powieści *Dama Kameliowa*.

Za grubą, aksamitną kurtyną, która miała za chwilę się podnieść, słychać było podekscytowaną publiczność.

W powietrzu iskrzyło.

Niewidoczna dla publiczności Senda ostrożnie zrobiła szparkę w kurtynie i wyjrzała przez nią jednym okiem. Złocene fotele w stylu Ludwika XVI były już zajęte. Zaskoczyło ją, że było więcej ludzi niż miejsc: na tyłach orkiestry i na balkonie tłoczyli się jeszcze stojący widzowie. Jednak dwie, ozdobione kotarami łóża, umieszczone po obu stronach proscenium, były puste.

W teatrze rozległ się szmer i wszystkie oczy zwróciły się na łóżę po lewej stronie, tuż nad nią, z której zaledwie wczoraj w czasie próby oklaskiwał ją książę. Daniłowowie i jeszcze cztery osoby, zapewne najważniejsi goście, mieli spóźnione, ale imponujące wejście.

Zaciekawiona Senda badawczo przyglądała się damie, która zapewne musiała być księżną Iriną, sądząc z naturalnej gracji i elegancji, z jaką wprowadziła wszystkich do łóży. Była nieco starsza od księcia, wiotka i blada, jakby przejrzysta. Ubrana była w suknię ze srebrnego i jasnoniebieskiego brokatu naszywaną perłami, a wyblakłe żółte włosy, zebrane na czubku głowy, otoczone były tiarą, o ile można zrobić tiarę ze szlifowanego lodu. Na cienkiej szyi miała jakby koronkowy kołnierz, również z tego szlifowanego lodu. Większy, perłowy

naszyjnik ozdabiał jej dekolt. Większość kobiet wśród publiczności obwieszona była podobną biżuterią, chociaż te kawałki oszlifowanego lodu były największe, więc pewnie najbardziej kosztowne. Z początku Senda nie wiedziała, co sądzić o tych klejnotach, bo jeszcze takich nie widziała, ale domyśliła się, co to takiego: musiały to być brylanty.

– Mój Boże, nigdy nie widziałam tylu klejnotów – zdumiała się głośno, dotykając ręką swojej szyi. Prawdę powiedziawszy, nie widziała żadnych klejnotów, poza miastami i miasteczkami, w których grywali, a była to biżuteria skromna i niedroga, jak cienka złota lub pozłacana obrączka, a kamienie nie droższe niż ametysty lub topazy. Teraz czuła się jak naga, a co dopiero będzie na balu? Mogła tylko mieć nadzieję, że jedwabne kamelie, które madame Lamothe naszyła na jej suknię, będą wystarczającą ozdobą, chociaż wszyscy nosili biżuterię w dużych ilościach. Księżna miała przecież trzy naszyjniki.

Jednak to nie klejnoty księżnej różniły ją od pozostałych pań. Może to jej postawa, delikatna uroda, sposób, w jaki patrzyła na nią siedząca już publiczność?

Nagle, ze zdumieniem i przerażeniem, Senda zauważyła ręce Iriny Daniłow, których nie mogły wyleczyć żadne pieniądze. To ją właśnie wyróżniało. Były to obrzydliwej zniekształcone szpony, chociaż nie wyglądała na tak starą, żeby mieć artretyzm. Dopiero gdy księżna siadła między arcybiskupem a księciem, reszta jej towarzystwa zajęła miejsca za nią.

Sendą słyszała, że uwertura zbliża się do końca. Za piętnaście czy dwadzieścia sekund kurtyna pójdzie w górę. Już chciała się wycofać i popędzić za kulisy, gdy zorientowała się, że orkiestra zamiast skończyć, gra dalej. Rozległy się szepty i szelest toalet, gdy publiczność odwróciła się w kierunku pustej łoży po prawej stronie, naprzeciwko Daniłowów. Senda przypatrywała się z ciekawością, zastanawiając się, co się dzieje, ale zobaczyła tylko czterech umundurowanych oficerów sprawdzających łożę. Wyraźnie usatysfakcjonowani, wycofali się. Orkiestra gładko przeszła od uwertury „Trawiaty” do pełnego patosu hymnu carskiego.

Cała publiczność wstała i spojrzała w górę. Senda otworzyła usta ze zdumienia.

Do łoży wkroczyła trzymająca wysoko głowę kobieta w brylantach. Ubrana była na biało, kremowe ramiona miała odkryte. Na lokach spoczywała wysadzana klejnotami tiara, spod której spływała na jej plecy kaskada przepięknej koronki. Czuło się, że była to osoba o wysokim pochodzeniu, pewna siebie, stworzona do władzy.

Jej towarzysz, który wszedł za nią, wysoki i smukły, miał podkręcone wąsy i

przystrzyżoną brązową brodę. Przepięknie skrojony granatowy mundur błyszczał od wstążek, medali i złota; złote były epolety, pas i kołnierz. Przez jego pierś przechodziła na skos czerwona atłasowa szarfa i choć wyglądał szalenie ważnie, miał miły, nieśmiały wyraz twarzy. Gdy omiótł wzrokiem kurtynę, Senda miała wrażenie, jakby zauważył zrobioną przez nią szparkę i patrzył wprost na nią. Nagle zaświtała myśl, od której zrobiło jej się słabo. Szybko odeszła od kurtyny. Na moment stanęło jej serce i wzięła głęboki oddech. Cofnęła się i kiwnęła ręką na Szmarię. Zaraz znalazł się przy niej i poczuła kojącą bliskość jego ciała. Wyjrzał przez kurtynę.

Trzymając rękę na trzepoczącym sercu, Senda spytała:

– Czy to nie jest... ? – Nie śmiała dokończyć zdania.

Jasnoniebieskie oczy Szmarii połyskiwały niebezpiecznym ogniem.

– Dasz dzisiaj przedstawienie swojego życia, Sendele – powiedział sucho. – Wygląda na to, że będziesz zabawiać nie tylko śmietankę towarzyską Rosji, ale również naszego wielmożnego cara i carycę.

Nie zwróciła uwagi na jego sarkastyczny ton.

– O Boże – jęknęła czując, jak kurczy się wewnątrz swej sukni. Patrzyła na niego w osłupieniu, co na jej ucharakteryzowanej twarzy wyglądało groteskowo. Oblała się nagle zimnym potem, a nogi ugięły się pod nią. Chciała umrzeć na miejscu.

Orkiestra wróciła do ostatnich taktów uwertury. Szybkim ruchem Szmaria wciągnął ją za kulisy, a na scenę weszli aktorzy grający Barona de Varville i Nanine. Senda z rosnącym niepokojem patrzyła, jak Nanine siadła w fotelu i rozłożyła na kolanach szycie. Baron zajął miejsce na kanapie przy kominku. Kurtyna uniosła się z wolna, ukazując paryski buduar Marguerite Gautier. Ta scenografia nawet zza kulis prezentowała się bardzo realistycznie. Prawdziwe, eleganckie meble i dywany pochodziły z pokojów pałacowych i nawet marmurowa obudowa kominka była autentyczna.

Sztuka rozpoczęła się dźwiękiem dzwonka u drzwi.

– Boję się – szepnęła Senda do Szmarii. Zaciśnęła zęby, żeby nie szczękały. – Szmaria, nie mogę wyjść. Nie mogę.

Jego głos był łagodny i pewny, ale zmarszczki biegnące od nosa do ust wskazywały na napięcie.

– Oczywiście, że możesz. Umiesz swój tekst w tę i z powrotem. Powiesz to śpiewająco.

– Ktoś dzwoni. – Aktor grający Barona powiedział to mocnym, scenicznym

głosem.

– Wygłupię się za nas wszystkich. – Senda patrzyła prosząco na Szmarie, tuląc się do niego z całej siły.

Zanurzył twarz w jej włosach.

– Będiesz wspaniała – zapewnił ją.

– Nie, nie będę. – Jej szept zamienił się w pisk. – Och, Boże, po co ja się w to pakowałam?

– No, więc masz trochę tremy. Czym się martwisz? Powalisz ich na kolana. – Jego silne palce rozluźniały jej napięty kark.

– Szmaria... – Wpiła palce w jego ramiona. De Varville na scenie mówił:

– Boże uchwaj!

Złapała go jeszcze mocniej za ramię, trzęsąc się.

– Twoje wejście.

– Zapomniałam tekstu – syknęła przerażona.

– Nanine, Nanine – powiedział.

Przełknęła ślinę, kiwnęła głową i kilka razy głęboko westchnęła. Czują, jakby jej serce miało pęknąć.

– Nanine! Nanine! – zawołała zza kulis i nawet jej samej ten głos wydał się silny. Popatrzyła na Szmarie ze zdumieniem.

Posłał jej w powietrzu pocałunek. Odwrócił ją i poczuła na plecach czubki jego palców.

– Idź, Marguerite – szepnął.

Została delikatnie wypchnięta i na moment oślepiło ją białe światło reflektorów.

„Idź, Marguerite”. Szmaria nazwał ją Marguerite! Jestem Marguerite, pomyślała. Podłoga sceny jakby nachyliła się lekko, światła zrobiły się mniej wyraźne, o publiczności zapomniała. Prawie nieświadomie pofrunęła w kierunku Nanine.

– Idź, zamów kolację, Nanine – zawołała dziewczęcym głosem. – Olympe i Saint-Daudens przychodzą! Spotkałam ich w operze!

Szmaria obserwował zza kulis piękną, kokieterijną, młodą kobietę. Patrzył oczarowany, aż się ocknął.

– Do diabła – zaklął głośnym szeptem, nie dowierzając własnym zmysłom. – To nie jest Senda, do diabła. To Marguerite Gautier!

Rzeczywistość stała się iluzją. Iluzja rzeczywistością. Publiczność w małym, barokowym teatrze siedziała jak zaczarowana, w absolutnej ciszy, niemal nie

oddychając, by nie przerwać tego wrażenia. Od momentu, gdy Senda weszła na scenę, wszyscy, począwszy od cara i carycy, aż do pozostałych aktorów czekających za kulisami, odczuwali przepływające przez salę niewidoczne prądy. W miarę jak rozwijała się wzruszająca historia Marguerite Gautier, wszyscy czuli się przeniesieni z teatru w czyjeś życie jak podsłuchujący pod drzwiami bohaterki, poznając jej najintymniejsze sekrety.

Przed przerwą wszyscy jednogłośnie wyrobili sobie opinię: przedstawienie graniczyło z cudem. Poza Senda, wszyscy aktorzy od dawna grali w sezonowych trupach, niektórzy objeżdżali prowincję ponad dziesięć lat, ale to jej brawurowe przedstawienie głównej roli wzbudziło taki zachwyt. Zrzuciła własną skórę i przyoblekła się w postać chorej na gruźlicę bohaterki, tym samym zmuszając do maksymalnego wysiłku swych zwykle znużonych kolegów. Była podniecająca, prowokująca, świeża, młoda, skazana przez los. Owinęła sobie publiczność wokół małego palca, grając na najgłębszych, z serca płynących emocjach.

Współczuli jej.

Kochali ją.

Miała w sobie jakąś uderzającą żywiołowość, której – jak zauważyła publiczność dopiero teraz – brakowało innym aktorom, których widzieli w tej sztuce.

Kurtyna opadła. Zaczęła się przerwa.

– Ależ ona jest wspaniała! – szepnęła księżna do męża. – Wasilij, gdzie ją znalazłeś?

Wzruszające do łez przedstawienie sprawiło, że hrabina Florińska płakała nieustannie, sięgając wciąż chusteczką za okulary, żeby osuszyć oczy.

Podczas krótkiej przerwy portiera, ozdabiająca łożę, została zasunięta, aby zapewnić prywatność carskiej parze. Służba krążyła z kieliszkami pełnymi szampana. Wszyscy rozmawiali tylko o przedstawieniu.

– To czary – oznajmiła księżna Olga Aleksandrowna.

– Powinna być w Theatre Francais – powiedziała księżniczka Maria Pawłowna.

– I pomyśleć, że grają to po rosyjsku – zauważył książę Golicyn do admirała Makarowa. – Coś zupełnie nowego, prawda? Dotychczas widziałem to tylko po francusku.

Pochwały, pochwały.

Za kulisami Senda, wyczerpana z napięcia, opadła na krzesło między dekoracjami i rekwizytami. Ktoś podał jej szklanekę wody, którą przyjęła z wdzięcznością. Szmaria troskliwie ocierał jej spocone czoło.

– Miałem rację – triumfował. – Padają z zachwytu.

– To ja padam. – Oddychała szybko, piersi jej falowały. – Gardło mnie boli od tego kaszlu i jestem wykończona. – Przymknęła oczy i odchyliła do tyłu głowę. – Mam nadzieję, że uda mi się dociągnąć do końca.

– Oczywiście, że ci się uda. Masz już za sobą dwa akty. Jeszcze tylko dwa, znacznie krótsze.

– Ale znacznie trudniejsze – przypomniała mu, wzdychając głęboko. Otworzyła oczy i patrzyła w sufit. – Myślisz, że jestem w porządku?

– W porządku? – Uśmiechnął się. – Jesteś świetna!

Odwróciła głowę, by na niego spojrzeć i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Chociaż nie jestem pewien, którą wolę – powiedział z zastanowieniem.

– Jak to, którą?

– Ciebie czy Marguerite.

– Potwór. – Uderzyła go żartobliwie. Zmarszczyła brwi i zaniepokojona dotknęła gardła. – Zaczyna mi wysiadać głos. To przez ten kaszel, który muszę udawać. Może powinnam trochę się oszczędzać.

Obserwowali w ciszy, jak zmieniano dekorację do trzeciego aktu. Po drugiej stronie grubej, czerwonej kurtyny znów zaczęła grać orkiestra. Senda podskoczyła, zacisnęła ręce na oparciu fotela.

– Siedź spokojnie, masz jeszcze parę minut. Odpocznij.

– Nie mogę. – Wstała i zaczęła nerwowo spacerować, wykonując niecierpliwe ruchy rękami. Twarz miała skupioną. Szmaria wycofał się cichutko, pozwalając jej przeistoczyć się w Marguerite.

Powolna śmierć Marguerite z powodu gruźlicy spowodowała, że liczne dłonie w rękawiczkach coraz częściej sięgały koronkowymi chusteczkami do oczu. Czasem słyszało się szloch.

W świetle reflektorów Senda stała na środku sceny z opuszczonymi rękami. Uniosła je powoli i spojrzała na nie. Oczy błyszczały jej nieziemskim światłem, a w przytłumionym głosie brzmiała nuta olśnienia.

– Już nie cierpię. Wydaje mi się, że życie wraca. – Frunęła przez scenę. – Będę żyła! Tak dobrze się czuję! – Zachwiała się, stąpnęła niepewnie i runęła na ziemię tak nagle, że publiczność wydała okrzyk przerażenia.

Aktor siedzący na kozetce poderwał się i podbiegł, okrywając ją swym ciałem.

– Marguerite! Marguerite! – wołał z rosnącym przestraczem. – Marguerite! – Oderwał się od niej z największym wysiłkiem i cofnął, przerażony. – Ona nie żyje! – zapłakał.

Podskoczył do kobiety i mężczyzny, stojących z boku. – Boże, co ze mną będzie? – łkał.

Spojrzeli na niego ze stoickim spokojem.

– Jak ona cię kochała, Armandzie – powiedział cicho mężczyzna, kiwając głową. – Biedna Marguerite.

Zastygli w bezruchu.

Kurtyna opadła.

Przez moment publiczność siedziała w absolutnej ciszy. W końcu rozległy się spontaniczne, ogłuszające oklaski. Odbijając się echem od rokokowych ścian, wstrząsnęły małym teatrem. Senda uniosła powoli twarz i spojrzała ze zdumieniem przy pierwszych okrzykach „Brawo!”, przytłumionych grubą kurtyną. Poczowała, jak w jej zmęczonym ciele coś się poruszyło. Oszołomiona, widziała tylko, jak reszta obsady ustawiła się szybko w rzędzie, splótlszy ramiona.

– Szybko! – szepnął Szmaria, bezceremonialnie podniósł ją z podłogi i wepchnął w środek rzędu aktorów. Przytrzymał ją pod rękę z lewej i prawej strony.

Odwróciła głowę.

– Jak było? – spytała Szmarie.

Uśmiechnął się.

– Tylko posłuchaj!

– Wiem już, co oni myślą – powiedziała, nieco zdyszana, z oczyma błyszczącymi podnieceniem. – Pytam, co ty...

Szmaria uskoczył błyskawicznie, gdyż podniosła się kurtyna. Aktorzy, stojący w jednym rzędzie, ukłonili się jednocześnie. Kurtyna znów zaczęła opadać. Senda uniosła oczy w górę i spojrzała przelotnie na łożę cara i carycy. Nie zobaczyła nic, gdyż portiera wokół niej była już zasunięta. Poczowała rozczarowanie, co można było poznać po zaciśniętych ustach.

Nie obserwowała łoży, więc nie wiedziała nawet, czy zostali do końca. Otrzeźwiła ją nieco ta obserwacja i przyćmiła uczucie triumfu.

Oklaski trwały nieprzerwanie.

Za kulisami Szmaria ustawił aktorów w pary, począwszy od najmniej ważnych. Trzymając się za ręce, wychodzili kłaniać się przed kurtynę. Senda i aktor grający Armanda wyszli na końcu i dostali największe brawa.

Później Senda, przyozdobiony twarz w najpiękniejszy z kolekcji swych uśmiechów, wyszła na scenę sama. Wielcy i możni, utytułowani rosyjscy arystokraci nie tylko oklaskiwali ją z zapamiętaniem, ale zrzuciwszy maski

wytwornej rezerwy, zupełnie oszaleli.

Ze wszystkich stron dochodziły ją okrzyki „Brawo! Brawo!” W końcu mężczyźni w wytwornych frakach lub mundurach i kobiety we wspaniałych balowych sukniach unieśli się, oklaskując ją na stojąco.

Stojąc samotnie na scenie i wciąż się kłaniając, Senda poczuła, jak dochodzi do niej fala ich entuzjazmu. Gdy w końcu wycofała się za kulisy i kurtyna opadła, aplauz nie ustawał. Musiała wychodzić jeszcze wiele razy.

Drżała jak osika. Czuła w sobie tętniące życie, serce jej waliło, jakby miało wyskoczyć z piersi. Ogarnęło ją podniecenie silniejsze niż narkotyk.

To było niezwykle. Podbiła ich wszystkich. Nie byli już tylko jej publicznością. Byli jej wielbicielami. W ciągu dwóch godzin oczarowała ich tak, że stała się ozdobą miasta.

W końcu kurtyna opadła po raz ostatni. Oszołomiona, z rozłożonymi rękami podeszła tanecznym krokiem do krzesła i dopiero gdy na nie opadła, miała odrobinę spokoju. Jednak zaraz otoczyli ją ciasno pozostali aktorzy, zarzucając pochwałami.

– Byłaś cudowna!

– Gdybyśmy wiedzieli, że jesteś taka utalentowana, dawno dostałabyś główną rolę!

– Pewnie będziemy mogli zostać w tym mieście do końca sezonu!

Zasypywano ją pochwałami i pocałunkami, komplementami i radosnymi okrzykami.

– Moi drodzy – powiedział w końcu ubawiony Szmara – aż przykro to przerwać, ale dajcie gwiazdzie odetchnąć. Czeka ją bal.

Choć niechętnie, zaczęli się powoli wycofywać.

Senda była w euforii. Czuła się tak, jakby mogła osiągnąć wszystko, co dotychczas wydawało się niemożliwe. Chociaż przyjęcie, jakie zgotowała jej publiczność, było niezwykle poruszające, jednak szczerze pochwały kolegów-aktorów znaczyły więcej. Znacznie więcej.

Ale najważniejsze było teraz pójście na bal – ze Szmaria. Czuła, że będzie to ukoronowanie tego wieczoru. Wszystko było tego warte.

– No więc? – spytał Szmara, gdy zmyła charakterystycję i chwilę odpoczęła. – Na co czekasz? Nie chcesz iść?

Byli sami w garderobie. Reszta dawno już poszła. W małym teatrze panowała cisza jak w grobowcu.

– Iść? – spytała. – Dokąd?

- A jak myślisz?
 - Powiedz to – poprosiła Senda miękko.
 - Dlaczego?
- Uśmiechnęła się wyrozumiale.
- Żebym zawsze pamiętała, że zaprosiłeś mnie na bal.

Im bliżej byli sali balowej, tym wyraźniej dochodziły ich pełne wdzięku tony walca: raz – dwa – trzy, raz – dwa – trzy. Mimo labiryntu pokoi i holów, przez które musieli przejść, Senda była pewna, że znalazłaby drogę nawet bez prowadzącego ich lokaja w liberii, kierując się węchem i słuchem. Zdążali tam, skąd dochodziła muzyka i zapachy kwiatów, przenikające powietrze. Tony walca przyciągały ją jak magnes.

Hole przechodziły w sale, a te otwierały się na większe salony. Potem nagle wszystko to okazało się niczym w porównaniu z salą balową rozmiarów katedry, gdy otworzono przed nimi ostatnie drzwi na drugim piętrze. Senda stanęła jak wryta, by móc ogarnąć ją wzrokiem. Była olśniona.

Dziesiątki gości skupiło się na szerokiej galerii, otaczającej całe drugie piętro sali balowej. Balustradę co cztery metry przecinały kolumny jońskie, wyrastające majestatycznie z parkietu aż po sufit. Odzyskawszy władzę w nogach, Senda zapomniała o lokaju i pociągnęła Szmarię w kierunku balustrady. Przechyliła się przez nią, podniecona. Och, co za widok! Aż jej dech zapierał.

Tancerze na sali balowej wyglądali jak liliputy, parkiet sali balowej – jak falujące morze eleganckich par. Kobiety, unoszące się w ramionach swoich partnerów, w szeleszczących toaletach z koronkowymi halkami, pieniającymi się jak bita śmietana, z gładkimi ramionami koloru kości słoniowej, o szyjach, głowach i rękach obwieszonych kosztownymi klejnotami. A mężczyźni! Najprzystojniejsi, najelegantsi, jakich kiedykolwiek widziała: przeważnie wysocy i postawni, gładko wygoleni lub z doskonale przystrzyżonymi brodami, w strojach wieczorowych albo galowych mundurach, szamerowanych złotem, w butach o lustrzanym połysku, rywalizowali o względy wystrojonych dam. Owalny parkiet pełen był ludzi, rozchodzących się do sąsiednich sal pod kolumnadą ozdobioną palmami. Rozmawiali, śmiali się, wymieniali plotki lub obserwowali pary krążące pod dwunastoma potężnymi kandelabrami, błyszczącymi jak brylanty. W każdym płonęły cztery rzędy białych, woskowych świec. W zakątku utworzonym z palm z oranżerii umieszczono orkiestrę. Och, słodkie dźwięki, cudowny widok.

- A, tu jesteś! – zaszczebiotała bez tchu hrabina Florińska, biegnąc ku nim tak

szybko, jak pozwalały na to jej krótkie nóżki. Odprawiła czekającego lokaja jednym ruchem otwartego wachlarza. – Moja droga, twoja gra była doskonała – zachwycała się, wyciskając po trzy pocałunki na każdym policzku Senty. Następnie cofnęła się i przyjrzała dokładnie Szmarii. – Przystojny – stwierdziła, kiwając głową z aprobatą. – Tak, całkiem przystojny. – Zmrużyła oczy, patrząc na Senty. – Uważaj, bo ci go ukradnę. – Po wzajemnych prezentacjach wzięła ich pod rękę, pulchniutka, kipiąca energią kobieta-dziecko.

– Chodźcie, kochani, pośpieszcie się – ćwierkała. – Księżna nie może się was doczekać. Miałam was przyprowadzić, jak tylko się pojawicie!

Hrabina zaprowadziła ich do najbliższych schodów, które łączyły się na podeście z drugimi, z naprzeciwka, a dalej schodziły jako jedne, szerokie.

– Nazywało się je schodami ambasadora, chociaż Bóg jeden wie, dlaczego – mówiła dalej, z ożywieniem. – Myślę, że wszyscy już zapomnieli.

Gdy doszli do podestu, ścisnęła ich za ramiona i puściła. Księżę i księżna stali obok siebie i witali gości, którzy nie byli zaproszeni na przedstawienie.

Księżna odwróciła się.

– Och – powiedziała śpiewnie po francusku, z akcentem wyższych sfer. – *Voild notre Mademoiselle Marguerite!*

Ponieważ Senta nie знаła ani słowa po francusku, uchwyciła tylko imię Marguerite, ale domyśliła się, co powiedziała księżna.

Hrabina dokonała prezentacji.

– Wasza Wysokość – powiedziała cicho Senta po rosyjsku – wszystkiego najlepszego.

Zgodnie z protokołem dygnęła, a stojący obok niej Szmaria skłonił się z niechęcią. Senta uprzedzała go, żeby się przyzwoicie zachowywał. Wiedziała doskonale, jaka jest jego opinia na temat klasy panującej.

– Dziękuję, moja droga – powiedziała księżna miłym głosem, przechodząc z francuskiego na rosyjski. – Chcę pani powiedzieć, że pani występ był błyskotliwy. To mój najmiłszy prezent urodzinowy. Dziękuję.

– Wasza Wysokość jest nazbyt uprzejma.

– Nie sędzę. Nawet ich wysokości car i caryca prosili, żeby pani pogratulować oszałamiającego przedstawienia.

Senta zrobiła wielkie oczy ze zdumienia i wyglądała w tym momencie zupełnie dziewczęco.

– Ależ pani jest młodziutka! – Księżna przyjrzała się Senty dokładnie i zwróciła się do męża. – Przecież ona ma najwyżej dwadzieścia lat, Wasilij!

– Ale jest bardzo utalentowana – powiedział lekko książe, jakby bez zainteresowania. Jednak twarde spojrzenie intensywnie błękitnych oczu przeczyło jego słowom.

Księżna, wyraźnie nieświadoma uczuć swego męża, poklepała Sendę przyjaźnie po ręce.

– Mój mąż, jak zwykle, ma rację. Jest pani wspaniała. Na pewno macie ochotę na coś orzeźwiającego i na taniec.

Uprzejme, ale zdecydowane zakończenie rozmowy.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedziała Senda.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę się nie kępować.

Znów dygając, Senda poczuła na sobie wzrok księcia.

Twarz jej spłonęła rumieńcem. Wzięła prędko Szmarię pod rękę i poprowadziła go w stronę hrabiny Florińskiej. Zeszli w trójkę do sali balowej.

– Nie wiem, jaką atrakcję wymyśliłby Wasilij, gdyby was nie spotkał – mówiła hrabina. – Irina tak kocha teatr. Czasem mam wrażenie, że wolałaby być aktorką niż grać rolę księżnej. – Wzdrygnęła się. – W każdym razie, ważne jest, że wszyscy uważają, że byłaś boska. Boska... tak. *La Divina*. Tak cię nazwę. Boska.

Senda zaśmiała się.

– To już chyba za wiele.

W tym momencie przeszły obok nich dwie damy, rzucając ukradkowe spojrzenia na Sendę.

– Z bliska jest jeszcze ładniejsza. – Senda usłyszała, że jedna szepcze coś po francusku do drugiej, zasłaniając się wachlarzem. – I jest taka świeża.

– Gdybym była mężczyzną, pewnie bym się w niej zakochała – odparła druga dama przytakując. – Mam nadzieję, że Irina tego pilnuje...

– Widzisz? – powiedziała triumfująco hrabina z błyszczącymi oczami. – Już o tobie mówią!

Senda zarumieniła się, ale przyjęła komplement i była w duchu bardzo zadowolona.

– Ale co powiedziały? Nie zrozumiałam ani słowa.

– Nieważne, co mówią, póki mówią. No, muszę wracać do roboty, a wy bawcie się dobrze. – Hrabina poprawiła dekolt sukni, uniosła głowę, rozejrzała się i odetchnęła z zadowoleniem. – Może nie wypada mi tego mówić, ale wygląda to romantycznie – stwierdziła.

– Nie mogę uwierzyć, że ty to wszystko zorganizowałaś – powiedziała jej Senda.

– To proste – Flora machnęła lekceważąco ręką. – Do zorganizowania dobrego przyjęcia potrzebne są tylko pieniądze. Dużo pieniędzy – zachichotała i zamachała wachlarzem.

– Bardzo łatwo wydawać cudze pieniądze. No, idę, a wy się dobrze bawcie, kochani. – Przesłała Sendzie pocałunek i uścisnęła serdecznie dłoń Szmarii.

Senda i Szmaria uśmiechnęli się do siebie i popatrzyli, jak niewysoka, grubiutka kobietka toczy się tym swoim charakterystycznym kroczkiem po obrzeżu parkietu. Gdy znikła im z oczu, Szmaria zwrócił się do Senty, oficjalnie ujmując ją pod rękę. Jego dotyk był miły, a gest żartobliwy, ale wyczuwało się w nim poczucie własności.

– Zatańczymy, wielmożna pani? – spytał, gdy orkiestra zaczęła grać mazurka.

Senda uśmiechnęła się olśniewająco, – Będę zaszczycona, łaskawy panie.

Wkręcili się w wolne miejsce na parkiecie, gdzie wchłonał ich tłum, szeleszczący jedwabiami i oszałamiającymi zapachami perfum. Olbrzymia sala rosła, malała, wirowała im przed oczami. Chociaż trupa teatralna знаła niemalże wszystkie kroki taneczne i często zabawiali się tańcząc, ale żaden z ich tańców, ani na scenie, ani prywatnych, nie przypominał tego.

Senda miała głowę w chmurach.

Mazurek przeszedł w kadryla, a ten w poloneza.

– Szmaria, jestem wykończona! – wysapała w końcu Senda.

Uśmiechnął się.

– A ja jestem głodny. Zróbmy sobie przerwę. – Wziął ją za rękę i wyprowadził z tłumy. – Teraz, kiedy wiemy, jak żyje ta druga połowa, zobaczymy, jak je.

Okazało się, że wyśmienicie. Ustawione pod kolumnadą stoły, pokryte białymi adamaszkowymi i koronkowymi obrusami, ugiwały się pod ciężarem złotych i srebrnych półmisek. Trudno było wybierać spośród delikatesów: pieczona kaczka z sosem malinowym, zimny jesiotr, bażant, mus z łososia z sosem z szyjek rakowych, pieczone kwiczoły, udziec barani, szaszłyki, bliny, wszelkiego rodzaju ciasta i kwiaty z białego marcepanu. Do tego wszystkiego ustawiono cztery olbrzymie złote salaterki z kawiozem: gruboziarnistym z białugi, drobnym, czarnym z sewragi, złocistym z jesiotra i czerwonym z łososia. Było co najmniej dziesięć gatunków świeżego pieczywa, cienko pokrojonego, tworzącego podstawę ogromnej rzeźby z masła, przedstawiającej księżną.

– Czy to możliwe? – wzdychała Senda, przypatrując się ze zdumieniem podobnie Iriny Daniłowej, rzeźbie wysokiej na metr. – To jest zrobione z masła!

Stała, trzymając w ręku talerz, a kelner sądząc, że chce pieczonego kwiczoła,

srebrnymi szczypcami wyciągnął jednego maleńkiego ptaszka i położył jej na talerzu.

Luksus przyćmiewał luksus. Dla amatorów słodczy przywieziono z Krymu południowe owoce, zastawiono jeden stół ciastkami owocowymi, migdałowymi i ciemnymi czekoladowymi tortami. Na trzecim stole ze słodczymi były tylko ciasta z białym kremem, ciastka lukrowane na biało i białe cukierki.

Napełniwszy talerze, zanieśli je do jednego z czterech przyległych do sali balowej pokojów, w których urządzono jadalnie. Ledwo weszli, goście unieśli kieliszki w toaście dla Sedy. Zarumieniona, podziękowała. Zajęli miejsca przy jednym z elegancko nakrytych, małych stoliczków, nad każdym z nich wisiał srebrny kandelabr otoczony girlandą różowych róż. Przy nakryciach leżały pięknie opakowane pudełeczka i Seda ze Szmaria, idąc za przykładem innych gości, otworzyli swoje. Zdumienie ich nie miało granic. Dla panów przeznaczono zapalniczki z czystego złota, a dla pań – puderniczki. Na wszystkich wygrawerowana była data i monogramy księżnej. Gdy ochłonęli dostatecznie, żeby się zabrać do jedzenia, Seda wzięła do ręki ciężki nóż i widelec i odkroiła kawałek chrupiącego kwiczoła.

– Umieram z głodu – powiedziała, wgrzyzając się w chrupki kęs. – Nic nie jadłam przez cały dzień.

Nagle przestała gryźć i patrzyła przerażona, z wybałuszonymi oczami.

– Co się stało? – spytał Szmaria.

– Ten ptak składa się z samych kości.

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

– To wypluj.

Wsunęła rękę pod stolik i uszczypnęła go w udo. Odsunął nogę, uderzając kolanem o stół.

Powiewając swoim strusim piórem, pojawiła się przy ich stoliku hrabina Florińska.

– Podoba się wam, kochani? – zaszcebiotała.

Seda pokiwała głową.

– Wszystko, z wyjątkiem tego ptaka, cokolwiek to jest. – Wskazała na talerz.

– Chyba kwiczoł.

Seda nakłuła widelcem.

– Myślałam, że jakiś zagłodzony gołąb.

Hrabina zaniósła się śmiechem.

– Opowiadasz takie zabawne rzeczy.

– Co mam zrobić z kośćmi? Mam ich pełne usta.

– Chyba się je gryzie i połyka. – Hrabina zmarszczyła czoło. – A może to z przepiórkami? Wciąż zapominam. Nie mam sposobu na jedzenie drobiu. Miło na ptaszki popatrzeć i nosić – poklepała z upodobaniem pióra na głowie – ale nie sposób ich jeść.

– No właśnie – powiedziała Senda. – Mam kłopoty ze zjedzeniem tego mojego. Boję się, że połknę kości i udławię się na śmierć.

– Więc wypłuj kostki w serwetkę. Jeśli zrobisz to dyskretnie, nikt nie zauważy. Czy przypadkiem – spytała mimochodem – nie wpadłaś gdzieś na Wasilija?

– Wcześniej, z tobą. Kiedy wchodziliśmy.

– Nie, nie, później. – Hrabina przebiegła oczami po wszystkich stolikach. – Wpadłam na niego i mówił, że cię szuka.

– Mnie? – zdziwiła się Senda. – Ciekawe, czego chce.

– Pewnie zatańczyć. O! Jest tam. Wasilij! – Hrabina wspięła się na palce i machała wachlarzem, żeby ją zauważył. – No, idzie. Ja pędzę, moi drodzy!

Wasilij Daniłow podszedł do ich stolika.

– Mam nadzieję, że smakuje pani kolacja, madame Bora?

– Niezwykle, Wasza Wysokość – zapewniła go Senda, chociaż żałowała, że nie zjadła niczego innego prócz kościstego ptaszka.

– To dobrze.

– Hrabina Florińska powiedziała, że szukał mnie pan.

Uśmiechnął się.

– Później, jak pani zje. Chciałem prosić o taniec. – Spojrzał na Szmarie. – Oczywiście, za pańskim pozwoleniem, monsieur.

– Proszę bardzo – powiedział wielkodusznie Szmaria.

– To może od razu, teraz? – spytała Senda. Przełknęła, otarła usta lnianą serwetką i odsunęła krzesło.

– Ale nie skończyła pani kolacji.

– Nie jestem wcale głodna – powiedziała Senda. Zwłaszcza nie mam ochoty na kwiczoły, pomyślała wstając i podając księciu ramię. – Wasza Wysokość?

– Z przyjemnością. – Księżę poprowadził ją z powrotem do sali balowej, gdzie grano wytwornego walca wiedeńskiego. – Johann Strauss – powiedział, spoglądając na parkiet. – Słodka melodia, chociaż nie jestem pewien, czy taka słodycz do pani pasuje. Raczej gorące tango argentyńskie albo ten nowy amerykański jazz, który miałem przyjemność słyszeć przy jakiejś okazji.

– Och! – uniosła brwi – a to dlaczego?

– Ponieważ – uśmiechnął się – czuję płonące w pani namiętności.

– Może przecenił pan swoje wrażenia, Wasza Wysokość. Może pana zawiodły?

– Nigdy mnie nie zawiodzą – powiedział cicho.

Odwróciła się szybko, bo twarz jej zalał rumieniec, podkreślający kolor włosów. Srebrne błyski w jej szmaragdowych oczach przygasły, jakby je przysłonięto welonem.

– Może lepiej zatańczymy? – powiedziała trzeźwo, rozejrzawszy się. – Wszyscy na nas patrzą.

– A dlaczego mają nie patrzeć? W końcu jestem Wasilij Daniłow, a pani jest gwiazdą wieczoru. I według wszelkich kryteriów, bardzo piękną kobietą.

– Czuję się przez pana bardzo niewyraźnie.

– Przejdzie pani.

– Nie powinien pan tańczyć z księżną? Przecież to jej urodziny.

– Poprosiłem ją do pierwszego tańca na rozpoczęcie wieczoru. Poza tym, Irina woli nie tańczyć.

– Tak?

– Nie lubi pokazywać rąk.

Kątem oka Senda widziała hrabinę Florińską i księżną, patrzące w ich stronę. Zauważyła ciekawe spojrzenia innych gości i zerkania huzarów w obcisłych, skórzanych bryczesach, wokół słyszała szepty plotkarzy.

– Myślę – powiedziała niepewnie – że jeżeli zaraz nie zaczniemy tańczyć, ten walc się skończy, nim rozpoczniemy.

– Walc jest nieistotny – spojrzał na nią przewrotnie.

– Następny taniec mnie interesuje. Specjalnie go zamówiłem.

– A co to będzie takiego?

– Coś zdecydowanie bardziej rosyjskiego. Żywszego i, ośmielę się stwierdzić, bliższego pani sercu.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy umilkły słodkie tony walca i nagle szalone dźwięki bałałajki wdarły się jak burza najbardziej rwącą za serce muzyką – tańcem cygańskim. Pary na parkiecie poczuły się nagle zagubione, patrzyły na siebie ze zdumieniem.

– Więc taka dzika muzyka bliższa jest mojemu sercu, tak?

– spytała Senda, unosząc brodę. Oczy jej rozbłysły. – Dobrze, zobaczymy.

Nie czekała, aż on zacznie prowadzić, tylko potrząsnęła włosami i trzasnęła obcasami. Ku jej zdumieniu, książę się nie zawahał. Porzucił swą sztywną, arystokratyczną manierę. Inne pary rozstały się, jakby sam Mojżesz przechodził

przez Morze Czerwone. Parkiet był tylko dla nich. Nie słyhać było żadnych dźwięków, prócz bałajek. A oni oboje, ona w kreacji od madame Lamothe, on w czarnym, szamerowanym złotem wytwornym mundurze, tańczyli, przykucali, przytupywali z rękami na biodrach.

Gdy wokół niej sala balowa wirowała, Senda zauważyła gości przypatrujących się z rozdziawionymi ustami. Widziała, jak wachlarz hrabiny Florińskiej zatrzymał się w pół drogi, widziała nieodgadnione spojrzenie księżnej i uśmiech Szmarii. Więc i jego zafascynowała ta muzyka.

Wiedząc, że na nią patrzy, pozbyła się zahamowań i przestała kontrolować swe zachowanie, dostosowując swe kroki i ruchy do szaleńczej cygańskiej muzyki. Gdy instrumenty osiągnęły *crescendo* i nagle przerwały grę, salą balową wstrząsnęły gromkie oklaski.

Sendzie kręciło się w głowie. Dyszała.

– A teraz – szepnął książę, wdychając głęboko powietrze – możemy złapać oddech przy walcu.

Poczuła, jak objęły ją jego ręce i poprowadził w rytm „Nad pięknym, modrym Dunajem”. Jedna po drugiej, zaczęły koło nich krążyć inne pary i wkrótce sala balowa, jak przedtem, rozbrzmiewała słodką, elegancką muzyką i szumem wytwornych kreacji. Senda jednak myślała o tym, że wołała tę cygańską muzykę. Była w niej i udręka, i ekstaza, i dusza.

Książę promieniał. Uśmiechał się do niej, tańcząc bezbłędnie.

– Miałem rację – powiedział miękko.

– Rację? – Senda zmarszczyła brwi. – W czym, Wasza Wysokość?

Czuła na włosach jego oddech, gdy mówił.

– Że jestem pewien namiętności, jaka tli się w pani.

Zmrużyła oczy. – Jeśli się tli, Wasza Wysokość – powiedziała rezolutnie – to niech pan lepiej uważa, żeby się nie sparzyć.

– Chętnie bym się nią sparzył, nawet w piekle. – Mimo łagodnego głosu czuło się jego dominację. W oczach księcia lśniła jakaś zwierzęca pewność.

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Nie wiem, czy jest pan niepoprawny, czy po prostu uparty.

I wtedy cudowny bal został zakłócony.

– Wasilij Daniłow! – ostry, przenikliwy głos zabrzmiał jak świst bata na tle dźwięków walca Johanna Straussa. – Wasza... Wysokość!

Tańcząc wciąż, książę odwrócił głowę w stronę, z której dochodził głos. Na jego twarzy malowało się zdziwienie z powodu ostrego tonu. Senda odwróciła się

również. Tańczyli teraz w miejscu.

Mężczyzna w wieczorowym stroju był niski i krępy, kipiał złością, a jego okrągła twarz była czerwona.

Książę uniósł brwi.

– Czy ja pana znam, monsieur?

– Nie, ale dobrze pan zna moją żonę! – wrzasnął mężczyzna tak głośno, że tancerze wokół nich zatrzymali się w pół kroku, a muzycy przestali grać. Nad salą balową zaległa ciężka cisza.

– Chyba ta czarująca dama nie jest pańską żoną – powiedział Wasilij Daniłow z pewnym rozbawieniem, ale rysy mu stężały. – A teraz, może pan będzie tak dobry i...

– Niech pan mnie nie uspokaja! – krzyczał mężczyzna, którego oczy miały ogień. – Oczywiście, że to nie jest moja żona. Moja żona jest w domu! Jest w ciąży z panem!

Książę zamilkł, by zebrać myśli.

– Monsieur, jeśli pańska żona rzeczywiście jest w ciąży, a winą obarcza pan mnie, to nie czas i miejsce, żeby o tym dyskutować. A więc, wybacz pan...

– Łajdak!

– Przepraszam, monsieur... – powiedział książę przez zaciśnięte zęby, tracąc cierpliwość.

– Nie udawaj niewiniątka, ty świętoszkowaty łajdaku!

– Myślę, że powinien pan natychmiast wyjść – powiedział zimno książę, starając się panować nad sobą. Skinął na swoją ochronę, która jednak zamarła w chwili, gdy mężczyzna wyciągnął rewolwer. Trzymał go w wyprostowanych rękach, z lufą skierowaną wprost na księcia.

Wśród otaczających ich gości rozległo się jednoczesne westchnienie...

Senda trzymała się ramienia Wasilija, lecz odsunął ją powoli, poza zasięg rewolweru.

– Proponuję, żeby pan to odłożył, nim zdarzy się coś, czego będzie pan żałował! – powiedział do nieznanego ze stoickim spokojem.

– Żałował! – wrzasnął wściekle rzekomo zdradzony mąż. – To pan powinien żałować tego, co się stało! – Rewolwer szczęknął złowroźnie, gdy go naciągnął.

Sendę przeszył dreszcz strachu. Modliła się cichutko, pewna, że tylko cud może im pomóc.

Jakby niepomny niebezpieczeństwa, Wasilij zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę, dłonią do góry.

– Proszę mi to oddać! – powiedział łagodnie.

– Nie! – Z oczu grubaska popłynęły łzy. – Nie zbliżaj się!

– Proszę to oddać. – Książę zrobił jeszcze jeden krok do przodu. – Nic się panu nie stanie.

– Cofnij się! – łkał rewolwerowiec. Broń zadrżała w jego ręku i gdy mężczyzna naciskał na spust, huzar stojący obok Sندی rzucił się na niego i powalając go na ziemię – zmienił kierunek wystrzału. Strzał zagrział jak grzmot. Jakaś kobieta krzyknęła, a nad nimi zatrzęsł się kandelabr, kilka kryształów i róż z dekoracji z brzękiem spadło na podłogę. Na czole księcia pojawiła się jasnoczerwona kropla krwi i spłynęła mu po policzku. Dopiero po chwili Senda zorientowała się, że to ona krzyknęła.

– Nic takiego. To tylko draśnięcie – powiedział łagodnie książę, sięgając po chusteczkę, żeby otrzeć krew.

Senda, oszołomiona, patrzyła, jak mężczyznę, wciąż płaczącego, wyciągano z sali. Nikt się nie ruszał. Zapanowała absolutna cisza. Może była to tylko jej wyobraźnia, ale Sendzie wydawało się, że w momencie, gdy broń wypaliła, świece w kandelabrach przygasły, różowe róże przywiedły i piękny świat z bajki został zniszczony jadem zazdrości i przemocy.

Księżna znalazła się u boku męża, a Senda bez słowa podbiegła do Szmarii, który otoczył ją ramieniem w obronnym geście. Miała oczy pełne łez.

– Chcę wrócić na górę – szepnęła słabo.

Pokiwał głową i zaprowadził ją do Schodów Ambadorskich. Wchodziła po nich jak zahipnotyzowana... Poniżej znów rozbrzmiewał przerwany walc.

– To zabawne, co? – mówił cicho Szmaria, gdy prowadził ją przez kolejne pokoje. – Mogę sobie wyobrazić co najmniej kilkunastu rewolucjonistów, którzy oddaliby wszystko, żeby mieć okazję zabić księcia i to z poważnych powodów. A tu ktoś próbuje zastrzelić tego sukinsyna, ale z zupełnie niewłaściwego powodu. Dla kobiety! – Potrząsnął głową z niedowierzaniem i zaśmiał się ponuro. – Wygląda na to, że nasz książę pościelił sobie zbyt wiele łóżek, żeby się w nich bezpiecznie wyspać.

Następne dwa dni Senda spędziła przeważnie w Pokoju Skórzanym Pałacu Daniłowów, zwinięta w fotelu. Nazwa pokoju pochodziła od brązowożłotej, wytłaczanej, francuskiej skóry, pokrywającej ściany i okładki książek, umieszczonych na półkach i ułożonych na stolikach.

Stojąca lampa rzucała na Sendę krąg ciepłego światła. Na stoliku leżał stos

książek z dramatami, które wybrała do przeczytania, stał dymiący, srebrny samowar, półmisek herbatników i szklane filiżanki w srebrnych uchwytach. Stały jeszcze naczynia po jej ostatnich gościach.

Dzisiaj miała już osiem niespodziewanych wizyt. Starła się skoncentrować na otwartej książce, którą trzymała na kolanach. Wydawało jej się czymś cudownym, że po tym, jak musiała z całym zespołem dzielić się jednym podniszczonym egzemplarzem sztuki, teraz siedziała jak królowa z ciasteczkami pod ręką, w otoczeniu wszystkich możliwych książek luksusowo oprawionych i drukowanych na najlepszym papierze.

Ciekawe, kiedy to się skończy? – myślała od czasu do czasu. Tak się cieszyła, że zaproponowano im pozostanie w pałacu. Hrabia Kokowcow poinformował ich, że hojni Daniłowowie pewni byli, że trupa dostanie zaproszenia na inne występy w St. Petersburgu, więc mogą korzystać z gościny, póki nie wykrystalizują się ich plany.

W zamyśleniu przewróciła stronę, starając się zapomnieć na chwilę o gościach i poświęcić uwagę tekstowi. Powtórzyła kilka kwestii i zadowolona pokiwała głową. Ze wszystkich sztuk, jakie przejrzała, największe wrażenie zrobił na niej „Wiśniowy sad” Czechowa. To było najlepsze. Bardzo się ucieszyła, że pierwszy gość prosił specjalnie, by na przyjęciu w pałacu Jussupowów wystawić właśnie „Wiśniowy sad”. Księżniczka Jussupowa była krewną cara, więc, choć była młoda, nie należało jej lekceważyć. Wpadła bez zapowiedzi, jak po zakupy, i spytała Sendę, czy zgodziłyby się to zagrać. Senda nigdy jeszcze nie była tak spięta. Księżniczka Jussupow! Prawdziwa, żywa księżniczka przyszła do niej prosić, żeby cała trupa wystąpiła w jej pałacu.

Nie posiadała się z radości.

Ale jeszcze bardziej zdumiewające było to, co nastąpiło później: procesja gości z pałaców Szuwałowów, Szeremietiewów i Stroganowów przewijała się całe przedpołudnie i część popołudnia przy herbacie w Pokoju Skórzanym, omawiając możliwość występów w następnych tygodniach. W ciągu jednego popołudnia udało się zrobić rzecz niemożliwą – uzyskać zatrudnienie na cały sezon.

Z każdą nową ofertą oczy Sendy błyszczały coraz bardziej, gdyż starała się ukryć rosnący entuzjazm. Osiągnęli to. Ona to osiągnęła. Byli sensacją. Ta nieznana trupa teatralna, borykająca się z głodem, wędrująca od prowincji do prowincji, była nagle na ustach stolicy Wszechrosji. Nie mogła się doczekać, aż opowie to Szmarii i reszcie, ale na razie trzymała to dla siebie i czekała na okazję.

Oderwało ją od rozmyślań jakieś tajemnicze pukanie i spojrzała w dół, koło

swoich stóp. Od chwili, gdy Inge ją przyprowadziła, Tamara bawiła się spokojnie, ale teraz zaczęła walić różowym misiem, którego ze sobą przyniosła.

Uśmiechając się, Senda odłożyła książkę na kolana i przyglądała się córce z miłością i dumą. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Trudno sobie wyobrazić, że Tamara ma ponad dwa lata. Była delikatna, ale duża, miała jasne, złote włosy i ciekawe, poważne oczy. Rozwijała się w zdumiewającym tempie. Urocze, choć nieco wybuchowe dziecko odziedziczyło urodę Sendy i temperament Szmarii. Jasnozielone oczy o kształcie migdałów podobne były do oczu Sendy, miała natomiast niespożytą energię Szmarii, jego ciekawość i spryt. Zawsze starała się zwrócić na siebie uwagę, rzucając się na każdego dorosłego w zasięgu wzroku. Czepiała się nogi i jeśli to nie pomagało, przybierała wzbudzający litość wyraz twarzy. Zawsze poświęcano jej sporo uwagi, jeśli nie Senda czy Szmaria, to ktoś inny z trupy. Tamara była nieoficjalnie zaadoptowana przez nich wszystkich.

Naprawdę jest rozpuszczona, zdała sobie sprawę Senda. Czemu wcześniej tego nie zauważyłam?

– Niespodzianka!

Przeżona Senda podskoczyła do góry, gdy Szmaria z radosnym okrzykiem wpadł nagle do biblioteki.

– Boże, ależ mnie przeraziłeś! – zwróciła mu delikatnie uwagę, gdy nachylił się, żeby ją pocałować w policzek.

Tamara natychmiast poturlała się do niego, wołając radośnie:

– Ujek Szmaria, ujek Szmaria!

– Jak tam moja księżniczka?

Podniósł Tamarę i zakręcił się z nią dokoła, jak zwariowany ptak, wydając przy tym odgłos bzyczenia, który uwielbiała. Zarumieniła się i zapiszczała z uciechy.

Oczy Sendy wypełniły się łzami. Zawsze tak było, kiedy słyszała, jak ich dziecko mówiło do Szmarii „wujku” zamiast „tatusiu”. Po raz tysięczny przeklinała ich decyzję sprzed dwóch lat. To był błąd, myślała często. Po ucieczce z pogromu powinni byli udawać małżeństwo, ale gdy dołączyli do trupy teatralnej, nie chcieli obciążać swych sumień ostentacyjnymi kłamstwami. Oczywiście, pytaniom nie było końca. Nawet aktorzy bywają ciekawi. Dlaczego się nie pobrali? Zwłaszcza że była w ciąży?

Jak mieli to wyjaśniać?

Byłoby łatwo się pobrać. Salomon nie żył i mogli to zrobić bez kłopotu. A nawet, według prawa żydowskiego, oczekiwano by po Szmarii, że się z nią ożeni. Ale z niezrozumiałego powodu oboje podzielali przekonanie, że byłoby to

moralnie dwuznaczne, gdyby zalegalizowali i uświęcili związek, który zaczął się jako największy z grzechów. Był to jeszcze jeden problem, który czasami zagrażał ich związkowi, a u jego podstaw leżała wina: jej poczucie winy za zdradę męża, jego – za odebranie żony bratu i ich wspólna wina za ocalenie z pogromu.

Szmaria mówił:

– Hej! Senda! Co to za smutna mina?

Okręcił Tamarę w powietrzu i ostrożnie usadowił ją w fotelu. Później uśmiechnął się, szczerząc triumfalnie zęby.

– Mam wspaniałą wiadomość! Zgadnij.

Dotknęła jego ręki.

– Jaka? – uśmiechnęła się.

– Znalazłem dla nas teatr! – rozentuzjasmowany, z błyszczącymi oczami, przykucnął przy jej fotelu.

– Idziemy do miasta. Musimy to uczcić. Zakładaj najlepszą sukienkę, kochanie. Ale nie zbyt uroczystą. Dzisiaj bez balowych kreacji. – Zaśmiał się, najwyraźniej zadowolony z siebie.

Senda była zbyt zaskoczona, żeby coś powiedzieć.

Znalazł dla nich teatr?

Poczuła, jakby w jej serce wbijano sztylet i unikała jego wzroku, wpatrując się w „Wiśniowy sad” trzymany na kolanach, aby nie zauważył konsternacji, malującej się na jej twarzy.

– Gdzie jest... ten teatr? – wydusiła w końcu.

– No, oczywiście nie w najlepszej dzielnicy, nie możemy tego oczekiwać. Dopiero przyjechaliśmy. Jest po drugiej stronie rzeki, w dzielnicy Wyborg – biednej i przemysłowej. Na pewno nie staniemy się bogaci, ale będziemy mieli wszystko, co trzeba. To jest teatr, Senda! Nie wierzyłem własnemu szczęściu. Jacyś moi znajomi powiedzieli mi o tym. Możemy to wynająć za grosze. Zespół, który tam grał ostatnio, wystawiał znaczące społecznie sztuki. My też tak będziemy robić. Co o tym myślisz?

– A ile płaciła ostatnia grupa? – spytała rzeczowo.

Zignorował jej pytanie.

– Ma dwieście miejsc i odpowiednio dużą scenę. Nic specjalnego i właściwie nie ma niczego w rodzaju kulis...

Nagle odczuła strach. Było tyle pytań, które bała się ostatnio zadawać. Pytań, które starała się wyrzucić z pamięci, gdy cisnęły jej się na usta. Pytań takich jak: gdzie byłeś ostatniej nocy? Odpowiedzi na nie bała się usłyszeć.

Westchnęła ciężko. Starła się zawsze unikać typowych żoninych narzekań, bo wiedziała, że ich nie znosił. Ale teraz czuła, że musi zadać przynajmniej jedno z tych pytań, niezależnie od strachu przed odpowiedzią.

– A kim są ci twoi znajomi? Gdzie ich poznałeś?

– Nie mogę ci tego powiedzieć, kochana – odpowiedział beztrąsko. Wstał, zdjął kurtkę i zarzucił sobie na ramię. Nachylił się, by złożyć znów pocałunek na jej policzku.

– Muszę się przebrać. Widzę po twojej minie, że jesteś zdumiona. Też bym był na twoim miejscu. Kto by uwierzył w takie szczęście? – Znow się zaśmiał.

Musiała odchrząknąć, żeby się odezwać.

– Szmaria – powiedziała drżącym głosem, straciwszy pewność siebie. – Ja też muszę ci coś powiedzieć.

– Później. Przy kolacji.

– Nie! To jest bardzo ważne.

– Chyba nie takie ważne jak teatr, co? – Oczy mu błyszczały, gdy zerknął na stoły obłożone książkami. – Nie, na pewno nie przy twojej pasji do sceny. – Był już przy drzwiach. Patrzyła na jego ruchy jak we śnie. – No, idź teraz się przebrać. Opowiemy wszystkim przy winie.

Kiwnęła głową, otępiała.

– Dobrze – szepnęła, gdy zamknęły się drzwi. Znow głęboko westchnęła i potarła czoło rękami. Była zbyt zdumiona i zaskoczona, żeby mu przerwać i opowiedzieć o księżnie Jussupów i innych.

Popołudnie zrobiło się nagle ciemne, jakby jakaś zła chmura zasłoniła słońce. Było to, oczywiście, śmieszne, bo słońce wcale nie świeciło. Ciemność zapadła w jej sercu.

Zsunęła się z fotela i sztywno podeszła do okna. Nerwowo splotła palce. Wieczór był jasny, księżyc oświetlał wieże pałacu, które rzucały cienie na ośnieżony park.

Przymknęła oczy, zmartwiona. Nie miała wyboru, tylko musiała przebić odkrycie Szmarii. Odebrać mu chwałę. To, co ona miała do zaoferowania, było okazją, jaka się zdarza raz w życiu. Jeśli jej natychmiast nie wykorzystają, mało prawdopodobne, że się jeszcze powtórzy. A jednak nie mogła się pozbyć tego straszego uczucia, że teraz, kiedy wszystko między nimi zaczęło się poprawiać, ta jej wiadomość będzie kolejnym ciosem, może śmiertelnym, dla ich związku.

Modliła się głośno. Tylko nie ultimatum. Proszę, Szmaria, nie stawiaj mi ultimatum.

Wybuchnął.

– Niech was diabli! – krzyczał Szmaria, waląc w stół z taką siłą, że naczynia podskakiwały, a kieliszki przewróciły się. Jeden z nich potoczył się po stole, spadł na podłogę i stłukł się. Wszyscy siedzący przy długim, prostokątnym stole zdrtwieli. – Niech was wszystkich diabli wezmą!

Senda zaczerwieniła się widząc, że oczy pozostałych gości w restauracji zwróciły się ku ich stolikowi. W tej strasznej ciszy można było usłyszeć bicie serca.

– Proszę cię, Szmaria – błagała. – Wszyscy na nas patrzą. Czy nie możemy tego omówić spokojnie jak dorośli?

– Ty suko! – rzucił się. Twarz miał purpurową, taka opanowała go furia. Trząść się z wściekłości. – Ty cholerna dziwko! Nie mogłaś mi tego powiedzieć przez całe popołudnie?

Patrzyła zakłopotana.

– Chciałam, starałam się... ale ty byłeś tak przejęty teatrem, że nie dałeś mi możliwości.

Zaśmiał się dziko, a ona skuliła się. Jeszcze nigdy go takim nie widziała.

– Ty nie miałaś okazji? – ryczał. – A ja co? – Oparł ręce na chropowatej powierzchni stołu i nachylił się do niej. – Jak mogłaś pozwolić, żebym zrobił z siebie idiotę, opowiadając wszystkim o teatrze, który znalazłem, a potem ty się wtrącasz, tak niewinnie. – Odrzucił głowę i zaczął ją parodiować, mówiąc cienkim głosem: – Szmaria, nie miałam okazji wcześniej ci tego powiedzieć, ale mieliśmy pewne propozycje...

Zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego złośliwej miny.

– I ty. I ty. I ty! – Patrzył płonącymi oczyma na każdego z członków trupy po kolei. Siedzieli sztywno, przerażeni. – Kiedy dołączyliśmy do was, to co robiliście? Graliście we wsiach! Kto was doprowadził do występów w miasteczkach i w miastach? Kto was zaprowadził tutaj? Kto zawsze dążył do lepszych teatrów?

Zaległa cisza.

– Powiem wam, kto was tu przyprowadził! Ja! To ja miałem wizję i odwagę, żeby za was patrzeć w przyszłość... idioci bez ambicji i charakteru. I jak mi dziękujecie?

Nikt nie śmiał odetchnąć.

– Powiem wam, jak mi dziękujecie. Spiskujecie przeciwko mnie. Wszystko dla tej – odsunął się od stołu, wyprostował i parodiował wytworne damskie gesty –

księżnej Jussupow.

– Szmaria, to nie przeciwko tobie – powiedział Aleks, stary członek trupy, wpatrując się w sosnowy stół. – Po prostu prywatne przedstawienia zapewniają nam najlepszą szansę.

– Szansę? Na co? – szydził Szmaria. – Sławę? Majątek? Tego chcecie?

Aleks zacisnął usta. Nie powie nic więcej. Przebić się przez atak wściekłości Szmarii było równie trudno, jak rozwalić gołymi rękami twierdzę Pietropawłowską.

– Skończyłem z wami, słyszycie? Pakuję swoje manatki i odchodzę!

Senda wyciągnęła rękę, by go dotknąć, ale wywinął się jak wąż.

– Dziwka! – syknął.

Oczy jej błyszczały.

– Proszę, Szmaria, nie bądź taki zły. To jest życiowa szansa. Nie rozumiesz tego?

– Posłuchaj tylko. Scena ci uderzyła do głowy. – Spojrzał na nią pogardliwie. – Wielka aktorka! Wiodąca rola! – Roześmiał się gorzko. – Więc niech tak będzie. Ja umyвам ręce. Od was wszystkich! Zobaczmy, dokąd was zaprowadzi to podlizywanie się księżniczkom i hrabinom i całowanie ich w tyłek, tylko nie wracajcie później do mnie. – Złapał butelkę wódki ze stołu i chociaż nie był pijany, zatoczył się ciężko do drzwi.

Tylko Senda zdawała sobie sprawę, jak mocno czuł się dotknięty. Inaczej nigdy by tak nie wybuchnął.

– Szmaria – poprosiła jeszcze raz.

Odwrócił się i obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Senda podbiegła do drzwi. Złapała go za ramię czując, że jeśli teraz się złamie, straci go na zawsze.

– Szmaria, proszę – błagała. – Nie zostawiaj mnie i Tamary. Kochamy cię. Nic nie jest warte straty ciebie.

Popatrzył na nią ponuro.

– Czy to znaczy, że odrzucisz propozycję księżnej jak-jej-tam?

Senda zawahała się.

– Musimy rozważyć jej propozycję. My wszyscy – dodała ostrożnie. – Nie rozumiesz? Po prostu... jest lepsza od twojej.

– Lepsza, co?

Zacisnęła usta i nieśmiało pokiwała głową.

– Chodź do stołu i porozmawiajmy.

– Dziwka! – Nawet nie zauważyła ruchu jego ręki, a gdy po mocnym ciosie

zatonczyła się na ścianę, nie uwierzyła, co się stało.

Patrzyła na niego zdumiona, trzymając się za policzek, na którym odbił się na biało ślad jego dłoni. Szmara nigdy przedtem jej nie uderzył. Nigdy. Choćby był nie wiem jak zły.

– Dziwka! – syknął znów pod nosem i szarpnął klamkę. Do ciepłej sali dmuchnął arktyczny wiatr, aż świece zamigotały i zgasły. Tylko z otwartych drzwi do kuchni dochodziło do restauracji przyćmione światło elektryczne.

Ściany zadrżały, gdy trzasnęły drzwiami.

Poszedł. Straciła go. Straciła. I w potoku łez obwiniała o to siebie. Był to dzień, w którym rozpoczęła się jej kariera największej gwiazdy w Rosji.

I dzień, w którym umarła miłość Szmarii do niej.

Tego wieczoru Wasilij Daniłow wezwał Mordkę Kokowcowa do Pokoju Chińskiego w swoim pałacu.

– A więc? – spytał kuzyna. – Czy wszyscy nasi przyjaciele odpowiedzieli na propozycję?

– Mógłbym powiedzieć, że całym sercem – odparł sucho hrabia. – Zwłaszcza że to ty zapłacisz rachunek za rozrywkę na cały sezon dla połowy miasta.

Księżę zignorował wyraźną złośliwość.

– Załatw, żeby dyrektor Theatre Francais był zaproszony do każdego pałacu, gdzie ona będzie występowała.

– Doprawdy, Wasilij. – Hrabia Kokowcow uniósł brwi. – Ona nawet nie mówi po francusku. Gra tylko po rosyjsku. To niesłychane!

– Może się szybko nauczyć francuskiego. Wydaje mi się, że ona może się wszystkiego szybko nauczyć. Lepiej, żebyś ją docenił. Załatw z dyrektorem, żeby jej znalazł nauczyciela. I bądź dyskretny.

– Oczywiście. Nikt się nie zorientuje, że ty za tym wszystkim stoisz. Ale chyba nie uważasz, że jest rzeczywiście taka dobra, żeby grać w Theatre Francais?

– Uważam. – Księżę złożył ręce i oparł się w zamyśleniu. – Jest bardzo, bardzo dobra. Może trochę nieobyta, ale jej występ był mimo to porywający. – Przerwał. – Ma wszystko, by stać się największą żyjącą aktorką Rosji. Dlaczego nie przyspieszyć tej drogi? Niech dyrektor teatru francuskiego dopilnuje, żeby doksztalcono ją też aktorsko.

– Musisz jej bardzo chcieć, drogi kuzynie.

– To racja – powiedział łagodnie księżę. Jego oczy nabrały marzycielskiego wyrazu. – I będzie moja.

– Bardzo dobrze. – Hrabia wstał i podszedł do drzwi.

– Och, jeszcze jedna sprawa, kuzynie. Tatiana Iwanowa.

– Co z nią?

– Stała się trochę... męcząca. – Książę wykonał gest znudzenia. – Nie jest już w łaskach.

Co oznacza, rozważał hrabia idąc po bogato zdobionych posadzkach do swego apartamentu, że ta dziwka Tatiana jest skończona.

Mordki to nie zaskoczyło. Pomagał już swemu kuzynowi w licznych przygodach. Mruknął sam do siebie: Łaska pańska na pstrym koniu jedzie.

Senda znikła ze świata i schroniła się w łóżku z postanowieniem, że będzie ono jej trumną. Za grubymi, wciąż zaciągniętymi zasłonami dni i noce zlewały się w jeden szary, nieskończony okres agonii. Nie miała już więcej łez i przez wiele dni po tym, jak przestała płakać, oczy miała spuchnięte i piekące z odwodnienia. Pamiętała niewyraźnie, że hrabina Florińska wpadała czasem radośnie do zaciemnionego pokoju, Inge przyprowadzała Tamarę z krótką wizytą, że siadała czasem na chwilę, żeby zjeść kilka łyżek tłustego rosółu z kury, którym karmili ją na zmianę przerażeni członkowie trupy. Na próżno czekała, aż Szmara wróci i wybawi ją z tego nieszczęścia. Gdy pytała Inge, czy próbował przynajmniej zobaczyć się z Tamarą, unikała jej wzroku.

Serce Sendy mówiło: jego okrucieństwo nie może być aż takie, żeby opuścić swą córkę. Przecież kochał Tamarę. Musi wkrótce wrócić.

Ale nie wracał. Jakby umarł, a coś jej w głębi serca mówiło, że opuścił ją na zawsze. Mogła tylko mieć nadzieję, że się myli. Tak głęboko go kochała i tak bardzo potrzebowała. Nie mogła pogodzić się z faktem, że wzgardził taką miłością. Życie bez niego nie było nawet egzystencją. . Czowała się pusta. Było to tak, jak gdyby wychodząc z restauracji zabrał ze sobą jej duszę. I tak w pewnym sensie było.

Wciąż przeklinała swoją decyzję, żeby przedłożyć ofertę księżniczki nad jego. Nie powinna była się zawahać wtedy, przy drzwiach restauracji. Trzeba było mu powiedzieć, że to jego decyzja była właściwa.

Ale nie zrobiła tego. A teraz uszła z niej radość życia.

Po południu szóstego dnia żałoby, jaką Sendą sobie narzuciła, hrabina Florińska zapukała do gabinetu księcia. Miała nienaturalnie bladą twarz i tym razem jej żywiołowy temperament był wyraźnie przygaszony. Jakby dla podkreślenia tego faktu ubrana była w czarną krepeę, a jej olbrzymi czarny kapelusz

przyozdobiony był niezliczoną ilością czarnych, aksamitnych róż.

Znalazła Wasilija Daniłowa siedzącego za biurkiem ustawionym na środku olbrzymiego dywanu. Nie lubiła tego pokoju. Pogłębił jeszcze bardziej jej smętny nastrój. Błyszczące meble miały klasyczną surowość, której nie lubiła. Nawet parkiet nie był zdobiony, jak podłogi w pozostałej części pałacu. Owalny pokój miał sklepienie z trzech kopuł, każda podtrzymana była dwiema kolumnami z kariatydami odwróconymi twarzami do siebie, i stanowił prawdziwe osiągnięcie sztuki architektonicznej.

– Siadaj – zaproponował książę, odsuwając na bok gruby plik dokumentów. Wyglądał na mile zaskoczony. – Czemu jesteś taka podenerwowana? – zmarszczył brwi.

Rozejrzała się badawczo w poszukiwaniu najwygodniejszego krzesła i opadła na nie. Wyjęła chusteczkę i zaczęła osuszać oczy bez większego efektu. Pociągnęła nosem.

– Nie będę owijać w bawełnę, Wasilij – oświadczyła zdecydowanie. – Naprawdę bardzo się martwię. – Pokiwała głową. – Wciąż nie może się wygrzebać z tej potwornej depresji. Odwraca się, kiedy do niej mówię. Podobno trzeba ją karmić.

– Przejdzie jej to niedługo – powiedział lekko, odsuwając krzesło. – Jest rozsądną kobietą.

– Mam nadzieję, że masz rację. Na razie, biedaczka, ma złamane serce.

Zadzwoił na służącego i gdy uroczyście nalano już hrabinie herbatę, dmuchnęła w nią i upiła łyk. Westchnęła z zadowoleniem i odstawiła filiżankę i spodek na biurko.

– Nie ma to jak gorąca herbata w takie zimno. Rozumiem, że jest coś, co chciałbyś, żebyś zrobiła, tak?

– Tak. Po pierwsze, to jest twoje wynagrodzenie za przygotowanie balu. – Posunął w jej stronę kopertę, przyciśniętą wąskim, aksamitnym pudełkiem.

Na chwilę zapomniała o łzach. Chwyciła pudełko pulchnymi palcami i otworzyła.

– Och, Wasilij! – westchnęła. Jej olbrzymie, powiększone oczy zaszyły mgłą.

– Załóż je. Zobaczymy, jak wyglądają.

Hrabina Florińska zsunęła swoje stare okulary w metalowych oprawkach i uroczyście założyła nowe, w złoconych.

– I dokładnie według recepty! – Była głęboko poruszona.

Machnął ręką lekceważąco.

– To drobny dowód wdzięczności za wspaniałą uroczystość.

Ona tymczasem włożyła do pochewki stare okulary i wsunęła wraz z kopertą do aksamitnej torebki. Gdy zaciągała sznurek, rozwarta paszcza woreczka zamknęła się jak usta ryby połykającej swój skarb. Rzuciła torbę na podłogę obok siebie i nagle była znów rzeczowa i pełna energii.

– No, mój drogi, nie zaprosiłeś mnie tutaj, żeby mi wręczyć okulary, prawda?

Spojrzał na nią.

– Ależ droga Floro! Ranisz mnie – powiedział, jakby urażony. – Czy nie wierzysz, że samo twoje towarzystwo stanowi dla mnie przyjemność?

– Niestety, trudno mi w to uwierzyć – westchnęła. – Znam cię, Wasilij.

Twarz jego była jak maska, ale w głosie brzmiał szacunek.

– Bystra z ciebie kobieta, Floro.

Czekała, popijając herbatę.

– Jak powiedziałem, madame Bora jest silna, ale przeżywa poważną depresję. Dlatego liczę na ciebie.

– Czyżby?

– Tak. Jeśli w ogóle ktoś, to tylko ty możesz przyspieszyć jej wyzdrowienie.

– Ale przecież nie chodzi ci o jej zdrowie.

Wzruszył ramionami na tę zaczepkę.

– Obchodzi mnie jej zdrowie, oczywiście. Tak samo jak każdego, kto znajduje się pod moim dachem.

Hrabiny nie udało się oszukać.

– Rozumiem – powiedziała, składając tłuste łapki na kolanach.

– Jesteś, jak sądzę, jej jedyną przyjaciółką?

Teraz z kolei hrabina wzruszyła ramionami.

– I jako takiej, zależy ci na jej powrocie do zdrowia.

– Przeżywa wielkie załamanie, a to jest – jak choroba. Ona umiera wewnątrz. Mężczyzna ją opuścił, Wasilij. To jest dla niej wielka tragedia. Obawiam się, że trudno nam będzie znaleźć jej nowy cel w życiu.

Pokiwał głową.

– Trudno, tak. Ale nic nie jest niemożliwe. Myślę, że mam dla niej antidotum, jakiego trzeba.

– To znaczy?

– Musimy zorganizować jej to, co kocha najbardziej: granie. Będzie robiła coś konstruktywnego, co oderwie ją od obecnej sytuacji. Nie będzie miała czasu na rozpamiętywanie.

Hrabina Florińska pomyślała chwilę, nim pokiwała głową z aprobatą. Pozwoliła sobie nawet na słaby uśmieszek.

– Myślę, że masz rację.

– Dobrze. Więc pomóż mi, Floro. Daj jej moralne wsparcie. Namów ją, żeby się wzięła do pracy, zapomniała o nim i tak dalej. Rozumiesz, o co chodzi?

Kiwnęła głową. Uśmiechnął się.

– Więc załatwione. Jak się nad tym zastanowić, to jestem nawet zadowolony z takiego układu. Nie tylko madame Bora z tego skorzysta, ale i ty.

– Jak?

– Będzie dużo przedstawień i imprez, za które dostaniesz spore wynagrodzenie.

– Jestem jej przyjaciółką, Wasilij – powiedziała poważnie – i mam obowiązek jej bronić.

– Przed czym?

– Przed tobą.

– Przede mną! – Zaśmiał się, ale w jego głosie, prócz rozbawienia, brzmiała nuta szacunku. – Mimo że nie leży to w twoim interesie?

– To zależy. Jest urocza, cudownie naiwna i wywołuje niebezpiecznie wielkie wrażenie. A mimo twej ogłady, Wasilij, jesteś rekinem.

Spojrzał na nią uważnie.

– Różnie mnie już nazywano – rozważał, pocierając brodę – ale nigdy nie rekinem.

– Rekin, który wymaga ciągłego żeru. Nie muszę ci chyba mówić, że Tatiana Iwanowa opuściła Theatre Francais?

– Czyżby?

– Tak, rzeczywiście – prychnęła hrabina – jakbyś tego nie wiedział.

Kiwnął głową i wstał, górując nad nią.

– Więc mogę liczyć na twoją pomoc?

Westchnęła głęboko. Tym razem jej olbrzymie, powiększone oczy były smutne i matowe.

– A jaki mam wybór? – Spojrzała na niego.

Uśmiechnął się krzywo.

– Zawsze możesz zrobić to, co zechcesz.

– Rzeczywiście? – mruknęła. – Czasami mam wątpliwości.

– Myślę, że wiesz, co jest dla was obu najlepsze. – Przerwał. – Zawsze udawało ci się doskonale zachowywać proporcję między obowiązkiem wobec innych i wobec siebie. Nie przypuszczam, żeby akurat teraz miał cię ten niezwykły talent

zawieść.

– To co innego... Muszę to przemyśleć. Nie można jej skrzywdzić. Cenię tę przyjaźń i nie chcę jej narazić na szwank.

– Oczywiście, że nie. Nie ma takiej potrzeby.

Znów spojrzała na niego.

– Jestem pewien, że w ciągu tygodnia wyciągniesz ją z tego. Będzie ci wdzięczna za to, co dla niej zrobiłaś.

Hrabina zacisnęła usta.

– Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedziała zdenerwowana.

– Floro, jeśli wszystko pójdzie tak, jak planuję, ona będzie miała to, czego chce, czyli karierę na scenie, ty będziesz miała, co chcesz, czyli pogłębiającą się przyjaźń i trochę pieniędzy. A ja... – zawiesił głos.

– A ty będziesz miał ją – powiedziała dobitnie.

Uśmiechnął się i odprowadził ją do drzwi.

– Liczę na ciebie, Floro. Wiesz o tym.

Skinęła głową i wyszła do chłodnego holu. Nim zamknęła drzwi, odwróciła się do niego.

– To, co zrobię, to nie dla pieniędzy, ani dla ciebie, ale dla niej. Ponieważ tak, jak powiedziałeś, potrzebuje czegoś, co ją zajmie.

– Czy to znaczy, że nie chcesz pieniędzy?

– Trzydzieści srebrników za dostarczenie jej tobie? – Olbrzymi kapelusz zatrzęsł się na jej głowie. – Nie chcę za to żadnych pieniędzy.

– Dziwna z ciebie kobieta, Floro – powiedział.

– Może głupia. Czas pokaże.

– Zawsze czas pokazuje.

– Ale nie skrzywdź jej, Wasilij. O to tylko proszę. Ona jest inna. To nie następna Tatiana Iwanowa.

Popatrzył na nią i delikatnie zamknął drzwi.

Szła powoli przez olbrzymi hol. Była nieco przerażona. Daniłowowie mieli dużą władzę. Zbyt wielką, pomyślała, żeby im to wyszło na dobre. I zbyt wielką, żeby wyszło na dobre innym.

Tydzień później Wasilij Daniłow przywołał do Pokoju Chińskiego hrabiego Kokowcowa. Przeglądał plik dokumentów, robiąc od czasu do czasu notatki na marginesie.

– Co masz mi do zakomunikowania? – spytał łagodnie książe, siedzący za

swym biurkiem z drewna tulipanowca.

– Przyjaciół madame Bory wprowadził się do mieszkania nad księgarnią na ulicy Zajcewa – zaczął hrabia, jak zwykle żalobnym tonem. Podeszedł do barku, nalał sobie spory kieliszek wódki i opróżnił jednym haustem.

Książę nie podnosił głowy znad dokumentów.

– I co?

– Trafiliśmy na gniazdo os. Mieszkanie wynajmuje pewien student, bardzo radykalny, jak mi powiedziano – zauważył z niesmakiem hrabia. – Podejrzuje się, że dziesięciu do dwunastu studentów, w mniejszym lub większym stopniu zamieszanych w antycarską działalność, może też tam mieszkać. – Wyraźnie wzdrygnął się na tę myśl.

– Mężczyźni? – spytał Wasilij – czy kobiety?

– Jedni i drudzy.

– Rozumiem. – Książę odsunął papiery. – Tyle osób utrudnia obserwację.

– Wręcz przeciwnie. – Hrabia usiadł wygodnie, lecz olbrzymia, błyszcząca powierzchnia biurka tworzyła wyraźną barierę, podkreślającą różnicę ich pozycji. – Tak jak kazałeś, kapitan Dymitrow z Ochrazy przejął śledzenie go. Jego ludzie umieszczeni są teraz w mieszkaniu, które czasowo... zajęli – hrabia dyskretnie chrząknął – naprzeciwko księgarni. Ja jestem tylko łącznikiem.

– Dobrze – skinął głową książę. – A nasza przyszła gwiazda? Wszystko załatwione?

Hrabia Kokowcow potaknął, nie zmieniając bolesnego wyrazu twarzy.

– Tak – odpowiedział – ale ona jeszcze o tym nie wie. Muszę dodać, że monsieur Guerlain był nieszczęśliwy z powodu tego układu. Wysłuchałem przemowy na temat jednolitego wyrazu artystycznego i innych takich bzdur. Wszystko, oczywiście, sprowadzało się do tego – tu hrabia przerwał i zaczął naśladować francuską wymowę monsieur Guerlaina i jego cienki głos – że Theatre Francais nie może nigdy, przenigdy pozwolić sobie na obniżenie poziomu lub zmiany swego stylu. „Nigdy, panie hrabio i za żadne pieniądze”.

– Nigdy nie należy mówić nigdy – mruknął książę machnąwszy lekceważąco ręką. – Ale rozumiem, że w końcu osiągnąłeś to, na czym nam zależało?

– Oczywiście.

– To zdumiewające, nieprawdaż kuzynie, jaką zmianę w czyichś poglądach może spowodować trochę pieniędzy. Jak może skusić najuczciwszego człowieka...

Hrabia znów pokiwał głową.

– Pieniądze i śmierć, dwa główne czynniki. W każdym razie madame Bora za

miesiąc zostanie dublerką Olgi Botkiny.

Nie mamy zbyt wiele czasu zważywszy, że nie mówi ani słowa po francusku.

Takie rozumowanie księcia nie poruszało. Przy odpowiedniej ilości pieniędzy i takie rzeczy nie stanowią problemu.

– Aktorstwo to sztuka nauczania się na pamięć kwestii – powiedział. – Naucz się szybko.

– Mam nadzieję – westchnął nieszczęśliwie hrabia – bo inaczej zostaniemy pośmiewiskiem Sankt Petersburga.

– Na pewno nie! – zaśmiał się książę z godnością. – Zachowanie tajemnicy jest najważniejsze. Mam nadzieję, że to podkreślałeś?

– Oczywiście.

– I dopilnowałeś, żeby żaden ślad nie prowadził do mnie?

– Tak, ale jednak...

– Co jednak? – Książę wyprostował się i z zainteresowaniem spojrzał na kuzyna.

– Hrabina Florińska. – Hrabia z niesmakiem wykrzywił usta. – To, że wciągnąłeś tę kobietę w tajemnicę, sprawia, że jest to... mniej...

– Chcesz powiedzieć, że ona nie potrafi trzymać języka za zębami?

– Dokładnie.

– Nie martw się Florą. Ponieważ najważniejsze dla niej w tym momencie jest dobro madame Bory, a nie pieniądze, możemy być pewni jej milczenia.

– Jeśli tak sądzisz, kuzynie – powiedział hrabia Kokowcow z powątpiewaniem.

– Sądzę. – Książę spojrzał na swoje biurko. – Oczekuję, oprócz prywatnych przedstawień w różnych pałacach, które załatwia Flora, że madame Bora zagra przynajmniej w pięciu ostatnich przedstawieniach w tym sezonie w Theatre Francais.

Hrabia był zdumiony.

– Chyba żartujesz.

Książę potrząsnął głową.

– Zapewniam cię, że nie. W swoim czasie Olga Botkina ma zachorować, a madame Bora ją zastąpi.

– Obawiam się, że choroby nie można zaaranżować tak dogodnie, jak myślisz – odparł sucho hrabia.

– Ale krótki wyjazd, powiedzmy... do Paryża?

– Jeśli upierasz się, żeby zniszczyć fortunę rodzinną, oczywiście – westchnął ciężko Kokowcow i zrobił ruch, jakby chciał wstać z krzesła.

– Chwileczkę. Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym z tobą omówić. – Książę zerknął w leżące na biurku dokumenty. – Pojutrze pojedziesz do Moskwy. Chcę, żebyś sprzedał nasze majątki na Uralu tak szybko, jak to jest w ludzkiej mocy.

– Majątki na Uralu! – Hrabia wstrzymał oddech. – Ale... nie jesteśmy w tarapatkach finansowych. Mamy wręcz nadmiar gotówki.

– Wszystko jedno, są inne powody pozbycia się tych majątków.

– Ale to będzie trwało miesiące, a nawet lata. Czy wyobrażasz sobie, Wasilij, jak trudno będzie sprzedać dwadzieścia dziewięć milionów akrów?

Książę zmusił się do uśmiechu.

– Wyobrażam. Znalezienie kupca na taki olbrzymi grunt nie byłoby łatwe, chociaż jest kilka rodzin, które mogłyby się zainteresować. Proponuję, żebyś je podzielił na mniejsze parcele, powiedzmy po milionie akrów. W ten sposób, jak sądzę, nie tylko łatwiej się ich pozbędziemy, ale możemy na tym zarobić.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Wasilij, jako twój doradca finansowy – powiedział w końcu hrabia – muszę cię skłonić do przemyślenia tej decyzji.

Książę wytrzymał spojrzenie kuzyna.

– I trzymać się naszych wszystkich nieruchomości?

– Tak jak twój ojciec, a przed nim dziadowie – powiedział hrabia gładko, ciesząc się, że rozmowa zesłała na bliższy mu grunt, a nie na nieznany świat jupiterów i rekwizytów. – Czy muszę ci przypominać, że olbrzymia część fortuny Daniłowów opiera się na nabywaniu i posiadaniu ziemi? Czy masz pojęcie, ile pieniędzy wpływa z drewna, kopalń i dzierżaw?

– Mam te wszystkie dane w małym palcu – powiedział ponuro książę, powiewając dokumentami nad blatem biurka.

– A teraz, czy mogę ci zadać kilka pytań, jako mojemu doradcy finansowemu?

– Pytaj, o co chcesz.

– Więc będę pytał szczerze i oczekuję takich odpowiedzi. Mordka, czy masz pojęcie, co się dzieje w tym kraju?

– Masz na myśli... politykę?

Książę pokiwał głową.

– No, oczywiście, jest sporo niepokojów. Ale jaki kraj nie doświadcza czasami trudności?

– Ech, Mordka, odłóż na bok tę swoją racjonalizację i ślepą wiarę w ojczyznę. Spójrz poza mury naszego pałacu i bramy banków.

– A więc?

– Więc co widzisz?

– No... – Umysł Mordki pracował jak oszalały. – Prawdę powiedziawszy – powiedział niepewnie – nie zastanawiałem się zbyt nad tym.

– Tego się obawiałem. Ale ja się zastanawiałem, Mordka.

– Książę wstał i ze zmarszczonymi brwiami powoli chodził po pokoju, założywszy ręce do tyłu. – Obawiam się, znacznie bardziej niż inni, niepokojów politycznych i ich reperkusji. Myślę, że nie potrafię schować głowy w piasek przed rzeczywistością, jak cała nasza arystokracja. – Przerwał i westchnął głęboko. – Czy słuchałeś uważnie, co się dzieje w całej Rosji? Nie mam na myśli naszego towarzystwa, ale większość. Chłopów. Studentów. Ich nauczycieli.

– Oczywiście, że doszły do mnie słuchy o jakiejś głupiej rewolucji. – Hrabia machnął pogardliwie ręką. – Kto tego nie słyszał? Ale chyba nie myślisz, naprawdę...

– Myślę, Mordka. – Książę roześmiał się gorzko. – Niech to nie wyjdzie poza te cztery ściany, ale ja mam uszy otwarte. Przez ostatnie parę lat miałem kilku informatorów, którym dobrze płaciłem. Niestety, ich prognozy są niewesołe.

– Prognozy! Brzmi to jak jakaś... choroba!

– Mordka, Rosja jest rzeczywiście chora. To jest śmiertelna choroba społeczna. Ale niby dlaczego miałbyś o niej wiedzieć? Jesteś odizolowany od codziennego życia i jego tragedii, tak jak wszyscy w naszych kręgach. Ja też byłbym, gdyby nie moi informatorzy. Zdaję sobie, oczywiście, sprawę, że gdy nadejdzie czas – i oni zwrócą się przeciwko mnie. Teraz tylko dzięki złotu, które tak hojnie rozdaję, mam zapewnioną ich lojalność. To też się wkrótce zmieni.

– A ta... choroba, której tak się obawiasz, kuzynie, co to właściwie jest?

– Bieda, Mordka – powiedział ponuro Wasilij Daniłow. – Już od wieków żyliśmy z potu i trudu milionów, milionów niewolników i teraz to się obraca przeciwko nam. Obawiam się, że jesteśmy w przerażającej mniejszości. Możemy stać się nawet gatunkiem, który zginie.

– Zginie?

– W przyszłości spotka nas ten sam los, co właścicieli niewolników w Ameryce i arystokracji we Francji. Chcę też – kontynuował Wasilij – żeby skatalogować i wysłać do Francji nasze najwspanialsze dzieła sztuki, a antyki do posiadłości w Genewie. Czuję, że tam będą bezpieczniejsze.

Oniemiały Mordka mógł tylko kiwać głową i zastanawiać się, od jak dawna Wasilij to planował. Wydawało się, że pomyślał o wszystkim.

Książę zajął do kolejnego dokumentu i odsunął go.

– Jak tylko rozparcelujesz ten majątek na Uralu, chcę, żeby zyski z każdej sprzedaży przekazywać od razu do Banque Danilov w Genewie. Nie chcę, żeby z tym czekać, aż się zbierze cała suma. Wtedy może być już za późno, a straty – astronomiczne. Poza tym chcę, żebyś większość naszej gotówki zamienił na franki szwajcarskie i kazał je wysłać z kraju.

– Jak sobie życzysz. – Umysł Mordki nie nadążał za tym błyskawicznym tokiem myśli i tempem decyzji. Na razie postanowił więc na wszelki wypadek zgadzać się ze wszystkim, co kuzyn rozkaże.

– I jeszcze ostatnia sprawa, Mordka.

– Tak? Co takiego?

– Nasz pociąg.

– Co z pociągiem?

– Czy jest gotów do natychmiastowego odjazdu?

– Tak, na naszej stałej bocznicy.

Książę zagryzł wargę.

– Od tej chwili ma czekać w gotowości, gdziekolwiek będziemy: w Moskwie, na Krymie czy tutaj. Ma być przez cały czas zaopatrzony w paliwo i z obsługą, i to nie w jakimś szczątkowym stanie. Niech z przodu dodadzą jeszcze dwa wagony z węglem.

– Naprawdę, Wasilij...

Książę zrobił ruch ręką.

– Nie skończyłem. Chcę, żeby do istniejącego składu dodano sześć wagonów towarowych i dwa pasażerskie, gotowych do załadowania w ciągu kilku godzin.

Hrabia zaniemówił.

Wasilij Daniłow też milczał.

Gdy hrabia doszedł do siebie, odezwał się drżącym głosem.

– Wasilij – szepnął piskliwie i wzdrygnął się. – Przestraszyłeś mnie! Oczywiście, dobrze jest mieć taki plan awaryjny, ale coś na taką skalę, jak proponujesz... Nie sądzisz, że to zbyt daleko posunięta ostrożność?

– Obawiam się, że zbyt mało posunięta. Ważne też jest, żeby pociąg wyglądał zwyczajnie i nie rzucał się w oczy na wypadek, gdybyśmy byli zmuszeni do pośpiesznego hm... odjazdu. Trzeba zdjąć z lokomotywy i wagonów nasz herb i zamalować, żeby wyglądał jak każdy zwykły pociąg.

Strach, który dusił już Mordkę, zmroził mu krew w żyłach.

– Wasilij, dla dobra nas wszystkich mam nadzieję, że jesteś zbyt przewidujący.

– Ja też, wierz mi, ja też. Na razie postępuj dokładnie według moich instrukcji. Co do joty. I nie zawieźdź mnie. A teraz idź już, masz dużo do zrobienia.

Hrabia Kokowcow wstał i prędko się wycofał, bo w głowie już mu wszystko wirowało. Cieszył się, że może wyjść i wszystko to sobie uporządkować.

Gdy znalazł się w swoim saloniku, zadzwonił po lodowatą wódkę i wypił sporo wprost z butelki, ze wzrokiem utkwionym w tańczące w kominku płomienie. Po chwili ciepło – to od lodowatej wódki i to z sosnowych bali – rozgrzały nieco jego krew zmrożoną ze strachu.

Wasilij najwyraźniej panował nad sytuacją, więc po co on ma się niepotrzebnie martwić niepewną przyszłością? Poza tym, w każdej sytuacji trzeba szukać jaśniejszej strony. Jeżeli cokolwiek...

Serce Mordki zamarło na chwilę, a on siadł wyprostowany.

Jeżeli cokolwiek się stanie, wiatr politycznych zmian może powiać i w jego stronę. Zwykle od wszelkich zakupów i sprzedaży dla Daniłowów dostawał pięcioprocentową prowizję. Tak samo będzie w przypadku majątków na Uralu, a pięć procent od dwudziestu dziewięciu milionów akrów, to niezła sumka. Poza tym była okazja, żeby to trochę zaokrąglić. W końcu, przy dwudziestu dziewięciu milionach akrów, jednego czy dwóch milionów nikt się nie doliczy.

Do diabła, pomyślał, ma okazję dorobić się dużych pieniędzy. A tymczasem coraz większa część fortuny Daniłowów będzie powoli spływać do Szwajcarii.

Senda zaczęła wracać do formy w połowie stycznia.

Zmuszona w końcu do zaakceptowania faktu, że Szmaria ją zostawił, a siedzenie w pałacu w omdlewającym stanie dobre jest w romantycznych powieściach, ale nie w życiu, zabrała się do pracy. Wprawdzie nie zagrała „Wiśniowego Sadu” w pałacu Jussupowów, ale hrabina Florińska załatwiła jej dwa przedstawienia w najbliższym czasie, jedno w pałacu Jelaginów i jedno u Strogonowów.

– To za wcześnie, Floro! – starała się ją ubłagać Senda, gdy hrabina poinformowała ją o występach. – Nie mogę! Jeszcze nie!

– Po prostu musisz! – krzyknęła hrabina. – Nie dla siebie, oczywiście. Możemy zająć się tobą i małą. Ale co z resztą trupy? Przecież oni na ciebie liczą. Jeżeli nie przyjmiesz tych propozycji, co się stanie z nimi?

Rzeczywiście, co? – pytała samą siebie Senda, nie widząc innego wyjścia.

Następne tygodnie pełne były zajęć niezbędnych do zmartwychwstania Senty. Był to męczący, ale konieczny okres przejściowy, w którym nie miała czasu

rozpaczać po Szmarii, za co była wdzięczna. Hrabina Florińska pojawiła się z pieniędzmi, które stanowiły dla Sendy astronomiczną sumę.

– To jest pierwsza rata, moja droga. Druga będzie wkrótce – powiedziała hrabina, wciskając Sendzie do ręki zwitek nowych, szeleszczących banknotów. I dodała, kłamiąc jak z nut:

– Oczywiście, wzięłam już swoją prowizję, więc nie musisz się o to martwić.

Z początkiem lutego Senda stanęła na nogach. W piątek, siódmego lutego, hrabina Florińska zabrała ją do „skromnego, ale przyzwoitego” mieszkania niedaleko Akademii Sztuki, z wysokimi oknami wychodzącymi na Newę.

– Wiem, że jest po niewłaściwej stronie rzeki – usprawiedliwiała się Hora – ale jest umeblowane, i to dość ładnie, i ma trzy sypialnie, i ten miły pokój. Odpowiedni, żebyś tu prowadziła swój salon.

– Mój... co? – Senda przyglądała się przyjaciółce uważnie.

– Oczywiście twój salon! Przecież to jasne, moja droga, że będziesz musiała przyjmować gości. Wiesz, tak wypada.

Senda powoli zwiedzała eleganckie mieszkanie, chodząc od pokoju do pokoju, zaglądając do szaf. Nawet w taki zimny, wietrzny dzień w mieszkaniu było ciepło. Salon był przestronny, umeblowany prosto ciężkimi, drewnianymi meblami, z czarnym fortepianem i ceramicznym kominkiem oraz giętymi krzesłami. Na ścianach wisiały klasyczne obrazy. Okna ozdabiały białe, siatkowe firanki i grube zasłony, a sofa pokryta była kolorowym obiciem. Na błyszczącej, drewnianej podłodze leżały tu i ówdzie orientalne dywany w geometryczne wzory. Stoliki zdobiły haftowane serwetki. Przylegająca do salonu mała jadalnia była surowa, o ścianach w kolorze bzu, z ciężkim, rzeźbionym kredensem i kwadratowym stołem z czterema krzesłami, nad którym wisiał kandelabr z brązu. Senda zachwycała się najmniejszą z trzech sypialni, do której hrabina bezwstydnie pościagała skarby z pokoju dziecinnego w Pałacu Daniłowów: łóżeczko, kojec, małe krzeselka i mnóstwo zabawek. Wiedziała, że Tamara będzie zachwycona, i dziękowała hrabinie, że o tym pomyślała.

– Co? To przecież nic takiego – zapewniła ją i machnęła lekceważąco ręką, choć mimo swej skromności była bardzo zadowolona.

Największa z sypialni mogła być marzeniem każdej kobiety, pomyślała Senda. Ściany pokryte były jasnoniebieskim jedwabiem, a ryciny z roślinnymi motywami oprawione w mosiężne ramki i zasłony w kwiatowy wzór nadawały pomieszczeniu radosny wyraz. Ale prawdziwie kobiecym elementem była toaleta: stolik w

kształcie nerki, ozdobiony trzema warstwami falbanek z kremowej koronki. Na szklanym blacie stały dwie lampki w jedwabnych abażurkach, oświetlające okrągłe lustro w srebrnej ramie, a wokół nich leżały przyrządy potrzebne do damskiej toalety: srebrne szczotki, grzebienie, flakony różnych płynów, perfum, wody kolońskie i delikatny kryształowy wazon z małymi różowymi różyczkami. Spartańsko urządzona trzecia sypialnia, jak poinformowała ją Flora, przeznaczona była dla służącej na stałe.

– Ależ ja nigdy nie miałam służącej! – jęknęła z niesmakiem Senda. – Nie wiedziałabym, co z nią zrobić!

– Nic nie musisz robić i po to się ma służącą. Myślę, że gospodyni z przeszkoleniem do dzieci byłaby najlepsza. Na razie nie potrzebujesz więcej, ale ktoś musi prowadzić dom i opiekować się Tamarą. W końcu nie możesz jej ciągnąć codziennie do teatru na próbę i później co wieczór na przedstawienie. Wykończyłabyś biedactwo. Poza tym, wszystkie szanujące się rodziny mają co najmniej jedną służącą na stałe.

– Jak sądzisz, kiedy możemy się wprowadzić? – spytała cicho Senda. Nie chciała głośno mówić, z obawy, że może się przebudzić z tego snu, w którym wszystko co najlepsze sypało się na nią jak z rogu obfitości.

– Myślę, że w każdej chwili – odparła Flora ze zdumieniem. – Przecież jest twoje. Spiżarnia jest zaopatrzona, łóżka pościelone. W kuchni są wszystkie garnki i naczynia, jakie mogą ci być potrzebne.

Senda wzięła głęboki oddech i powiedziała bez wahania:

– Więc dzisiaj po południu.

Hrabina Florińska uśmiechnęła się.

– Obyś tylko była szczęśliwa – powiedziała ciepło, mocno przytulając Sendę.

Pałac zniknął z pola widzenia, gdy sanie wiozące Sendę i Tamarę skrzyły w aleję zmarzniętych drzew, których gałęzie pokryte były warstwą lodu. Drzewa jak z makabrycznego snu, pomyślała Senda. Wyglądają jak samotni wartownicy, ustawieni z dala od siebie. Powstrzymała wydostające się z krtani łkanie. Do diabła. Te zimowe drzewa przypominają jej życie.

Sanie przyśpieszyły, a dzwonki koni dźwięczały z udawaną radością. Zamrugła i pociągnęła nosem. Czuła jakąś kulę w gardle, a mgiełka przesłaniająca jej oczy zamieniła się w łzy. Na zawsze stracony był dla niej ciepły dotyk ciała Szmarii. Bezpieczny port jego ramion. Jego łędźwie. Jego serce. Jego dusza. Wciągnęła powietrze i bezskutecznie osuszała oczy ręką w rękawiczce.

Ścisnęła ją w żołądku i wszystkie wnętrzności miała jak opasane ciasnym sznurem.

Jesteś sama, sama! – śpiewał jej smutno jakiś wewnętrzny głos. Jesteś teraz jednocześnie ojcem i matką. Jesteś jedynym żywicielem rodziny, wyłącznie odpowiedzialna za córkę. Nie liczy się już nic, czego ty chcesz! Wybrałaś, masz swoją karierę, ale jesteś sama, sama!

Sama!

Instynktownie, jak gdyby chcąc zaczerpnąć siły od dziecka, pochyliła się i złożyła drżący pocałunek na skraju czerwonej, wełnianej czapeczki Tamary. Przy tym długim pocałunku czuła mocne rączki córki i jej ruchliwe nóżki, gdy kręciła się niecierpliwie na jej kolanach. Przez chwilę przytuliła ją mocniej, a później puściła. Nim zwolniła uścisk, dziewczynka kręciła się już na siedzeniu.

Zamknęła oczy i dalsza część krótkiej podróży minęła jej w tej sztucznej ciemności. Bała się każdej następnej długiej, pustej minuty w tym roku. W tym miesiącu. W tym tygodniu.

Zwłaszcza reszty dnia.

Jednak nie było czasu, by zastanawiać się nad swą smutną sytuacją. Tamara buszowała po wszystkich kątach nowego mieszkania, oczarowana pokojem pełnym zabawek, i zmusiła Sendę do zabawy. Później była głodna i Senda zrobiła dla nich obu coś do jedzenia. Sama też, o dziwo, miała wielki apetyt.

Popołudnie minęło.

Wieczorem, gdy była pewna, że spędzi bezsenną noc z powodu dręczących ją koszmarów i wyrzutów sumienia, naszyły ją inne wątpliwości. Przygotowując do snu swe nowe łóżko, krzyknęła z przerażenia, upuszczając prześcieradło. Patrzyła na białą pościel, jakby zobaczyła wijącego się na niej węża.

W pewnym sensie tak było.

Na poszwie, poszewkach, prześcieradłach wyhaftowany był białą, jedwabną nitką, elegancko i dyskretnie, herb Daniłowów z dwugłowym orłem. Usiadła ciężko na taborecie, zakrywając twarz dłońmi.

A więc pościel należała do księcia.

Zaczęła przebiegać myślą cały ciąg wydarzeń. Jeśli pościel należała do księcia, to dlaczego nie naczynia i garnki w kuchni. A meble? A może w ogóle całe mieszkanie?

A co wobec tego z rolami, które miała grać w różnych pałacach? Czy one też należały do makiawelicznego planu Wasilija Daniłowa?

Czy aż tak jej chciał?

Spojrzała jeszcze raz na to łoże. Czy dlatego wyposażył je w tak ozdobioną pościel, bo planował je w końcu dzielić z nią?

Ogromnym wysiłkiem woli odsunęła od siebie tę wizję, jednak zapadła w niej myśl, że być może cały czas była manipulowana. I dalej jest.

Nie mogła się z tym pogodzić. Postanowiła rano sprawdzić to u hrabiny Florińskiej.

Jednak następnego dnia nie miała okazji o nic pytać. Hrabina Florińska, w podskakującym na głowie wspaniałym kapeluszu, pachnąca słodką wodą kwiatową i pełna radości życia, wpadła do mieszkania, klaskając w dłonie i wołając:

– Pośpiesz się, moja droga. Jesteśmy już spóźnione!

Senda spojrzała na nią ze zdziwieniem, zastanawiając się, skąd u przyjaciółki to podniecenie.

– Czy mamy dokądś iść? – spytała. – Nic o tym nie wiedziała i była wciąż we flanelowej nocnej koszuli.

– Oczywiście. Potrzebujesz jakichś ubrań i obawiam się, że tym razem sama będziesz musiała pomóc w wyborze materiałów. Za godzinę mamy być u madame Lamothe.

Senda patrzyła na hrabinę Florińską z takim samym niedowierzaniem, jakie mogło malować się na twarzy bohaterek bajek, gdy czarodziejska matka chrzestna obrzucała je cudownymi darami: zdumienie, zaskoczenie, podziw, ale przede wszystkim strach i zmieszanie. Miała dziwne wrażenie, że jej los spoczywa w jakichś obcych rękach i że może nigdy nie będzie już tak jak przedtem.

– Ależ Floro – powiedziała z wahaniem – po co mi nowe ubrania?

Hrabina Florińską była zdumiona.

– Jak to po co? Moja droga, potrzebna ci jest nowa garderoba, każdy z towarzystwa by ci to powiedział. Gd tej chwili jesteś gwiazdą i jako taka musisz myśleć inaczej. Musisz wiedzieć, że gwiazdy teatralne są u nas dyktatorkami mody. To, w czym zobaczą ciebie, na scenie czy prywatnie, będzie nowym stylem i zostanie natychmiast skopiowane. Publiczność będzie wymagała od ciebie, żebyś kreowała modę. Z czasem ludzie będą oczekiwać, że co dzień będziesz się pojawiała w innej sukni. Tatiana Iwanowa nigdy nie pojawiała się dwa razy w tej samej kreacji. Oczywiście, nie da się skompletować całej garderoby w jeden dzień – ciągnęła hrabina, wzięwszy Sendę pod ramię i kierując ją do sypialni. – To wymaga czasu, ale kilka rzeczy na początek musisz mieć koniecznie. Kilka sukienek dziennych i na wieczór, kilka naprawdę wytwornych kreacji balowych, bo nigdy nie wiadomo, co się może w mieście przydać i, oczywiście, amazonkę do

konnej jazdy.

– Konnej jazdy! – Senda była przerażona. Czego jeszcze od niej oczekiwano? Widocznie bycie aktorką to coś więcej niż występowanie na scenie.

Hrabina Florińska nie traciła rezonu.

– Nie bądź taka przerażona, moja droga i przygotuj się. Jesteśmy coraz bardziej spóźnione. – Popchnęła ją delikatnie do sypialni.

Senda odwróciła się.

– Ale Floro, co z Tamarą? Nie mogę jej tu zostawić samej.

– Pomyślałam o tym, kotku. Tymczasowa służąca już jest w drodze. A teraz ty się wybieraj w swoją drogę!

Tak więc wir, w który wciągnięto Sendę, porywał ją nadal. Może była to zmowa w dobrej wierze, może nie. Ale nigdy nie było czasu, żeby zatrzymać się i zadać brutalne pytania, na które tak szukała odpowiedzi.

– Ale... czy mogę sobie na to pozwolić? – szepnęła Senda do hrabiny godzinę później, gdy siedziały na połączonych krzesłach w atelier madame Lamothe na Newskim Prospekcie; w świetle kryształowego kandelabra badając bełę szmaragdowego jedwabiu o wygórowanej cenie.

– Cii! – Hrabina była oburzona rozmową o kosztach. ~*Au contraire*, moja droga – wyszczebiotała cicho, wachlując się zapamiętałe różowym pawim piórem. – Oczywiście, że możesz sobie na to pozwolić i to bez trudu. Poza tym, jest konieczne, żebyś zachowywała pewien standard. Jeśli będzie tak, jak przewiduję, może się okazać, że żyjesz jeśli nie... skromnie, to zdecydowanie poniżej swych możliwości.

I oczywiście hrabina miała rację. Monsieur Guerlain, dyrektor Theatre Francais, odszukał ją i nalegał, żeby wzięła udział w zaimprovizowanej kolacyjce o północy, którą urządza z przyjaciółmi. Nim zdążyła odmówić, została otulona w futra i usadzona w małych, czerwonych sankach, kursujących jako taksówki, które zawiozły ją do najmodniejszej restauracji Cuba. Tam, przy późnej kolacji złożonej z jesiotra, kawioru, szaszłyków i szampana, monsieur Guerlain – ku swemu zdumieniu – zupełnie szczerze bez końca wysławiał jej talent. Senda miała wrażenie, że mówi o kimś innym, nie o niej. Wszyscy siedzący przy olbrzymim, okrągłym stole słuchali każdego słowa z oracji Jean-Pierre’a Guerlaina w najwyższym skupieniu, podczas gdy ona słuchała najpierw uprzejmie, potem z lekkim rozbawieniem, a na końcu z przerażeniem, przez cały czas z przyklejonym uśmiechem, studiując jednocześnie wygląd zewnętrzny swego nowego mentora.

Jeśli Wiera Lamothe była na swój sposób czarownicą, to monsieur Guerlain był czarodziejem o tej samej, jeśli nie większej, sile. Wystarczyło jedno spojrzenie i wiadomo było, że jest to ktoś. Cudownie żywotny, niezwykle. Czarnoksiężnik.

Był nim. Jean-Pierre Guerlain królował wśród teatralnej elity St. Petersburga przez ostatnie dwadzieścia pięć lat i był dla teatru tym, czym Siergiej Diagilew dla baletu, a Rimski-Korsakow – dla muzyki. W Sendzie odnalazł dar niezwykle rzadki i mamiący publiczność: naturalny, nie wyuczony sposób bycia na scenie. Oznaczało to, że żaden reżyser nie miał jeszcze okazji zniszczyć jej spontaniczności i naturalnego, danego jej przez Boga talentu ani, co gorsza, wyrobić w niej złych aktorskich nawyków, które musiałby najpierw wypłenić, zanim zrobiłby z niej prawdziwą gwiazdę. Teraz rzucała się na rolę całym sercem, grając ją z amatorskim może, ale świeżym zapałem, odsłaniając przed wszystkimi swą duszę. To, czego brakowało w jej wykształceniu, nadrabiała z nawiązką niczym nie skażonym talentem.

Jej uroda, dorównująca niemalże innym walorom, była dodatkowym atutem. Ten mariaż talentu z urodą, jaki w niej zobaczył, to było to, czego Jean-Pierre Guerlain bezustannie poszukiwał i znalazł tylko raz.

Nie posiadał się z radości.

Była jak nie oszlifowany diament Koh-i-noor. Z jej naturalnymi predyspozycjami i jego doświadczeniem będzie mógł sam stworzyć największy skarb rosyjskiego teatru – żywą legendę. Nie, Senda Bora nie będzie się niekorzystnie odbijać na tle Theatre Francais, zdecydował. Tak samo jak okrągła sumka, jaką ten głupiec, hrabia Kokowcow, zamachał przed nim, nieźle się będzie prezentować na jego koncie.

W ciągu pierwszych kilku minut spotkania monsieur Guerlain zaoferował zdumionej Sendzie stanowisko prawie na szczycie swego elitarnego zespołu, nauczycieli francuskiego i codzienne lekcje aktorstwa.

– Będzie to bardzo ostry reżim – ostrzegł.

Senda prawie zaniemówiła, ale jak zwykle praktyczna, zdołała wydusić z siebie:

– Tak, ale... jak zdołam za to zapłacić?

– Ja to pani zapewniam – powiedział, gestykując żywiołowo. – Jeśli pani dotrzyma umowy, proszę uznać wszystko za zapłacone.

Senda była zbyt wstrząśnięta, żeby to pojąć.

– Nie czarujmy się. Jest pani piękną kobietą, madame Bora. W dodatku niezwykle utalentowaną. – Nachylił się przez nakryty stół.

Patrzyła obojętnie na swój deser, ciastko z morelą i kremem, zapieczone w płatkach orzechowych. Jedzenie, choćby nie wiem jak pięknie podane, było ostatnią rzeczą, o jakiej mogła myśleć. Była pewna, że nie mówi całej prawdy, że ma jakieś ukryte powody. Powoli sączyła szampana, uważając, żeby nie wypić go zbyt szybko. To nie był dobry moment na zawrót głowy.

– Nie słucha pani – zwrócił jej delikatnie uwagę.

– Słucham – powiedziała, odwracając się do niego. – Tylko... nie jestem przyzwyczajona, żeby zdarzały mi się takie rzeczy. – Wzruszyła ramionami w jedwabnych bufkach. Była jeszcze piękniejsza dzięki temu, że nie miała na sobie żadnych klejnotów. – Od czasu, gdy przyjechałam do Sankt Petersburga – mruknęła – życie toczy się jak w bajce. Zastanawiam się, kiedy to wszystko się skończy.

– Dlaczego ma się skończyć? Zresztą bajki mają szczęśliwe zakończenia.

Potrząsnęła głową.

– Nawet bajki nie są tak doskonałe jak to, co mnie się przytrafia.

Zaśmiała się.

– Ach, więc pani jednak nie jest romantyczką, ale realistką. Tym lepiej. Ale niech to pani rozważy. Sądzę, że komplementy nie są pani obce. – Było to stwierdzenie, a nie pytanie wymagające odpowiedzi.

Poczuła jego palce dyskretnie wędrujące pod jej suknię. Przeszyły ją dreszcze, jednocześnie tęsknoty i obrzydzenia.

– Będiesz naszą największą gwiazdą, Sendo – szepnął, zwracając się do niej po raz pierwszy po imieniu. Mimo gorąca panującego w pomieszczeniu, zadrżała. Odsunęła się od niego i chrząknęła.

– Monsieur Guerlain – powiedziała niepewnym głosem – moja babcia miała takie powiedzonko: „Jeśli nie chcesz, żeby pożarł cię niedźwiedź, nie wchodź do lasu”.

– A ja jestem tym niedźwiedziem?

– Chcę tylko powiedzieć... – zarumieniła się nagle i opuściła powieki. Mówiła chłodnym tonem i tak cicho, że musiał się nachylić, by usłyszeć: – że moje ciało nie należy do umowy. Odrzucił w tył głowę o ciemnych włosach ze srebrnymi nitkami i wybuchnął śmiechem, jakby usłyszał coś niezwykle zabawnego. W końcu otarł oczy rogiem serwetki.

– Moja droga, nie obawiaj się, nie jestem takim obleśnym staruszkiem. Musisz mi wybaczyć pewną bezpośredniość starszego pana. My, ludzie teatru, tacy jesteśmy. Ale nie mam żadnych zapędów na twoją cnotę, wierz mi. – Przełknął

szampana, ciągle ze śmiechem. – Jak bym mógł? – spytał już poważnie.

– Chyba... chyba nie rozumiem.

Jego ciemne oczy popatrzyły na nią uważnie.

– Naprawdę nie rozumiesz?

Potrząsnęła głową.

– Więc rzeczywiście jesteś, z bajki. Księżniczka zabłąkana w głębokim lesie. – Uśmiechnął się ciepło i poklepał ją po ręku, tym razem wyraźnie ojcowskim gestem. – Cokolwiek będziesz robiła, zachowaj tę niewinność. Jest bardzo odświeżająca, wierz mi. Zwłaszcza w tej cywilizowanej dżungli, zwanej Sankt Petersburgiem, a jeszcze bardziej w zabójczej dżungli teatru.

– A to, że pan dotykał mojej nogi? – Głos jej się trząśł.

Spojrzał przenikliwie.

– To był test, madame Bora. Żebym wiedział, o co chodzi. Jest pani dla mnie niepojętą tajemnicą.

Przez chwilę siedziała w milczeniu.

– A dlaczego musiał mnie pan sprawdzać?

Jego wyraz twarzy nie zmienił się.

– Żeby zrozumieć, jak mam panią traktować. – Przerwał. – Albo raczej, jak pani traktuje kogoś innego.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Więc... to prawda, że pan mnie nie pragnie. Nie robi pan tego wszystkiego... – głos jej się załamał i przełknęła łyk szampana. Był tak odświeżający, że opróżniła cały kieliszek, co rozluźniło też jej język – ... dla mojego ciała? – Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Skąd, broń Boże – wzdrygnął się. – Ma pani pojęcie, jakie legiony młodych kobiet rzucają się na mnie, żeby dostać rolę? Jakakolwiek. Oczywiście, że chce pani ciała. Na swój własny sposób. Na scenie, w jakiegokolwiek roli zechce się pani znaleźć. Ale gdybym miał na panią ochotę inaczej... – jego oczy przybrały zamyślony wyraz – wtedy chyba nawet ja byłbym skończony w tym mieście.

Senda była zbulwersowana.

– Skończony? Pan? – Głos jej zadrżał. – Ale... dlaczego?

Jednak nie zdołał odpowiedzieć, bo wysoka, jasnowłosa baronowa, siedząca po jego lewej stronie powiedziała coś dowcipnego i wszyscy musieli się śmiać, rozmowa przybrała inny charakter. Szansa na poznanie jakichś ponurych sekretów minęła bezpowrotnie z powodu czyjś błyskotliwego twierdzenia. Nie będzie już okazji do wyjaśnień ułatwionych przez szampana, wspólnych kolacji i

prywatnych pogawędek. Następnego ranka zabrali się poważnie do pracy.

Senda była urodzoną studentką, która mogła rzucić się w otchłań przeróżnych przedmiotów. Zadziwiła samą siebie, choć z początku było ciężko. Tam, na kresach, niewiele od niej wymagano, więc nie miała możliwości wykazania się w szkole, jak zresztą każda kobieta. Urodziła się i wychowano ją do pracy w domu i wychowywania dzieci, a szkoły były dla nielicznych uczonych mężczyzn, takich jak jej mąż, Salomon. Gdyby nie to, czego nauczył ją Szmara i czego nauczyła się sama, nauka nie przychodziłaby jej teraz tak łatwo.

Jej salon stał się sceną przyspieszonego kursu uniwersyteckiego z tyloma nauczycielami i wykładowcami, że następny już wchodził, gdy poprzedni szykował się dopiero do wyjścia. W ciągu tygodnia postawiono przed nią tyle zadań i w jej nowym domu panował taki ruch, że często żałowała, iż została „odkryta”, i chciałaby być zostawiona w spokoju.

Hrabina Florińska miała rację, Senda musiała to przyznać po pierwszych kilku dniach bez żadnej pomocy. Nie mogła sprzątać, gotować, zajmować się Tamarą i uczyć jednocześnie. Nie dawało się tego pogodzić, ale nie mogła powierzyć swojej córki byle komu. Musiała znaleźć kogoś, kto kocha dzieci, jest sprawny, a najważniejsze – kogo polubi Tamara. Po rozmowach z sześcioma kobietami, z których żadna nie podobała się albo Sendzie, albo Tamarze, hrabina Florińska podsunęła rozwiązanie.

– A co z tą nianią z Pałacu Daniłowów? – spytała. – Tą, która zajmowała się Tamarą podczas twoich przymiarek?

Senda zastanowiła się. Oczywiście, pomyślała. Młoda nianka z niemieckim akcentem, o chabrowych oczach. Jak jej było na imię? Ingrid? Nie, Inge. Inge. To była możliwość, o której nie pomyślała. Była dość młoda...

Wyczuwając wahanie Senty, hrabina zaproponowała:

– Może byś ją zaangażowała na próbę, kochana? Jeżeli się sprawdzi, to dobrze. Jeśli nie, zawsze możesz poszukać kogoś innego.

Senda musiała przyznać, że propozycja przyjaciółki była sensowna.

– Ale czy możemy ją zabrać z pałacu? – zastanawiała się.

– Oczywiście, że możemy – powiedziała zdecydowanie hrabina. – Zaraz się tym zajmę.

I tak załatwiono sprawę. Inge Meier o chabrowych oczach, z koroną z warkoczy, wprowadziła się do małego pokoju obok dziecinnego.

Ku swemu zdumieniu Senda od razu poczuła się spokojniejsza. Od samego

początku Inge była skarbem, który ułatwiał jej życie. A najważniejsze, że Inge uwielbiała Tamarę, a Tamara ją. Było to przywiązanie, o jakim Senda nie marzyła. Nie było rzeczy, której Inge by nie zrobiła, a spełniała w tym domu wiele ról: była nianią, kucharką i pokojówką. Nigdy nie trzeba było jej mówić, co zrobić, zawsze przejmowała inicjatywę. Rano wstawiała najwcześniej i przygotowywała śniadanie, a kiedy pojawiali się nauczyciele Senty, znikwała wraz z Tamarą, idąc po zakupy albo robiąc pranie. Gdy Senda wracała z teatru, mieszkanie było wysprzątane jak przez krasnoludki. Senda nie wierzyła własnemu szczęściu, że ma taką pomoc ze strony Inge, i tak rozpoczęła się przyjaźń, która nigdy nie zawiodła.

W sumie, poza coraz dłuższą nieobecnością Szmarii, Senda uznała, że St. Petersburg jest cudowny. Rozpoczęła karierę, miała śliczne mieszkanie, hrabinę za przyjaciółkę, a dla Tamary nianię, która w coraz mniejszym stopniu była służącą, a coraz bardziej stawała się członkiem rodziny.

Czego jeszcze mogłaby chcieć, poza Szmarią? Ale nie miała czasu na rozmyślanie o nim, bo zajęcia, przygotowujące ją do gwiazdorstwa, szły całą parą.

Każdy kolejny dzień zmieniał się w jeden ciąg lekcji, konkurs woli i wytrzymałości między Sendą a jej nauczycielami: mademoiselle Clayette uczyła ją francuskiego, madame Rubenowa – dykcji, monsieur Vesier – śpiewu, a od szóstej do dziewiątej wieczorem inna Francuzka, mademoiselle de Remy-Marceau, przejmowała obowiązki nauczycielki języka i etykiety.

Muszę się tyle nauczyć, uświadomiła sobie Senda. Nigdy mi się to nie uda. Nawet przy kolacji z mademoiselle Remy-Marceau musiała mówić po francusku. Czasami to, że we własnym domu nie mogła mówić po rosyjsku, było bardzo denerwujące. Zastanawiała się, jak to jest, że Tamara, którą Inge zabawiała w pokoju obok podczas głośnych lekcji francuskiego, uczyła się przez ścianę szybciej niż ona, mająca nauczyciela obok siebie.

– Jaki kolor przebija wszystkie inne na scenie?

– Białe.

– Gdzie jest prawa strona sceny, jeśli siedzę tutaj, jak teraz?

Pokazując:

– Tam.

– Jaka to jest nuta?

– C-moll.

– *Qu'est-ce que c'est?* [Co to jest?]

– *Une fenetre.* [okno]

Nieliczne wolne chwile spędzała z Tamarą, kradnąc tu pół godzinki, tu trochę

wcześniej wstając, tak żeby być z nią przez jakąś część dnia.

Jednak, mimo że dni i tygodnie miała tak zajęte, nocami, leżąc w łóżku jedynie w towarzystwie własnego bicia serca, zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest samotna.

Szmaria nie skontaktował się z nią aż do marca. Niedługo miną dwa miesiące od czasu, gdy go ostatnio widziała. Ale dni były tak męczące, a sen tak cenny, że niewiele czasu spędzała myśląc o Szmarii.

Pewnego wieczora, 19 marca, Olga Botkina zachorowała i Senda jako jej dublerka przejęła rolę w Theatre Francais na resztę sezonu w St. Petersburgu. W ciągu jednej nocy podbiła zarówno publiczność, jak i krytyków. Było to najważniejsze wydarzenie w jej życiu. I najbardziej pamiętne, gdyż w nagłówkach gazet nazajutrz występowała na przemian ze Szmarią.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy Sendę po raz ostatni wywołano na scenę, po drugiej stronie Newy, u stóp mostu, wybuchło dziesięć lasek dynamitu.

Podczas eksplozji nikt nie został ranny, a most przetrwał wybuch, jednak szpiedzy hrabiego Kokowcowa dopilnowali, żeby tajna policja czekała w ukryciu. Zabili wszystkich anarchistów poza Szmarią i, jak się okazało, to jego zmarli koledzy mieli szczęście.

Książę niecierpliwił się. Nie było to wyraźnie demonstrowane, ale hrabia Kokowcow nauczył się odróżniać symptomy: nieregularny tik policzka, zmarszczka na twarzy, krótszy okres koncentracji uwagi. W końcu niecierpliwość przybrała niespodziewaną formę: Wasilij Daniłow podszedł do okien, wychodzących na podjazd i odsunął zasłany. Westchnął.

– Wkrótce tu będzie – zapewnił kuzyna hrabia. Siedział wygodnie w fotelu, popijając herbatę z filiżanki z sewskiej porcelany.

– Zaczynam wątpić – powiedział wolno książę. Odwrócił się od okna i usiadł. – Nie jest taka jak inne.

– Chociaż może być nieobliczalna, nie zapominaj, że jest kobietą. A kobietami rządzą serca. I uczucia.

– Może nie widziała gazet?

– To jest wysoce nieprawdopodobne. W końcu wczoraj był jej debiut w teatrze francuskim. Ponieważ jest aktorką, a aktorki rzucają się na każde słowo recenzentów, musiała czytać recenzje.

– Może bardziej interesuje ją jej sztuka niż to, co o niej piszą.

– W każdym razie jest niemożliwe, żeby nie przeczytała chociaż tytułów.

Rzucają się w oczy w każdym sklepie i każdym kiosku. Normalnie, taką wiadomość by ukryto. Zamieszki, podkładanie bomb i próby zamachów stały się już tak powszechne, że lepiej dla nas, gdy się zatai takie informacje przed ludźmi, żeby im nie podsuwać pomysłów. Na szczęście mamy wpływ na najważniejsze gazety w tym mieście, więc łatwo było umieścić nazwisko jej szwagra w czołówkach.

– No, ale dlaczego miałyby przyjść do mnie?

– Naprawdę, Wasilij – zaśmiał się cicho hrabia Kokowcow. – Ponieważ zadbałem o to, żeby nie uzyskała żadnej informacji w więzieniu, nie ma wyboru. Jesteś jedyną osobą o odpowiedniej pozycji, jaką zna, więc zwróci się do ciebie.

W tej chwili dało się słyszeć delikatne pukanie do drzwi. Obaj odwrócili się w ich stronę i ujrzeni majordomusa.

– Przepraszam, Wasza Wysokość, ale stało się coś... bardzo niezwykłego. Przyszła jakaś młoda kobieta, nie umówiona i nawet bez wizytówki. Powiedziała, że pan ją przyjmie.

– Czy nie jest to przypadkiem madame Bora?

Majordomus był zdumiony.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Więc przyprowadź ją tu – powiedział książę. Zwrócił się do kuzyna, z trudem maskującego wyraz triumfu. – Zobaczę się z tobą później, Mordka. Chcę być z nią sam.

Hrabia kiwnął ochoczo głową.

– Oczywiście. – Odstawił filiżankę, wstał i wyszedł z pokoju.

Po kilku minutach do gabinetu wprowadzono Sendę. Słyszając, że nadchodzi, książę wstał i podszedł na powitanie.

– Madame Bora – powiedział, udając zdumienie. – Cóż za przyjemność, że postanowiła mnie pani odwiedzić!

– Wasza Wysokość – wymamrotała Senda, nerwowo kręcąc palcami cienki, srebrny pierścionek.

– Proszę, niech pani siądzie. – Skinął w kierunku fotela, który hrabia Kokowcow zwolnił zaledwie kilka minut temu, zaczekał, aż usiądzie, i sam zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Czy mogę pani coś zaproponować? Może herbaty?

Potrząsnęła głową.

– Nie – powiedziała ochrypłym głosem. – Dziękuję.

Przypatrywał się jej zmęczonym, smutnym oczom i napiętej twarzy. Było to

niezwykłe, gdyż normalnie promieniała żywotnością, więc odczuwał prawdziwe współczucie. Jaka szkoda, pomyślał, że taka radosna istota wygląda tak nieszczęśliwie. I było to naprawdę nieszczęście. Jej naturalna żywołość zniknęła, w zaczerwienionych i zapadniętych oczach malowała się cicha rezygnacja, a kąciki pełnych ust opadły. Na jej gładkiej zazwyczaj twarzy pojawiły się zmarszczki, odzwierciedlające jej przeżycia, a z oczu znikł blask powodując, że szmaragdy zamieniły się w matowe szkiełka. Wydawała się taka słaba i nieszczęśliwa, zdesperowana i pozbawiona nadziei. Była u granic wytrzymałości. Przynal przysunął krzesło bliżej.

– Nie wygląda pani dobrze – powiedział smutno.

Odwróciła się nagle, przygotowana do walki, ale westchnęła i skurczyła się w sobie.

– Pewnie nie. – Spojrzała wprost na niego. – Stało się... coś strasznego.

– Ależ słyszałem, że odniosła pani olbrzymi sukces wczoraj wieczorem. Cały Sankt Petersburg o tym mówi.

– Naprawdę? – Znow westchnęła, kręcąc pierścieniem. Zapomniała już o swoim triumfie z ostatniego wieczoru.

– Czy powie mi pani, co się stało?

Kiwnęła głową, pochylając ją na piersi.

– Wiem, że to śmiałość z mojej strony, żeby tu przychodzić.

– Ależ zawsze jest tu pani mile widziana. Sądzę, że postawiłem tę sprawę jasno.

– Ale nie mam prawa tu przychodzić i błagać pana o łaskę.

– Wręcz przeciwnie – zaoponował, zapalając papierosa i wypuszczając kłęb dymu. – Nie Wygląda pani na kobietę, która błaga. Może prosić, ale błagać? Nie, nie wierzę. Ma pani na to zbyt wiele dumy. – Przerwał, po czym sprytnie dodał: – Nie wierzę również, żeby prosiła pani o uprzejmość nie odwzajemniając się. Jest pani typem osoby, która zawsze spłaca długi.

Uśmiechnęła się słabo i zwróciła ku niemu twarz.

– Nie mam dokąd pójść, Wasza Wysokość.

Potrząsnęła głową.

– Wasilij – przerwał jej łagodnie. – Nie musisz być taka oficjalna, gdy jesteśmy sami. Mów do mnie Wasilij.

Skłoniła głowę, przerażona jego familiarnością, ale nie dała nic po sobie poznać, zresztą miała na głowie znacznie bardziej przerażające sprawy.

– No więc, co mogę dla ciebie zrobić, Sendo? – spytał miękko.

– Pańskie znaczenie i wpływy... – zaczęła wystudiowanym głosem, lecz przerwała. – Obawiam się, że nawet one mi nie pomogą.

– Zobaczymy. – Uśmiechnął się zachęcająco. – Może to brzmi jak zarozumiałstwo, ale lubię myśleć, że są znaczne.

Odchrząknęła.

– To dotyczy mego szwagra, Szmarii. Może czytał pan dzisiejsze gazety?

Potrząsnął głową.

~ Jeszcze nie – powiedział. Co zresztą, uświadomił sobie, było prawdą.

– Więc nie wie pan, że został uwięziony.

Popatrzył na nią.

– Rozumiem – powiedział w końcu, opierając się głębiej w fotelu. Potarł brodę dwoma palcami. – Pod jakim zarzutem?

– Zdrada stanu. – Głos jej był ledwo słyszalny.

– Co? – Nachylił się ku niej. – Boże! Opowiedz, co się stało.

Szybko zrelacjonowała to, co wiedziała.

– Zobaczą, co będę mógł zrobić – powiedział wolno – ale będzie to bardzo trudne, nawet dla mnie. Kradzież... gwałt, jeśli ofiarą nie była osoba szlachetnego pochodzenia, nawet morderstwo... to inna sprawa. Ale zdrada stanu! Wiesz, że karą za to jest prawie zawsze śmierć.

Senda jęknęła, a jej twarz z bladej zrobiła się kredowobiała.

– Proszę! – Wpiła się palcami w jego ramię. – Pomóż mu, błagam! – Potrząsnęła jego ręką.

Patrzył dalej w milczeniu.

– Musisz zrozumieć – mówiła chaotycznie – Szmaria został wprowadzony w błąd. Byli też inni. Nie działał sam. I nigdy, przenigdy nie chciałby nikogo skrzywdzić!

– Naprawdę?

Spojrzała na niego.

– Już nie wiem. – Przymknęła oczy przy tej strasznej myśli, westchnęła bezradnie i przygarbiła się, załamana. – Więc myślisz, że to beznadziejne? – szepnęła smutno.

– Nie chcę wzbudzać na próżno twoich nadziei, ale nic nie jest zupełnie beznadziejne. Udawało mi się już uzyskać prawo łaski.

– Więc pomożesz! – wykrzyknęła.

Uniósł rękę, by ją uspokoić.

– Proszę mnie wysłuchać. Z reguły ułaskawienia są bardzo kosztowne, ale nie

niemożliwe.

– Odpłacę ci – powiedziała. – Wszystko jedno, ile to będzie kosztowało, choćbym miała spłacać do końca życia!

– Tak, tak – powiedział łagodnie – ale mówimy o zdradzie stanu. Musisz pamiętać, że ze względu na obecną sytuację polityczną... cóż, wystarczy powiedzieć, że w najlepszym przypadku jest to bardzo niewygodna sytuacja. A ostatnie miesiące... no, siły panujące będą żądać jego głowy.

– Ale... ale należy pan do tych sił? – wydukała.

– Słuszna uwaga. – Pozwolił sobie na cień uśmiechu. – Ale jestem tylko jednym z nich. Jednym z wielu. Inni będą się starali zrobić z niego przykład. Muszą, bo inaczej przyznają się do słabości. Jeśli puszczą jego, wtedy wrogowie cara pomyślą, że i im się uda. Rezultatem będzie... chaos.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Żebym tylko mogła się z nim zobaczyć, porozmawiać – łkała. – Byłam w więzieniu, ale nie chcą mnie wpuścić.

Pokiwał głową.

– Załatwienie odwiedzin powinno być dość proste. Ale ułaskawienie?

– Więc możesz załatwić odwiedziny? – spytała słabiutkim głosem.

– Zobaczę, co się da zrobić.

Odetchnęła głęboko, wytrzymując jego spojrzenie.

– Nie pożałujesz – obiecała. Spuściła oczy. – Okażę swoją wdzięczność – szepnęła. – Jak powiedziałeś, ja spłacam długi.

Ukrył uśmiech triumfu.

– Porozmawiamy o tym później. Teraz muszę zobaczyć, co się da zrobić. Jeśli mi się uda, przyślę po ciebie powóz, żeby cię zawiózł do więzienia.

Skinęła głową i wstała. Oczy miała wilgotne. Wahala się przez chwilę, po czym nachyliła się nad nim i musnęła ustami jego policzek. Poczul na swej twarzy ciepły, słodki oddech, tak cudowny i obezwładniający, że o mało nie jęknął głośno.

Przyjął jednak ten pocałunek z pozornym spokojem. Była to umowa bez słów, jak uścisk ręki, jak kontrakt. Dotrzyma go. I będzie jego... już była jego. Przyszła do niego po pomoc, domyślając się, że nie dostanie jej za darmo, że będzie musiała dać coś w zamian. I jeśli nawet nie będzie tego można nazwać miłością, ofiarowaną z własnej woli, będzie to przynajmniej jej namiastka i musi mu wystarczyć.

Odeszła, powstrzymując konwulsyjne łkanie, a echo niosło coraz słabiej jej pośpieszne kroki.

Siedział dłuższy czas, przyjemnie senny. W pokoju zrobiło się chłodniej, gdy wyszła. Nie potrafił dokładnie opisać wrażenia, jakie na nim robiła. Nie zaznał takiego uczucia z żadną z licznych kochanek. Tak jak gdyby samą swoją obecnością ogrzewała powietrze.

A teraz była jego.

Jego.

Odruchowo uniośł rękę i dotknął miejsca na policzku, gdzie go pocałowała.

Niechlubnej sławy Ochra, tajna policja rosyjska, podobnie jak jej poprzedniczki i następczyni, znana była z okrucieństwa i wszechmocy. Te trzy sylaby, wypowiedane szeptem, budziły grozę w sercach wszystkich. To bowiem Ochra zakradała się nocą i wyciągała podejrzanych wrogów stanu z łóżek, a później słuch o nich ginął. To Ochra zbyt często aresztowała niewłaściwych ludzi, a później podrzucała ich na progi własnych domów tak pobitych, że nic nie pamiętali. Dowody popełnionego przestępstwa były niepotrzebne: podejrzenie, a nawet nie sprawdzone plotki wystarczały, aby zmaterializowali się wysłannicy śmierci. A samo słowo „Ochra” stało się synonimem reżimu carskiego. Słowo to wypowiadano zawsze szeptem i tylko po dokładnym rozejrzeniu się wokoło, czy nikt nie podsłuchuje. Tak jakby wypowiedzenie go głośno dawało tej instytucji jeszcze większą moc albo mogło sprowadzić ją nagle na miejsce, gdzie je głośno wypowiedziano.

Właśnie do jednego z więzień Ochry zaprowadził Sende wysłannik księcia na odwiedzinach do Szmarii.

Wszelkie dźwięki na zewnątrz twierdzy czy rzadkie głosy przechodniów słychać było tylko przez moment, jakby wszyscy wiedzieli, jakie okropności dzieją się za ponurymi murami, i chcieli swoją obecność w tej okolicy ograniczyć do absolutnego minimum. Opowiadano sobie, że nawet ptaki bały się wic gniazda na dachach i wieżach więzienia.

Wewnątrz twierdzy było jeszcze ciemniej, wilgotniej i chłodniej, niż można się było spodziewać po obejrzeniu murów z zewnątrz. Gołe żarówki w drucianych osłonach rzucały groteskowe cienie na wilgotne ściany cel, korytarzy i sal tortur. Miejsce to było samym złem jak żyjący, dyszący potwór, a ślady tragedii krótkotrwałych mieszkańców były wszędzie widoczne – wyschnięte rdzawe plamy krwi na podłodze i ścianach, na kamieniu głębokie ślady drapania paznokciami tych, którzy ocalili. W powietrzu czuło się grozę. Słychać było nieustanne wrzaski, świst batów i repetowanie broni. Głuche szczekanie łańcuchów odbijało

się echem w ponurych korytarzach.

Senda była pewna, że jeśli musiałyby tam pozostać dłużej niż kilka minut, zwariowałyby. Nie mogła sobie wyobrazić życia Szmarii w tym miejscu. Wciąż widziała go biegnącego swobodnie. Zawsze kochał odkryte przestrzenie, świeże powietrze, widok błękitnego nieba nad głową. Z trudem przyjdzie mu przebywanie w zamknięciu i trzymanie języka za zębami. Było w nim zbyt wiele umiłowania wolności. Na pewno już rozgniewał swoich prześladowców, naubliżał im.

Strażnik, który prowadził ją do celi Szmarii, miał wypisane „Ochra” na czole, podobnie jak kierownik, inni strażnicy, lekarze. Nie potrzebowali jednolitych mundurów – ich twarze pozbawione wyrazu i okrutne, zimne oczy były ich uniformami, a bezwzględne poczucie władzy służyło im za szewrony i baretki.

Prowadził ją po kręconych, kamiennych schodach w dół i w dół we wnętrzości fortecy. Musiała iść bardzo ostrożnie, gdyż schody były śliskie i wklęsłe od używania ich przez stulecia. Zaczęła ogarniać ją klaustrofobia, czuła się jak osaczona, nie mogła oddychać. Gdzieś poniżej woda kapiąca na kamień dźwięczała jak dzwonek. Piszczące szczury przebiegały tuż obok jej stóp. Im niżej prowadziły spiralne schody, tym robiło się zimniej. Pomieszane wonie fekalii, uryny i wymiotów doprowadzały ją do mdłości; zastanawiała się, dlaczego strażnicy nie myli tych cel. Może im to już nie przeszkadzało, może się przyzwyczaili? A może nawet była to dodatkowa tortura dla więźniów?

Zielone i oślizgłe schody były teraz tylko cuchnącymi kawałami brązowego lodu. Coś kapnęło jej na czoło. Spojrzała w górę i wzdrygnęła się. Kamienny sufit pokryty był stalaktytami ze zlodowaciałej śmierdzącej cieczy. Ze złością otarła czoło rękawem.

Wreszcie wraz ze strażnikiem doszła do końca tego labiryntu. Strażnik zatrzymał się przy ostatnich grubych, żelaznych drzwiach. Znajdowały się na nich ciężkie zasuwę. Senda zauważyła, że w tych drzwiach nie było okienka.

– To tu – powiedział strażnik, odezwawszy się do niej po raz pierwszy.

Patrzyła bez słowa, jak wybrał jeden z kluczy na kółku, otworzył i odsunął zasuwę. Powoli pchnął drzwi do środka. Skrzywienie nie naoliwionych zawiasów i skrobanie metalu po kamieniu kojarzyło się natychmiast ze światem duchów i koszmarów.

– Muszę tu panią zamknąć – powiedział strażnik. – Wrócę za dziesięć minut, chociaż nawet dziesięć minut będzie za długo. – Uśmiechnął się, ukazując długie, krzywe zęby, żółte od tytoniu. – Mówimy na nią „Raj” z powodu, że jest więcej

najgorsza. Nikt z niej nie wyszedł żywy.

Spojrzała na niego z nienawiścią.

– A ja wiem, że dwie osoby wyjdą! – Nie pokazując po sobie strachu przeszła obok niego i weszła do nie oświetlonego, wyłożonego kamieniami pomieszczenia. Nie widziała jeszcze niczego równie straszego. Nigdy nie zamknęłaby w niej nawet jakiegoś wściekłego zwierzęcia, a co dopiero człowieka.

A ten smród! W gardle rosła jej kula. Weszła obcasem w coś śliskiego i cudem utrzymała równowagę. Fekalia. Czy w tych celach nie było żadnych urządzeń sanitarnych?

Żelazne drzwi zaskrzypiały za nią i zasunięto zasuwę. Cella była ciemna, tylko z jednej słabej żarówki sączył się wąski strumyk światła.

– Szmaria? – szepnęła niepewnie, przyzwyczajając wzrok do ciemności. – Szmaria?

Usłyszała jakiś dźwięk pod nogami i spojrzała w dół. Był to szczur wielkości kota. Krzyknęła przeraźliwie i przyłgnęła plecami do żelaznych drzwi. Poczula, że są lodowate. Po chwili usłyszała jęk. Dochodził z lewej strony. Obróciła się powoli i wstrzymała oddech.

To jakaś pomyłka! – pomyślała. Mężczyzna leżący w rogu, zwinięty w pozycji embrionalnej, to nie mógł być Szmaria. Szmaria jest wysokim, roslym blondynem. Zupełnie inny niż ten brudny strzęp człowieka, skulony w kącie.

Trzęsąc się, podeszła bliżej i z rosnącym przerażeniem przyglądała się skurczonemu pod kocem człowiekowi. Stłumiła okrzyk przerażenia. Krew napłynęła jej do głowy. Cella zawirowała i musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

To był Szmaria.

Nie zważając na brudną, zamarzną podłogę uklękła przy nim i biorąc w rękę jego twarz, odwróciła ją do siebie. W jego odległych, jakby niewidzących oczach malował się niewypowiedziany ból.

– Już... nie róbcie... nic – wymamrotał opuchniętymi wargami.

Gdzieś w głębi niej zamigotał płomyk i wybuchł. Nie poznał jej! Co oni mu zrobili? Co za potwory tutaj rządziły?

Próbowała zaczesać palcami jego brudne, pozlepiane od krwi włosy i nachyliła się nad jego twarzą. To nie był Szmaria, jakiego znała i kochała. Zamiast kipiącego energią rówieśnika widziała starego mężczyznę, opuchniętego, pobitego, bez życia. Na gładkich zwykle policzkach czuło się szczecinę, a śmiało wysunięta broda jakby się cofnęła.

Zacisnęła powieki, przerażona.

– Szmaria, Szmaria – szeptała płacząc – co oni ci zrobili?

On jednak patrzył tępo, niewidzącym wzrokiem. Uspokoila się nieco, otarła oczy i objęła go leciutko, delikatnie, żeby poczuł, że jest tu i troszczy się o niego, ale żeby nie sprawić mu bólu. Skrzywiła się, czując odór, jaki wydzielalo jego ciało.

– Oczyszczę cię, jak zdołam – zaczęła cicho, żeby uspokoić go, gdyby słyszał, jak i po to, żeby zająć czymś swój wzburzony umysł.

Uniosła spódnice, bez wahania oddarła część halki, porwała ją na mniejsze kawałki i otarła nimi jego twarz. Usiłowała uśmiechać się odważnie.

– I zaczęłam starać się o twoje uwolnienie. Może uda mi się przynieść jakieś jedzenie, koce, może nawet cię przeniosą do jakiegoś...

Uniosła cienką, podziurawioną przez mole szmatę, służącą mu za koc, żeby chociaż ją złożyć na pół, ale natychmiast wypuściła ją z rąk.

– Boże! – krzyknęła głośno, nie wierząc własnym oczom. – Boże, nie pozwól, żeby to była prawda! – Nabrała głęboko w płuca tego nieświeżego powietrza i zaczęła paplać do siebie jak nieprzytomna. – Nie, nie, to niemożliwe. To tylko światło. Tak, oczywiście. Tu jest tak ciemno, że nie mogłam dobrze zobaczyć.

Trzęsąc się, uklękła przy jego boku, nie będąc w stanie spojrzeć znów i sprawdzić, czy wzrok jej nie mylił. Po dłuższej chwili zebrała się na odwagę i ostrożnie uniosła koc z jego nogi, by dokładnie przyjrzeć się ranie. Zmusiła się, by szybko rzucić okiem na jego lewą nogę. Chciało jej się krzyczeć, krzyczeć i nigdy nie przestać. Wiedziała, że nie było to złudzenie. Była to zhora, jaka będzie ją nawiedzała w długie, bezsenne godziny.

Jego stopa! Nie miał lewej stopy!

Lewa noga Szmarii to było udo, kolano i część łydki, zakończona kikutem owiniętym obrzydliwie brudnymi szmatami. Z nich właśnie rozchodził się ohydny, słodkawy odór rozkładającego się ciała.

Pomyślała o tym, jak chodził – wyprostowany, długim, sprężystym krokiem. Przypomniała sobie to straszne popołudnie w dniu pogromu, kiedy biegł do wsi, starając się wszystkich uprzedzić o mającej nastąpić rzezi. Tak bardzo zawsze cenił wolność i zdrowie, a teraz los pozbawił go jednego i drugiego. Jeśli nie umrze, będzie kaleką na całe życie.

Muszę mu pomóc, pomyślała, odzyskując zdolność myślenia. Muszę coś zrobić, żeby nie umarł.

Ostrożnie odwinęła ranę, wstrzymując oddech, gdy odsłaniała psującą się

miazgę. Odwróciła głowę i zwymiotowała. W ranie wiły się robaki. Ciało i kość nie były dokładnie obcięte i przypalone. Rana była zielono-czarna i nawet jej niewprawne oko widziało gangrenę. Ten, kto założył mu opaskę uciskającą, zrobiłby mu większą przysługę, pozwalając wykrwawić się na śmierć.

Płakała cicho. Szmaria był nieprzytomny, ledwie żył. Drżącymi rękami gładziła go po głowie i czule szeptała słowa pociechy. Na czole miał krople potu, gorączka rosła z powodu infekcji, chociaż w tej celi można było zamarznąć na śmierć. Chyba niewiele życia mu pozostało. Nagle wstrzymał oddech. Nie jęczał już w marnie, leżał zupełnie cicho.

Z ulgą usłyszała jednak jego chrapliwy oddech i zobaczyła, że pierś mu się unosi i opada.

Jej wzrok przyzwyczał się do ciemności i zaczęła się rozglądać za czymś, co mogłoby się przydać, żeby mu było odrobinę wygodniej, ale cela była puściutka. Nie widziała ani kawałka drewna, szmaty czy siennika. Miska na jedzenie leżała przewrócona, a zawartość zapewne zjadły szczury. Woda w blaszanym dzbanku dawno już zamarzała.

Nic, pomyślała z rozpaczą. Nie było niczego poza tym cieniutkim szmacianym kocem, czym można by go chociaż przykryć.

Odruchowo zdjęła swój płaszcz i okryła Szmiarę. Lodowate powietrze zmroziło ją do szpiku kości, ale on bardziej potrzebował ciepła. Potrzebował też natychmiastowej pomocy medycznej, a tego nie była w stanie mu zapewnić. Poczuli się zupełnie bezużyteczna.

Wtedy właśnie usłyszała za sobą jakiś delikatny dźwięk. Nie ruszając się, obróciła ostrożnie głowę. Olbrzymi szczur, którego spotkała wchodząc, usadowił się za nią. Z przerażeniem zauważyła, że zaczął przegryzać opaskę na rannej nodze Szmarii.

Jadł go!

Przeszedł ją dreszcz i na chwilę znieruchomiała. Później wrzasnęła, rzucając się na szczura. Gryzoń odsunął się kawałek i kłapnął zębami, wpatrując się w nią błyszczącymi oczkami.

Senda westchnęła nerwowo. Gdzie jest ten cholerny strażnik? Jak długo już siedzi w tej obrzydliwej, lodowatej norze? Musi natychmiast wyjść i zmusić Wasilija Daniłowa, żeby kazał przenieść Szmiarę do szpitala. Wściekłość i rozpacz zmobilizowały ją do działania. Podbiegła do żelaznych drzwi i zaczęła w nie walić pięściami, aż starła sobie ręce do krwi.

Gdzie ten strażnik?

Dlaczego nie czeka za drzwiami na jej znak? Przypomniała sobie. Przecież specjalnie powiedziałam mu, że chcę spędzić ze Szmarią więcej niż dziesięć minut, pomyślała załamana. Teraz każda dodatkowa minuta, jaką mi daje, jest wrogiem Szmarii, gdyż każda minuta zwłoki może mieć wpływ na jego życie.

W końcu usłyszała odległe kroki. Zaczęła znów: z wściekłością walić w drzwi. Gdy strażnik w końcu je otworzył, przebiegła obok niego i pomknęła po schodach, nie zważając na niebezpiecznie oblodzone stopnie i zimno atakujące ją teraz, gdy była bez płaszcza. Zagrożająca Szmarii śmierć pchała ją do przodu, a strach dodawał sił.

. Następne dni były prawdziwą męką. Nawet potem, . gdy książe cudem załatwił przeniesienie Szmarii do szpitala, bezsenność i nerwowe czuwanie nie opuszczały Sendency. Tylko spędzanie każdej chwili, gdy nie spała, w pobliżu Szmarii pomogło jej zachować resztki zdrowego rozsądku.

Czuła się winna. Gdybym zrobiła tak, jak chciał, i razem z nim wystawiała sztuki społecznie zaangażowane, mogłaby go lepiej pilnować. Uważałaby, żeby nie zadawał się z nieodpowiednimi ludźmi, i nie stałoby mu się nic złego. Miałby nogę, a Tamara ojca.

A teraz siedziała tutaj, wykończona fizycznie i psychicznie, w zimnej szpitalnej poczekalni. Szmarii obcięto nogę dużo powyżej kolana, w połowie uda. Senda opuszczała lekcje, próby i przedstawienia. Ale jakie to miało znaczenie?

Szmaria nigdy nie będzie normalnie chodził.

Senda zerwała się z ławki w poczekalni, gdy podeszła pielęgniarka.

– Jak on się czuje? – spytała niecierpliwie.

– Niech pani sama zobaczy. Może go pani teraz odwiedzić.

Pielęgniarka mówiła chłodnym i urzędowym tonem, lecz jej szare oczy miały przyjazny wyraz.

– Pięć minut, ani sekundy dłużej.

Senda nie mogła powstrzymać podniecenia.

– Dziękuję pani – rzuciła głośno i tak gorączkowo, że pielęgniarka spojrzała na nią ostrzegawczo i położyła palec na ustach.

Nic nie było w stanie powstrzymać radości Sendency. Miała ochotę śmiać się i śpiewać. Pędziła na oddział tak lekko, jakby urosły jej skrzydła.

Szmaria miał już najgorsze za sobą! Będzie żył!

Cuda się jednak zdarzają.

Gdy weszła na oddział, opanowała entuzjazm i powoli otwierając drzwi,

zajrzała do środka. Zmartwiła się, że nie zobaczyła go natychmiast. Morze żelaznych, emaliowanych łóżek, ustawionych tak blisko siebie, jak tylko pozwalały na to oddzielające je nocne stoliki. Było ich w sumie sto, po pięćdziesiąt po każdej stronie. Nad każdym łóżkiem wisiała ikona. Przebiegała wzrokiem po wielu twarzach, a do jej uszu dochodziły stękania, jęki, a czasem krzyk. Wszystkie łóżka były zajęte i prawie czuła unoszącą się nad salą chmurę bólu. Pacjenci wyglądają tak smutno, tacy bezradni, pomyślała, nie jak dorośli mężczyźni, ale... wystraszone dzieci.

Cicho zamknęła drzwi za sobą i szła wolno wzdłuż rzędu łóżek, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu Szmarii. Czasem musiała podejść blisko, żeby przypatrzeć się komuś śpiącemu, podobnemu do niego. Wielu jednak nie spało i witało ją przyjaźnie, ale gdy zorientowali się, że nie do nich przyszła, znów kładli się, zrezygnowani. Uśmiechała się, rzucała jakieś miłe słówko i szła szybko dalej.

Nagle jej serce ogarnęła fala radości.

Leżał tam, z głową odwróconą na bok, na wykrochmalonej, białej poduszce, z zamkniętymi oczami i lekko uchylonymi ustami. Spał spokojnie. Stała, patrząc na niego, nie wiadomo jak długo. Czuła w sobie przyjemne ciepło. Był wprawdzie blady od utraty krwi i skórę na twarzy miał ściągniętą, ale był czyściutki i ktoś zadał sobie trud, żeby uczesać lśniące, złote włosy.

Tak lepiej, pomyślała. Takiego Szmarię kocha, a nie załamany, brudny strzęp człowieka, jaki widziała w więzieniu. Szybko odsunęła od siebie to wspomnienie jak zły sen, z którego obudzili się szczęśliwie i chciało jej się krzyczeć z radości, że powrócił do świata żyjących. Stracił nogę, pomyślała. Trudno, spotkało to tysiące innych ludzi i funkcjonują jakoś z drewnianymi protezami. Zdumiewające są te współczesne wynalazki lekarzy i inżynierów. Najważniejsze, że żyje, że gangrenę odcięto od zdrowego ciała i dochodzi do siebie po operacji. Czy z jedną nogą, czy z dwiema, kochała go tak samo.

Senda widząc go była tak szczęśliwa, że miała łzy w oczach. Z bliska widać było jego przeraźliwą bladość, ale i tak zdumiało ją, jak wytrzymał przez trzy dni. Znając Szmarię, była pewna, że zerwie się, gdy tylko mu dopasują protezę.

Rozejrzała się w poszukiwaniu krzesła i zauważyła jakieś po drugiej stronie pokoju. Poszła po nie cichutko. Gdy wróciła, znów popatrzyła na niego. Oczy miał wciąż zamknięte, ale regularny, choć słaby oddech wskazywał na uzdrawiającą drzemkę.

Nie spuszczać z niego wzroku, wymacała krzesło i usiadła. Spoglądała na niego wzrokiem pełnym czułości. Na razie nie mógł nigdzie odejść. Należał do

niej. Nigdy nie była bardziej szczęśliwa, nie odczuwała większej ulgi. Czuła, jak rozpała się w niej płomień miłości do niego, jego stan i przeżycia budziły w niej macierzyńską troskę. Widziała go w innym świetle, słabszego, ale i bardziej ludzkiego. Cennego jak życie. Pozbawiony siły i niezależności, był jej bliższy niż kiedykolwiek.

Nie mogła znieść siły swojej miłości. Nagle zauważyła, że otworzył oczy i patrzył na nią czujnie.

– Szmaria – szepnęła, nachylając się i całując go. Chciała go wziąć za rękę, ale ją odsunął i schował pod kołdrę. Mimo zdziwienia tym niezrozumiałym zachowaniem, uśmiechała się dalej i przysunęła krzesło bliżej łóżka.

– Wyglądasz znacznie lepiej – mówiła pogodnym głosem.

Mruknął coś niezrozumiale.

Nie zrażona, ciągnęła dalej.

– Kiedy cię znalazłam, byłeś prawie nieżywy. To cud, że tak szybko zdrowiejesz.

Zaśmiał się dziko, jakby szczechnął.

– Chcesz mówić o cudach? – warknął głosem słabym, ale pełnym napięcia. – Opowiem ci o cudzie, o czymś, co Ochrana robi Żydom.

– Proszę cię, Szmaria – błagała, walcząc ze łzami, które jednak spływały jej po policzkach. Pacjenci z sąsiednich łóżek zwrócili ku nim ciekawskie spojrzenia. Czuła wokół siebie rosnące zainteresowanie i była zła, że Szmaria mówi tak głośno. – Mów, co chcesz – powiedziała szeptem – ale, na miłość boską, czy wszyscy muszą to słyszeć?

– Niech to diabli! Pokażę ci! A potem ty mi powiesz, czy mam być cicho!

Kuląc się pod tym gradem słów, starała się ukryć przed oczyma ciekawskich swe zakłopotanie i przygryzała wargi.

– Przyjrzyj się... dokładnie, jeżeli chcesz... – Jego głos brzmiał przenikliwie w ciszy sali.

Rozejrzała się dokoła, unosząc, nieco z zażenowaniem, róg kołdry.

– No patrz, do cholery!

Odwróciła się powoli, gdy kopnął przykrycie w górę. Szybowało jak chmurka, nim opadło na jedyną nogę. Szmaria miał na sobie nocną koszulę. Nie mógł mieć spodni od piżamy ze względu na grubo obandażowany, krótki kikut.

– O Boże! – jęknęła cicho. – Czy naprawdę musieli aż tyle obciąć?

Obserwował ją uważnie, podciągając wyżej poły nocnej koszuli.

– Patrz! – syknął.

Popatrzyła. Świat rozsypał się na milion kawałeczków.

Zakryła ręką otwarte usta. Krocze miał równie grubo zabandażowane, a spod bandaży wystawał tylko skurczony penis.

Szmaria i łóżko zawirowały jej przed oczami, jak w tańcu świętego Wita. Jak obuchem w głowę uderzyły ją jego słowa:

– Wykastrowali mnie, skurwiele! – łkał, a łzy płynęły mu po policzkach. – Odciepli mi jaja, żebym już nigdy nie był mężczyzną!

Trzymała ręce przy ustach. Była śmiertelnie blada. Patrzył na nią, łkając coraz bardziej.

– Dlaczego mnie nie zostawiłaś, żebym umarł?

Zsunęła się na kolana i wciąż trzymając dłoń przy ustach, drugą ręką szukała pod łóżkiem nocnika. Zaniknęła oczy i zwymiotowała. Gdy okropna kula znów podchodziła jej do gardła, usłyszała wbiegającą pielęgniarkę, która zaczęła ją uspokajać, wycierać usta i podnosić.

– Proszę, madame Bora – szeptała zdecydowanie. – Zdenerwuje pani wszystkich...

Senda wciąż patrzyła na Szmarie, gdy ostrożnie wyprowadzano ją z sali. Odwróciło się do niej sto twarzy, dwieście oczu było świadkami jej rozpacz. Łzy ją piekły, wyżerały oczy.

Chciała dokąś uciec, schronić się w jakieś ciemne, ciepłe, zaciszne miejsce, gdzie będzie bezpieczna. Ale nie będzie miała czasu na oplakiwanie nieszczęścia Szmarii. W każdym razie nie dzisiejszego wieczoru. Czy to się Szmarii podoba, czy nie, księżę uratował mu życie.

A ona będzie musiała dzisiaj spłacić dług.

Rezydencja, jak ukryty klejnot, schowana była przed wzrokiem ciekawskich za wysokim, kamiennym murem. Senda stała przy oknie, a od jej ciepłego oddechu na zamarzniętej szybie robiło się idealne kółeczko. Wieczór był ciemny, ale widziała skrawek światła dochodzącego z okna ośmiokątnego pawilonu znajdującego się niżej, w ogrodzie. Jego stromy dach i wieżyczka pokryte były puszystym śniegiem, a białe, ozdobne okapy wyglądały jak przyczepione śnieżynki. Wewnątrz pustego, oszklonego pawilonu widać było elegancki, kryształowy żyrandol.

– Gdybym była dzieckiem, zachwycalabym się tym cudem – powiedziała marzycielskim tonem. – Te okna, żyrandol, wieżyczka... jak pałacyk z bajki, do zabawy.

Księżę stał tak blisko niej, że czuła jego oddech na odsłoniętych ramionach.

– Wciąż się zachwycasz – powiedział miękko – i ja też. Cudny, prawda? Wyzwała dziecko, jakim jest po trosze każde z nas.

Odwróciła się powoli.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, żeby w tobie wciąż było dziecko.

– W każdym jest. Tylko gdy dorastamy, bawimy się w coś innego. Albo zapominamy w ogóle, jak się bawić. – Przerwał.

– Więc podoba ci się ten dom?

Skinęła głową.

– Bardzo.

– To dobrze. – Uśmiechnął się. – Więc wprowadź się tutaj, a twoje mieszkanie będziemy mieli na nasze spotkania. Szkoda utrzymywać taki duży dom na okazyjne randki.

Nie odpowiedziała. Przesunął delikatnie palcem po jej twarzy, obrysowując profil.

– Piękna kobieta – powiedział – jest jak dzieło sztuki. Potrzebuje pięknego otoczenia, które to podkreśli.

Senda nie odpowiedziała, tylko podeszła do olbrzymiego łoża w kształcie łodzi. Zrobione z mahoni, ze złoceniami, ozdobione było błękitną i złotą jedwabną tkaniną. Wzięła z nocnego stolika swój kieliszek z szampanem i wypła do dna.

Wiedziała, że nadszedł czas. Czas zrobić to, po co tu przysła.

Nie ma co zwlekać. Im prędzej będzie po wszystkim, tym lepiej.

– A twojej córce – powiedział – pewnie to cudo w ogrodzie też by się podobało?

Nie pozwoli mu na użycie Tamary jako fantu w tej grze. To ma być kolejny powód, dla którego ma być mu wdzięczna. Popatrzyła na niego znad kieliszka.

– Podobałoby się, ale lubimy nasze obecne mieszkanie. Poza tym zrobiłeś dla nas aż za dużo, Wasilij. – Przerwała.

– Nie wiem, jak ci odpłacę za te wszystkie uprzejmości.

Podszedł do niej, pogładził kremowe ramiona i odsunął się nieco.

– Bycie z tobą jest już dostateczną zapłatą – powiedział miękko.

Nie odpowiedziała, a on sięgnął do kieszeni.

– Chcę, żebyś to miała na sobie, kiedy się będziemy kochać – powiedział cicho.

Popatrzyła na jego rękę i wydała przytłumiony okrzyk zdumienia. Trzymał w ręku naszyjnik z maleńkich perełek z olbrzymim zapięciem z chalcedonu.

– Noś je chociaż wtedy, kiedy się będziemy kochać – nalegał. – To mi sprawi przyjemność.

Przez chwilę stała bez ruchu, później odwróciła się i odsłoniła szyję. Czowała, jak zakłada perły i zapina zameczek.

– Au! – wykrzyknęła. – Są takie ciasne, że prawie nie mogę oddychać!

Czowała przy uchu jego oddech.

– Właśnie tak lubię – powiedział, poklepując lekko zameczek. – Jesteś bardzo piękna – dodał. – Perły pasują do ciebie.

Poczuła jego rękę pod brodą. Obrócił ją delikatnie i uniósł jej twarz ku swojej. Popatrzyła mu głęboko w oczy, gdy dotknął ustami jej ust.

Serce jej waliło. Była jak przyrośnięta do podłogi: bała się go zachęcać, bała się uciec. Muszę, pomyślała. Muszę zadowolić Wasilija. Użył swych wpływów, żeby uratować Szmarię ze szponów Ochrony.

Zmusiła się do rozwarcia ust, przycisnęła swe wargi do jego ust, przyjmując jego delikatny pocałunek.

– Senda, tak cię pragnę – szeptał w jej usta.

Przymknęła oczy, ukołysana jego głosem, starając się zapomnieć o wszystkim.

– Tak długo na to czekałem. W końcu jesteś moja. – Całował ją coraz bardziej zapamiętale, przywierał ustami w szalejącej pasji, dotykał jej języka, ust, delikatnych, perłowych zębów.

Przez moment czowała się pokonana. Otworzyła jednak oczy. Nie! – krzyknęło coś wewnątrz niej, gdy przyciskał usta do jej warg. Mimo licznych fałd swojej sukni poczuła jego twardość przywierającą do jej ud. Twardość, której Szmara nigdy nie wykorzysta w celach biologicznych, pomyślała.

– Potrzebuję cię – mruczał – tak bardzo cię potrzebuję.

Nie chcę, żeby mnie potrzebować! Miała ochotę krzyknąć.

Chcę być kochana!

Jego biodra wciąż się w nią wkręcały, a jej serce nagle zwolniło. Ogarnęła ją fala mdłości. Czowała gorąco w żyłach, w głowie zakręciło się jej, tak jak w szpitalu, gdy Szmara odsłonił swoje rany.

Nie mogę teraz zwymiotować, tłumaczyła sama sobie, trzymając się mocno ramienia Wasilija, żeby nie upaść. Boże, jeżeli to zrobię...

On jednak zrozumiał ten mocny uścisk jako przejaw rosnącej namiętności i całował ją ze wzmożoną pasją.

W uszach waliło jej tętno. To nie tak! – chciała krzyknąć. Nie mogę tego zrobić! Nie po tym, co się stało ze Szmarią! Nie mogę pójść do łóżka z mężczyzną, czuć go w sobie... po tym, co Szmara przecierpiał. Jak z niego zrobili eunucha.

Czowała jego ręce szarpiące stanik sukni i wszystkie jej mięśnie zeszytywniały,

poczuła zimno do szpiku kości. Nagle zrobiło się jej gorąco w żołądku, na czole pojawiły się kropelki potu. Usłyszała rozdieranie materiału. Jej piersi wyskoczyły ze stanika, ukazując truskawkowe sutki. Na gołych plecach odczuła nocny chłód.

Okropny głos w środku krzyczał wściekle: Ty dziwko! Kochać się z tym mężczyzną po tym, jak twojego kochanka wykastrowali! Dziwko!

Starła się wydostać z jego uchwytu, ale wpił się rękami w jej ciało, aż powstały czerwone, bolące ślady. Przyciskał ją do piersi z całych sił, wpuszczał język prawie do jej gardła.

Jęczała cichutko, starając się wyzwolić.

– Proszę! – krzyknęła, próbując wykręcić się z jego objęć, ale jej krzyk został przytłumiony przez jego namiętne usta.

Palce księcia wędrowały cały czas, przyciskał ją jeszcze gwałtowniej do swej twardej, muskularnej piersi.

Czuła, że słabnie. Usta miała w końcu wolne, ale obrzmiałe i bolące. Pochylił teraz głowę ku jej długiej szyi i słychać było jakby ssanie. Wygięła plecy i wzdłuż grzbietu przelatywały jej miliony dreszczyków, przenosząc się na ręce, tańcząc jak duchy po jej nogach. Obie jego ręce obejmowały jej piersi, masowały je, zataczając kółka coraz niżej, zsuwając suknię do bioder.

Zdała sobie sprawę, że to jej ostatnia okazja, żeby się wycofać, zakończyć tę parodię miłości.

Ale Szmaria go bardzo potrzebuje. Kiedy będzie już na tyle zdrowy, że go postawią przed sądem... nie, nie może do tego dojść. Dlatego to robię, Szmaria. Dla ciebie – pomyślała.

I nagle, o dziwo! zamiast mdłości zaczęła odczuwać miłe ciepło pożądania. Stała jednak dygocząc, bojąc się poddać temu uczuciu. Dawno już nie spała z mężczyzną. Zapomniała prawie, jak to jest. Ostatni raz była ze Szmaria tuż przed jego odejściem.

Wasilij Wsunął rękę pod jej bieliznę. Czuła jego palce, szukające tego czulego kobiecego miejsca. Wstrzymała oddech, drżała w słodkiej słabości, nie mogła opanować rosnącego w niej pożądania. Między udami czuła wilgoć, o której dawno zapomniała. Jej ręce, jakby niezależne od woli, wsunęły się za rozpiętą koszulę Wasilija, palce ścisnęły ostre, kręcone włoski, twarde sutki.

Nagle zdarł z niej suknię do końca. Krzyknęła, bo materiał, nim opadł u jej stóp, zahaczył się i wbił w skórę. Bez trudu zdarł z niej bieliznę, rozrywając ją na kawałki. Drżała, czuła suchość w ustach i coraz większą wilgoć między udami. Była obnażona, bezbronna, a jednocześnie podniecona w jakiś dziwny sposób,

jakiego dotąd nie doświadczyła.

Bez ostrzeżenia nachylił się, podniósł ją z podłogi i zaniósł na łóżko, jak jakiś średniowieczny zdobywca, kładący ofiarę na ołtarzu. Podskoczyła lekko na materacu, gdy ją kładł, i zaraz okręciła się na niebiesko-złotej kołdrze, dotykając jej piersiami. Na okrągłych, ładnie zarysowanych pośladkach poczuła chłód.

Gdy rozbierał się do pasa, cały czas patrzył na nią, przesuając językiem po wargach, aż zrobiło jej się słabo. Nie mogła oderwać oczu od jego ciała. Klatkę piersiową miał szeroką i twardą, pokrytą kręconymi włoskami, a mięśnie, w ciepłym świetle nocnej lampki, były jak wyrzeźbione. Jak na tak dużego i silnego mężczyznę był zdumiewająco smukły.

Serce waliło jej jak młotem. Szmaria zawsze promieniował jakąś zwierzęcą siłą przyciągania, ale nagle Wasilij Daniłow stał się dla niej najbardziej pociągającym mężczyzną. Nie tylko jego ciało, ale potęga, jaką demonstrował w codziennym życiu, jego pewność siebie, bogactwo, tytuł książęcy.

Zsunął spodnie, a ona z otwartymi ustami wpatrywała się w jego członek, olbrzymi i czerwony. Rozmiar tego organu wydawał jej się szokujący, również dlatego, że prezentował go z pewną obojętnością, jak zwyczajną pogrózkę. Wyobraziła go sobie w swoim wnętrzu, znikający w kępie miedzianych włosów, rozpierający ją rozkoszą. Zapomniała już o obrzydzeniu. Pragnęła go.

Był teraz zupełnie nagi i patrzył na nią, a ona czuła się sparaliżowana tym hipnotycznym spojrzeniem. Wstrzymała oddech. Znow wróciła do niej myśl o tysiącnych rozkoszach.

Zlustrowała go od stóp do głów głodnym spojrzeniem. Był owłosiony. Oprócz wąsów i przyciętej brody, krótkie, czarne włoski pokrywały jego pierś, a następnie szły do pępka, rozrastając się gęsto nad krocem. Krótsze, kręcone włoski podkreślały zarost jego pośladków. Przypominał w tym Szmarie, tylko Szmaria był blondynem i miał wygięty członek, natomiast księcia był prosty, grubszy i tępo zakończony. Wejdzie w nią prościutko i głęboko. Spróbowała go dotknąć, ale uderzył ją w rękę. Cofnęła się, patrząc na niego z przestraszeniem.

Nie odrywając od niej oczu, sięgnął do szuflady nocnego stolika i wyciągnął dwa białe, jedwabne szale. Dyszała płytko, zastanawiając się, do czego mają służyć.

Bez słowa złapał ją za ręce i nim się zorientowała, przyciągnął za nadgarstki i prędko okręcił wokół nich jeden jedwabny szal i zawiązał jego końce w węzeł. Patrzyła przerażona na związane ręce. Rzuciła przelotnie okiem na jego twarz, ale zlekka się tego cynicznego, okrutnego spojrzenia. Znow szybki ruch i okręcił

drugi szal wokół jej spętanych rąk, które przyciągnął i przywiązał do oparcia łóżka za jej głowę. Trzęsa się ze strachu. Była zupełnie bezbronna.

Zajęło mu to zaledwie kilka sekund.

W ciasnym naszyjniku trudno jej było oddychać. Próbowwała uwolnić ręce, ale jedwab był zbyt mocny, by go przerwać. Tysiące myśli przebiegały jej przez głowę. Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego związał jej ręce jak więźniowi? Może on lubił takie zabawy, ale ona na pewno nie. A jeżeli... jeżeli to nie była zabawa? Jeśli naprawdę chciał jej zrobić krzywdę? Cóż, za późno już było na walkę.

– Proszę – pisnęła. – Nie rób mi nic złego. Nie...

Jej błagania nie wywarły na nim żadnego wrażenia.

– Och, Boże. – W oczach jej pojawiły się łzy. W co ona się, do licha, wpakowała?

Nim zdołała się oswoić z tą sytuacją, rzucił się na łóżko. Wstrzymała oddech. Co miał zamiar zrobić?

Poczuła, że czerwienieje ze złości, i czekała na okazję, żeby się jakoś uwolnić i uciec. Przycisnął jej brzuch nogami. Patrzyła, jak jego palce dotykają jej skutek. Ścisnął różowe pączki paznokciami.

Wrzasnęła. Ból był ostry jak brzytwa, palił jak ogień.

– Ty draniu! – krzyczała, wijąc się bezradnie. Każdy jej nerw pulsował nienawiścią. – Ty draniu, zabiję cię!

W odpowiedzi znów poczuła uszczypnięcie, przerywające jej tyradę i wywołujące nową falę potwornego bólu.

– Więc jestem draniem, tak? – Uśmiechnął się do niej.

Rozgniona, zmieszana, oddychała ciężko.

– Tak! To znaczy nie! – Widać było, że słabnie w niej wola walki. – Puść mnie – szepnęła. – Nie podoba mi się to.

– Och, dopiero zaczęliśmy.

Zamknęła oczy i westchnęła.

– No, tak lepiej. – Kiwnął głową, zsunął się niżej i sięgnął do jej krocza.

Nieświadomie jęknęła, gdy masował je rękami. Rozsunął rude włoski i przypatrywał się łechtaczce. Znów jęknęła, gdy gładząc te wilgotne miejsca, wsunął jednocześnie palec do odbytu.

– Jesteś jeszcze wilgotniejsza – zdumiewał się szeptem. – Nie jest źle, prawda?

Potrząsnęła głową. W błyszczących oczach malował się dziwny wyraz.

– Bądź delikatny – poprosiła słabo.

Posunął się wyżej, przydusił jej piersi kolanami. Jego olbrzymi penis dotykał jej twarzy. Odruchowo zacisnęła wargi, nim zdążył go wsunąć do jej ust.

– Otwórz – polecił łagodnie. – Chcę, żebyś mnie miała w ustach.

Spojrzała na niego, znów potrząsając głową. Uniósł się nieco, by sięgnąć do jej sutek. Poczowała zaciskające się na nich jego palce i zrozumiała, że musi robić, co jej każe. Prędko otworzyła usta. Na moment opanował ją strach, ale on już był głęboko w niej. Przez długą, potworną chwilę czuła ściskanie w gardle i bała się, że się udusi. Instynktownie zacisnęła zęby i usłyszała jego ostry ryk:

– Dzwka – wysapał. – Bez zębów!

Natychmiast szerzej rozwarła szczęki, on się wysunął, znów wsunął. Jego penis jakby żył własnym życiem w jej ustach. Rytmicznie ruszał biodrami, a ona drżała częściowo ze strachu, częściowo poddając się tej zakazanej przyjemności. Szmaria kładł twarz na jej wzgórku, dotykał językiem, ale nigdy nie miała w ustach mężczyzny.

Wydawało się, że trwa to wieczność. Stała się wiązką podrażnionych nerwów i gdziekolwiek jej dotykał, drżała i wibrowała.

Początkowa złość mijała, poddała mu się, ssła namiętnie, wydając delikatne dźwięki podobne do mlaskania. Gdy jego ruchy stały się szybsze, zastanawiała się, czy odczuwa gwałt, czy ekstazę? A może jedno i drugie? A jego penis stawał się coraz grubszy, twardszy, dłuższy i wsuwał się, i wysuwał z jej ust.

W końcu odczuła drgania, poprzedzające jego orgazm. W ostatniej chwili, tuż przed wytryskiem, wysunął się z jej ust.

Leżała, usiłując złapać powietrze. Usta miała jak opuchnięte, gardło obolałe, ręce osłabione od stałego napięcia pod jedwabnymi więzami.

Uniósł rękami jej biodra i zaczął w nią wchodzić. Krzyknęła, zdumiona. Na moment przestała oddychać. Był tak olbrzymi, tak obrzmiały, że bała się, że nie będzie w stanie go zmieścić. Znalazł się w niej natychmiast tak głęboko, że poczuła ostry, promieniujący ból w brzuchu. Powoli wysunął się, a wraz z tym ruchem odpłynęło uczucie ściśnięcia. Jakby w obawie, że wyjdzie z niej zupełnie, zacisnęła mięśnie, żeby go utrzymać w sobie jak w pułapce.

Powoli, świadomie, wysuwał się do połowy i znów wracał. Wzdrygnęła się i spojrzała na jego twarz. Wyglądał, jakby cierpiał, miał otwarte usta, srebrna strużka śliny spłynęła na jej piersi. Objęła ciasno nogami jego pośladki, żeby musiał wejść w nią głębiej, a on w odpowiedzi stał się jeszcze gwałtowniejszy.

Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyła. Wiedziała, że ten rytuał nie miał nic wspólnego z miłością, ale był tak intensywny, jak tylko może być pożądanie.

Książę był jak opętany. Z każdym jego ruchem słyszała plaśnięcie o swoje uda. Wydawał się nieposkromiony, nienasycony, zwalniał tylko, gdy czuł, że zaraz wybuchnie, i znów zaczynał, kiedy jego napięcie trochę spadało. Skórę pokrywała mu warstwa potu.

Nie widziała jeszcze czegoś takiego.

Zamknęła oczy i poddała się całkowicie tej przyjemności, która nie miała początku ani końca. Czowała, że mogłaby tak w nieskończoność. Całe jej ciało przepełnione było tym uczuciem, zapomniała o skurczu w rękach i ciasnym naszyjniku. Właściwie ta bezradność zaczynała jej sprawiać przyjemność. A on atakował dalej jej rozwarte uda.

Nagle krzyknęła. Pod jej powiekami rozpryskiwały się gwiazdy, wirowały sztuczne ognie, krople jego potu spadające na jej gorącą skórę wydawały się syczeć jak woda, która przy snęła na rozgrzany olej. Jedna po drugiej, przebiegały po niej fale szaleńczego orgazmu jak zwariowane *crescendo*, bez końca.

A on nie przestawał.

– Proszę! – jęczała błagalnie. – Proszę, chodź! Mocniej, Wasilij, do bólu, mocniej!

Głos jej brzmiał jak w obscenicznej piosence, a każde słowo akcentowane było jego rytmicznym, jeszcze mocniejszym ruchem.

– Jeszcze... och, tak, jeszcze, mocniej, mocniej!

A wtedy on wydał dziki jęk. Otworzyła oczy i objęła go nogami jeszcze silniej. Jego ciało nagle szarpnęło, wcisnął się w nią tak głęboko, że krzyknęła z bólu, a on przyłgnał do niej mocno, jakby od tego zależało jego życie. Pękła tama i zalała ich oboje.

Tym razem nie odmówiła przyjęcia prezentu. Gdy wychodziła od niego nad ranem, miała na sobie naszyjnik z pereł.

Za każdym razem, gdy się spotykali w ciągu następnych tygodni, dostawała inny klejnot, coraz cenniejszy. Wszystkie jednak miały jedną cechę wspólną: były to ciasno opinające naszyjniki lub bransolety. Nie pierścionki ani broszki, nie kolczyki. Czy były to brylanty, szafiry, szmaragdy, rubiny, złoto czy platyna, wszystkie w jakiś sposób symbolizowały jego władzę nad nią. Obroże i bransolety niewolnicy.

A ona stwierdzała, że pragnie tej jego chorej namiętności.

A jeżeli ja nie chcę wyjechać? – pytał cicho Szmara.

– Jeżeli stwierdzę, że podoba mi się w Rosji?

Byli sami w pustym gabinecie lekarskim. Lekarz, który dopasował Szmarii drewnianą nogę, wyszedł kilka minut wcześniej.

Senda wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie:

– Mówi, że w takim przypadku nie będzie mógł ci pomóc.

Odwrócił się od szpitalnego okna.

– Książę to, książę tamto – narzekał ze złością. – Nagle jesteście bardzo zgraną parą.

Zaczerwieniła się i przygryzła wargę.

– Staram się tylko pomóc ci – powiedziała. – Co w tym złego?

– A on? Przypuszczam, że jego wysokość – powiedział Szmaria sarkastycznie – też chce dla mnie jak najlepiej?

– Spojrzał na nią spod oka.

– Dlaczego nie?

– Chciałbym wiedzieć, co z tego ma, że jest taki cholernie uprzejmy! Nie wydaje ci się to podejrzane?

– Podejrzane? – powtórzyła cicho, patrząc w dół. – Dlaczego tak uważasz?

Przekuśtykał przez pokój, stukając o podłogę drewnianą nogą. Lewą nogawkę szpitalnej piżamy obcięto, żeby ułatwić mocowanie pasków i sprzączek od protezy. Cała konstrukcja była więc odsłonięta i Senda skrzywiła się z bólu, patrząc na nią. Skórzany but na końcu protezy sprawiał, że wyglądało to jeszcze gorzej, niemal obscenicznie. Była to karykatura prawdziwej nogi.

– Przestań bawić się ze mną w ciuciubabkę! – Szmaria ze złością kopnął protezą krzesło, które się przewróciło. – Myślisz, że razem z nogą straciłem rozum?

Senda skuliła się. Zdała sobie sprawę, że to już nie ten Szmaria, którego znała i kochała. Szmaria, któremu oddała swoje serce, umarł trzy dni po balu, a jego miejsce zajął jakiś inny człowiek – znacznie bardziej gniewny i godny współczucia.

Kręciła się na krześle, ze zdenerwowania zaplatając i rozplatając ręce.

– Szmaria, czy nie możesz być rozsądny? Musisz być zawsze taki uparty? Nie widzisz, że to najlepsze rozwiązanie? Musisz tylko przejechać do Finlandii i czekać tam na mnie. To tylko sto trzydzieści kilometrów przez zatokę. Za kilka dni dojedziemy tam z Tamarą. Stamtąd możemy pojechać, dokąd zechcesz: Europa, Anglia, Ameryka, nawet Palestyna! To naprawdę nie będzie trudne.

– Chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie możemy wyjechać razem?

Przymknęła oczy i westchnęła.

– Bo... bo tak jest łatwiej.

Parsknął gorzkim śmiechem.

– Inaczej mówiąc, musimy wydostać się z tego kraju osobno, bo pan i władca nie chce, żebyśmy byli razem, tak? Bo chce nas rozdzielić. Ma nadzieję zatrzymać cię tu. To mi chcesz powiedzieć, prawda?

Zagryzła usta i zawahała się. Wasilij nigdy tego tak nie ujął, ale musiała przyznać, że była to swoista taktyka z jego strony. Jakież inny byłby powód zaproszenia na bal, mieszkania, a teraz domu? Dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby przenieść Szmarię z więzienia do szpitala? Była na tyle realistką, żeby wiedzieć, że nie robił tego z altruistycznych pobudek. Chciał jej. I tyle. I miał ją, już kilka razy. Na pamiątkę dostała dwa naszyjniki i bransoletkę z brylantów i akwamarynu. Tak, chciał ją mieć tylko dla siebie. Ale gdy powiedział, że Szmaria nie może dłużej zostać w Rosji, wydawało jej się to logiczne. Było już zbyt wiele dowodów przeciwko niemu. Pisano o nim w wielu gazetach, prawie wydano wyrok. Gdyby to była tylko krótka notatka o aresztowaniu, można by o tym zapomnieć. I gdyby to policja go złapała. Ale Ochrana? Tajna policja? Oni byli państwem w państwie. Wiedziała, że nie było łatwo, nawet dla Wasilija, wykraść Szmarię z ich rąk. Nawet tu, w szpitalu, funkcjonariusze Ochrony sprawdzali, czy nie uciekł.

Ale gdyby Szmaria zdołał dotrzeć do Finlandii, oczywiście z pomocą Wasilija, bo musiał mieć dokumenty, wtedy mógłby podróżować dalej.

A gdyby był taki uparty i chciał pozostać w Rosji? Wtedy musiałby tańczyć, jak mu zagrają, a z pewnością byłaby to pieśń śmierci.

Westchnęła. Stąpała po bardzo kruchym lodzie i jeśli zrobi choćby jeden nierozważny krok, to Szmaria, a nie ona, będzie ofiarą. Będzie miała na rękach jego krew, jakby go sama zabiła.

Musiała coś zrobić, żeby zobaczył jakieś światełko. Nie mogła się dać złapać na te naiwne przynęty. Nie było czasu do stracenia. Jednak jego zarzuty były bardzo bliskie prawdy. Wprawdzie mylił się, że chciała się go pozbyć, jednak musiała przyznać, że miał rację w jednym punkcie. Nie chciała, żeby Wasilij wiedział, że i ona zamierza wyjechać, bo to zmniejszyłoby jego szanse. Książę nie może niczego podejrzewać. Inaczej najprawdopodobniej nie zechciałby pomóc Szmarii.

– No więc? – Szmaria przypatrywał się jej w milczeniu, a teraz przykuśtykał do niej i spojrzał, oparłszy się na zdrowej nodze. – Czy to takie skomplikowane pytanie, że musisz zastanawiać się nad odpowiedzią? Wystarczy tak lub nie.

Uniosła głowę i napotkała jego wzrok.

– O tym... o tym nigdy nie dyskutowaliśmy – powiedziała sztywno.

– Niedobrze mi się od tego robi – powiedział pogardliwie.

Zarumieniła się i zacisnęła usta.

Zaczął kuśtykać po całym pokoju, postukując drewnianą nogą.

– Świetnie to sobie ułożyliście. Przepadłem, jeśli zostanę, i przepadnę, jeśli wyjadę.

– Dlaczego? Przecież to dosyć proste.

– Dlaczego? – Stał i patrzył na nią. – Ponieważ jeśli wyjadę pierwszy, nie będziesz musiała za mną pojechać, prawda? Zawsze możesz zostać, bo zatrzyma cię wiele spraw.

– To nieprawda! – zawołała wstając. – Pojadę za tobą. – Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Szmara, co zaszło między nami, że nie chcesz mi wierzyć? Poszłabym za tobą na koniec świata!

Uśmiechnął się ponuro.

– Dlaczego miałabyś to zrobić?

Wytrzymała jego spojrzenie, choć jej oczy zasłoniła znów mgielka łez.

– Bo cię kocham – szepnęła po prostu.

Odrzucił głowę i zaniósł się śmiechem.

– A to dobre! Na Boga, to naprawdę dobre!

Patrzyła na niego.

– Nie rozumiem, co w tym śmiesznego – powiedziała cicho. – Może byś mi wytłumaczył?

Histeryczny śmiech zamarł mu na ustach.

– Chcesz zobaczyć coś śmiesznego? – Jego oczy wyglądały jak wąskie szpareczki, gdy zaczął majstrować przy tasiemkach od spodni piżamy, po czym je spuścił. Rana goiła się, więc miał przyklejony tylko mały opatrunek, co podkreślało jeszcze ogrom jego straty. – Proszę – powiedział zachrypniętym głosem. – To bardzo śmieszne.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– To nie wszystko, Szmara, wiesz przecież – powiedziała miękko. – No, więc nie możemy mieć więcej dzieci. I co z tego? Tamara to wszystko, czego nam trzeba. Daje nam tyle miłości, że starczy za kilkoro. Ona cię potrzebuje i kocha. Nie masz pojęcia, jak strasznie za tobą tęskni. Cały czas o ciebie pyta. Chciałabym, żebyś ją chociaż zobaczył. Dlaczego ma cierpieć za coś, czego nie potrafi zrozumieć, bo jest mała i naiwna?

Odwrócił się i wciągnął spodnie.

– A ty? – Głos miał przytłumiony. – Co z twoimi potrzebami?

Wzruszyła ramionami.

– Co takiego?

Obrócił się do niej.

– Powiedz mi tylko, że nie ma żadnej różnicy – powiedział gorzko, wskazując na swoje pachwiny.

Potrząsnęła głową.

– Wiesz, że nie ma – powiedziała cicho. – Kocham ciebie, Szmaria, a nie część twojej anatomii. Kocham wszystko w tobie. – Głos jej się załamał.

Pomyślała: muszę być z nim cierpliwa. Muszę mu okazywać miłość, ale nie litość. Może z czasem jego ból się zmniejszy, a on naprawdę ozdrowieje.

Wiedziała, że wyszukuje dla niego usprawiedliwienia, ale czy na to nie zasługiwał?

– Posłuchaj, Szmaria – powiedziała nagle. – Co się stało, to się stało. Wiem, że to nieprzyjemne...

– Nieprzyjemne! To naprawdę delikatnie powiedziane.

Westchnęła i zaczęła od nowa, tym razem silniejszym głosem.

– Wiem, że to jest straszne, ale choć byśmy nie wiem jak chcieli, nic nie zmienimy. Musimy teraz poradzić sobie z tym, starać się odbudować nasze życie i udowodnić, że potrafimy sobie radzić mimo wszystko. Nie rozumiesz, że musimy? I dla nas, i dla Tamary. Szmaria, proszę! – Słowa układały się same.

– Musimy dalej żyć! Musisz mi uwierzyć, że to, co ci zrobili, boli bardziej niż wszystko, czego dotąd doświadczyliśmy.

– Oczy zaszyły jej łzami. – A co do ciebie czuję? – Potrząsnęła głową. – Nie ma żadnej różnicy. Kocham cię nawet bardziej.

– Współczujesz mi – rzucił, odwracając się. – To nie jest miłość. Żal ci mnie. Starasz się mnie pocieszyć. Nie chcesz mnie naprawdę. Już nie.

– Ależ tak.

– Więc udowodnij to.

– Jak? – wyjąkała.

W jego oczach znów zapaliły się jakieś złe ogniki.

– Kochaj mnie. – Kiwnął palcem, żeby podeszła bliżej.

– Teraz.

– Szmaria – zaczęła płakać – nie rób nam tego. Wiem, że dużo przeszedłeś!...

– To ty powiedziałaś, że nie ma żadnej różnicy – przypomniał jej chłodnym

tonem. – A teraz udowodnij to. Możesz zacząć od rozebrania się.

Przeszył ją nagły chłód.

– Zwariowałaś! – syknęła.

Patrząc na niego, zaczęła się powoli cofać w kierunku drzwi.

– Więc nie chcesz tego zrobić, tak? – Z każdym jej krokiem w tył, on robił jeden do przodu. Nachylił się do niej.

– Więc to było tylko takie gadanie?

To niemożliwe, powiedziała do siebie. Co w niego wstąpiło?

– Szmaria... – Głos jej przybrał ostrzegawczy ton.

Bez ostrzeżenia zamachnął się, złapał ją za włosy i przyciągnął bliżej. Bolało, z trudem powstrzymała się od płaczu. Patrzył na nią, trzymając swoją twarz przy jej twarzy.

– Zobaczmy teraz, jak mnie kochasz – szepnął, akcentując każde słowo splunięciem.

Zbladła, a w jej oczach pojawił się strach. Serce waliło tak mocno, że nie mogła myśleć. W końcu porażający strach przerodził się w złość.

– Puść mnie – zażądała.

Wybuchnął szaleńczym, piskliwym śmiechem i mocniej pociągnął ją za włosy.

Skrzywiła się, ale powstrzymała odruch, żeby uderzyć go w rękę.

– Szmaria, nie tak – powiedziała cicho, zaciskając zęby.

– Zepsujemy to, co nam pozostało.

– Co takiego? Już chcesz się wycofać?

Starła się wyrwać, ale trzymał mocno. Przytrzymując ją jedną ręką za włosy, drugą ją obrócił i szarpnął gwałtownie za rząd perłowych guziczków przy sukni. Rozleciały się po podłodze, pobłyskując jak krople deszczu. Ściągnął jej suknię do kolan i z tą samą dziką furią atakował halkę. Gdy stała nago, z ubraniem u stóp, odwrócił ją twarzą do siebie. Zabrał się do swoich troczków.

W jej oczach błyszczała nienawiść.

– Czy musisz zachowywać się jak zwierzę? – spytała chłodno. – Czas chyba, żebym już poszła.

Nagle opuścił go bojowy nastrój i stał się złamanym, smutnym człowiekiem. Milczał, kiedy wkładała suknię i płaszcz. Gdy dochodziła do drzwi, zatrzymał ją przytłumiony głos.

– Ile czasu potrwa załatwienie moich papierów?

– Kilka dni – odpowiedziała oschle. – Może tydzień.

Rozważał to.

– Dobrze – powiedział w końcu, kiwając głową.
– Szmaria...
– Myślę, że masz rację – powiedział miękko, a po policzkach spływały mu łzy.
– Powinienem wyjechać jak najszybciej.
Stała jak wrośnięta w ziemię, trzymając ręce na zimnej klamce.
– Dokąd pojedziesz?
Wzruszył ramionami.
– Bo ja wiem? Pewnie do Palestyny. Skinęła głową, przepełniona żalem, ze smutkiem w sercu. Załamała się dopiero po zamknięciu drzwi. Zmusiła się do przejścia przez korytarz, oplakując stratę swej pierwszej i jedynej miłości.

Pięć dni później Senda podeszła do oszklonych drzwi szpitala.

Szmaria był już na zewnątrz i trzymając się żelaznej poręczy, pokonywał schody, a jego sztywna, drewniana noga za każdym razem wykonywała łuk.

Senda stała nieruchomo, a jej serce przebijał ból jak ukłucie sztyletu, gdy patrzyła przez chropawą szybę na jego niewyraźną sylwetkę, wraz z którą oddalał się jeszcze jeden etap jej życia.

Dobrze chociaż, że zgodził się uciec z Rosji. Przynajmniej uratuje życie. Ale jakim kosztem...

Westchnęła boleśnie patrząc, jak wsadzano go do sanek, które zawiozą go na prom do Helsinek, a dalej pojedzie... dokąd? Woźnica wdrapał się na siedzenie, ściągnął lejce i dzwoniące sanie pomknęły w stalowo-szary poranek.

Senda spojrzała na kopertę, którą wciąż trzymała w ręku. Szmaria odmówił przyjęcia pieniędzy na drogę poza Helsinki. Przyjął dokumenty podrózne, bilet w jedną stronę przez zatokę i przejazd sankami. Nie chciał nic więcej.

Stała tam prawie godzinę, aż w końcu skuliła się na twardej ławce w szpitalnej poczekalni. Zawsze wierzyła, że ich miłość przetrwa wszystko, że ich życie związane jest aż po wieczność i jeszcze dłużej. Ale tam właśnie, hen, odeszła ich miłość.

Gorące krymskie słońce świeciło ostro, ozdabiając szmaragdowe wody Morza Czarnego milionami srebrnych punkcików. Senda siedziała na przewiewnym tarasie. Miała na sobie duży, jedwabny kapelusz w kolorze kości słoniowej, dopasowany kolorem do luźnej tuniki, którą włożyła na długą, kasztanową, jedwabną spódnicę. Patrzyła, jak Inge sprowadza Tamarę stromymi, kamiennymi schodami, prowadzącymi na małą, prywatną plażę.

– Uważaj! – zawołała Senda.

Inge pomachała na znak, że ostrzeżenie dotarło.

– Na pewno nie chce pani pójść? – zakrzyknęła.

– Nie, muszę być w pobliżu. – Senda oparła się, wyciągnęła ręce ponad głowę i z zadowoleniem spoglądała przez balustradę.

Wietrzyk się wzmógł, powiewając jej włosami, unosząc spódnicę i podwiewając rondo kapelusza. Raj, pomyślała.

Jakie to będą cudowne, wymarzone wakacje. Pokochała Lewadię od chwili, gdy przyjechała tu tydzień temu. Inge z Tamarą przyjechały dwa tygodnie wcześniej, a ona nie mogła się doczekać spotkania z nimi. Oczywiście dzięki temu, że były razem, wakacje były jeszcze miłsze, ale w każdym przypadku Lewadia urzekłaby ją. Miała cudowne, naturalne położenie, klifowe brzegi schodziły do ciepłego morza, bogate pałace ukryte były między pachnącymi, ukwieconymi wzgórzami, a na pagórkowatych polach rosły truskawki w takich ilościach, że nawet ślepiec mógł tylko wyciągnąć rękę, by zerwać garść smakowitych owoców.

Odпочyając teraz na słońcu, wiedziała, że przyjazd tutaj był dobrym pomysłem. Ostatnie sześć miesięcy było mordercze i teraz, kiedy mogła już odpocząć, czuła, jak bardzo tego potrzebowała.

Dziesięć przedstawień w drodze z Moskwy, pięć w Kijowie i pięć w Odessie, były absolutnym triumfem. Oba teatry stanęły na wysokości zadania, by usatysfakcjonować gościnnie występującą gwiazdę i z przyjemnością zauważyła, że jej sława ją wyprzedziła. >•

Nagły, przenikliwy dźwięk telefonu wyrwał ją z tych wspomnień. Spojrzała w stronę willi i przez moment zastanawiała się, czy go odebrać. Lada moment z małego portu miała przypłynąć szybka łódź motorowa Wasilija i kiedy będzie przybijała do kamienistej zatoczki przy sąsiedniej willi, Senda miała spotkać się z nim w połowie drogi.

Wstała i popatrzyła na morze. Motorówki nie było jeszcze widać.

Telefon dzwonił wytrwale. Pobiegła go odebrać.

– Halo?

– To był Wasilij.

– Zatrzymano mnie – powiedział bez wstępów. – Coś się wydarzyło. Muszę tu czekać i próbować skontaktować się z carem. Usiłuję już od jakiegoś czasu, ale jest na swym jachcie „Standard” Rodzina carska wybrała się na doroczny dwutygodniowy rejs wzdłuż wybrzeży Finlandii, więc może minąć wiele godzin, nim uda mi się go złapać. Nie czekaj na mnie, tylko rób, na co masz ochotę.

A więc nie zobaczę go dzisiaj. I bardzo dobrze, pomyślała. Spędzi resztę dnia z Tamarą. Ale jej ciekawość została rozbudzona. Co mogło się wydarzyć? Musiało to być coś ważnego, skoro Wasilij zdecydował się zakłócić wakacje Jego Cesarskiej Wysokości.

– To coś poważnego? – spytała z troską w głosie.

– Może się tak okazać – odpowiedział ostrożnie książę. – Ludzie, z którymi rozmawiałem, starają się to bagatelizować, ale nie jestem pewien, czy mają rację. Dlatego muszę skontaktować się z carem. Ktoś powinien go uczulić na poważne reperkusje, jakie może mieć to wydarzenie.

– Wasilij, co się stało? – spytała.

Milczał przez chwilę, po czym powiedział cicho:

– Arcyksiążę Ferdynand.

– Królewicz Habsburgów?

– Tak. Ich następca tronu... a raczej były.

– Dlaczego?

– On i jego żona zostali zamordowani w Sarajewie.

– Och, nie. – Senda była przerażona. Wiadomość ta, choć tak spokojnie przekazana, sprawiła, że przeszedł jej dreszcz po plecach. Nagle zobaczyła chaos i śmierć.

– Co... co to znaczy? – szepnęła.

– O tym muszę porozmawiać z carem. Sądzę, że będzie wojna. Inni uważają, że nie, i pewnie taką opinię doradcy będą przekazywać carowi.

– Ale ty nie jesteś taki pewien?

– Nie, nie jestem.

– Obyś się mylił.

– Wierz mi, chciałbym, a na razie nie czekaj na mnie, zadzwonię za kilka godzin. Ale najprawdopodobniej dziś się nie zobaczymy.

Powoli odłożyła słuchawkę. Przez chwilę patrzyła przez oszklone drzwi na połyskujące, pozornie spokojne morze. Był 28 czerwca, pogodny, słoneczny dzień w całej Europie, ale na horyzoncie zbierały się już czarne chmury.

Rozpoczęło się długie lato 1914 roku.

Niewielu ludzi w Europie i Rosji wierzyło, że śmierć arcyksięcia Ferdynanda może przyspieszyć wybuch wojny.

W Paryżu szacowny dziennik „Le Figaro” oświadczał pewnie: „Nie ma powodu do obaw”.

Cesarz niemiecki Wilhelm II był wstrząśnięty tą wiadomością ze względu na najokropniejszą, jego zdaniem, zbrodnię: królobójstwo. Nie wierzył jednak, że może to być zapowiedzią wojny.

Podobnie angielski król Jerzy V. Z typowo brytyjską skłonnością do niedomówień zapisał w swym dzienniku: „Okropny szok dla biednego cesarza”.

Na carskim jachcie „Standard” przeżywano tragedię bliższą, która przyćmiła wydarzenia w Europie. Dzień wcześniej dotarła do carycy wiadomość, że mnich Rasputin został raniony nożem w brzuch. Lekarze nie dawali mu dużych szans, gdyż cios odkrył wszystkie trzewia. Caryca Aleksandra, która od dawna wierzyła, że Rasputin jest jedynym lekarzem zdolnym pomóc jej choremu na hemofilię synowi, była przerażona. Gdy większość obecnych na jachcie modliła się po cichu o śmierć szalonego mnicha, caryca błagała nieustannie o jego zdrowie i codziennie przekazywano jej meldunki na ten temat.

Po południu 30 czerwca, czując wzajemne spełnienie, Senda i Wasilij leżeli obok siebie i usiłowali złapać oddech. Okiennice chroniły ich przed oślepiającym popołudniowym słońcem. Potężne meble przyczały się w kątach pokoju jak ponure, fioletowe cienie. Szerszeń, uwięziony między okiennicą a oknem, bzyczał zapamiętale, usiłując wydostać się z tego więzienia.

Wasilij zapalił papierosa, patrząc w zamyśleniu na sufit. Senda sięgnęła po swój kieliszek z szampanem, stojący na szafce koło łóżka. Skrzywiła się. Stał ponad godzinę i delikatny smak uleciał. Właśnie odstawiła kieliszek, gdy Wasilij oświadczył:

– Rano wyjeżdżam do Sankt Petersburga.

– Co? – Senda siadła nagle, aż zsunęło się jej prześcieradło z piersi. – Wasilij, przecież dopiero co przyjechaliśmy tutaj!

Popatrzył na nią obojętnie.

– Wakacje są bardzo miłe – mówił szybko, urzędowym tonem – ale moje interesy, a zwłaszcza interesy Rosji, mają pierwszeństwo.

– Oczywiście – popatrzyła na niego nie wiedząc, co innego mogłaby powiedzieć.

– Nie mam wyboru. Jeśli car jest równie ślepy jak ci jego nieudani ministrowie, będę zmuszony wziąć to na siebie i przekonać go.

– Więc wrócił do Petersburga? – spytała.

Parsknął śmiechem, wypuszczając nosem kłęb niebieskiego dymu.

– Niej nasz szacowny „ojciec Wszechrosji” i jego rodzina wciąż bawią na

swym rejsie. – W głosie jego słyszała nie spotykaną wcześniej gorycz. – Najwyraźniej wydarzenia w Europie nie są dla niego wystarczającym powodem, dla którego należałoby skracać wakacje.

Była zdumiona.

– Ależ on jest carem i jako nasz władca, jeżeli sprawy są tak poważne, jak mówisz...

– Car jest słaby, uparty, niekompetentny i niedoinformowany – przerwał jej zdenerwowany Wasilij. – A jego ministrowie to bezużyteczne, napuszone pawie.

Wpatrywała się w niego. Wszystko to było dla niej zupełną nowością. Na ogół nie rozmawiał z nią o takich sprawach, a poza tym po raz pierwszy słyszała, żeby ktoś z arystokracji tak się wyrażał o władcy. Nie wzbudzało to zaufania i była przerażona.

– A więc rozumiesz – powiedział, gasząc papierosa w kryształowej popielniczce – że nie mamy innego wyjścia, tylko wracać do Sankt Petersburga.

A Senda pomyślała: My. Dlaczego my mamy wracać? Dlaczego nie tylko ty? Co to ma wspólnego ze mną? Wojna, jeśli wybuchnie, na pewno nie dojdzie do Lewadii. Ale w głębi ducha wiedziała, jak wiele ma to z nią wspólnego. Powinna była domyślić się jego intencji w chwili, gdy postanowił skrócić wakacje i wrócić do St. Petersburga; Dokądkolwiek jechał Wasilij, musiała jechać za nim. Nigdy nie zostało to powiedziane, ale tego od niej oczekiwał.

Ona, Tamara i Inge musiały rzucić wszystko i pakować się.

Szybko przywykła do życia w nasłonecznionej willi nad morzem, tak jak szybko przyzwyczaiła się do uwielbiających ją tłumów, niezwykłego luksusu i sposobu życia, o jakim niewiele osób mogło marzyć. Teraz cudowne lato zostało zniszczone.

Pomyślała buntowniczo: nie jestem jego zabawką. Nie może mną rządzić jak swoją służącą. Ale wiedziała, że może, i napełniło ją to żalem i pogardą do siebie. Na swój sposób miała jeszcze mniej swobody niż jego służąca.

Powrócili do St. Petersburga w odstępnie jednego dnia: Wasilij i księżna Irina prywatnym pociągiem Daniłowów, a Senda, Inge i Tamara w przedziale pierwszej klasy normalnego pociągu ekspresowego. Po raz pierwszy od początku ich romansu Senda czuła się naprawdę nędznie. Wiedziała, że to egoistyczne z jej strony, ale nie mogła nic na to poradzić. Czy nie zdawał sobie sprawy, że ona ma obowiązki przede wszystkim wobec Tamary? Obiecała córce wakacje, wysłała ją do Lewadii, a z jego powodu musiała te wakacje skrócić. Jak jej to wytłumaczyć?

Był zbyt autokratycznym egocentrykiem, żeby myśleć o innych potrzebach niż jego własne. Taki sam był w łóżku.

Świat kręcił się wokół Wasilija Daniłowa.

Jacht carski powrócił do macierzystego portu dopiero 19 lipca. Nawet wtedy car nie uwierzył w ostrzeżenie księcia. Jednak w rodzinie carskiej uspokoiło się nieco. Modlitwy carycy zostały wysłuchane, gdyż Rasputin, w którego cudowne możliwości uzdrawiania głęboko wierzyła, udowodnił, że w istocie je posiada. Mimo licznych ciężkich ran wyzdrowiał, a caryca była przekonana o jego świętości.

Dziesięć dni później artyleria austro-węgierska wystrzeliła pierwsze pociski przez Dunaj, mimo białych flag wiszących na dachach stolicy Serbii.

Rozpoczęło się ostrzeliwanie. A wraz z nim wojna.

Gdy Senda wyszła na balkon do Tamary i Inge, natychmiast uderzyła w nią fala gorąca jak prosto z pieca. W domu, dzięki grubym zasłonom i wysokim pomieszczeniom, było chłodniej, ale na dworze letnie słońce prażyło miasto i piekło jego budynki. Było popołudnie 2 sierpnia, a bulwar nad Newą wypełniony był dokładnie ludźmi. Widziała wielotysięczny tłum, zwłaszcza wokół mostu Pałacowego. Wszyscy powiewali chorągiewkami, radowali się i krzyczeli, obcy ludzie całowali się, tańczyli z nie znanymi sobie partnerami. Sprzedawano lodowatą lemoniadę i napoje owocowe. Radość sięgała szczytu.

Słychać było trąbienie klaksonów. Po Newie płynęły flotylle parostatków, jachtów, żaglówek i łódek. Wypłynęło wszystko, co mogło pływać, a każda jednostka była niebezpiecznie przeludniona pasażerami powiewającymi flagami rosyjskiego imperatora. Wyglądało to na jakiś olbrzymi festiwal, w którym brał udział cały St. Petersburg.

Nagle tłumem wstrząsnął entuzjazm, flagi i chorągiewki powiewały ze wzmożoną siłą. Niekontrolowana, olbrzymia fala okrzyków przetoczyła się przez widzów i popłynęła echem w gorące, letnie niebo.

Inge podniosła Tamarę wysoko, żeby balustrada nie zasłaniała jej widoku. Senda stanęła za nimi.

– To chyba car i caryca – powiedziała, spoglądając w dal.

– Widzisz, dziecinko? – mówiła Inge do Tamary. – To ojciec twojego kraju. Widzisz, jak ludzie go kochają?

Tamara kręciła się w ramionach Inge, żeby spojrzeć na matkę.

– To jest piękne, mamusiu! Czy to znowu Wielkanoc? Czy to znaczy, że będziemy malować jajka?

Senda nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Nie, aniołku, to nie Wielkanoc. – Rozwichrzyła jej włosy, a później powiedziała ze smutkiem. – To znaczy, że pewnie będzie wojna.

– To lepsze niż Wielkanoc! – Tamara rozglądała się na wszystkie strony. Oczy jej błyszczały.

Tłum zaczął skandować jak jeden mąż: „Ojcze! Ojcze! Prowadź nas do zwycięstwa, ojcze”, – Szkoda, że nie jesteśmy bliżej – narzekała Tamara. – Nic stąd nie widzę. Są za daleko.

– Jeżeli popatrzysz dokładnie na most, aniołku – pokazywała jej Senda – ta pani w bieli, w olbrzymim kapeluszu, to caryca, a ten pan w mundurze, obok niej, to car. Myślę, że za nimi stoją ich dzieci.

Unisono, jakby na znak niewidzialnego dyrygenta, tysiące ludzi zaczęły nagle śpiewać hymn, którego słowa ułożono do muzyki Czajkowskiego, uwertura nr 1812: „Boże, chroń cara, wielkiego i silnego, niech króluje dla naszej chwały... „

– Och, mamó! Jakie to piękne! Znasz te słowa? Umiesz to zaśpiewać?

Gdy przejęty tłum śpiewał i płakał podczas ostatnich trzech zwrotek, Senda potrząsała głową z powątpiewaniem. Miała białe, zaciśnięte usta i była spięta, jakby widziała jakiś straszny obraz.

– Na pohybel naszym wrogom – śpiewał tłum – prawosławnego cara, Boże chroń cara...

– Boże, chroń ich – mruknęła Senda i Inge spojrzała na nią ostro, ale nic nie powiedziała.

Senda popatrzyła po raz ostatni na rosnący wciąż tłum. Tego było już za wiele. Modlić się o śmierć, prosić, by Bóg pomógł w dziele zniszczenia? To było idiotyczne i bezlitosne. Gdyby modlili się o pokój, to co innego. Ale wojna? Nie było sensu oglądać, jak ci głupcy błagali o swoją zgubę. Weszła do domu, ale słyszała wrzawę. Nie dało się uciec od grzmiących pieśni na cześć cara, Boga i Świętej Rosji.

Nagle zaczęła płakać, ale nie z powodu jakiegoś napadu patriotyzmu. Płakała nad słabością głupich ludzi.

Tej nocy, gdy flaga rosyjska powiewała obok francuskiej i brytyjskiej, dziki motłoch zaatakował ambasadę niemiecką w St. Petersburgu. Nagle wszystko, co niemieckie, było w Rosji podejrzane i zniechęczone. Gdy Senda to usłyszała, usiadła z Inge i powiedziała cicho:

– Jesteś Niemką, Inge. Jak się po tym wszystkim czujesz?

Chabrowe oczy Inge rozbłysły.

– Zachowują się jak niemądre dzieci!

Senda pokiwała głową.

– Zgadzam się. Ale... jeżeli czujesz, że powinnaś wracać do Niemiec... – nie skończyła zdania.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – spytała Inge zdumiona.

Senda wzruszyła ramionami.

– Urodziłaś się w Niemczech. Rosjanie zrobili się nagle tacy antyniemieccy... Może masz rodzinę albo przyjaciół... Myślałam, po prostu...

– Nie mam innej rodziny, a moje miejsce jest tu z wami – lojalnie oświadczyła Inge. – Jest mi wszystko jedno, czy jesteście Rosjankami, Szwedkami czy Japonkami. O ile, oczywiście... – zawahała się i patrząc na ręce powiedziała:

– O ile, oczywiście, nie przeszkadza ci, że jestem Niemką.

Senda wzięła ją za rękę.

– Mnie ma przeszkadzać? Mój Boże, skąd? Ty jesteś... jesteś... Inge!

I od tej chwili były przyjaciółkami na całe życie.

Inny wyraźny objaw nienawiści do wszystkiego, co niemieckie, pojawił się 31 sierpnia, gdy (nazwę stolicy z niemieckiego St. Petersburga zmieniono na słowiańsko brzmiący Piotrogród.

Przez następne dni Inge była milcząca. Gdy zabierała Tamarę do parku lub na spacer bulwarem, unikała odzywiania się do kogokolwiek, nawet innych niań, żeby nikt nie zauważył niemieckiego akcentu.

Zawsze wrażliwa na ludzkie odczucia, Senda odzywała się za nią, gdy były razem. Ponieważ jednak Inge bała się chodzić do sklepu, Senda najęła służącą Polenkę. Mąż Polenki, Dimitrij, został szoferem Sendency. Wasilij kupił jej samochód, ale wkrótce przestała go używać. Trzeba było oszczędzać benzynę i chociaż wysoko postawione osoby łatwo ją zdobywały i przez Wasilija mogła mieć nieograniczone jej ilości, Senda wolała podróżować powozem konnym. Wiedziała zresztą, że demonstrowanie takiego luksusu może w przyszłości okazać się zgubne.

Początkowo Rosjanie byli przekonani, że wojna zakończy się błyskawicznie ich zwycięstwem. Jak mogłoby być inaczej? Zwycięstwo wydawało się tak bliskie, że wystarczy tylko po nie sięgnąć. Przecież armia rosyjska była kolosem, jakiego jeszcze nie widziano. Prasa brytyjska posunęła się do tego, że nazwała ją

„rosyjskim walcem parowym”.

I był to walec, ale przestarzały i nieefektywny. Podczas wojny piętnaście i pół miliona mężczyzn pomaszerowało do walki z wrogiem za Świętą Rosję. Jednak przewidywane błyskotliwe zwycięstwo okazało się mrzonką. Poza nieograniczoną, jak się wydawało, ilościowo armią, Rosja nie była przygotowana do wojny.

Na każdy kilometr rosyjskich torów Niemcy posiadali dziesięć.

Oddziały rosyjskie musiały podróżować na front tysiąc kilometrów, niemieckie – niecałe trzysta. Rosyjski system kolejowy był w tak kiepskim stanie, że pewnego razu pociąg wojskowy jadący z Rosji na front podróżował dwadzieścia trzy dni.

Fabryki niemieckie przez całą dobę wypływały z siebie broń i amunicję. Rosja odczuwała takie braki uzbrojenia, że artylerzystom groził sąd wojenny, jeśli wystrzelili więcej niż trzy naboje dziennie.

A poza tym, Rosja była potworem, rozciągającym się przez dwa kontynenty, sięgając od Morza Bałtyckiego na zachodzie po Ocean Spokojny na najbardziej wysuniętych na wschód granicach. Jej rozmiar i położenie geograficzne uniemożliwiały pomoc aliantów. Niemiecka blokada portów rosyjskich okazała się szybka i skuteczna: w czasie wojny import rosyjski spadł o 95 procent, a eksport o 98. Do Wielkiej Brytanii zawijało 2200 statków tygodniowo, a z powodu blokady do portów rosyjskich – zaledwie 1250 rocznie.

Co gorsza, rosyjscy dowódcy nienawidzili się i nie ufali sobie wzajemnie. Racje żywnościowe były niezwykle skąpe, a czasem nie było ich wcale.

W tym czasie w Piotrogradzie odbywały się wystawne bale, olśniewające przedstawienia operowe, baletowe i teatralne oraz późne kolacje z szampanem jak wówczas, gdy miasto nazywało się St. Petersburg. A Senda Bora tańczyła na balach i brała udział w kolacjach z najwytworniejszą elitą Piotrogradu, prezentując coraz to nowe role na scenie Theatre Francais.

Miała tłumy wielbicieli i żyła w luksusie, co zaczęła uważać za normalne. Była w towarzystwie przez duże „T”. A parafrazując stare powiedzenie: Towarzystwo tańczyło, a Rosja krwawiła.

Ale Rosja miała niewyczerpane zapasy świeżej krwi.

Walki trwały.

Mimo wojny, a może właśnie z tego powodu, kariera Senty rozwijała się dynamicznie. Rozrywka pozwalała ludziom zapomnieć o przegrywanych i wygrywanych bitwach i utraconych ludziach. Przez następne trzy lata Senda pławała się w rozkoszach uwielbianej przez publiczność gwiazdy, stając się

właściwie z dnia na dzień żywą legendą.

Swą urodą i talentem zjednywała sobie zarówno publiczność, jak i krytyków. Każde następne przedstawienie miało jeszcze większe powodzenie niż poprzednie i za każdym razem, gdy kurtyna opadała na zakończenie, odbywały się swoiste zawody między nią a jej wielbicielami: chcieli pobić jej dotychczasowe rekordy w liczbie wyjść przed kulisy.

Na porannym przedstawieniu, ponieważ nie przyszedł jej chory fryzjer, pukiel jej długich włosów wymknął się spod kapelusza i zostało to natychmiast uznane za najnowszy krzyk mody.

Gdy dowiedziano się, że ma córkę o imieniu Tamara, gazety doniosły, że sześć na siedem urodzonych jednego tygodnia w Piotrogradzie dziewczynek zostało ochrzczonych tym imieniem.

Wszystko, co Senda powiedziała albo zrobiła, było obserwowane, notowane, naśladowane. Kasa madame Lamothe pęczniała, gdyż suknie Senty były dokładnie kopiowane, tak jak jej sposób chodzenia i trzymania głowy. Nakręciła nawet krótki film niemy „Romeo i Julia” i tysiące ludzi chodziło do kina tydzień po tygodniu, by zobaczyć ją utrwaloną na srebrnym ekranie. Ponieważ dotychczas żywot artystyczny aktorki teatralnej trwał tak długo jak przedstawienie, było to jedyne osiągnięcie, które – jak przypuszczała Senda – przeżyje ją. Rzeczywiście, w tym okresie był to kamień milowy, choć większość gwiazd sceny wzgardziła kinem. Siedemdziesiąt lat później był to dalej film kultowy.

Dla uwielbiającej ją tłumnie publiczności i dla Rosji była tym, czym Sara Bernhardt dla Europy i Ameryki – narodową gwiazdą i pięknością, najjaśniejszym klejnotem w błyszczącej carskiej koronie.

Jednak życie jej było zbyt bogate, aby publiczne pokazywanie się odgrywać w nim miało większą rolę. Inge była dla Tamary cudowna, ale dziecko potrzebowało matki i Senda poświęcała jej wiele czasu i miłości. Czasu, którego miała coraz mniej. Na każdą godzinę spędzoną na scenie musiała poświęcić sto godzin prób. Kiedy nie miała prób, nie występowała ani nie spędzała czasu z Tamarą i Inge albo Wasilijem – uczyła się. Zostawiała sobie tylko kilka godzin: były to niedzielne popołudnia, które stały się legendą.

Hrabina Florińska miała rację. Senda musiała prowadzić salon. Choć nigdy tego nie planowała, tradycja narodziła się sama. Po prostu zaczęli wpadać koledzy z teatru i wkrótce było w dobrym tonie spędzać niedzielne popołudnie u madame Bora. Salon jej uznany został za najlepszy i najciekawszy nie tylko dlatego, że jej przyjaciele byli znanymi osobistościami, ale i dlatego, że posiadała ona nieomylnie

zdolności do odkrywania wśród przybyszów nowych talentów. Mówiono, że to salon snobów, ale powtarzali to nie zaproszeni. Jeśli salon Senda można było nazwać elitarnym, to tylko dlatego, że starała się zbierać w nim błyskotliwych, iskrzących rozmówców, od których mogła się czegoś nauczyć. A wśród jej przyjaciół byli najciekawszy i najlepsi artyści rosyjscy: malarze, kompozytorzy, muzycy, tancerze i pisarze. W tym kręgu, z którego większość znana była na całym świecie, uczyła się, słuchała, zabawiała ich i mówiono, że każdy, kto ją poznał, ulegał jej urokowi.

Senda bardzo ceniła te niedzielne popołudnia. Przyjaciele pobudzali ją umysłowo, zmuszali do twórczego rozwoju i kształcili się wzajemnie. Byli wymagający i utalentowani, ukształtowani i ambitni, byli dla siebie najsurowszymi, a więc najlepszymi, krytykami. Samo posiadanie pieniędzy, choćby w ogromnych ilościach, lub tytułu na najwyższym szczeblu imperialnej drabiny społecznej, nie było wystarczającą legitymacją wstępu do tego ekskluzywnego kręgu artystów. Serdecznie witano w nich talenty lub co najmniej zdolności twórcze i pasję do wykonywanej pracy.

Podczas tych niedzielnych spotkań Tamara zostawała w dzieciennym pokoju, przylegającym do salonu. Szybko nauczyła się podsłuchiwać gości, a później ich naśladować, a byli to najlepsi nauczyciele z możliwych. Senda była zachwycona, że Tamara słucha dyskusji takich mistrzów w swoich dziedzinach. Było to doświadczenie, jakiego nie miało chyba najbogatsze dziecko na świecie.

Pewnego wieczoru, gdy Senda całowała ją na dobranoc, Tamara oświadczyła stanowczo:

– Mamo, ja chcę zostać aktorką.

Senda zaśmiała się lekko, okrywając córkę troskliwie.

– Ale jeśli pamiętam, kotku, to w zeszłym tygodniu chciałaś być pianistką, a dwa tygodnie temu tancerką.

– Aktorki mają tak dobrze! I mają więcej chłopców, prawda? Ty masz więcej chłopców niż inne, mamusiu.

Senda była zdumiona. Nigdy nie dzieliła swych przyjaciół według płci, ale prawdą było, że większość gości w jej salonie stanowili mężczyźni.

– A poza tym jesteś tu jedyną aktorką. I jesteś najładniejsza ze wszystkich.

Senda uśmiechnęła się i pocałowała Tamarę w czoło.

– Wobec tego musisz się teraz wyspać, młoda damo – poradziła, gasząc światło na nocnym stoliku. – Inaczej nigdy nie będziesz piękną aktorką.

Gdy Senda zamykała drzwi, usłyszała, jak Tamara wzdycha uszczęśliwiona i

mruczy:

– Chcę być dokładnie taka jak ty, mamó.

Senda poczuła dreszcz, przechodzący jej po plecach.

Nie bądź zbyt podobna do mnie, modliła się cicho. Ja przeżyłam dosyć nieszczęść. Nie chciałabym, żebyś ty musiała tak cierpieć. Chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze: szczęśliwego, spokojnego życia.

Ogarnęło ją nagle poczucie winy. Starła się wychować Tamarę jak najlepiej, ale nie była pewna, czy stanowi przyzwoity wzór dla wrażliwego dziecka. Starając się łączyć obowiązki ojca i matki, miała wrażenie, że nie udaje jej się ani jedno, ani drugie. Chciałaby zapewnić swej córce prawdziwą rodzinę, nawet zastępczego ojca.

Minęły prawie dwa lata, odkąd Szmarią odszedł z ich życia na zawsze. Nie przysłał ani kartki, ani listu, nawet do Tamary, i Senda nie wiedziała nawet, czy był w Europie, czy udało mu się dotrzeć do Palestyny. Pozostawił pustkę w jej życiu, miejsce, którego nic nie wypełni. Senda wciąż odczuwała samotność, którą mógłby pokonać tylko ukochany mężczyzna. Zakrawało to na ironię, bo przecież wśród jej przyjaciół i wielbicieli były tysiące mężczyzn, którzy byliby najszczęśliwsi, mogąc dzielić z nią życie.

Ale jedyny mężczyzna, którego kochała, opuścił ją, żeby nie wrócić.

Nie żyła w celibacie. Miała Wasilija i trzeba przyznać, że nawiązała się między nimi jakaś bliskość i więź, ale była to więź cielesna. Marzyła wciąż o Szmarii i chętnie oddałaby ostatni grosz ze swego nowego bogactwa, żeby znów być z nim, nawet w biedzie, gdyby tylko była taka możliwość.

– Czasem mam wrażenie, że tak naprawdę nie ma cię tu przy mnie – powiedział kiedyś Wasilij.

Fakt, że niedzielne popołudnia u Senty cieszyły się taką dobrą sławą, zawdzięczała dwóm zasadom, obowiązującym w jej salonie – uczciwości i wolności słowa. Wszyscy mogli się wypowiadać na każdy temat bez obawy, że ich poglądy będą wyśmiane lub znieważone. Na podstawie niepisanego porozumienia żadne słowo tam wypowiedziane nie wydostawało się nigdy poza cztery ściany salonu Senty.

Kiedy rok 1916 miał się ku końcowi, a wojna trwała już prawie dwa i pół roku, głównym tematem rozmów miłujących pokój intelektualistów stała się polityka.

Tak było w całej Rosji. I znów w codziennych rozmowach przewijał się przerażający temat rewolucji. Znów szerzyła się przemoc. Wybuch wojny z

początku połączył wszystkich Rosjan, niezależnie od poglądów politycznych czy społecznych. Ale radosne dni, kiedy żołnierze maszerowali dumnie, by wykończyć Niemców, odeszły w niepamięć. Zwycięstwo było nieuchwytną tęczą. Teraz otaczała ich twarda rzeczywistość. Wśród wszystkich warstw społecznych postrzegano wojnę jako niepotrzebny, nie kończący się drenaż Rosji, który w taki czy inny sposób dotknął każdego. Jej przedłużanie mogło zagrozić bytowi narodu: nienasycona machina wojenna niszczyła życie i gospodarkę. Głód, który zawsze się szerzył, teraz panował niepodzielnie. Ludzie umierali z głodu albo zamarzali we własnych domach czy na ulicach.

Gniew, frustracja i nienawiść występowały w niebezpiecznym natężeniu, a obiektem tych emocji byli niezmiennie car i caryca.

Płynące z serca okrzyki „Batuszka! Batuszka!” najpierw słabły, a później nie słychać ich było w ogóle. Sprawę komplikowały jeszcze narastające plotki na temat carycy, jej związków z mnichem Rasputinem i proniemieckich sympatii. Nawet w najwyższych sferach podejrzewano, że caryca i Rasputin mają romans. Panowało przekonanie, że Rasputin, pijak i kobieciarz, spiskował ze szpiegami niemieckimi. Został zamordowany w 1916 roku. Niektórzy twierdzili, że caryca wciąż miała silny sentyment do Niemców, i posuwali się tak daleko, że padały propozycje sądenia jej za zdradę. Nawet najmniejszy akt dobroci z jej strony, tak niewinny i humanitarny jak posłanie książeczek do nabożeństwa rannym oficerom niemieckim w szpitalach rosyjskich, nie uszedł uwagi rosnącej rzeszy jej wrogów.

Powszechne stało się przekonanie, że car jest słaby, niezdolny do rządzenia i należy go odsunąć od władzy. A caryca, piękna, pochodząca z niemieckiej rodziny Aleksandra, nazywana teraz „Niemką”, stawała się najbardziej znienawidzoną żoną monarchy od czasu Marii Antoniny.

Rosja dojrzewała do rewolucji – i do Lenina.

Był to początek końca.

W czwartek, 8 marca, ciche, nie kończące się kolejki po chleb w Piotrogradzie zmieniły się w chaotyczny tłum.

Głodujący z całego miasta, którzy mieli już dość wystawiania po głodowe racje, gwałtownie zaatakowali piekarnie i porwali, co się dało. Jednocześnie protestujący robotnicy wymaszerowali z przemysłowej dzielnicy po drugiej stronie Newy, by zebrać się w centrum miasta. Inna demonstracja, prawie samych kobiet, maszerowała po Newskim Prospekcie skandując: „Dajcie chleba! Dajcie chleba!” Choć manifestacje były spokojne, Kozacy patrolowali Prospekt przez całą noc,

spodziewając się rozruchów.

Siedząc przy skromnej kolacji z placków ziemniaczanych, Senda stawała się coraz bardziej podenerwowana, Inge zupełnie nietypowo dziubiła jedzenie bez słowa, a Tamara, wrażliwy barometr nastrojów wokół niej, była dziwnie cicha i spokojna. Sprawy zaszły już bardzo daleko, uznała Senda, gdy nawet w jej uprzywilejowanym gospodarstwie odczuwało się tak dotkliwie braki w zaopatrzeniu.

Do obowiązków Polenki należało gotowanie, sprząatanie, pranie i zakupy. Poza trwałymi towarami codziennie rano kupowała to, co było potrzebne na dany dzień. Ponieważ Senda bardzo dbała, żeby jedzenie było świeże i pożywne, a spiżarnia była zimną zbyt ciepła, psujące się artykuły kupowano w miarę, jak były potrzebne. Wszystko to działało doskonale aż do dzisiejszego przedpołudnia, kiedy Polenka wyszła z portmonetką pełną pieniędzy i nie wróciła. W końcu, gdy można było już przyjąć, że coś się wydarzyło i nie wróci z zakupami, Senda i Inge, buszując po zastraszająco pustej spiżarni, znalazły trochę trwałych produktów, ale nic więcej. Nie było mięsa, drobiu, jajek, świeżych jarzyn. Z kartofli i oleju przygotowały nędzne placki, ale nie było sosu jabłkowego ani kwaśnej śmietany, niczego, co poprawiłoby ich smak.

Inge odsunęła talerz mówiąc:

– Nie jestem głodna.

– Ja też nie – marudziła Tamara, upuszczając ciężki, srebrny widelec na talerz.

– Fuj! Nie znoszę placków! Smakują jak gazety!

Senda, równie przygnębiona i nie zainteresowana gumowymi krążkami z utartych ziemniaków, wydobyła z siebie pozory całkiem dobrego nastroju.

– Wiem, że są okropne, aniołku, ale to wszystko, co dzisiaj mamy. Jutro zrobimy sobie ucztę i nadrobimy to.

Inge uniosła brwi i powiedziała ostro:

– Jutro będzie tak samo, albo jeszcze gorzej. Wspomnisz moje słowa. Moim zdaniem, to Polenka jest winna. Na pewno wzięła pieniądze i uciekła. Może chociaż ona i Dimitrij podjedli sobie.

– Inge! Nie możemy jej tak oskarżać – zawołała Senda.

– Wiesz, że są demonstracje i zamieszki, i prawdopodobnie Polenka nie mogła tu dotrzeć.

– Ach tak? A Dimitrij? Wziął twojego konia i powóz. Sprawdzałam w stajni, nie ma ich tam. Mógł ją tutaj przywieźć.

– Może zostali ranni.

- Może są zwykłymi złodziejami.
- Jutro – powiedziała Senda, zmęczona – będzie znacznie lepiej.
- Jutro, obawiam się – mruknęła Inge pesymistycznie – będzie znacznie gorzej. Niestety, to Inge miała rację.

Nazajutrz jeszcze większe tłumy wypełniły ulice. Splądrowano już wszystkie piekarnie i sklepy z żywnością. Wszechobecni Kozacy, którzy pojawiali się wszędzie przy pierwszych oznakach niepokoju, znów patrolowali ulice, tym razem bez batów. Nie uszło to uwagi demonstrantów, gdyż były one dotychczas tradycyjną metodą kontrolowania tłumu. Kozacy bez batów, radośnie powitani przez masy, zapewniali, że nie będą również używać pistoletów.

Ale nawet brak broni niewiele mógł pomóc w zaspokojeniu głodu.

No i co teraz? – niepotrzebnie narzekała Inge. – Minęło południe i nie pojawiła się ani Polenka, ani Dimitrij. Wprawdzie nie tęsknię za nimi, zwłaszcza za tym chytrusem Dimitrijem, ale nie możemy już dłużej na nich czekać, bo umrzemy z głodu.

Obie z Sendą sprawdzały puste kredensy, półki w kuchni i spiżarni.

– Miśnieńska porcelana i srebro są bardzo eleganckie, ale nie możemy ich zjeść. Musimy zdobyć jakieś jedzenie. My obie możemy się obyć byle czym, ale martwię się o Tamarę. Ona rośnie i trzeba ją dobrze odżywiać.

– Wiem, wiem – rzuciła Senda, będąca już u kresu wytrzymałości, w stanie narastającego przygnębienia i złości. Odwróciła się na pięcie i wyszła do przedpokoju, żeby ubrać się w swoje grube futro z soboli i odpowiedni kapelusz.

– A ty dokąd się wybierasz, wystrojona jak królowa Saby?

– spytała Inge, stojąc z rękami na biodrach.

Senda patrzyła na Inge zza sobolowego kołnierza, nic nie rozumiejąc.

– Wiesz, że jest zimno na dworze. Poza tym, zawsze się tak ubieram – powiedziała zdumiona. – Wychodzę kupić coś do zjedzenia.

– O nie, nie w tym stroju – powiedziała ponuro Inge.

– Popatrz, co się dzieje na ulicach, teraz najlepiej wtopić się w tłum. Byłoby znacznie bezpieczniej, gdybyś ubrała się w coś starego i byle jakiego. Tym ludziom nie zaimponujesz okazywaniem swego bogactwa. Gotowi są zerwać z ciebie to futro. Senda pokiwała głową. Oczywiście, Inge miała rację. Sama powinna była o tym pomyśleć. Bez słowa zdjęła futro i kapelusz i zaczęła buszować po szafach, szukając czegoś zwyczajnego i nie rzucającego się w oczy.

Westchnęła, przesuając jeden wieszak za drugim. Nie miała pojęcia, że w jej garderobie było tyle ekstrawaganckich ubrań. Dopiero teraz, starając się znaleźć coś, w czym nie zwracałaby na siebie uwagi, zdała sobie sprawę z tego, jak piękną miała garderobę. W końcu wybrała swoją najstarszą karakułową narzutkę i czarną, wełnianą chustę Inge. Spojrzała na siebie w lustrze i zrobiła minę:

– Wyglądam jak stara babuszka.

– Lepiej być żywą starą babuszką niż martwą księżniczką – zauważyła grzecznie Inge.

Senda wyszła w końcu po zakupy, a wróciła dopiero po trzech godzinach. Była wykończona, bolały ją nogi, ale biorąc pod uwagę okoliczności, odniosła duży sukces. To nie miało znaczenia, powiedziała sobie, że musiała zapłacić dziesięć razy więcej niż normalnie: udało się jej kupić kilka przywiedłych rzep, zwiotczałą fasolkę szparagową, chudego kurczaka, sześć jajek starannie opakowanych w gazety, kawałek kruszącego się, pleśniejącego sera i pudełko ryżu. Jednak w związku z tym, że większość sklepów spożywczych była w ogóle zamknięta, zapowiadała się uczta bogów.

– Jeśli jest to zapowiedź tego, co ma nadejść – powiedziała Inge przez zaciśnięte zęby, gdy wykladały cenne towary – to niech nas Bóg ma w swej opiece.

Potrzebowały boskiej opieki. Następnego dnia, w piątek, 9 marca, machina Piotrogród stanęła. Prawie wszyscy robotnicy, mężczyźni i kobiety strajkowali. Stanęły pociągi, trolejbusy nie wyjechały z zajezdni. W zasięgu wzroku nie było żadnej dorożki; nie ukazała się żadna gazeta. Potężne tłumy, tym razem z czerwonymi flagami, które miały się stać znanym widokiem, maszerowały ulicami skandując: „Precz z Niemką! Precz z wojną!” Oba te okrzyki niosły się echem z zatłoczonych ulic przez cały dzień.

W końcu wszyscy zaczęli odczuwać powagę sytuacji. Nawet najbardziej uprzywilejowani, na szczytach drabiny społecznej, nie mogli już ignorować grożącego niebezpieczeństwa. Rzadko kto wychodził wieczorem z domu: Georges Enesco dał recital skrzypcowy przed publicznością liczącą mniej niż pięćdziesiąt osób. Restauracje były puste.

Senda, która miała się pojawić we wznowieniu wciąż popularnej „Damy Kameliowej” w Theatre Francais, zdecydowała nie wychodzić z domu. Jak się później okazało, zrobiła tak cała obsada i publiczność.

W całym Piotrogradzie sytuacja żywnościowa stawała się coraz bardziej krytyczna. Jeśli mimo kłopotów z transportem żywność w ogóle dotarła do sklepu,

był on obrabowany, nim pierwszy klient zdołał cokolwiek kupić. Car, znajdujący się o pięćset mil stąd i nieświadom rozmiaru problemu trapiącego stolicę, z całą naiwnością przysyłał telegrafem zawołowane rozkazy, z których wynikało jasno, że oddziały wojska miały strzelać, by oczyścić ulice.

Jakimś cudem rozlew krwi był minimalny, dzięki brakowi dyscypliny wśród oddziałów. Dobrze wyszkoleni weterani zginęli walcząc z Niemcami lub siedzieli w okopach daleko na froncie. Koszary w Piotrogradzie pełne były niedoświadczonych rekrutów, z których sporo pochodziło z robotniczych dzielnic miasta. Z powodu braku oficerów i broni, wielu nie było szkolonych w ogóle.

Jednak w sobotę, 10 marca, około pięćdziesięciu osób zostało zabitych lub rannych na Newskim Prospekcie, gdy żołnierze strzelali do tłumów. Tego dnia liczba cywilnych ofiar wszystkich zamieszek w Piotrogradzie doszła do dwustu. Gdyby żołnierze słuchali rozkazów, zginęłoby o wiele więcej. Jedna z kompanii, ponaglana przez krzyczącego oficera, aby strzelać do tłumu, zwróciła się przeciwko niemu i zastrzeliła go. Inny oddział wystrzelał wszystkie naboje w powietrze.

Nocą wysłano telegram do cara: „W stolicy panuje anarchia”. Car odpowiedział wysyłając większe posiłki, lecz w niedzielę po południu setki żołnierzy zaczęły się buntować i przyłączać do rebeliantów. Do wtorku pozostał w mieście jeden samotny posterunek carski: 1500 żołnierzy wiernych władcy trzymało się w Pałacu Zimowym. Rebelianci dali im dwadzieścia minut, żeby się ewakuowali, gdyż w przeciwnym razie zbombardują budynek.

Oddziały uciekły.

Była to scena jak z *Piekła* Dantego.

Majestatyczne, niegdyś doskonale uporządkowane i zarządzane miasto, znajdowało się w samym centrum huraganu rewolucyjnego. Tłum rozbijał, rabował, płądrował. Dniem i nocą słyhać było strzały. Powietrze przeszywały krzyki. W bazie marynarki wojennej pod Piotrogradem marynarze zamordowali jednego oficera, a drugiego pogrzebali żywcem obok ciała pierwszego. Niczego nie szanowano, a już najmniej życia. Wieki głodu i nacisku znalazły teraz ujście w tej koszmarnej hulance. Uzbrojone samochody jeździły po ulicach, załadowane rozradowanymi rebeliantami, wymachującymi czerwonymi chorągiewkami. Coraz częstsze stało się podpalanie: czerwone płomienie raz po raz przeszywały nocne niebo, gdy budynki ogarniał ogień. Kiedy przyjeżdżała straż pożarna, strażaków przeważnie przepędzano. Zabijanie i podpalanie miało stanowić swoiste *katharsis*.

Motłoch szalał w diabelskim tańcu wokół stosów, które niegdyś były budynkami rządowymi i urzędami państwowymi.

Słyszac serię strzałów, a następnie radosne okrzyki, Senda podeszła do francuskiego okna, ostrożnie rozsunała zasłony i wyjrzała. Zamarła i wstrzymała oddech. Przez zamrożone szyby zobaczyła kolejną manifestację okrucieństwa.

Po drugiej stronie zamrożonej rzeki palił się kolejny budynek. Z kłębow dymu wydobywały się iskry, a wiatr gnał okrutne płomienie wprost w niebo. Tańczące języki ognia odbijały się w pokrytej lodem rzece, potęgując wrażenie.

Burzliwe okrzyki towarzyszące paleniu brzmiały jak pieśń zwycięstwa. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, czyj to był dom. Przecież to rezydencja Matyldy Krzesińskiej, pomyślała z rosnącym przerażeniem Senda. Co mogli mieć przeciwko primabalerinie? Czy nawet artyści nie są bezpieczni w tym szaleństwie?

Pomyślała przelotnie, jak często primabalerina bywała u niej w niedzielne popołudnia i jak Tamara ją uwielbiała. Jednym z najcenniejszych skarbów dziewczynki była korona, którą Matylda nosiła na przedstawieniu „Śpiącej Królowny”, a która zajmowała teraz honorowe miejsce na półce z książkami Tamary.

Dom Matyldy wyglądał jak płonąca pochodnia. Senda mogła tylko stać z zapartym tchem i modlić się, by przyjaciółka jakoś umknęła tłumowi i znalazła bezpieczne schronienie.

– Mamo! Co się dzieje? – spytał cienki głosik.

Senda opuściła zasłony i odwróciła się powoli do córki. Widok dziewczynki rozdzierał jej serce. Oczy Tamary były ogromne ze strachu, a na policzkach widniały ślady łez. Ciągnęła za łapkę ukochanego misia.

– To nic, aniołku – skłamała gładko Senda, biorąc ją za rękę i starając się, by nie było po niej widać strachu.

– Wszystko w porządku.

– Ale kiedy patrzyłam przez okno...

– Chyba ci mówiłam, żebyś nie podchodziła do okien!

– syknęła Senda głosem ostrym jak świeżo naostrzony nóż.

– Ile razy mam ci powtarzać! Ktoś mógłby cię zobaczyć i... i...

– Aleja się boję, mamo... cały ten hałas i ogień... Widziałam przez zasłony pomarańczowe światło. – Głos Tamary przerodził się w przerażony szloch.

Gniew, podsycony zmartwieniem, opuścił Sendę.

– Przepraszam, aniołku. Nie chciałam się na tobie wyładowywać. Oczywiście,

że się boisz. Wszyscy się boimy.

– Ty też? – Tamara spojrzała na matkę ze zdumieniem.

Senda zmusiła się do uśmiechu i przytuliła ją do siebie.

– Nawet mamy czasami się boją. Oczywiście, nie trwa to zbyt długo. – Uklękła i mocniej objęła córkę. – Pamiętaj, że wszystko to wygląda gorzej, niż jest naprawdę. Jesteśmy bezpieczne i jesteśmy razem. To najważniejsze. Razem damy sobie radę. Pamiętaj o tym. – Odsunęła się i wytarła dużą łzę z policzka córki. – Nie zapomnisz o tym? Nigdy?

Tamara poważnie potrząsnęła głową.

Nagle zamarły, gdyż usłyszały walenie w drzwi wejściowe. Twarz Senty zbieleła. Brzmiało to jak taran. Instynkt mówił jej, że muszą uciekać, ale były tylko te jedne drzwi.

– *Gott im Himmel!* – rozległo się z kuchni, gdyż Inge w przerażeniu odezwała się po niemiecku.

– Pójdę lepiej zobaczyć, kto to jest – mruknęła Senda.

– Mamo, to oni! – Tamara znów zaczęła płakać. – Przyszli, żeby nas spalić!

– Cii! – Senda powiedziała pewniej, niż się czuła. Położyła palec na ustach Tamary. – Wszystko w porządku, aniołku, idź do swojego pokoju i nie wychodź.

– Otwórz! Wiemy, że tam jesteście – zawołał jakiś głos na klatce schodowej.

Senda wstała, popchnęła Tamarę w stronę jej pokoju i przytrzymując jedną ręką szlafrok, skierowała się do przedpokoju.

– Ja otworzę! – zawołała do Inge.

Jej głos, mimo najgorszych obaw, brzmiał zupełnie normalnie. Jakby coś nagle dało jej siłę. Cokolwiek się wydarzy, musiała być spokojna i opanowana. Nie wolno jej pod żadnym pozorem wpaść w panikę. Od tego może zależeć życie ich wszystkich.

Gdy doszła do przedpokoju, popatrzyła nieprzytomnie na drzwi. Drżały pod naporem kopania i walenia. Słyszała, jak trzeszczało drewno. Jeszcze chwila i wyłamią je.

Automatycznie, jakby przyjmowała gości, spojrzała w lustro i poprawiła włosy, zdając sobie sprawę z niestosowności tego gestu. To był jakby ostatni odruch normalności i choć źle umieszczony w czasie, wydał jej się niezwykle ważny. Gdyby się poddała i otworzyła im wyglądając nieporządnie, uznałaby, że przegrała bitwę przed jej rozpoczęciem.

Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i otworzyła.

Wpadli do środka, popychając ją do tyłu. Pięciu ciężko uzbrojonych, nie

ogolonych mężczyzn, prowadzonych przez Dimitrija i Polenkę, wepchnęło się do mieszkania, mierząc do niej ze swych karabinów. Ostatni ciągnął za sobą długą, czerwoną flagę. Sądząc ze śladów błota, musiała już być wiele razy podeptana. Ta obserwacja nadała całej scenie posmak farsy czy opery komicznej. Przez chwilę Senda myślała, że wybuchnie śmiechem, ale zamarł jej w gardle, nim się wydostał.

– Ile was tu jest? – spytał ich dowódca. Z jakichś dziwnych powodów Senda wpatrywała się jak urzeczona w jego okrągłe okulary w drucianych oprawkach i szeroką, fioletową bliznę przecinającą lewy policzek od kącika oka do ust. Nigdy później nie była w stanie przypomnieć sobie tej twarzy, ale okulary i blizna zostały jej na zawsze w pamięci. – Ile?

– warknął, przysuwając twarz blisko niej, aż ich nosy prawie się dotykały.

Senda odsunęła się i oparła o ścianę. Było jej słabo od jego śliny i odoru alkoholu, które poczuła na ustach. Twarz miała napiętą, ale umysł działał błyskawicznie. Nigdy nie myślała jaśniej. Tak jakby przemoc i realne niebezpieczeństwo wymazywało wszystko, poza najważniejszymi myślami i działaniami.

Jeżeli ten pił, pomyślała, to inni też mogli. A jeżeli byli pijani i uzbrojeni, byli podwójnie niebezpieczni. Mogą z radością nacisnąć spust. Będzie musiała ich ugłaskać, zrobić, co będą chcieli, ale nie może też natychmiast zgadzać się na wszystko. To byłoby przyznanie się do strachu. Musiała okazać siłę, choćby w rzeczywistości była słaba.

Uniosła odważnie głowę, rzucając groźne spojrzenia.

– Jakie macie prawo wpadać tak do mojego domu? – spytała lodowato, sztywno trzymając ręce wzdłuż ciała.

– Jakie prawo? Ty śmiesz mnie pytać, jakie prawo?

– chytrze spoglądający mężczyzna uśmiechnął się obrzydliwie i uniół rękę. Naprężyła się, czekając na uderzenie, lecz kiedy nadeszło, nie była na nie gotowa. Zatoczyła się, wpadając na przeciwległą ścianę i uderzając głową o drzwi. Policzek ją palił. Widać było na nim biały ślad jego ręki.

– Mam wszelkie prawo! Rozumiesz? – Jego twarz znów była blisko przy niej. – Zrozum, ty elegancka damo, mam prawo ludu!

Polenka zaczęła go szarpać za rękaw.

– Mówię ci cały czas, som tylko te trzy. Ta kurwa, Niemka i bachor. Same kobiety – splunęła pogardliwie.

– Mama! – przenikliwy krzyk Tamary przebił się przez mgłę otaczającą Sendę. Potrząsnęła głową, żeby się od niej uwolnić. W uszach jej dzwoniło, ale słyszała

na tyle, żeby wiedzieć, iż jej córka jest blisko, zbyt blisko tych zwierząt. Odwróciła się i zobaczyła Tamarę wyglądającą z salonu. Widać było tylko jedno duże oko i małą rączkę.

– Czy coś ci zrobili, mamusiu?

Senda czuła spuchniętą wargę i smak krwi. Potrząsnęła głową.

– Nie, aniołku, mamusi nic nie jest. Idź do swojego pokoju i czekaj. – Mimo wysiłków, żeby zachować spokój, słyszała siebie, wykrzykującą ostrym głosem: – I siedź tam, póki po ciebie nie przyjdę!

Kątem oka zobaczyła Inge, która przybiegła z kuchni, wzięła Tamarę na ręce i wyniosła do jej pokoju. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Więc to jest ta twoja Niemka? Koścista dziwka.

Senda uniosła bladą twarz, patrząc spokojnie.

– Ta Niemka, jak ją nazywacie, ma więcej przyzwoitości w jednym palcu niż wy, tak zwani mężczyźni, wszyscy razem. Nie terroryzuje się kobiet i dzieci! – Czekala w napięciu na następny cios, ale nie padł. – No, więc skoro tu przyszliście, to czego właściwie chcecie?

– Przyszliśmy cię osądzić i uznać winną pięciu przestępstw – powiedział mężczyzna znudzonym tonem, jak wyuczony tekst.

– Czyżby? Więc jesteś sędzią? – Senda spytała z niedowierzaniem, śmiejąc się bezgłośnie. – Nie domyśliłabym się.

– Pierwszy zarzut – zaczął monotonicznie, nie zmieniając wyrazu twarzy, pobłyskując tylko okularami. – Ukrywanie wroga państwa, Niemki podejrzanej o szpiegostwo, za co skazujemy cię na karę dziesięciu tysięcy rubli.

– Co? – Senda otworzyła usta ze zdumienia. Zignorował ją.

– Zarzut drugi: za kupowanie żywności od znanych kombinatorów i tym samym podtrzymywanie czarnego rynku skazana jesteś niniejszym wyrokiem na karę dwudziestu tysięcy rubli.

Senda spojrzała na Polenkę; oczy jej byłej służącej błyszcząły triumfująco.

– To ona robiła zakupy – powiedziała Senda krótko. – Popytajcie dokoła i okaże się, że te wymyślane zarzuty możecie skierować przeciwko niej, a nie mnie.

– Ale kto mi kazał robić zakupy, ważna damo? – wtrąciła niewinnie Polenka.

– Mówiłam ci, gdzie kupować?

– A gdzie niby miałam dostać te wszystkie luksusy, które chciałyście jeść? W warzywnym z pustymi półkami? W młynie, w którym od pół roku nie widzieli ani ziarenka? – Ciemne oczy Polenki ciskały gromy. – Żebyście widzieli, ile żarły

cukru! Ciastka! Placki! Delikatesy! Kawior z...

Senda zwróciła się do ich przywódcy.

– Wyście wszyscy oszaleli! – Parsknęła śmiechem. – Kim wy, do diabła, jesteście, żeby wpadać tutaj i urządzać jakąś parodię sądu?

Zrobił się bardzo ważny.

– Jestem towarzysz Pandorin, wybrany przewodniczącym koalicji sąsiedzkiej do komitetu rewolucyjnego – powiedział surowo. – A teraz proszę zachować ciszę, żebyśmy to już mogli załatwić i zająć się swoimi sprawami.

– Oczywiście – odparła Senda, czując się nagle bardzo znużona. – Macie rację. Im prędzej skończycie z tą parodią wymiaru sprawiedliwości, tym lepiej. Ja mam co zrobić ze swoim czasem.

– Radzę, żeby oskarżona trzymała język za zębami, bo może jeszcze być sądzona pod zarzutem obrazy władzy – powiedział oschle towarzysz Pandorin. – Za trzeci zarzut, promowanie dekadencji w teatrach publicznych, a tym samym szerzenie propagandy imperialistycznej, niniejszym skazuję cię na karę dwudziestu tysięcy rubli. – Spojrzał na Sendę znad błyszczących, okrągłych okularów, żeby zobaczyć, co ma do powiedzenia na swoją obronę.

Ona jednak patrzyła na niego w milczeniu i przysięgłaby, że przez jego twarz przemknął cień rozczarowania.

– Zarzut czwarty. Za czerpanie korzyści z nędzy i wyzysku narodu, niniejszym...

– Och, na miłość boską, zaoszczędź mi reszty tych bredni – jęknęła Senda, unosząc się w górę. – Jeżeli przyszliście ukraść moje pieniądze i kosztowności, to bierzcie wszystko i idźcie sobie.

– Jak mówiłem, nim tak mi niegrzecznie przerwałaś, za przewinienie czwarte, czerpanie korzyści z nędzy i wyzysku narodu, jesteś niniejszym skazana na karę dwudziestu pięciu tysięcy rubli.

Senda wzniosła oczy ku niebu.

– Piąty zarzut: za utrzymywanie kontaktów z przestępcami, którzy, aż do chwili obecnej, tworzyli tak zwane wyższe sfery, zostajesz niniejszym skazana na grzywnę czterdziestu tysięcy rubli.

– Przypuszczam – powiedziała sucho Senda – że naprawdę uważasz, że wymierzasz sprawiedliwość?

– Tak, na mocy uprawnień, jakie dała mi miejscowa rada.

Senda wzięła głęboki oddech.

– A kim ty jesteś – spytała, niemal rozbawiona. – Studentem prawa, który oblał

egzamin na aplikację?

Zrobił się fioletowy ze złości.

– Ty kurwo! – wrzasnął.

Znów śmignęła w powietrzu jego ręka, gdy ją uderzył, ale tym razem ustała na nogach, tylko głowa odskoczyła jej na bok. Mimo że dzwoniło jej w uszach, obróciła się do niego bezczelnie i wytrzymała jego wzrok, choć dotykając twarzy poczuła na palcach lepłą krew. Skromne bo skromne, było to jednak zwycięstwo. Mimo bólu poczuła się lepiej. Być może miała rację co do niego. Na pewno trafiła w czuły punkt.

– Ja nie żartuję – ostrzegł ją lodowatym tonem, starając się powstrzymać złość.

– Ostrzegam was, towarzyszek Bora, panujcie nad językiem.

– Nie jestem towarzyszką Bora – odpowiedziała chłodno. – Jestem madame Bora.

– W Rosji jesteśmy teraz wszyscy równi. Nie ma już różnic klasowych.

– Naprawdę? To po co tu wobec tego jesteście? Żeby mnie zastraszyć?

Walczył z sobą, żeby odzyskać zimną krew.

– Czy jesteście gotowa, towarzyszek Bora, zapłacić karę wynoszącą w sumie sto pięć tysięcy rubli, nałożoną na was przez komitet rewolucyjny?

Senda musiała się roześmiać.

– Celujecie do mnie z pięciu luf. Jakiej odpowiedzi się spodziewasz?

– To rozsądna decyzja, muszę przyznać.

– Ale nie trzymam w domu takich pieniędzy. A jak doskonale wiecie, banki zrobiły sobie wakacje.

– Ma biżuterię! – chytrze wyskoczyła Polenka. Oczy błyszczały jej z chciwości. – Takie piękne klejnoty, że serce boli! Powinniście je zobaczyć. – Przymknęła oczy, żeby je sobie wyobrazić, a grubymi paluchami odruchowo dotknęła szyi. – Mogą konkurować z biżuterią carycy Niemki. Rubiny wielkie jak gołębie jaja, szmaragdy oprawione w...

– Dosyć, towarzyszek Piętrowa – upomniał ją stanowczo Pandorin. – Nie ma potrzeby tak się unosić.

Ręka Polenki opadła i uśmiechnęła się przymilnie.

– Nie przesadziłam z ich wartością, towarzyszu Pandorin. Przeciwnie, spełniłam tylko swój obowiązek, informując was o tym.

– Ty chytra, wścibska złodziejko! – syknęła Senda do Polenki. – To dlatego koniecznie chciałaś u mnie pracować. Żeby wyniuchać, jakie mam kosztowności.

– Nie jestem złodziejką.

– Tak? To gdzie są pieniądze na zakupy?

– Zostały zużyte na dobry cel – powiedziała szybko Polenka czerwieniejąc. – Nakarmiły głodne żołądki.

– Twój niewątpliwie, ale mojej córki był pusty.

Polenka popatrzyła na Sendę.

– Co to dziecko może wiedzieć o głodzie? Miała aż nadto dobrego życia.

Senda zwróciła się do Dimitrija:

– A mój koń i powóz? Nie widziałam ich od kilku dni. Nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziały?

Dimitrij odwrócił głowę, ale Polenka wykrzyknęła triumfalnie:

– Zostały zarekwirowane przez komitet rewolucyjny! Wszystko jest teraz własnością ludu!

– A „ludem” jesteście wy, jak sądzę.

– Ty dziwko – splunęła Polenka.

– Dostyc! – warknął Pandorin, kończąc kłótnię. Popatrzył na Sendę i zniżył głos. – Przyjmujemy biżuterię zamiast zasądzonej kary. Gdzie ona jest?

– Jeżeli koniecznie chcecie ją ukraść, to poszukajcie. Może się okazać, że jest w sejfie bankowym.

– Nie jest! – krzyknęła Polenka. – Trzyma ją w szufladzie z podwójnym dnem w toaletce. Zaraz przyniosę.

Ruszyła do sypialni Senty, ale Pandorin przytrzymał ją za ramię.

– Nie tak prędko – powiedział do niej, kiwając głową do jednego ze swych kompanów. – Jewgienij, idź sprawdzić toaletkę.

Polenka patrzyła ponuro, gdy żołdak poszedł szukać klejnotów.

– Co się stało, Polenko? – spytała słodziutko Senda. – Nie ufają ci? Może wiedzą, że sama podkraślabyś większość?

– Zamknij się! – warknęła Polenka. Uniosła rękę, żeby uderzyć Sendę.

Senda, widząc co się dzieje, i nie mając ochoty na kolejny cios, uchyliła się i złapała ją za przegub.

– Proszę, proszę, jacy jesteśmy teraz odważni – powiedziała cicho.

– Kazałam ci zamknąć tę pieprzoną gębę! – wrzasnęła Polenka, usiłując wywinąć się z uchwytu Senty.

Wpiła palce w jej rękę jeszcze mocniej.

– Twój język pozostawia tyle samo do życzenia, co twoja uczciwość.

– Dzwinka! – Polenka splunęła jej w twarz.

Zaskoczona Senda rozluźniła uchwyt i już po chwili musiała się cofnąć przed

oszałamiałem atakiem kobiety. Zdołała jakoś zebrać siły korzystając z nieuwagi Polenki i schwyciła ją za lewą rękę. Wykręciła ją za jej plecami i uniosła szybko w górę. Polenka zawyła z bólu, wygięła plecy i sięgnęła do tyłu prawą ręką, chwytając garść włosów Senty, której oczy wypełniły łzy bólu. Skóra na głowie płonęła jak w ogniu. Jęcząc, puściła rękę Polenki i szukała na oślep jej włosów. Polenka jednak trzymała ją mocno, kierując w wybraną przez siebie stronę.

– Popatrzcie teraz na panią ważniaczkę! – piała zadowolona, ciągnąc coraz mocniej za garść miedzianych loków. – Patrzcie, jak ta dziwka tańczy! – Nagle wrzasnęła, gdy Senda wreszcie dosięgła jej ciemnych włosów. – Puść mnie!!

– I kto jest dziwką? – syknęła zdyszana Senda, zaciskając mocno dłoń.

– Ty! To znaczy... to znaczy... – Polenka upadła, gdy Senda wypuściła ją nagle z rąk. Natychmiast skoczyła znów na równe nogi i czubkiem ciężkiego buta kopnęła Sente w goleń.

Senda jęknęła i zatoczyła się. Nogę przeszła jej błyskawica bólu i przed oczami zamigotały, jak w kalejdoskopie, wzory z gwiazdek. Potrząsnęła głową, by się pozbyć tego uczucia. Ból był ostry, ale adrenalina, jaka przepływała teraz w jej żyłach, dodawała jej energii. Czowała się silna, rozkwitała. Bez ostrzeżenia chwyciła Polenkę w pasie i zaczęły się obie kotłować po dywanie, przewracając stół i lampę. Przez moment żadna nie miała przewagi. Zaraz jednak Polenka wdrapała się na Sente, złapała ją za gardło i zaczęła dusić. Próbuąc złapać powietrze, Senda poczuła na twarzy falę gorącego powietrza. Próbowwała oddychać, ale przez ściśniętą tchawicę nie przedostawał się tlen.

– Nie powinniśmy im przerwać? – spytał któryś z mężczyzn.

– Ale skąd – odpowiedział drugi głos ze śmiechem. – Takie dobre przedstawienie. Dawno czegoś takiego nie widziałem. Niech spróbują.

Senda słabła. Głosy oddalały się. Krew szumiała w tętnicach i żyłach. Wiedziała, że za chwilę zemdleje z braku tlenu. Jeśli do tego dopuści, ta szalona kobieta może ją zabić.

Ostatnim wysiłkiem uderzyła otwartą dłonią w twarz Polenki i wbiła paznokcie głęboko w jej ciało. Polenka wykrzywiła twarz w grymasie bólu, ale nie zwolniła silnego uścisku na delikatnej szyi. Senda zsunęła nieco rękę na twarzy Polenki, zacisnęła ją w pięść i ze wszystkich sił pchnęła. Rozległo się chrupnięcie kości i chrząstek. Krzyk Polenki przeszył powietrze. Jej palce na gardle Senty natychmiast się rozluźniły. Gdy leżała, usiłując złapać powietrze, Polenka czołgała się jak ranne zwierzę, szukając bezpiecznego miejsca, aż ułożyła się pod fortepianem. Ze zdumieniem zezowała na swój nos. Ruszała go palcami tam i z

powrotem, z jednej strony na drugą. W oczach miała przerażenie, gdy krzyczała:

– Mój nos! Złamałaś mi nos, ty dziwko! Złamałaś! – Nagle załamała się i zaczęła płakać.

W pokoju zaległa cisza, przerywana tylko głośnym oddechem Senty i cichym płaczem Polenki. Zebrawszy siły, Senta uchwyciła się krzesła, stanęła niepewnie i poczłapała do fortepianu. Nachyliła się, złapała Polenkę za kołnierz i obróciła w stronę korytarza.

– Wynoś się z mojego domu, nim cię zrzucę ze schodów – wymamrotała zachrypniętym od przyduszenia głosem.

Zza zasłony potarganych włosów oczy Polenki miały błyskawice.

– Zabiję cię, choćbym miała umrzeć – przysięgała.

Rozglądała się jak szalona, aż wreszcie zauważyła stojącą na fortepianie biało-niebieską orientalną wazę. Rzuciła się do niej, lecz nim objęła ją palcami, porcelana rozprysnęła się z hukiem.

Senta rozejrzała się i spojrzała zdumiona na Pandorina. Gdy odkładał broń, dymiło się jeszcze z lufy. Popatrzył na nią dziwnie.

– Musi pani wybaczyć towarzysze Piętrowej – tłumaczył niepewnie. – Bardzo emocjonalnie podchodzi do Sprawy i czasem ponoszą ją emocje.

– Niech ją lepiej ktoś zabierze z moich oczu, nim będzie skończona dla „sprawy” – poradziła mu ponuro Senta. – Jest szalona.

Dimitrij pośpieszył do żony i uklęknął, powierzchownie badając jej twarz. Zerknął szybko na Sente, która popatrzyła na niego bez współczucia. Później, zwróciwszy już całą uwagę na Polenkę, pociągnął ją troskliwie na korytarz, pocieszając cicho.

W tym momencie Jewgienij wyszedł z sypialni. Był bardzo przejęty.

– Matko Boża, patrzcie na to wszystko!

Wyciągnął skórzane pudełko na kapelusze, z nie domkniętą, okrągłą pokrywką. Włożył do niego całą biżuterię Senty. Zbiór rzadkich klejnotów – szlachetnych kamieni, złota i srebra – migotał i błyszczał bogactwem.

Pandorin wydał przeciągły gwizd podziwu. Senta odruchowo dotknęła szyi, a Polenka przysunęła się do pudła, żeby dotknąć klejnotów trzęsącą się ręką.

Senta zatrzasnęła pokrywkę na jej palcach.

– Nic na to nie poradzę, że je kradniecie, ale za nic na świecie nie pozwolę ci ich dotknąć, póki są pod moim dachem.

Polenka popatrzyła na nią jadowicie. Senta zwróciła się do Pandorina:

– Gdyby pan się nie orientował, to ich wartość znacznie przekracza sto pięć

tysięcy rubli – powiedziała. – Każdy osobno jest wart co najmniej tyle.

– Rada zrobi z tego dobry użytek – stwierdził.

Senda westchnęła głęboko i podniosła głowę.

– Macie to, co przysłiście ukraść. Na co czekacie? Na moje błogosławieństwo? Szkoda czasu!

Pandorin zmarszczył się.

– My nie kradniemy, towarzyszek Bora – poprawił ją, nieco poirytowany. – Rekwirujemy waszą własność dla dobra ludu. Myślę, że kiedyś to zrozumiecie.

– Płonne nadzieje – powiedziała.

Przeszła obok niego i stanęła przy otwartych drzwiach na klatkę schodową, trzymając jedną rękę na klamce. Wciąż dyszała po trudach walki i głos jej się trząsł.

– A teraz może wreszcie wyjdziecie? – spytała z chłodną godnością.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i zaczęli się wycofywać, Dimitrij – obejmując Polenkę, lecz Pandorin zatrzymał się i popatrzył na Sendę.

– Czy jest pani taka nieczuła na cierpienia ludzi w tym kraju, że pieniądze i klejnoty więcej dla pani znaczą niż pokarm dla ich pustych żołądków?

Uniosła głowę.

– Nie, towarzyszu Pandorin – zaakcentowała – nie jestem. A dla pańskiej informacji: przez pierwsze dziewiętnaście lat mojego życia nie było wieczoru, żebym nie szła spać głodna. Tak jak cała moja wieś.

– Więc powinna pani rozumieć lepiej od innych, jaki wspaniały czas nadszedł dla Rosji.

– Rozumiem to, czego mnie nauczono, gdy byliśmy biedakami – Czyli co?

– Że nic nam nie daje prawa, żeby kraść i zabijać – powiedziała cicho, zamykając za nim drzwi.

Wykończona fizycznie i psychicznie, oparła się o drzwi. Znów dotknęła ręką gołej szyi. Czuła się naga, jakby czegoś tam brakowało. Oczywiście, że brakowało. Nie miała już biżuterii.

Nie było jej żal samych klejnotów, ale tego, co sobą przedstawiały. Jej zabezpieczenie. Coś, co można szybko zamienić na gotówkę, gdyby ona, Inge i Tamara musiały uciekać.

– Dranie! – krzyknęła nagle, zaciskając pięści z bezsilnej złości. – Złodzieje! – Znów załamała się i zakryła twarz drżącymi rękami. – I co my teraz zrobimy? – szepnęła do siebie. – Zabrali wszystko, co wartościowe. Wszystko.

– Nie, nie wszystko. – Inge podeszła do niej cicho.

Senda powoli opuściła ręce. Popatrzyła na Inge zaintrygowana.

– Co masz na myśli?

– Pokażę ci. Zaczekaj. – Inge poszła do swego pokoju na końcu mieszkania. Nie było jej pół minuty. – Pamiętasz te żółte brylanty, którym chciałaś zmienić oprawę? – spytała cicho, gdy wróciła.

Senda znieruchomiała.

– Te, które miałaś zanieść do jubilera... – Przerwała i patrzyła na Inge.

– A jubiler był zamknięty z powodu zamieszek, *ja*. – Inge kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Uniosła rękę i otworzyła pięści. W każdej jej dłoni iskrzył się klejnot: w jednej brosza w kształcie słońca z granatem pośrodku i żółtymi, brylantowymi płatkami dokoła, a w drugiej – pierścionek do kompletu.

Wzdychając głęboko, Senda wyciągnęła wciąż drżącą dłoń, by ich dotknąć i przekonać się, że to nie złudzenie.

Brylanty były chłodne i... rzeczywiste.

– Inge... jak ty...

– Miałam je w portmonetce i przy tym wszystkim, co się działo, zapomniałam je włożyć z powrotem do twojej szuflady z biżuterią. Dopiero teraz sobie o nich przypomniałam.

Senda przymknęła oczy i odmówiła modlitwę dziękczynną. Broszka i pierścionek – nie było to wiele, zwłaszcza w porównaniu z tym, co straciła, ale lepsze niż nic. Wystarczy, żeby im pomóc w razie potrzeby.

– Inge – powiedziała łagodnie, pełna podziwu – być może uratowałaś nam życie.

Sytuacja w Piotrogradzie pogarszała się. Tłumy wylęgające na ulice były coraz większe i bardziej gwałtowne. Coraz częściej dochodziło do rozlewu krwi. Senda zrozumiała, że jeśli wkrótce ona, Inge i Tamara nie uciekną z miasta i nie opuszczą kraju, mogą nie dożyć normalnej sytuacji.

– Jeżeli zostaniemy i coś się stanie Tamarze, nigdy sobie nie daruję – powiedziała do Inge.

– Ja też nie – odparła Niemka.

Wymieniły spojrzenia. Nie trzeba było słów. Wiedziały obie, że potrzebują pomocy Wasilija Daniłowa, jeśli miał jeszcze jakieś wpływy.

D o niczego – Senda z pretensją przyglądała się trzymanej w ręku słuchawce telefonicznej. Mimo złości odwiesiła ją ostrożnie. Kusiło ją, żeby rzucić

bezużyteczny aparat, kopnąć, i patrzeć z perwersyjną przyjemnością, jak się rozbija, podobnie jak chciała zostawić na podłodze rozrzucone w salonie skorupy orientalnej wazy. Gdy je zmiatała, zastanawiała się, dlaczego to robi, ale teraz zrozumiała, co leżało u podstaw tego działania. Przyzwyczajenie i umiłowanie porządku. Nawet jeśli pozostanie tu choć chwilę dłużej było niebezpieczne, to zostawiając po sobie bałagan, zachowałyby się jak te zwierzęta, które zdemolowały jej dom. Teraz bardziej niż kiedykolwiek było ważne, żeby przestrzegać zwykłych obyczajów codziennego życia, żeby zachować rozsądek w tym zwariowanym świecie.

Usłyszała za sobą Inge i Tamarę wychodzące z pokoju gościnnego. Obróciła się. Inge trzymała w każdej ręce małą, brązową walizkę, obie z Tamarą były ubrane do wyjścia, tylko szale zwiślały im na szyjach luźno, żeby się nimi otulić, gdy wyjdą na dwór.

– Połączyłaś się?

– Nie – odpowiedziała Senda, potrząsając głową. – Telefony wciąż nie działają.

– Nic dziwnego, w takich warunkach. Świat się rozpada wokół nas. – Inge przerwała, dodając w zamyśleniu: – Ale dzięki temu docenia się to, co było, prawda? Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś tak będzie.

– Nie liczyłabym na to – z żalem powiedziała Senda.

Inge postawiła walizki na podłodze.

– Spakowałam tylko minimum najpotrzebniejszych ubrań, tak jak powiedziałaś.

Senda popatrzyła na walizki.

– Dobrze, ale... wyglądają na zbyt nowe, nie uważasz? – Spojrzała na Inge.

– Bo ja dbam o swoje rzeczy.

– Wiem, ale po to zostawiam swoje walizki od Louisa Vuittona, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Byłoby lepiej, gdyby były trochę... odrapane.

Inge nie była pewna, czy Senda mówi poważnie. Zrobiła zbolaną minę.

– Gdy będziemy na dworze, pociągnę je po chodniku, żeby się trochę ubrudziły i odrapały.

– To powinno wystarczyć.

– Ale zrobię to wbrew swoim zasadom.

Senda uśmiechnęła się.

– Moim też, Inge, ale czasem musimy dostosować się do zmian wokół nas, żeby się wtopić w otoczenie i przetrwać.

– Ale to przykre – utrzymywała Inge – zniszczyć tę resztkę, która nam

pozostała. Zostawiać te wszystkie twoje eleganckie rzeczy. I piękne ubrania. Ale przede wszystkim... słabo mi się robi, jak pomyślę o wszystkich skarbach tutaj... – Ogarnęła wzrokiem salon. – Tak ciężko na to wszystko pracowałaś! – wybuchnęła ze łzami w oczach. – I po co to wszystko?

– Wiemy obie – Senda mówiła cicho, choć sama zaczynała w to wątpić – że ostatnie lata miałyśmy dobre.

– Tak.

– Nawet teraz nie jest tak źle, jak myślisz. Nie pierwszy raz będę zaczynać od zera. – Senda uśmiechnęła się smutno.

– Gdziekolwiek się znajdziemy, mogę cię zapewnić, że zaraz się urządzimy. Stałam się już specjalistką. Powinnyśmy już iść, dość zwlekałyśmy. Im wcześniej dotrzemy do Pałacu Daniłowów, tym lepiej. Wezmę tylko płaszcz.

Inge wyszła za nią do przedpokoju.

– A jeżeli Daniłowowie już wyjechali? – spytała niespokojnie, zdejmując z mosiężnego wieszaka palto Senty.

– Albo jeżeli nie mogą nam pomóc?

Senda zmarszczyła brwi.

– Będziemy się o to martwić, gdy zajdzie potrzeba – odpowiedziała szybko, ale mimo optymistycznego tonu zaczęła się naprawdę martwić. Daniłowowie mogli już wyjechać w nieznanym kierunku. A jeżeli tak, jak ma się domyślić, dokąd? Ich majątki położone były w każdej możliwej części Rosji i posiadali też domy w licznych miastach europejskich. Jeżeli Wasilij wyjechał, to kto jej pomoże? Skąd weźmie pieniądze na podróż? Któż inny mógłby jej pomóc przedostać się przez zniszczone wojną granice?

Westchnęła i włożyła płaszcz, który trzymała Inge. Nie było to żadne z jej sześciu bezcennych futer, do których tak się przyzwyczała. Było to ciemnoszare, wełniane palto, ale pocieszała się, że futrzane podbicie będzie ciepłe. Nie mogła jednak pozbyć się gorzkiej myśli: kto będzie teraz nosił futra, na które tak ciężko pracowała? Kto będzie się otulał tą rozkoszną miękkością? Ktoś, kto ich nie doceni, pozwoli, żeby mole miały ucztę z ręcznie zszywanej podszewki, a starannie dobrane skórki wybrudzi albo coś na nie rozleje. Odwróciła się do lustra, żeby się przejrzeć: kolejna czynność wynikająca z nawyku. Nawet w wełnianym palcie wyglądała niezwykle imponująco i elegancko. Za bardzo, jak na ten zapalny okres. Rozczochrała nieco ułożone miedziane włosy i postanowiła, że tak jak walizki, palto też trzeba będzie ubrudzić. Nie wyglądało dostatecznie byle jak.

– Daj mi nożyczki – powiedziała do Inge.

Inge przyniosła nożyczki ze stolika z szyciem, a Senda odwróciła się plecami do niej.

– Rozpruj szybko szwy po bokach i z tyłu na wysokości talii – instruowała przykucając, żeby unieść sięgający kostek dół płaszcz. Odgryzła zębami nitkę i wyciągnęła ją, żeby obrębek wyglądał nieporządnie, w tym czasie Inge pruła następne szwy, by zlikwidować świetnie dopasowane wcięcie w talii. Senda znów spojrzała w lustro i pokiwała głową z zadowoleniem. Płaszcz wyglądał mniej elegancko i nie będzie tak bardzo zwracała na siebie uwagi w rozjuszonym tłumie. Zatrzymała wzrok na swym odbiciu w lustrze i westchnęła z żalem. Wydawało się niemożliwe, żeby ostatnie lata podsumować skromnym ubraniem na grzbiecie i nędzną zawartością dwóch niedrogich walizek Inge. Nie miały gotówki prócz pieniędzy na życie, które Inge udało się schować nawet przed Polenką.

Bez słowa sięgnęła po walizkę.

– Zastanawiam się, co teraz będzie z Rosją. Nie mogę uwierzyć, że car abdykował!

– Przypuszczam, że nie miał wyboru. Nie ma to już znaczenia. Jedyne, na co można teraz liczyć, to natura ludzka, a ludzie zawsze są chciwi. Polenka nam to udowodniła. Jeśli „lud”, jak się nazywają, zabierze wszystko od arystokracji, to pieniądze, kosztowności i przywileje i tak tu będą. – Uśmiechnęła się lekko. – Tyle że przenoszone z jednej kieszeni do drugiej.

– Pewnie masz rację – zgodziła się Inge.

Wychodząc, Senda jeszcze chwilę wdychała znajomy zapach domu, politurowanych mebli i pieczonych jabłek i cieszyła się ostatnim widokiem domowych wygod. Później zgasła światła. Ciekawe, pomyślała z wisielczym humorem, zamykając drzwi, kto będzie płacić rachunek za elektryczność. Swoją drogą, to zdumiewające, że wciąż był prąd.

Gdy doszły do drzwi prowadzących na ulicę, Senda zwróciła się do Inge.

– To twoja ostatnia szansa – powiedziała drżącym głosem. – Jeżeli chcesz zostać albo pójść gdzieś sama i nie być obarczona Tamarą i mną... zrozumiemy to.

Uśmiechnęła się przez łzy. W ciągu ostatnich lat Inge stała się tak nierozłączną częścią ich rodziny, że życie bez niej wydawało się niemożliwe. Stała się drugą matką Tamary i siostrą Sendency.

– Zdecydowałam się – powiedziała Inge ostro. – Myślałam, że już uzgodniłyśmy: pójdę tam, gdzie wy dwie postanowicie iść.

– Czekają nas trudne chwile – ostrzegła Senda.

– No więc? Ty i Tamara jesteście jedyną rodziną, jaką mam – powiedziała po

prostu Inge. – Poza tym nie mogę opuszczać tych, których kocham. Albo się uratujemy, albo zginiemy razem. I tyle.

– Dzięki ci, Inge – powiedziała wzruszona Senda. Postawiła walizkę i objęła ją. Przez dłuższy czas żadna z nich nic nie mówiła. W końcu Senda powiedziała:

– A teraz pamiętaj: jeżeli napotkamy jakiś tłum, trzymajmy się za ręce. Nie szkodzi, jeżeli będziemy musiały przy tej okazji pozbyć się którejs z walizek. Ważniejsze, żebyśmy się nie rozdzieliły.

Inge popatrzyła na nią.

– Już to omawialiśmy – powiedziała łagodnie ze smutnym uśmiechem. – Teraz to ty opóźniasz.

Senda również uśmiechnęła się blado.

– Jeśli się zgubimy, spotkamy się koło Pałacu Daniłowów. – Popatrzyła na córkę. – Jesteś gotowa, aniołku?

Tamara uniosła głowę. Wyglądała na dziecko wyjątkowo delikatne i wrażliwe, gdy tak patrzyła na nią olbrzymimi, szmaragdowymi oczyma. Skinęła odważnie głową.

– Inge?

Inge zajmowała się szalem i kołnierzem Tamary, ale zaraz owinęła swój rądzal wokół szyi. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Jestem gotowa na wszystko.

– No, to żeby nam się poszczęściło – mruknęła Sonda, otwierając ciężkie, rzeźbione drzwi na chłodną, marcową noc.

– Amen – powiedziała cicho Inge.

Instynktownie kuląc się przed wiatrem, ruszyły pieszo prosto przed siebie w stronę oświetlonego bulwaru.

Szybko! W krzaki! – syknęła Senda, gdy zbliżały się do bramy i domku dozorczy przy Pałacu Daniłowów. Inge bez słowa wciągnęła Tamarę w kępę bezlistnych, ażurowych krzaków. Nawet pieszo posuwały się niezwykle szybko i, szczęśliwie, na razie bez przeszkód. Zamiast iść wolno, w tempie Tamary, wołały ją nieść na zmianę, więc błyskawicznie przeszły przez most na Newie i dotarły do murów zakazanego pałacu.

– Co jest? – spytała wystraszona Inge. – Co tam widzisz?

– Cii! – syknęła Senda, ściskając rękę Inge, by ją uciszyć. Odsunęła gałązkę i patrzyła w ciemność. Z domku wyszli dwaj mężczyźni. Jeden z nich niósł drabinę, a drugi spojrzał uważnie przez żelazne, kute pręty, nim otworzył bramę. Ich

ostrożność ją zaciekawiła, więc spokojnie obserwowała, jak w białym świetle kutych latarni wdrapali się na wysokie murki po obu stronach bramy i zaczęli po cichu pracować. Najpierw rozwinęli długie, czerwone chorągwie.

Żołądek Senty skurczył się z obrzydzenia. Czerwony, pomyślała z dreszczem. Dlaczego ten jasny szkarłat wywołuje we mnie taki strach? Mimo zimna na jej twarzy pojawiły się kropelki potu.

Gdy skończyli przybijanie flag, mężczyźni zaczęli mocować na prętach bramy drewnianą tablicę z napisem. Senta była zbyt daleko, żeby go odczytać, ale widziała tylko, że i on był czerwony.

Inge pociągnęła ją za rękaw.

– Nie powinniśmy odejść? – szepnęła. – Co będzie, jak nas tu znajdą?

Senta nie odpowiedziała. Wpatrywała się w mężczyzn. Nagle zrozumiała ich ostrożność i roześmiała się cicho. Rozluźniła się i ogarnęło ją uczucie ulgi: jeden z mężczyzn był znajomy. Wysoka, chuda figura modliszki należała bez wątpienia do hrabiego Kokowcowa.

– No, coś takiego – zdumiewała się, potrząsając głową. – Sprytne. Bardzo sprytne.

– Cii! – Teraz Inge ją uciszała.

– Nie musimy już mówić szeptem – powiedziała Senta, unosząc głos, ale wciąż mówiąc cicho. – Myślę, że możemy już bezpiecznie się zbliżyć. Ale zostań jeszcze trochę z Tamarą, a ja porozmawiam.

– Jesteś pewna? – Inge wahała się.

Senta skinęła pewnie głową i wyszła z krzaków. Otrzepując swój wełniany płaszcz, pośpieszyła w kierunku bramy.

Słyszac szybkie kroki, hrabia Kokowcow powoli odwrócił się w jej stronę. Usłyszała, jak się zachłysnął powietrzem, i zauważyła w świetle latarni, jak uniósł jedną brew, która wygięła się w łuk w kształcie śmiesznego znaku zapytania na jego wysokim czole.

– Hrabio Kokowcow – powitała go mile.

– Madame Bora – odpowiedział. Był zupełnie zdezorientowany. Nie spodziewał się, że ją tu zobaczy. – Co za... co za miła niespodzianka.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie hrabio – odpowiedziała uprzejmie, choć uderzyła ją ironia własnych słów. Spojrzała pytająco na krępego, krótkowłosego mężczyznę obok niego.

– Iwan, mój służący – odpowiedział hrabia na jej pytający wzrok.

Skinęła głową i zwróciła uwagę na tablicę, którą przymocowali do bramy. Wsunąwszy ręce do kieszeni płaszcza, przeczytała proste, świeżo namalowane czerwoną farbą litery:

WSTĘP WZBRONIONY TEN DOM JEST WŁASNOŚCIĄ RADY PIOTROGRODU!

KSIAŻĘ WASILIJ DANIŁOW I KSIĘŻNA IRINA ZOSTALI UMIESZCZENI W TWIERDZY ŚW. PIOTRA I PAWŁA!

Hrabia obserwował ją z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, trzymając jedną rękę za sobą. Po ich obu stronach długie, czerwone flagi powiewały na wietrze jak żagle. Hrabia zwrócił się do służącego:

– To wystarczy, Iwan.

Służący uklonił się, wziął drabinę i wyniósł ją. Hrabia zwrócił teraz całą swoją uwagę na Sendę, świdrując ją nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Panie hrabio – powiedziała cicho – przyszedłam zobaczyć się z księciem.

– Madame Bora – zacznij cierpliwie – niewątpliwie umie pani czytać, a więc ta tablica powinna wszystko wyjaśnić;

Senda wzruszyła ramionami. Nie może pozwolić, żeby ta jego wyższość ją zdominowała. Schwyciła go za ramię.

– Muszę go zobaczyć! – szepnęła niecierpliwie.

– Jak pani sama widzi, madame – powiedział, wyzwalając się z jej uchwytu – nie mogę pani służyć pomocą. Doprawdy, przykro mi. – Eleganckim gestem wskazał tablicę. – Proponuję, żeby pani polegała na swych własnych, nazwijmy to, imponujących środkach. Może chciałaby pani złożyć mu wizytę w twierdzy?

– Panie hrabio – uśmiechnęła się z politowaniem. – Za kogo pan mnie uważa? Wiem, że to po prostu wybieg. Ta tablica, czerwone flagi, zasłonięte okiennicami okna. To sztuczka, żeby zmylić rewolucjonistów, którzy na pewno splądrowaliby pałac, a pana uwięzili.

Wydawał się zdumiony.

– Dlaczego mielibyśmy zrobić coś takiego?

– Żeby zyskać na czasie i uciec. – Kiwnęła głową. – Sprytne. Bardzo czujnie.

– Niech pani myśli, co chce. – Odwrócił się poirytowany i zmierzał w stronę bramy.

> – Widziałam, jak pan razem z Iwanem wywieszaliście tablicę i flagi. Zaczął zamykać jej bramę przed nosem. Podniosła głos.

– Ani się waż zamykać! Żądam rozmowy z Wasilijem:

– Proszę, to teraz Wasilij? Proszę, proszę, ależ jesteśmy zaprzyjaźnieni.

– Idę się z nim zobaczyć. – W jej ostrym głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

– A jeżeli to niemożliwe? – Uśmiech Kokowcowa był szeroki, ale ponury. Jak uśmiech śmierci, pomyślała.

– W takim przypadku, panie hrabio, będę zmuszona tu obozować i zedrzeć pana ceną tablicę i flagi.

– Pani żartuje.

Uniosła śmiało głowę.

– Założymy się?

Wykrzywił usta, w jego oczach widać było nienawiść, ale musiała przyznać, że potrafił zachować godność i panował nad sobą.

– Bardzo dobrze, madame Bora. – Zniżył głos. – Nie pozostawia mi pani wyboru. Nie biorę jednak odpowiedzialności za wpuszczenie pani.

– Przyjmuję odpowiedzialność za swoje czyny.

Otworzył bramę.

– Widzę, że przyprowadziła pani córkę i służącą. Zaczekacie w Westybulu Jaspisowym, a ja poinformuję księcia, że jest pani tutaj. Jest z księżną. Przypuszczam, że nie chciałaby pani narzucać się im.

– Dziękuję, hrabio. – Miło było zauważyć, że mimo zmian w społeczeństwie tutaj wciąż obowiązywała etykieta i dyskrecja. Odwróciła się, kiwnęła ręką do Inge i Tamary, żeby poszły za nią, i przeszła przez bramę. Hrabia Kokowcowa zamknął ją za nimi. Szły szybko krętym podjazdem, by dotrzymać mu kroku.

Idąc Senda rozglądała się dookoła. Nic się nie zmieniło od chwili, gdy trzy lata temu weszła tu pierwszy raz. Poza oknami z zamkniętymi okiennicami wszystko wyglądało tak samo. Drzewa były gołe jak szkielety. Przed nimi rysował się olbrzymi pałac, a charakterystyczne wieżyczki z pięcioma kopułami czerniały na tle ciemnego fioletu nocnego nieba. Tereny wokół pałacu wydawały się pozornie spokojne, sprawiając wrażenie, że potężne mury mogą na zawsze zapewnić izolację od świata zewnętrznego. Nad głową, pod sklepieniem rozżarzonych gwiazd, koralowe pasemka zorzy polarnej unosiły się w powietrzu jak błyszczący naszyjnik. Po raz pierwszy od początku rewolucji zaczęła odczuwać spokój i wytchnienie. Wszystkie kłopoty, które ją tak przytłaczały, opadły z jej ramion.

Wasilij nam pomoże, pomyślała.

Hrabia Kokowcowa zamknął drzwi od Westybulu Jaspisowego i uśmiechnął się do Iwana, choć nie było mu do śmiechu.

– No, to je na jakiś czas powstrzyma.

– Czy jest pan pewien, że będą czekać?

– Jakież pół godziny, może trochę dłużej. – Głos hrabiego był lodowaty. – Ta kobieta jest głupia. Uwierzy we wszystko, co jej powiedziec. Czy samochód jest gotowy?

Iwan skłonił głowę.

– Zatankowałem i rozgrzałem silnik, jak pan kazał.

– Dobrze. Wyjeżdżamy natychmiast. Zaczekaj na nas w garażach... Nie! – położył na ustach palec ozdobiony błyszczącym szkarłatnie rubinem. – Nie, jednak nie... – powiedział powoli – lepiej przygotować powóz.

– Powóz! – Kozak spojrział zdumiony. – Przecież samochód szybciej dowiezie nas do pociągu.

– Ale niepotrzebnie zwróci na nas uwagę. Nie zauważyłeś, że na ulicach nie ma w ogóle samochodów?

Iwan popatrzył na hrabiego z bezgranicznym podziwem.

– Nie pomyślałem o tym, panie.

Hrabia uśmiechnął się dobrotliwie.

– Dlatego właśnie ja jestem twoim panem, a ty sługą. Teraz pójde zobaczyć się z księciem i księżną. Przygotuj powóz. Pięć minut. – Hrabia, już idąc, wyciągnął rękę, rozczapierzając palce. Po kilku krokach zatrzymał się i obrócił. – Iwan? – zawołał.

– Tak, panie?

– Przymocuj jedną z tych piekielnych czerwonych chorągwi do powozu.

– Tak, panie. Już się robi.

Hrabia pośpieszył do apartamentów Daniłowów w odległym skrzydle pałacu. Uśmiechnął się z zadowoleniem, gratulując sobie szybkiej reakcji. Mimo początkowego szoku, jaki przeżył, gdy pojawiła się ta aktorka, zachował zimną krew i osiągnął swój cel. Nie planował spotkania z nią, ale teraz wszystko było opanowane. Kazał jej czekać w Westybulu Jaspisowym, ponieważ był on położony najdalej od apartamentów Daniłowów. Nie ma niebezpieczeństwa, że wpadnie na Wasilija.

Zacisnął usta. Przeklęta baba! Co ona sobie wyobraża? Absolutnie nie ma zamiaru pomagać jej i temu jej nieszczęsnemu dzieciakowi uciec z kraju. Jeśli tylko mu się uda. A musi się udać. Jak na razie wszystko idzie gładko i nie pozwoli, żeby mu popsuka wspaniałe plany. Nawet rewolucja była mu na rękę. Kiedy tylko on i Daniłowowie dotrą do Genewy...

Znalazł księcia tam, gdzie się spodziewał – w Pokoju Chińskim. Kuzyn wciąż

wrzucił pliki dokumentów do ognia, płonącego na kominku. Odwrócił się.

– Co takiego?

– Czy już kończysz? – spytał jedwabistym głosem. – Myślałem, że wszystkie potrzebne papiery zostały już przewiezione do pociągu?

Księżę wrzucił następną paczkę dokumentów do ognia. Tańczące płomienie oświetlały jego twarz.

– Tak, ale nie widzę powodu, dla którego te mają tu zostać, żeby ułatwić życie tym kryminalistom.

– Ja widzę – skłamał gładko Kokowcow. – Lepiej jedźmy natychmiast do pociągu. Czy księżna jest gotowa?

Księżę kiwnął głową.

– Tak. Jest obok.

Przyglądał się folderowi, trzymanemu w ręku.

– Dobrze. Więc wyjeżdżamy natychmiast. – Hrabia wyjął folder z rąk kuzyna i rzucił go na dywan. – Zapomnij o tych papierach. Inni je spalą skuteczniej.

– Co masz na myśli? – Wasilij popatrzył na kuzyna.

– Właśnie dostałem informację, że tłum zmierza w tę stronę. Mają zamiar spalić pałac.

Księżę pobladł i przez chwilę nie mógł nic powiedzieć.

– Pociąg! – popędzał hrabia, chwytając Wasilija za ramię i potrząsając nim. – Pociąg czeka, kuzynie! Nie rozumiesz? Nie możemy zwlekać! Chcesz, żebyśmy zginęli z rąk tego tłumy?

– Oczywiście, że nie. Czy masz jakąś informację od posłańca, którego kazałem ci wysłać do madame Bora?

Hrabia pokiwał głową.

– Opuściła już mieszkanie i udaje się do pociągu – zełgał gładko. – Tam się spotkamy. Załatwiłem, że ona i dziecko będą podróżować z naszą osobistą służbą. Księżna nie powinna być kompromitowana.

Księżę, zadowolony, wyprostował się z godnością.

– A więc możemy iść – powiedział.

– Ale po cichu. – Hrabia uniósł palec ku przestrodze. – Nie ma potrzeby rozgłaszać naszego wyjazdu.

Pięć minut później hrabia, Iwan i Daniłowowie wyruszyli szybko w noc, zostawiając za sobą otwartą bramę.

Minuty wlokły się niemiłosiernie, niecierpliwość Senty zaczęła przeradzać się

w panikę. Gdzie jest Wasilij? Co go zajmuje tak długo? Czy nie może odejść od księżnej nawet na kilka minut? Przedtem zawsze znajdował dla niej czas. Czy nie chce się z nią zobaczyć? Czy przychodząc tu przekroczyła granice przyzwoitości? Ale chyba te burzliwe czasy wymagały inicjatywy. Strach i irytacja rosły w niej jak kula, ściskając żołądek, wbijając się w serce. Winien był jej tę pomoc, do diabła. Dzielila jego łożo. Utrzymał ją.

Niech go diabli!

i Spojrzała na tykający miarowo zegar, który stał na pokrytej jaspisem konsoli, i zamarła. Minęły trzydzieści dwie minuty od chwili, gdy zostały wprowadzone do tego pokoju!

– Coś jest niedobrze – mruknęła i z pochyloną głową ruszyła do drzwi.

– Dokąd idziesz? – zawołała Inge.

– Zostańcie tu. Zaraz wrócę.

Ruszyła zdecydowanie korytarzem, choć nie wiedziała, od czego zacząć poszukiwania. Pamiętała doskonale, jak olbrzymi jest ten pałac i jak łatwo się w nim zgubić. Szukanie Wasilija bez pomocy, od pokoju do pokoju, z góry na dół, zajęłoby wiele godzin. Były tu setki pokoi, a łącznie z westybulami, przedpokojami, holami i łazienkami – pewnie i tysiące.

Byłyby to beznadziejne poszukiwania.

Nagle stanęła i nachyliła głowę, by posłuchać. Znow ruszyła szybko nie kończącym się korytarzem. Stropiła się. Ile było drzwi w tym pałacu? Nigdy nie musiała tylu otwierać. Gdzie się podziali wszyscy lokaje? Szła, próbując zlokalizować źródło hałasu. Był coraz donośniejszy. Zacisnęła usta ze złością. Muzyka? – pomyślała z obrzydzeniem. Tyle głosów? Śpiewy? Brzmiało to jak jakaś zabawa. I to w czasie najgorszych zamieszek i okrucieństwa! Niebawem!

Ale widok, jaki ją powitał, gdy otworzyła drzwi Sali Muzycznej, był naprawdę niewiarygodny. Cofnęła się, przerażona.

Zabawa była w toku. Służba nareszcie postanowiła sama zaznać takiego życia, jakie pomagała wieść swoim państwu. Korki od szampana strzelały i fruwały po całym pokoju. Christal i Dom Perignon pito prosto z butelek i rozlewano na bezcenne mozaiki i dywany. Przed lustrem grupa pokojówek wdzięczyła się przybrana w ozdoby, należące niewątpliwie do księżnej. W rogu śpiewał smętnie lokaj, między jedną a drugą szklanką szampana szarpiąc struny pozłacanej harfy. Brudne buciory i pantofle opierano na inkrustowanych stolikach, nie zważając na olbrzymią szkodę, jaką to wyrządzało; za sofą obściskiwali się ogrodnik z pokojówką, a na olbrzymim fortepianie Bosendorfera rozciągnęła się na brzuchu

fertyczna pokojówka i waląc gołymi nogami w klawisze, czubkami palców wydobywała z nich rozdzierające dźwięki. Tłusta kucharka, w wyplamionym tłuszczem białym fartuchu, owinęła się etolą z rysia i zaciągając się cygarem, na przemian śmiała się i kaszłała. Przez cały czas z tuby gramofonu rozlegały się ochryple dźwięki amerykańskiego jazzu. Jeden z lokajów zauważył Sendę.

– Witaaamy! – zaśmiał się po pijacku, przesyłając jej głośnego całusa. Oderwał się od butelki Christala i wypluł trochę szampana, zataczając się po pokoju. – Zapraszamyy do zabawy! Bawimy się, wszysccyy!

Senda, pobladła, popatrzyła na to wszystko i podeszła do niego.

– Gdzie jest księżę? – wyjąkała.

– Zabawaaa! Bawimy się!!

Senda w rozpaczy zacisnęła pięści. Kto jej może powiedzieć, gdzie jest Wasilij, skoro wszyscy są pijani? Patrzyła wokół, szukając pomocy. Wtedy pokojówka zsunęła się z fortepianu, prawie upadła, ale udało jej się odzyskać równowagę. Trzymając dwa kieliszki szampana, dreptała w stronę Senty z przesadną ostrożnością, charakterystyczną dla pijanych.

– Masz szampana – wybełkotała, podając Sendzie kieliszek i czkając głośno.

– Nie, dziękuję – Senda grzecznie odmówiła. – Ale chętnie dowiedziałabym się, gdzie mogę znaleźć księcia.

– A kogo to obchodzi? – Brązowe oczy pokojówki zamglily się. – Jest jedzenie, szam... – czknęła znowu – ... pan, ubrania, cygara, wszystko do wzięcia! – Odchyliła głowę, opróżniła kieliszek jednym haustem i rzuciła nim o ścianę. Roztrzaskał się i pokrył podłogę drobinami kryształu. – Tylko nie pieniądze – powiedziała z kwaśną miną. – Zabrali. Ale nie można mieć wszystkiego, no nie? – Łypnęła chytrze okiem i zachichotała.

Odciągnąwszy pokojówkę na bok, Senda zniżyła głos:

– Widzisz, przyniosłam coś dla księcia, muszę mu to dać.

– Kłamstwo, ale jakie to teraz miało znaczenie?

Dziewczyna pokręciła głową, a brązowe oczy zrobiły się okrągłe jak dwa kółeczka.

– W Swajscarii?

– Szwajcarii! – Pod Sendą ugięły się kolana. – Ale powiedziano mi, że jest tutaj!

– Był tutaj. Wyjechał. Ponad pół godziny temu. Do Ge–ne–wy! Pijemy od tego czasu!

– Wyjechał? Do Genewy? – przeszły ją dreszcze i poczuła zimno przenikające

ją do szpiku kości.

– Wyjechali. – Dziewczyna znów gwałtownie pokiwała głową. – Do pociągu.

Czekał na nich. Podśluchiwała.

Senda szarpnęła ją za ramię.

– Wiesz, gdzie jest ten pociąg?

Pokojówka potrząsnęła głową.

– Jeżeli wiesz, musisz mi powiedzieć!

– Auu! Boli! – Dziewczyna zrobiła naburmuszoną minę i patrzyła na czerwone ślady, jakie palce Sendency zostawiły na jej ramieniu.

– Przepraszam! – powiedziała szybko Senda. Cofnęła rękę.

– Ale, rozumiesz, jakie to pilne. Jeśli dotrę do księcia na czas... – kłamstwa, zrodzone z konieczności, przychodziły jej do głowy błyskawicznie – ... temu, kto mu to zdąży dostarczyć, da pięć... tysięcy... rubli.

Brązowe oczy rozbłysły.

– Ppięć ttysięcy?

Senda usłyszała jej westchnienie i potwierdziła to bezwstydnie:

– Pięć tysięcy!

– Władimir! Władimir wie! – krzyknęła triumfująco pokojówka. – Zawoził jakieś rzeczy do pociągu!

– Który to jest Władimir? Musisz mi powiedzieć!

Teraz dziewczyna wpiła się w ramię Sendency:

– Połowa moja – wybełkotała, a chciwość zabłysła w jej oczach. – Dwa i pół tysiąca rubli.

– Tak! – obiecała Senda. – Tak! Dostaniesz połowę. I Władimir też!

Same kłamstwa, ale jakie to miało znaczenie?

– Połowę! – wołała pokojówka. – Połowę!

Była to diabelska jazda.

Jakimś cudem, od chwili, gdy dziewczyna krzyknęła: „Połowę”, minęło niecałe sześć minut. Władimir, pijany, ale otrzeźwiony perspektywą wielkich pieniędzy, bezbłędnie zaprowadził je do tego właśnie samochodu, który przygotował Iwan, założył gogle i puścił sprzęgło turystycznego Hispano-Suiza z otwartym dachem. Samochód z rykiem wyjechał z garażu, zahaczając lewym błotnikiem o uchylone drzwi i wrywając je z zawiasów. Pijany Władimir skręcił raptownie w stronę bramy i samochód zarzucił. Później koła zapiszczały w proteście, gdy gwałtownie zahamował chcąc zakręcić i wykonał poślizg tak doskonały, jakby go specjalnie

zaplanował. Po półtora obrotu maska samochodu ustawiona była we właściwym kierunku i wreszcie ruszyli w drogę.

– Ostrożnie! – krzyknęła Senda z tylnego siedzenia, tuląc do siebie przerażoną Tamarę, podczas gdy Inge, zapomniawszy się, wyrzucała z siebie potok niemieckich słów, który przypominał „Ojczyzna”.

Piotrogród błyskawicznie przelatywał za oknami. Ledwo zbliżyli się do brzegu Newy, a już byli po drugiej stronie mostu.

– Z takim samochodem i bez ruchu na ulicach? – Władimir odwrócił się i uśmiechnął do Sendy. – Możemy jeszcze złapać ten pociąg!

– Patrz, dokąd jedziesz! – odkrzyknęła poprzez wiatr. – Nie patrz na mnie! Patrz na ulicę!

Śmiejąc się dziko, Władimir przycisnął gaz do dechy.

Senda krzyknęła. Przed nimi blokował skrzyżowanie wściekły tłum protestantów.

– Właaadiiiiiir! – wrzeszczała, zamykając oczy.

Wcelował prosto w środek tłumu i uruchomił klakson.

Ludzie rozpierzchli się.

. – Zdamy! – zawołał znów i zaczerpnął spory łyk z otwartej butelki szampana.

Och, daj Boże, modliła się Senda i dodała: tylko w całości, dobry Boże, tylko w całości.

Na bocznicę, za odległą dzielnicą Wyborg, stał w gotowości pociąg Daniłowów. Spod podwozia lokomotywy, wagonów osobowych i towarowych wydobywały się obłoki białej pary. Wewnątrz bogato urządzonego głównego wagonu, wyłożonego boazerią, z połączanymi kinkietami i drogocennymi meblami, Wasilij Daniłow kręcił się niespokojnie w fotelu obitym szkarłatnym brokatem. Na okrytym koronką stoliku stał, srebrny samowar, książki, bibeloty, skrzyneczka cygar i kryształowa salaterka z kawiozem, wstawiona do miski z pokruszonym lodem.

Księżę popatrzył na kawior, później na cygara. Nie miał ochoty ani na jedzenie, ani na palenie. Nagle wstał i podszedł do okna. Przyłożył rękę do twarzy, żeby jego własne odbicie na szybie nie przesłaniało mu widoku. Noc po obu stronach pociągu była ciemna i pusta.

Zacisnął usta i wyciągnął sobie palce. Był spięty jak ranne zwierzę.

Księżna Irina wbiła wzrok w otwartą książkę, którą trzymała na kolanach.

– Siadaj, Wasilij – powiedziała łagodnie, przewracając stronę. – Przez to, że będziesz się denerwował, ona wcale szybciej nie dotrze.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Wiedziałaś? – spytał. – Cały czas?

– Na kogo czekamy? I dlaczego? – Włożyła w książkę cienką, aksamitną wstążkę, której używała jako zakładki, i popatrzyła na niego. – O niej, tak. I o innych. Wszyscy wiedzieli. Dlaczego ja nie miałabym wiedzieć?

– Ale... ale nigdy nic nie mówiłaś?

– Nie mogę mieć do ciebie pretensji – powiedziała spokojnie – więc po co miałam coś mówić. W końcu nie jestem zbyt atrakcyjną kobietą. – Spojrzała na swoje artretyczne, przypominające szpony ręce i westchnęła. – Wiem, że nie są to ręce kochanki.

Przysunął sobie krzesło naprzeciwko niej, podciągnął spodnie o zaprasowanych na żyletkę kantach i usiadł, trzymając ręce między rozsuniętymi nogami.

– Ja nie byłem przykładnym mężem, prawda?

Popatrzyła na niego łagodnie i dotknęła dłonią jego ramienia.

– Dałeś mi wszystko, co byłeś w stanie dać – powiedziała delikatnie. – Dzieliłeś ze mną życie we wszystkich dziedzinach, prócz jednej. Czy to mało?

Na jego twarzy pojawił się bolesny grymas.

– Ja nie narzekam, Wasilij. Chcę tylko, żebyś wiedział, że rozumiem. Tak samo jak teraz rozumiem, że się denerwujesz, bo jej nie ma.

– I nie jesteś zazdrosna?

Pozwoliła sobie na cichutki śmiech.

– Muszę przyznać, że jestem. Zwłaszcza o nią. Inne... chyba nie miały znaczenia. Ta musi być jakaś specjalna. Była jedyną kobietą, z którą żyłeś w monogamii ponad trzy lata. – Siadła na poręczy fotela i gładziła jego głowę zdeformowanymi palcami.

– Zawiodłem cię – powiedział z trudem. – Myślałem, że jestem dyskretny. – Głos mu się nagle załamał.

– Byłeś. Ja się nie skarzę.

W jej oczach pojawiły się łzy, gdy patrzyła na niego, przechyliwszy głowę. Tak bardzo go kochała, dawała mu z siebie wszystko, co mogła. Czy to była jej wina, że wkrótce po ślubie pojawił się u niej ten artretyzm, który systematycznie niszczył jej urodę? Oczywiście, wciąż marzyła o tym, żeby czuć jego ciało przy sobie, w sobie, ale czy mogła wymagać od niego czegoś więcej niż stałego uczucia, nawet jeśli nie była to namiętność? Ją samą brzydziły własne ręce. Czy mogła się

spodziewać, że on chciałby być nimi dotykany?

– Zaczekamy na nią tak długo, jak możemy – powiedziała nieoczekiwanie Irina. – Nie życzę jej źle, wierz mi.

Ujął jej dłoń i przytulił do swego policzka.

– Nie będę się z nią więcej widywał – obiecał – ale teraz, w tej sytuacji, muszę jej pomóc. Tyle przynajmniej jestem jej winien.

Księżna skinęła głową.

– Oczywiście, że jesteś.

Oboje odwrócili głowy, gdy usłyszeli, jak drzwi na końcu wagonu otwierają się i zamykają. Hrabia Kokowcow podszedł do nich sztywno, trzymając ręce wzdłuż ciała.

– Nie możemy już długo czekać – powiedział żałobnym głosem. – Niebezpieczeństwo rośnie z każdą minutą. Pociąg jest gotowy do odjazdu od pół godziny.

– Zaczekamy jeszcze dwadzieścia minut – powiedziała zdecydowanie księżna, ucinając wszelką dyskusję.

Poczuła odpowiedź Wasilija w uścisku jego ręki. Obróciła się do niego i uśmiechnęła widząc, z jakim zdumieniem na nią patrzy. Poczekwała, aż hrabia wrócił do swojego wagonu, i pocałowała męża w usta.

– Czasem zastanawiam się, czym sobie na ciebie zasłużyłem – powiedział cicho.

– Kocham cię – odpowiedziała. – To, że nie dzielimy wszystkiego, nie oznacza, że kocham cię mniej. – Spojrzała mu w oczy. – Czy wiesz, że często wspominam, jak się poznaliśmy?

– To było w Bal Blanc i trudno było mi zatańczyć z tobą z powodu tych wszystkich przystojnych oficerów w obcisłych mundurach, a także tego sfinksa – twojej przyzwoitki.

– Cioci Kseni! – szepnęła zachwycona, że pamięta. – Tak, ciocia Ksenia. Prawdziwy potwór. Nigdy mnie nie lubiła.

– Cii! Bardzo cię lubiła. Ona po prostu nie okazywała swoich uczuć.

Oboje uśmiechnęli się, pamiętając to tak dobrze, jakby wydarzyło się zaledwie wczoraj.

Twarz hrabiego Kokowcowa była wyzuta z wszelkich uczuć.

– Dwadzieścia minut minęło – oznajmił cicho.

Księżę spokojnie skinął głową.

– Powiedz mechanikowi, żeby ruszał.

Irina wzięła męża za rękę. Teraz ma tylko mnie do kochania, pomyślała. Nie muszę się z nikim dzielić jego uczuciami. Jedyne utrzymanka, którą naprawdę kochał, zniknęła z jego życia. Powinnam się czuć wniebowzięta.

Ale dlaczego tak nie jest?

Hispano-Suiza przemykał obok koszmarnych magazynów, aż wjechał na poukładane w poprzek szyny. Samochód podskakiwał za każdym razem, gdy wjechał na jakieś spojenie czy nierówność, a Senda czuła, jak jej zęby uderzały o siebie. Oczy miała pełne łez od wiatru. Ocierała je i wyciągała szyję. Gdzie jest ten pociąg? Nagle zobaczyła.

– Tam! – zawołała. – Na prawo! Jest pociąg! – pokazała i wstała, trzymając się jedną ręką skórzanego oparcia fotela kierowcy.

Władimir szarpnął kierownicą i jechali teraz równolegle, po szynach, a koła podskakiwały na spojeniach.

– Rusza! – krzyknęła Senda, gdy z komina lokomotywy wydostał się snop iskier. – Szybciej, do diabła! Goń go!

Władimir łyknął jeszcze szampana, otarł usta rękawem i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Znow docisnął gaz do dechy, kierując się wprost na pociąg. Wciąż stojąc, Senda ze wszystkich sił trzymała się fotela kierowcy.

– Śpiesz się! – popędzała Władimira. – Śpieeesz!

Jasno oświetlone okna wagonów pasażerskich błyszcząły w ciemności nocy. Serce jej waliło, a w uszach słyszała swoje tętno.

Gnali teraz wzdłuż pociągu. Czuć było gęsty dym i Inge przytuliła do siebie twarz Tamary, żeby nie padały na nią iskry. Sama zakrywała sobie ręką usta, gdy tylko wydostawał się z nich jakiś okrzyk po niemiecku. Samochód zaczął wyprzedzać pociąg i mignęły obok nich wagony towarowe, tworzące tył składu. Zbliżały się trzy wagony osobowe z dużymi, jasno oświetlonymi oknami.

Stojąc w szerokim rozkroku dla utrzymania równowagi, Senda krzyczała i wymachiwała rękami. Zobaczyła przez okno starannie ufryzowaną głowę księżnej. Serce jej zadrżało, gdy ujrzała znajomy profil Wasilija.

– Wasilij! – wrzeszczała z całych sił. – Zatrzymaj pociąg! Wasilij!

Inge dołączyła się do krzyków. Władimir przytrzymał klakson i nocne powietrze wypełniło się ochryplym trąbieniem.

Wtem w oknie pojawiła się chłodno uśmiechnięta twarz hrabiego Kokowcowa, który delikatnie machał na pożegnanie samymi palcami.

– Co to za piekielne hałasy? – spytała przerażona księżna. Spojrzała zmartwiona na Mordkę. – Jakież problemy?

– Nic, czym powinniśmy się przejmować. – Hrabia zacisnął usta i opuścił aksamitne zasłony na okna. – Ale radzę, żebyście się lepiej nie pokazywali. Myślę, że to jakaś banda rewolucjonistów.

– A więc wszystko stracone! – wykrzyknęła księżna, załamana.

– Nie. – Hrabia potrząsnął głową i mówił głośno, żeby zagłuszyć krzyki i trąbienie dochodzące z zewnątrz. Miał nadzieję, że klakson będzie cały czas włączony, gdyż doskonale tłumił krzyki.

– Ale jeżeli to rewolucjoniści... – zaczął książe.

– Jesteśmy zaledwie kilka metrów od mostu na kanale – wyjaśnił hrabia. – Gdy przez niego przejedziemy, będziemy bezpieczni, bo nie będą nas mogli gonić.

Książe wstał, kierując się do następnego okna. Mordka błyskawicznie zagroził mu drogę.

– To zbyt niebezpieczne, kuzynie – powiedział stanowczo. – Masz wiele obowiązków. Nie możemy pozwolić na to, by stała ci się jakakolwiek krzywda. Przecież mogą cię zastrzelić.

– Wasilij, siadaj – poprosiła księżna. – Nie chcę, żeby coś ci się stało!

Książe zawahał się, a Mordka wstrzymał oddech. Ociągając się, Wasilij usiadł.

Nie możesz zwalniać! – krzyczała Senda. Zapomniawszy o bezpieczeństwie, zaczęła walić pięściami w głowę i barki Władimira. – Szybciej, mówię ci! Musimy ich złapać!

Władimir krzywił się pod jej uderzeniami, nie będąc w stanie się osłonić. Bez ostrzeżenia zahamował gwałtownie, aż hamulce zakleszczyły się.

Samochód zarzucił i zatrzymał się tak nagle, że Senda o mało nie wyleciała przez przednią szybę. Zdążyła się jej przytrzymać w ostatniej chwili. Przez chwilę nikt się nie poruszył. Później każde po kolei oddychało z ulgą i macało się po całym ciele.

– Fiuu! To był cud. – Władimir przechylił butelkę, ale była już pusta. Spojrzał ponuro.

– Dlaczego się zatrzymałeś? – krzyczała Senda, płacząc ze zdenerwowania. – Byliśmy przecież tak blisko, do diabła! Tak blisko.

– Niech pani zobaczy sama – powiedział ponuro Władimir.

Pociągnęła nosem i spojrzała w prawo. Pociąg rozpędzał się, turkocząc po żelaznym moście. Później rzuciła okiem do przodu i zamarła. Szyny kończyły się,

poza jednym torem, po którym jechał pociąg. Nic dziwnego. Światła samochodu oświetliły czarną, błyszczącą wodę. Przez moment mogła tylko siedzieć i patrzeć.

Zatrzymali się nad brzegiem tak, że część maski wisiała już w powietrzu. Cztery metry poniżej połyskiwała woda. Jeszcze pół metra i utonęliby w lodowatych głębiach kanału.

Był to naprawdę cud.

Patrzyła za odjeżdżającym pociągiem. Gardło jej się ścisnęło, gdy ostatni wagon zniknął za mostem. Sapiąca lokomotywa stawała się coraz cichsza, jej dźwięk rozpląwał się w czerni nocy.

Powoli Senda wtuliła się w siedzenie. Twarz miała białą. Nagle poczuła zimne, puste otępienie, spowodowane przegraną.

– I co my teraz zrobimy? – spytała szeptem. – Co teraz zrobimy?

Poczuła, jak Inge przytuliła ją do siebie.

– Teraz – powiedziała Inge po prostu – będziemy musiały jakoś same dostać się do Genewy. Jednej rzeczy mnie nauczyłaś – powiedziała z błyskiem w niebieskich oczach – nigdy się nie poddawać.

Senda popatrzyła zdumiona.

– Ja cię nauczyłam?

– Tak. – Inge oparła się na siedzeniu, złożyła ręce na kolanach i wybuchnęła śmiechem. – Nie chciałabym tego powtarzać, ale muszę przyznać, że nie przeżyłam jeszcze niczego tak emocjonującego jak ta jazda.

Nagle Senda też zaczęła się śmiać. Może była to reakcja na tak bliskie zetknięcie się ze śmiercią; cokolwiek to było, dobrze jest być żywym. Może nie było aż tak źle.

– Z powrotem przez Nową? – zawołał Władimir przez ramię.

– Nie, do promu – powiedziała Senda.

– Jedziecie do Finlandii? Mam nadzieję, że macie papiery. Finowie są dokładni w tych sprawach.

– Papiery? – powtórzyła bezmyślnie Senda.

– No, wie pani, dokumenty. Paszporty, takie rzeczy.

Senda potrząsnęła głową.

– Nie, nie mamy.

– To łatwiej wam będzie je dostać w Polsce. Słyszałem, że na polskiej granicy nie są tacy akuradni. Lepiej zawiozę was na dworzec kolejowy.

– Ale powoli – przypomniała Senda, gdy zmieniał biegi.

– Proszę, jedź powoli.

Przyjechały do Warszawy ponad dwa miesiące później. Ta długa podróż z licznymi przystankami zebrała jednak swoje żniwo.

Senda zachorowała. Z początku lekceważyła kaszel i ataki gorączki, biorąc je za przeziębienie, które niedługo minie. Zawsze cieszyła się doskonałym zdrowiem, więc nie martwiła się specjalnie. Ale gdy kaszel dochodził gdzieś z głębi płuc, gorączka nie ustępowała, a gęsta flegma zabarwiła się krwią, Inge przeraziła się. Stwierdziła stanowczo, że koniecznie muszą wezwać lekarza.

– Nie, nie lekarza – Senda oponowała, jak tylko mogła.

– Nie stać nas.

Mimo choroby, wciąż martwiła się o pieniądze.

Inge nie spierała się z nią. To chyba była czarna godzina. Położyła Sendę do łóżka i zaczęła, aż zaśnie. Potem odpruła podszewkę w płaszczu Senty, gdzie schowały słoneczniki z żółtych brylantów, i poszła szukać najlepszego jubilera w mieście. Choć wycenił je tylko na jedną piątą ich rzeczywistej wartości, miały pieniądze na przeżycie najbliższych kilku miesięcy i wezwanie do Senty lekarza.

Inge wiedziała, co jest najważniejsze, a w tej chwili było to zdrowie Senty.

Doktor Buchsbaum był niski, karzełkowaty i, mimo swej uprzejmości, nie bawił się w piękne słówka.

– Obawiam się, że perspektywa nie jest najlepsza – powiedział do Senty, marszcząc czoło. – Nie jestem zupełnie pewien, ale musimy niestety założyć, że cierpi pani na gruźlicę płuc.

– Gruźlicę! – Senda patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Pokiwał smutno głową i uspokajająco poklepał ją po ramieniu.

– Obawiam się. Ale przy odpoczynku, dobrej opiece i świeżym powietrzu nie musi to być od razu koniec świata.

Senda przymknęła oczy, żeby przeszło najgorsze przerażenie. Nie spodziewała się dobrych wiadomości, ale to? Przez moment miała ochotę zaśmiać się histerycznie. Cóż za ironia losu! Właśnie kiedy umknęły rewolucji, musiało się pogorszyć jej zdrowie! Czy – o ironio – miała się stać prawdziwą Damą Kameliową? I jak mogła zadbać o swoją córkę i o Inge... jeżeli zachorowała na suchoty? Jak miała zarabiać pieniądze? A co z przyszłością Tamary? Jeszcze kilka miesięcy i trzeba będzie sprzedać też pierścionek.

Kilka godzin po wyjściu lekarza Senda leżała jeszcze w łóżku, plując krwią. Tamara pociągnęła ją za rękaw, ocierając łzy.

– Mamusiu, czy wyzdrowiejesz?

– Oczywiście, aniołku. Jestem po prostu zmęczona – uśmiechnęła się z trudem Senda. – Potrzebuję tylko trochę odpoczynku. Nawet mamusie muszą czasami odpoczywać.

Gdy Inge delikatnie wyprowadziła Tamare, Senda leżała zmartwiona i osłabiona. Potrzebowała pomocy i знаła tylko jedną osobę, która mogła jej użyć.

Nagle stało się najważniejsze, żeby dotrzeć do Genewy i... do Wasilija. Przy jej kiepskim zdrowiu przyszłość Tamary była niepewna.

. Posiadłość Daniłowów pod Genewą przyćmić: mogły tylko olbrzymie pałace, jakie posiadali w Rosji. Choć nie taki wielki i urządzony z mniejszym przepychem niż ich wspaniałe siedziby w Rosji – Chateau Gemini był i tak najbardziej reprezentacyjną rezydencją nad jeziorem Lemana. Umieszczony w cudownym parku, wśród sędziwych drzew i ozdobionych posągami trawników, które schodziły łagodnie do brzegów jeziora, oferował on niezrównany widok błękitnej wody przystrojonej żaglówkami i malowniczymi grzbietami gór – srebrnymi szczytami Alp, okutych olśniewająco białymi kopami śniegu. Z jeziora można było dostrzec potężną, dziewiętnastowieczną rezydencję, wyrastającą jak kamienna wyspa spoza dębów i starych iglaków. Dopiero z lądu można było dostrzec, że zamek był ogrodzony wysokim, kamiennym murem i otoczony prawie dwudziestoma hektarami parku.

W ciągu ostatnich pięciu tygodni Senda oglądała zamek tylko z zewnątrz. Była coraz bardziej załamana. Teraz, gdy znów stała pod ozdobną bramą z połączonym herbem Daniłowów, przypomniał się jej pierwszy raz, gdy naciskała dzwonek.

Odszukanie Daniłowów po przyjeździe do Szwajcarii zajęło jej dwa tygodnie. Książę i jego świta nie byli zbyt popularni i gdyby nie nagłe olśnienie, trwałoby to jeszcze dłużej. Dopiero gdy zobaczyła złote kopuły rosyjskiej cerkwi, błyszczące ponad dachami w pobliżu Muzeum Sztuki i Historii, wiedziała, że to koniec poszukiwań. Rosjanie na obczyźnie garnęli się do siebie jak zgubione gołębie i – niezależnie od pozycji społecznej – ich życie obracało się wokół cerkwi.

A kto lepiej niż proboszcz mógł znać swoje stadko?

Serce biło jej mocno, gdy otwierała ciężkie drzwi i wchodziła do świątyni. Na zewnątrz była Genewa, słońce rzucało srebrne refleksy na jezioro Lemana, pofalowane lekko od wiatru, a wewnątrz kościoła poczuła się tak, jakby wielka, niewidzialna ręka przeniosła ją w przeszłość, do Rosji.

W jej oczach zakręciły się łzy. Cerkiew wyglądała jak świątynia w Rosji i nawet pachniała tak samo: ciężki, gęsty zapach kadzidła pomieszany z wonią

gorącego wosku, kapiącego z pobłyskujących świec. Z wiszących na ścianach ikon spoglądały na nią ciemne, nieruchome oczy, jakby obserwując każdy jej krok. Było w tym jakieś czarowne piękno, ale dojmujące, a nawet przykre wrażenie *deja vu* kazało jej zapomnieć o przyczynie, dla której się tu znalazła, i wycofywać się w kierunku świata słońca. Właśnie w podobnym do tego kościele zerwała z judaizmem, wyparła się wszystkiego, czym była i co знаła, przysięgła przyjąć i wyznawać prawosławie.

Ogarnęły ją bolesne wspomnienia. Tym boleśniejsze, że jej przechrzczenie spowodowało pierwsze pęknięcie tego, co uważała kiedyś za niewzruszoną opokę – związku ze Szmarią. W rozpaczycy chciała uciec.

– Czy mogę pani jakoś pomóc? – odezwał się z ciemności cichy głos, wprawdzie po francusku, ale z wyraźnie obcym akcentem.

Zaskoczona odwróciła się i zobaczyła starego popa z białą brodą, który wyszedł zza marmurowej kolumny. Jego pantofle szeptały po posadzce, a ciężkie, ciemne szaty szeleściły tajemniczo. W jego barytonie było coś łagodnego, co ją ukoilo.

– Płaczesz, moje dziecko.

Natychmiast odwróciła się, żeby wyjść.

– Może nie powinnam była tu przychodzić – odpowiedziała po rosyjsku.

– Nonsens. – Wziął ją pod rękę i zaprowadził do ławki. Usiadł obok niej, ułożył ręce na kolanach. Uniósł głowę i przypatrywał jej się z ciekawością.

– Nie przedstawiłem się. Jestem ojciec Peter Moskwin.

– Senda Bora.

– Uciekinierka. – Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Skinęła głową w milczeniu.

– Czy mogę ci jakoś pomóc, Senda Bora?

– Czy ojciec zna moich przyjaciół? – spytała z niecierpliwością. Z jednej strony nie mogła doczekać się odpowiedzi, z drugiej – bała się, co może usłyszeć. – Daniłowów, księcia Wasilija i księżnę Irinę?

Oczy staruszka rozbłysły.

– Tak, oczywiście, są tutaj – powiedział z uśmiechem. – Ale oni nie przychodzą na modlitwę do miasta. Mają prywatną kaplicę w swojej posiadłości, którą ja poświęciłem.

Popatrzyła na niego.

– Muszę się z nimi skontaktować. Czy może mi ojciec powiedzieć, gdzie mieszkają?

– Oczywiście – odpowiedział, poklepując ją przyjacielsko po ręce. – W Chateau Gemini, na końcu jeziora. Każdy ci wskaże drogę.

Uzbrojona w taką informację, wróciła do pensjonatu, gdzie mieszkała z Inge i Tamarą, wstępując po drodze do sklepu papierniczego. Wykosztowała się na kremową, welinową kopertę i kilka arkuszy papieru listowego. Gdy dotarła do pensjonatu, pobiegła po schodach, zatrzymując się na półpiętrach dla złapania tchu. Napadł ją atak kaszlu i musiała splunąć w chusteczkę, po czym wspinała się dalej po schodach, do trzech maleńkich pokoików, jakie zajmowały na poddaszu.

Inge, najwyraźniej zaalarmowana jej kaszlem, stała już przy otwartych drzwiach. Machając jej na powitanie, Senda natychmiast skierowała się do małego biureczka, wepchniętego pod mansardowe okno. Usiadła, drżącymi rękami przygotowała pióro, kałamarz i bibułę. Wyjęła cenne arkusiki papieru z brązowego opakowania, a później w zamyśleniu popatrzyła przez koronkowe firanki na skrawek jeziora widoczny między dwoma budynkami.

Po dłuższej chwili namysłu zanurzyła pióro w kałamarzu i ruszyła pewnie po papierze, stawiając na nim piękne litery, które składały się na poufną informację.

Wasza Wysokość,

Skrzywiła się na ten początek. Było to okropne, bo miała taką ochotę napisać „Drogi Wasiliju”. Dzielila jego łoże i uczucia przez kilka lat i było to śmieszne, żeby pisać tak oficjalnie, jednak dobre maniere nakazywały zachowanie tonu uprzejmego, tęcz z dystansem. Istniała zawsze możliwość, choć niewielka, że jej wiadomość zostanie przejęta przez wyćwiczoną służbę, opacznie zrozumiana i wyrzucona do śmieci, a więc nigdy nie dotrze do Wasilija. Lepiej niech będzie zawołowana i uprzejma, ale dotrze do niego.

Nie widzieliśmy się bardzo dawno, ale dotarłam w końcu do Genewy. Byłoby wspaniale – i ze wzajemną korzyścią – gdybyśmy mogli się spotkać i odnowić znajomość. Można mnie znaleźć pod następującym adresem: 21 rue de Moillebeau, nr 6. Oczekuję wiadomości.

Senda przerwała pisanie, jakby była zbyt wyczerpana, żeby wymyślić odpowiednie zakończenie. Pióro poruszało się teraz wolniej, trudniej jej było postawić każdą literę. Dziwne, ale teraz, kiedy list był gotowy, czuła się taka pusta, zmęczona, pióro było takie ciężkie, jakby zrobione ze spiżu.

Jestem do dyspozycji w wybranym przez pana terminie. Pozostaję z szacunkiem.

Pańska oddana służba,

Senda Bora

Zakleiła kopertę i przez dłuższy czas trzymała ją przed sobą, patrząc na jego nazwisko i adres. Gotowe. Reszta należy do niego.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Nie, niezupełnie gotowe. Znów wzięła do ręki pióro i wypisała na kopercie słowa „Do rąk własnych” po rosyjsku i po francusku i podkreśliła jednym ruchem pióra.

Teraz było gotowe.

Inge nie trzeba było tłumaczyć, o co chodzi. Bez słowa wzięła kopertę, spojrzała na nią, włożyła płaszcz i podreptała, żeby ją osobiście wręczyć w Chateau Gemini.

Senda chodziła po pokojach jak tygrys w klatce, czekając na powrót Inge. Wciąż patrzyła na zegar. Wskazówki posuwały się tak wolno, że myślała, iż zegar stanął. Ale tykał głośno, dowodząc tylko jej zdenerwowania.

Inge wróciła, gdy było już ciemno. Senda podbiegła do niej z pytającym wyrazem twarzy, lecz Inge wzruszyła tylko ramionami i poszła powiesić płaszcz. Senda szła za nią krok w krok.

– No i co? – zaczęła, a w jej oczach malowały się jednocześnie strach i nadzieja. – Co się stało?

– W zamku zapukałam, otworzył majordomus i wręczyłam mu kopertę. Wziął ją.

– I?... – spytała, przejęta.

– Powiedziano mi, żeby nie czekać na odpowiedź. Jeżeli będzie... – dodała obojętnie Inge.

– Będzie! – przerwała jej Senda. – Musi być!

Ale ani tego, ani następnego dnia nie przyszła żadna odpowiedź od Wasilija. Gdy mijał dzień po dniu i książę wciąż nie dawał znaku życia, Senda stała się podenerwowana, złościła się na Tamarę i Inge i musiała się opanowywać, żeby nie wybuchnąć. Żyły jak na wulkanie.

Ósmego dnia Senda była już pewna, że pozostała jej tylko jedna możliwość: pójdzie zobaczyć się z Wasilijem bez zapowiedzi. Zachowała się zgodnie z

etykieta, posyłając najpierw list. Ponieważ jednak to zawiodło, nie ma innego wyjścia.

Brama wykuta w bogaty, barokowy wzór uświadomiła Sendzie, do jakich mizernych warunków ona i Tamara musiały się teraz przyzwyczaić. Jak dobrze pamiętała ozdabiający bramę wypolerowany, brązowy herb. Wydawało się, że minęło całe życie od momentu, gdy go ostatnio widziała.

Błyskawicznie przyglądała włosy, poprawiła filcowy kapelusz i zwyczajny zielony płaszcz. Gdyby to było dwa lata temu, byłaby ubrana w drogie futra i świetnie skrojoną suknię i przyjechałaby samochodem albo powozem, a nie transportem publicznym. Później musiała jeszcze długo iść. Ale czasy się zmieniły i ona wraz z nimi – podstawowe prawo przeżycia. Gdyby nie zdolności przystosowawcze, nie byłaby przeżyła ani dostała się tutaj. Czy nie poddałaby się chorobie, zamiast walczyć dalej? Skromna, szara sukienka sięgająca kostek była bolesnym przypomnieniem, jak bardzo zmienił się jej los.

Jednak niektóre rzeczy nie zmieniają się. Jedno spojrzenie na Chateau Gemini i wiadomo było, że Daniłowowie zachowali dużą część fortuny. Miała za co dziękować swej szczęśliwej gwiazdzie.

Nacisnęła przycisk umieszczony na kamiennym cokole z wyrzeźbionymi ananasami. Usłyszała dzwonek dzwiczący gdzieś za murem. Stary odźwierny w zielonym uniformie natychmiast przyczłapał do bramy.

Zmierzył ją wzrokiem zza grubych prętów bramy i wcale nie kwapił się do jej otwierania.

– Słucham panią? – spytał, przyglądając się jej z wyraźną dezaprobatą.

Nawet te stare oczy nie przegapiły faktu, że jej strój pamiętał lepsze czasy.

– Przyszłam zobaczyć się z Jego Wysokością – oświadczyła zdecydowanie.

– Czy Jego Wysokość pani oczekuje?

Senda zawahała się tylko na ułamek sekundy.

– Mój dobry człowieku, czy traciłabym czas na przychodzenie tutaj, gdyby mnie nie oczekiwano?

Przystawił twarz do bramy i rozejrzał się w obie strony.

– Pani nie ma żadnego pojazdu? – spytał ze zdziwieniem.

– Jest taki piękny dzień, że postanowiłam się przejść. Odesłałam samochód do miasta. – Uniosła głowę wiedząc, że najważniejsze jest odpowiednie wrażenie. – Później po mnie przyjadą. Jeśli pojawi się samochód po madame Bora, proszę wpuścić mojego kierowcę.

Zawahał się, po czym otworzył furtkę dla pieszych tak przemyślnie wkomponowaną w bramę, że nie dawało się jej przedtem zauważyć. Uśmiechnęła się wchodząc i wślizgnęła, nim mógł ją zatrzymać. Usłyszała, że brama zamyka się za nią.

– Zamek jest na końcu podjazdu – zawołał za nią, pokazując ręką. – > Proszę iść prosto tędy, to pani dojdzie!

Odwróciła się i pomachała.

– Dziękuję! – zawołała przez ramię.

Wijąca się droga była dłuższa, niż przypuszczała. Park po obu jej stronach był pięknie utrzymany, ozdobiony olbrzymimi, starymi drzewami i artystycznie przyciętymi krzewami, które sprawiały wrażenie golonych, a nie strzyżonych, oraz kopiami antycznych rzeźb. Odwróciła się na dźwięk jakichś krzyków i ze zdumieniem zauważyła dumne stadko przepięknych pawi.

Choć zbliżała się już do zamku, wciąż niewiele było widać. Drzewa nagle zrobiły się gęstsze, jakby chciały go osłonić, i nad nimi widać było tylko pozieleniałe miedziane dachy. Po chwili drzewa się przerzedziły i zamek roztoczył przed nią swą doskonałą symetrię.

Wyprostowując się, jakby miała przystąpić do walki, weszła po niskich, kamiennych schodach i stanęła przed onieśmiałąco wielkimi drzwiami. Odrzuciła do tyłu głowę i sięgnęła do olbrzymiej mosiężnej kołatki. Drzwi otworzyły się, nim zdołała jej dotknąć. Przestraszona, cofnęła rękę i odruchowo zrobiła krok w tył.

– W czym mogę pomóc, madame? – zaskrzypiał głos.

Senda popatrzyła przed siebie. Stał przed nią chudy, brzydki człowieczek z wypolerowaną łysiną, w uniformie majordomusa. Czarny frak i odpinany kołnierzyk frakowej koszuli nie były w stanie złagodzić jego ostrych rysów. Za nim, w cieniu, stało dwóch mężczyzn o niewyobrażalnie szerokich barach. Jakaś straż, domyśliła się. Senda zaczęła delikatnie:

– Przyszłam tutaj w nadziei spotkania księcia Wasilija.

– Pani nie była umówiona – głos majordomusa brzmiał jak skrzek żaby.

Senda potrząsnęła głową.

– Nie – przyznała. – Ale... on i księżna... i ja byliśmy przyjaciółmi w Rosji. Proszę powiedzieć jego wysokości, że madame Bora chce się z nim widzieć.

Czy na dźwięk tego nazwiska coś błysnęło w tych wypukłych oczach, czy tak jej się zdawało?

– Przykro mi, to niemożliwe – powiedział gładko. – Czy może pani zostawić

swoją wizytówkę?

Popatrzyła uważniej na jego twarz, ale wzrok miał tak nieprzenikniony, że trudno było teraz zgadnąć, czy coś mu mówiło jej nazwisko.

– A więc nie ma ich? – spytała.

Potrząsnął przecząco głową.

– Przykro mi, ale państwo wyjechali na kilka dni.

Zacisnęła usta i odchrząknęła, starając się zachować pozory.

– W takim razie chyba rzeczywiście będę musiała zostawić wizytówkę. – Czując, jak przygląda jej się ze stoickim spokojem czekając, aż znajdzie wizytówkę w torebce. Palcami przebierała jej mizerną zawartość i grała dalej. Nie przyznałaby się do braku wizytówek. W końcu westchnęła, uśmiechnęła się rozbrajająco i zamknęła torebkę. – Musiałam je zostawić w domu – powiedziała. – Bardzo głupio.

Wydawał się niewzruszony.

– Jeśli madame zechce chwilę zaczekać, przyniosę coś do pisania.

Zostawił drzwi otwarte, a ona stała po drugiej stronie progu. Zwykle drzwi, pomyślała, stały się linią demarkacyjną, której nie śmiem przekroczyć nieproszona. Uniosła głowę. Wrócił już, niosąc srebrną tackę, a na niej mały złoty ołówek i miniaturowy notatnik. Zapisała swoje nazwisko i adres, uśmiechnęła się w podzięcie, odwróciła i oddaliła się z godnością, na jaką mogła się zdobyć. W jej oczach lśniły łzy rozczarowania. Nagle stanęła jak wryta. Krew zastygła w jej żyłach, gdy przyszło olśnienie.

Brama.

Przecież odźwierny wpuścił ją po tym, jak powiedziała, że chce się widzieć z księciem. On lepiej niż ktokolwiek inny wie, kiedy jego chlebodawca przyjeżdża i wyjeżdża. Przecież powiedziałaby jej, gdyby Wasilij wyjechał.

Twarz ją piekła, piersi rozrywał kaszel palący płuca. Więc Wasilij był w pałacu. Tylko ona nie mogła się do niego dostać.

Dlaczego. Dlaczego?

W swym gabinecie na drugim piętrze Chateau Gemini hrabia Kokowcow patrzył na skrawek papieru trzymany w ręku. Na jego wysokim czole pojawiły się żyły, a wypolerowane paznokcie wystukiwały jednostajny rytm na wspaniale inkrustowanym biurku w stylu Ludwika XV. Zmarszczył brwi i zacisnął usta.

Zdrowy rozsądek mówił mu, że nie zapowiedziana wizyta tej kobiety nie powinna była go zaskoczyć. Wiedział, że nie można się jej pozbyć tak łatwo, jak.

można było spalić jej list do Wasilija. Senda Bora to jednak uparta i chytra dziwka. Czyż nie przewidział, że jeśli nie dostanie odpowiedzi na swój list, przyjdzie tu osobiście? I że na pewno będzie wciąż przychodziła? Był pewien, że w końcu, mimo wszelkich przeszkód, ona wymyśli jakiś chytry sposób, żeby skontaktować się z Wasilijem.

A to było dokładnie to, na co w żadnym razie nie mógł pozwolić.

W zamyśleniu odsunął fotel i podszedł do francuskiego okna, wychodzącego na jezioro Leman. Odsunął zasłony i zobaczył przy brzegu dwie małe figurki. Później dołączyła do nich trzecia, która wyszła z wody na kamienny pomost. Mordka spojrział pogardliwie, nim z powrotem zasunął story. Wasilij skończył swoje codzienne pływanie w zimnych wodach jeziora, a uczynni służący czekali z ogrzanym ręcznikiem, żeby osuszyć jego ciało. Mimo fizycznego i umysłowego osłabienia, Wasilij Daniłow wciąż uprawiał swą codzienną kąpiel, podobnie jak w Rosji – niezależnie od temperatury wody czy powietrza.

Usta Mordki wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu, gdy odszedł od okna i spacerował po gabinecie. Nieświadomie zwinął kawałek papieru w kulkę.

Mój drogi kuzyn nie będzie już zbyt długo zażywał tych ożywczych kąpeli, pomyślał z satysfakcją. Już wkrótce Wasilij zniknie z horyzontu, a olbrzymia fortuna Daniłowów przypadnie jemu, tylko jemu. Wziął z biurka plik dokumentów, opisujących kolejną część fortuny Daniłowów, która będzie jego, a później zatrzymał się, spojrzawszy na trzymaną w palcach kulkę papieru i wrzucił ją do kominka. Płomienie rzuciły się na nią żarłocznie. Po zniszczeniu tego namacalnego dowodu jej wizyty poczuł się znacznie lepiej. Zszedł na dół do salonu, żeby zjeść podwieczorek. Pod pachą niósł plik papierów i nucił pod nosem jakąś radosną melodyjkę.

Daniłowowie byli tacy zadowoleni, tacy sympatyczni przy podwieczorku. A zresztą wciąż robili się coraz miłsi!

Jej druga wizyta.

Tym razem przyjęto ją w zamku zupełnie inaczej. Drzwi otworzył ten sam majordomus, ale nie był już taki ważny jak poprzednio.

– Czy będzie pani łaskawa pójść za mną? – uprzejmym gestem zaprosił ją do wejścia.

Zdumiona tą zmianą, Senda pozwoliła się zaprowadzić przez kilka sal do małego salonu. Nie zwracała uwagi na bezcenne dzieła sztuki wiszące na ścianach ani na olbrzymie sewrskie wazy na marmurowych stolikach. Serce jej waliło

radośnie i nie mogła ukryć podniecenia. Więc Wasilij dostał jej kartkę! Chciał się z nią zobaczyć! Dzięki Bogu, że miała taki pomysł, żeby przyjść dzisiaj, a nie czekać jeszcze dzień czy dwa. Coś jej mówiło, żeby przyjść. Minęło pięć dni, odkąd była tu ostatnio.

– Czy zechce pani tu zaczekać?

Senda skinęła głową. Była zdenerwowana, więc chodziła tam i z powrotem po olbrzymim orientalnym dywanie. Czekanie ciągnęło się w nieskończoność.

W końcu usłyszała dochodzący z daleka odgłos kroków. Starła się stać spokojnie i oddychać głęboko, żeby ukoić nerwy i zapobiec atakowi kaszlu, który jej groził.

Drzwi skrzypnęły, a ona obracała się w ich stronę powoli, zmuszając się do przybrania obojętnej miny, jaką zawsze robiła, gdy spotykała Wasilija publicznie. Nazywała to swoją „publiczną twarzą”.

Do pokoju wszedł hrabia Kokowcow.

W chwili, gdy go zobaczyła, krew odpłynęła z jej twarzy. Co u diabła! – pomyślała. Gdzie jest Wasilij? Powstrzymała okrzyk rozczarowania.

Powoli zamknął drzwi i zwrócił się do niej z opanowanym wyrazem twarzy.

– Madame Bora – mruknął. Podszedł bliżej, ujął jej dłoń i uniósł do ust. Olbrzymi, czerwony rubin, zdobiący jego długi, cienki palec, błyszczał obscenicznie. Ciemne oczy błyszczały. Powstrzymała drżenie. – Miło panią znów widzieć. – Przyglądał się jej ciekawie. – Obawialiśmy się... obawialiśmy się, że mogła się pani przydarzyć jakaś tragedia, ale cieszę się, że nic takiego się nie stało.

Zmusiła się do uśmiechu, na który nie miała ochoty. Zbyt świeża była w jej pamięci scena z boczniczy kolejowej, gdy odjeżdżał pociąg Daniłowów. Hrabia specjalnie odwrócił wtedy uwagę księżnej od okna, żeby nie zauważyła Senty, a później ukazał się w nim sam, – z szyderym uśmiechem na ustach. Przypomniała sobie, żeby nie dać się nabrać na żaden objaw szczerości z jego strony. Był niebezpiecznym człowiekiem, którego nie wolno nie doceniać.

– Miło mi również pana widzieć, panie hrabio, po tak długim czasie.

Pokiwał smutno głową.

– Prawie dwa lata. To rzeczywiście szmat czasu. – Wskazał na krzeselko. – Zechce pani usiąść.

Senda uniosła swą długą spódnicę, nim usiadła.

On bezszelestnie znalazł się na fotelu naprzeciwko niej. Każdy jego ruch był jakiś owadzi, jak gdyby był olbrzymim, jadowym pajakiem.

– Wygląda pani pięknie, jak zwykle – powiedział uprzejmie.

– Zawsze była pani piękna.

– Na scenie był to cenny towar – powiedziała skromnie, spuszczać oczy. – Tutaj... – Głos jej się załamał i wzdrygnęła się, po czym uniosła głowę. – A książę? – Była rzeczowa.

– Jak on i księżna znoszą wygnanie?

Milczał przez chwilę.

– Niestety, niedobrze – powiedział powoli. – Spowodowało pewne drastyczne zmiany. Jednak to duża różnica – przyjechać gdzieś z wyboru a być zmuszonym do życia na wygnaniu.

Uśmiechnęła się słabo.

Przez moment wydawał się zamyślony, a następnie westchnął boleśnie.

– Jeśli idzie o księcia...

– Tak? – spytała natychmiast, wyprostowując się.

– Opowiedział mi o pani liście i poprzedniej wizycie...

Wstrzymała oddech i czekała z bijącym sercem.

– Próbowałem go przekonać wiele razy, że wygnanie niekoniecznie musi oznaczać zamknięcie się w sobie. Jednak... – znów westchnął i smętnie pokręcił głową. Na jego ustach pojawił się smutny uśmiech. – Miałem nadzieję, że pani mogłaby pomóc.

– Ja? – Senda zaciekawiona przechyliła głowę. – Jak?

– To nie jest już ten książę, którego pani... – Kokowcow dyskretnie chrząknął, przytykając swą dłoń do ust – ... kiedyś znała.

– Dlaczego? – spytała przerażona. – Czy jest chory?

– Obawiam się, że nie jest to choroba ciała. Mieliśmy tu konsylium największych specjalistów z całej Europy. Są jednomyślni. Książę cierpi na chorobę ducha. – Hrabia Kokowcow popatrzył na nią. – Nie chce widzieć nikogo. Naprawdę nikogo. Bardzo mi przykro. Widzę, że jest to dla pani szok. Ale proszę mi wierzyć, madame Bora, to on tak chce. To on tak zarządził.

Czyżby? Nie mogła uwierzyć. Opisywał zupełnie innego człowieka, nie Wasilija, jakiego znała. Czy książę mógł się tak bardzo zmienić? Czy może ten zboczeniec Kokowcow opracował kolejny makiaweliczny plan?

– To jest ciężki okres dla wszystkich – powiedział hrabia ostatecznie. – Dla księcia i księżnej... dla mnie... na pewno również dla pani. Musi pani zrozumieć, że on nie chce pani widzieć.

– Nie wierzę w to. Nie mogę!

– Mam takie polecenie. Sprowadzę samochód, żeby panią odwiózł.

Nawet nie zauważyła, że Kokowcow prowadzi ją poprzez liczne sale z powrotem do foyer i obok marmurowych schodów do wyjścia. Niemal wypchnął ją za drzwi.

Miliony myśli przelatywały jej przez głowę z szybkością błyskawicy. Coś niedobrego działo się w zamku. Bardzo niedobrego. Po prostu to wiedziała.

Będzie musiała jakoś znowu się tu dostać; stanąć twarzą w twarz z Wasilijem i zobaczyć go na własne oczy. Nie może i nie będzie brała słów hrabiego za dobrą monetę. To on oszukał księcia i dlatego zostawił ją w Rosji. Na pewno nie może mu teraz ufać.

Hrabia Kokowcow obserwował jej odjazd z okna drugiego piętra.

– Ta dziwka wróci – powiedział do siebie cichymi pewnym głosem. Pukał palcami o udo. – Zastanawiam się tylko, jaki będzie jej następny krok.

Nie wiedział o tym, że i Senda się nad tym zastanawiała.

Niecałe dwa tygodnie po drugiej nieudanej wizycie w zamku, kiedy Senda łamała sobie głowę, jak się tam znowu dostać, sprawa rozwiązała się sama.

Była sobota i Inge spędziła przedpołudnie robiąc zakupy. Gdy skończyła się targować na rynku, przybiegła zdyszana, spocona i czerwona jak burak.

– Halo! – wołała, biegnąc wprost do kuchni. – Dowiedziałam się czegoś ciekawego.

– Co takiego? – spytała Senda.

– Jeden z najwspanialszych domów w okolicy poszukuje pomocy na przychodne.

Senda podskoczyła. Powoli odwróciła się do Inge, która wychodziła ze spiżarni, – Nie chcesz chyba powiedzieć...

– Możesz zgadywać trzy razy – przerwała Inge. Jej chabrowe oczy błyszczały.

– To nie może być... – Sendzie nie mogła przejść przez gardło ta nazwa.

– Teraz jeszcze dwa razy – uśmiechnęła się Inge.

– To nie jest... nie może...

– Jest – odpowiedziała triumfalnie. – Chateau Gemini!

W poniedziałek Senda znów była w zameczku, tym razem jako dochodząca. Nikt jej nie zatrzymał, bowiem nikt jej nie poznał: ani odźwierny, ani majordomus, ani nawet hrabia Kokowcow, którego minęła dwa razy w holu, ale miała spuszczoną głowę. Wykorzystała wszystkie triki teatralne. Wyglądała bardzo nieciekawie: rysy jej się wyostrzyły, gdyż schudła bardzo od początku choroby.

Swoje charakterystyczne włosy upudrowała prawie na biało i związała ciasno w kok, podmalowała jeszcze cienie na i tak wychudzonych policzkach. Wyglądała jak wyniszczona, stara kobieta, dwa razy starsza niż w rzeczywistości. Była zupełnie nie do poznania.

Następnego popołudnia w czasie przerwy obiadowej spacerowała po parku. Gdy wyszła zza drzew, skrywających pałac, musiała się zatrzymać i poczekać. Drogę zatarasowało jej stado barwnych pawi. Między ich przesywającymi krzykami dał się słyszeć dźwięk silnika samochodowego, dochodzący od strony bramy. Hałas stawał się coraz bliższy, aż zobaczyła, skąd dochodzi. Na zakręcie pojawił się olbrzymi, biały, turystyczny samochód. Kilkanaście metrów od niej zatrzymał się, żeby przepuścić ptaki, a wtedy – czy to możliwe? czy to halucynacje?

Na przodzie pojazdu siedział umundurowany szofer w czapce. A z tyłu, mając po lewej stronie hrabiego Kokowcowa, a po prawej księżną, siedział jej były kochanek, jej opiekun! Nie wierzyła własnym oczom.

– Wasilij! – krzyknęła nagle z niespodziewaną siłą. Podskakiwała z podniecenia: – Wasilij!

Słyszac swe imię, wolno odwrócił głowę. Zaczęła biec w kierunku samochodu.

Hrabia Kokowcow pochylił się do przodu, waląc pięściami w szklaną przegrodę, oddzielającą ich od szofera.

– Jedź, idioto! – krzyknął. – Jedź!

Szofer odwrócił się do niego. Mimo pracującego silnika słyszał każde słowo.

– Ale pawie...

– Do diabła z pawiami! – darł się dalej Kokowcow. – Jedź po nich!

Szofer zawahał się, a Wasilij patrzył cały czas na Sendę, jakby zasłaniała ją mgła. Wiedział, że musi ją znać, tylko nie może sobie przypomnieć imienia. Księżna patrzyła na podłogę, nie unosząc głowy.

– Wasilij, to ja! Senda!

Dobiegła do samochodu. Ręce zacisnęła na błyszczących drzwiczkach i oparła się o nie, nie zważając na wściekłą minę hrabiego i szukała wzroku Wasilija. Oczy miał niezwykle błyszczące i rozbiegane. Pobladła. Czuła, że robi jej się niedobrze. Wasilij dalej patrzył na nią... a właściwie przez nią... jak umysłowo chory. Co mu było?

Oczywiście! Chustka! Siwe włosy! Jak mógł ją poznać w tym przebraniu? Szybkiem ruchem zerwała z głowy chustkę i strzepała biały puder z włosów.

Jednak Wasilij Daniłow wciąż patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, a księżna ciągle wpatrywała się w podłogę, jak w transie.

– Wasilij! – łkała Senda. – Na miłość boską, dlaczego mnie nie poznajesz? To ja, Senda!

– Jedź! – krzyknął znów do szofera hrabia Kokowcow. – Jedź, mówiłem ci!

Tym razem szofer przystąpił do akcji. Tylne koła wbiły się w podjazd, rozrzucając żwir. Z nagłym przyśpieszeniem samochód ruszył do przodu. Nie przygotowana na ten nagły odjazd, Senda wciąż trzymała się drzwiczek, a nogami szorowała po żwirze, złościąc koleiny. Nagle zwolniła chwyt, krzyknęła rozpaczliwie, upadła na ziemię i potoczyła się.

Bum, bum, bum.

Zamknęła oczy, gdy usłyszała te dźwięki: samochód staranował pawie. Gdy znów je otworzyła, chmura piór unosiła się w powietrzu, a następnie opadła, pokrywając ziemię jak śniegiem. Kątem oka zobaczyła samochód na wirażu. Kierowca wziął zakręt tak prędko, że przez chwilę pojazd balansował tylko na lewych kołach. Później zniknął jej z oczu za gęstą zasłoną drzew.

Wasilij! Serce waliło jej jak młotem, krew pulsowała. To była okazja, żeby z nim porozmawiać. Może jedyna, jaką miała. Powinna ją wykorzystać, żeby zorientować się, co mu właściwie jest.

Dlaczego jej nie rozpoznał? A może poznał?

Pobiegła w stronę zamku, na ukos, przez trawnik. Spojrzała na trzy okrwawione korpusy pawi i szybko odwróciła wzrok. To był błąd, nie należało patrzeć, bo musiała teraz walczyć z mdłościami. Nic nie mogło zagłuszyć krzyku śmiertelnie rannego ptaka.

– Rzeźnik – syknęła, przeklinając hrabiego Kokowcowa. Przebiegła pod drzewami wprost w ramiona czekających strażników.

Walczyła zajadle, wymachując rękami.

– Puście mnie – krzyczała. – Wasilij! Wasilij! – Później do strażników: – Nie rozumiecie, że coś złego się dzieje!?! – Wijąc się jak piskorz, prawie wyrwała się swym oprawcom, ale wykręcili jej ręce do tyłu i zaciągnęli do bramy, choć piętami zapierała się w żużlu.

– Jeżeli ci zależy na robocie, to pilnuj, żeby tu już więcej nie weszła – rzucił jeden ze strażników do zdumionego odźwiernego. Później pchnęli Sendę tak silnie, że poleciała w powietrzu i wylądowała na chodniku. O dziwo, prawie nie czuła bólu, wiedziała tylko, że musi wrócić do tej posiadłości i że brama zamyka się.

Z trudem wstała i ruszyła do bramy, ale zamknęła się tuż przed nią z głośnym

trzaśnięciem.

, Z oczu ciekły jej łzy, gdy chwyciła za żelazne pręty i osunęła się na kolana pod złotym herbem Daniłowów.

– Wasilij – zawyła jak ranne zwierzę. – Wasilij!

Dwa dni po haniebnym wyrzuceniu Senty z zamku Inge wróciła z targu z gazetą pod pachą. Rzuciła ją na stół kuchenny.

– Masz, tu jest czarno na białym. Nic dziwnego, że nie mogłaś się zobaczyć z księciem – oświadczyła.

Senda uniosła brwi ze zdziwieniem. Nie miała pojęcia, o co chodzi.

– Tutaj. – Inge pokazała palcem. – Czulaś, że coś jest nie w porządku. No, więc miałaś dobre przeczucia!

Senda podeszła do stołu i spojrzała. Nie zapomni tej złej twarzy do końca życia.

Zamarła, patrząc na szeroki, na całą stronę tytuł:

HRABIA KOKOWCOW OSKARŻONY O PLANOWANIE
MORDERSTWA.

Drżała, gdy czytała podtytuł, wydrukowany nieco mniejszymi literami:

ROSYJSKI UCHODŹCA OSKARŻONY O SPISKOWANIE I USIŁOWANIE
ZABÓJSTWA.

Chwyciła gazetę i zaczęła czytać:

Hrabia Mordka Kokowcow, rosyjski arystokrata, został wczoraj aresztowany i oskarżony o poważną kradzież, spisek i usiłowanie morderstwa. Jego ofiarami mieli być książę Wasilij Daniłow i jego żona, księżna Irina Daniłow, imigranci rosyjscy, którzy uciekli przed rewolucją bolszewicką i mieszkali na przedmieściach Genewy. Zgodnie z radą swego adwokata, hrabia Kokowcow milczy i odmówił odpowiedzi na pytania policji.

Źródła policyjne podają, że 53-letni Kokowcow, kuzyn księcia i główny doradca finansowy Daniłowów, od dłuższego czasu powoli truł parę księżką. Podczas tradycyjnej popołudniowej herbaty Kokowcow dodawał do ich napoju skopolaminę.

Policję zaalarmował Daniel Delauney, prezes Banku Daniłowów. Bank, mieszczący się w Genewie, jest prywatną własnością Daniłowów. Delauney

przeraził się, gdy efekty działania skopolaminy były już u ofiar coraz bardziej widoczne.

Skopolamina, środek uspokajający, który opanowuje centralny system nerwowy, w dużych ilościach może być śmiertelny. W małych, regularnie przyjmowanych dawkach powoduje osłabienie władz umysłowych i w konsekwencji prowadzi do powolnej śmierci, której przyczynę trudno ustalić.

Zdaniem Delaneya, Daniłowowie stawali się coraz bardziej „zidiociali, niemal z całkowitą utratą pamięci. Wyglądali, jakby poruszali się powoli w świecie snów” – powiedział reporterom.

Delaney mówi, że po raz pierwszy nabrał podejrzeń co do Kokowcowa, gdy Daniłowowie zapisali lub sprzedali mu liczne multimilionowe interesy, łącznie z fabryką amunicji we Francji i wieloma tysiącami hektarów lasów za ułamek ich wartości.

Lekarze powiedzieli reporterowi, że Daniłowowie powinni powoli wrócić do zdrowia, w miarę jak skopolamina będzie wydalana z ich organizmów.

Gazeta wypadła Sendzie z rąk.

– Wiec miałam rację! – szepnęła. – Czułam, że coś jest nie w porządku, tylko nie wiedziałam co. Kiedy widziałam Wasilija... patrzył jak gdyby przeze mnie, jakby mnie w ogóle nie było. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego.

Oszołomiona, z pobladłą twarzą, usiadła wolno na krześle kuchennym. Waliło jej w skroniach. Stały, miedziany smak krwi w gardle został jeszcze wzmocniony przez inny, kwaśny, i poczuła, jak wszystko przewraca jej się w żołądku. Przez dłuższą chwilę patrzyła przed siebie.

Inge nachyliła się i objęła ją ramieniem.

– Dobrze się czujesz? – spytała z troską. – Może ci coś podać? Wyglądasz, jakby ci było niedobrze.

Senda kiwała się w przód i w tył.

– Nie, nie. Wszystko w porządku.

Minęła prawie minuta, nim się zorientowała, że patrzy wciąż na gazetę. Chwyliła ją ze złością i odwróciła. Miała dość hrabiego Kokowcowa. Oglądania jego twarzy nie mogła już znieść.

– Czas, żeby tego bandytę zamknęli! – powiedziała ponuro Inge, wskazując na gazetę. – Te kilka razy, kiedy go widziałam, wystarczyło. Jak patrzę na jego zdjęcie, mam wrażenie, że atakuje nasz dom. Senda skinęła głową.

– Jedno przynajmniej wiemy. Kiedy Wasilij wyzdrowieje, nie będzie już

problemów, żeby się z nim zobaczyć. Ale może to potrwać, o ile lekarze mają rację.

– Tyle czekałyśmy – wzruszyła ramionami Inga. – Co to teraz ma za znaczenie – kilka dni czy kilka tygodni? Ważne tylko, żeby wyzdrowiał.

Osiem dni później rozbudzone na nowo nadzieje Senty rozwiały się raz na zawsze.

Nazwisko Daniłowów znów pojawiło się w nagłówkach gazet: ksiązę i księżna zostali zamordowani.

– Egzekucja, tak piszą w gazecie – szepnęła Inge, czytając artykuł, do którego Senta nie była w stanie nawet zajrzeć.

– Egzekucja! – krzyknęła Senta. – To znaczy zamordowani z zimną krwią, tak?

– Mówię, co tu jest napisane. Piszą, że broń przyłożono im do pleców. Każde zginęło od jednego strzału. Śmierć była natychmiastowa.

– O Boże! – Senta otrząsnęła się, jakby dotknęło ją coś zimnego i mokrego.

Wystarczył jeden strzał...

– To podobno tak, jak Ochraha wykańczała bolszewików za cara. A teraz... – Szept Ingi stał się jeszcze cichszy, gdy przeleciała oczami następny paragraf. – Teraz czekałsi polują na białą rosyjską emigrację, zabijając ją w ten sam sposób! Dobry Boże! Piszą, że zdarzyło się to również w Berlinie i Paryżu!

– A teraz tutaj. – Senta zakryła twarz rękami. Cokolwiek by się działo, czekała ich klęska.

Inge potrząsnęła głową i odłożyła gazetę.

– To ironia losu – powiedziała cicho. – Drań taki jak Kokowcow jest bezpieczny i siedzi sobie w więzieniu, a jego ofiary nie żyją. Zamordowane przez kogoś całkiem innego.

Senta była zbyt słaba, by się ruszyć.

Śmierć. Śmierć i przemoc. Już za długo były wciąż związane z jej życiem. Czy nie ma ucieczki?

Zdrowie Senty nagle się pogorszyło. Pokładała tyle nadziei w tym, że Wasilij pomoże jej zapewnić przyszłość Tamarze, że wiadomość o jego śmierci była dla niej gwoździem do trumny. Napady kaszlu nasiliły się. W płucach czuła palący ogień. Każdego dnia jej chusteczki były coraz bardziej zaplamione krwią.

Inge dbała o nią, jak mogła, wzywając najlepszych lekarzy, ale jedyne, co mogli poradzić, to wysłać ją do drogiego sanatorium. Senta odmawiała. Pieniądze

za broszę skończyły się i Inge musiała już sprzedać pierścionek. Senda nie chciała pozwolić, aby choć część tych pieniędzy wydać na jej pogarszające się zdrowie.

Trzymało ją przy życiu jeszcze jedno marzenie. Zbyt już długo ona, Inge i Tamara błąkały się bez ojczyzny – obywatelki znikąd. Jeśli nawet ona nie dożyje bezpiecznej przyszłości, to może Tamara, z pomocą Inge.

– Wyjeżdżamy – powiedziała Senda pewnego wieczoru. – Jedziemy do Hamburga. Jeżeli nam się poszczęści, to będziemy miały akurat tyle pieniędzy, żeby dojechać do Ameryki.

Inge patrzyła na nią, zastanawiając się, czy Senda przypadkiem nie bredzi w gorączce.

– Ameryka! – wykrzyknęła. – Ni w pięć, ni w dziewięć. Przecież ty nawet nie jesteś w stanie podró...

– Ameryka – głos Senty, choć słaby i ochryply, nie pozostawiał wątpliwości. Nagle objęła się ramionami przy kolejnym ataku kaszlu. Splunęła krwią w chusteczkę i zwinęła ją. – Ameryka – powiedziała w przerwach ataku, łapiąc oddech.

Inge potrząsnęła głową.

– Nie znamy w ogóle angielskiego! Może nam zabraknąć pieniędzy! A może w Rosji się poprawi? Może będziemy mogli wrócić do Sankt Petersburga?

– Wyjeżdżamy jutro do Hamburga – powiedziała Senda. – Jestem zdecydowana. Gdy tam będziemy, zajmiemy się biletami na statek.

Senda nie chciała słuchać argumentów Inge.

Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dożyje, dopilnuje, żeby przynajmniej Inge i Tamara popłynęły do Nowego Jorku. Czyż nie słyszała, że w Ameryce na wszystkich czekają nieograniczone możliwości?

Tamara będzie je miała.

Senda spała spokojnie przez większą część wyczerpującej podróży z Genewy do Hamburga. Inge nie próbowała jej budzić wcześniej niż przed przyjazdem do końcowej stacji.

– Senda, jesteśmy na miejscu – powiedziała cicho, potrząsając nią delikatnie.

Zamarła.

Senda nie żyła. Umarła po drodze. Los zachował na koniec swą najokrutniejszą niespodziankę.

Transatlantyk „Lubeck” skrzypiał i kiwał, pokonując ciemne tonie północnego

Atlantyku. W ciasnej kabinie bez okna Tamara siedziała cicho na dolnej koi, patrząc na trzymaną w rękach fotografię matki.

– Kocham mamę – szepnęła, a łzy potoczyły się po jej policzkach. – Wciąż ją kocham. Chcę, żeby była ze mnie dumna.

– Będzie – zapewniła ją Inge. – Na pewno będzie.

– Lubiła grać. – Tamara zlizywała z ust słone łzy. – Kochała to. – Pokiwała głową poważnie. – Ja też będę – zwróciła się do Inge. – Ja też chcę zostać aktorką.

– Zobaczymy, kochanie – uśmiechnęła się Inge. – Masz dużo czasu, żeby się zdecydować.

– Ale ja już zdecydowałam. – Tamara zmarszczyła brwi i studiowałazymane w dłoniach zdjęcie. – Mówię poważnie, ciociu Inge. Chcę być największą aktorką na świecie. I będę!

– Głosik jej zadrżał, gdy zacisnęła małe piąstki. Uniosła zapłakaną twarzyczkę do Inge i w tej chwili w jej błyszczących, szmaragdowych oczach widać było siłę rodziny Boralevi. – Zrobię to dla mamusi – powiedziała zdecydowanie – i dla siebie.

Wtedy właśnie Inge po raz pierwszy zaobserwowała, jak bardzo Tamara była córką swojej matki. Nie mogła otrząsnąć się z nieodpartego wrażenia *deja vu*. Siła i determinacja Tamary tak bardzo przypominały jej Sendę, że aż poczuła w sercu ukłucie bólu. Tamara miała tę samą, połyskującą perłowo skórę, olbrzymie szmaragdowe oczy i elegancką, drobnokościstą budowę. Tylko włosy miała inne: nie miedziane, tylko jedwabiste, blond w odcieniu dojrzałego zboża.

– Będzie ze mnie dumna! – powiedziała z mocą Tamara.

– Będzie.

A później obie z Inge płakały przez całą noc.